MODA NA GENY
Sprawdzamy, ile są warte komercyjne testy DNA

JESIENNE REWOLUCJE
Nasze korespondencje z Chile, Libanu i Izraela

RELIGIA TO LEKCJA
Katecheta roku: nie róbmy ze szkoły kościoła

MAREK BIEŃCZYK:
Trzy sny, które wstrząsnęły światem

Kraków 10 listopada 2019 nr 45 (3670) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Farmy patriotów

Dożynki Glińskiego

Plony Tokarczuk

Nasza Niepodległość

DODATKI
ARS CAMERALIS
JESIEŃ LUDÓW 1989

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Możesz zdecydować o losach naszego świata. Przyszłość dzieje się teraz!

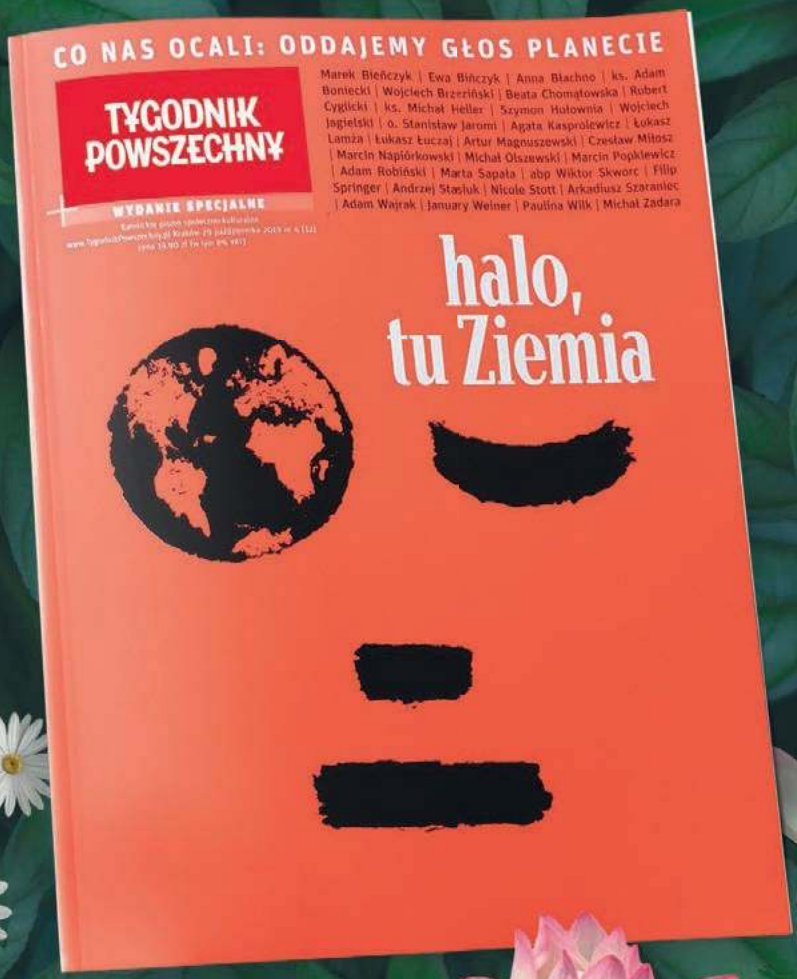

Halo, tu Ziemia. Weź, czytaj, to do Ciebie!

PREMIERA!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wydanie specjalne JUŻ W SPRZEDAŻY
w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/ziemia

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

KS. ADAM

Boniecki: *Kościół dla dna*

Myślałem, że bezdomność jest dotknięciem dna, że to zepchnięcie w najniższy status społecznej egzystencji. Tak myślałem, bo spotykam wielu bezdomnych i czasem rozmawiamy o życiu. Ilu ludzi, tyle historii. Morał z nich jest prosty: każdy może skończyć na ulicy. Oni nie wiedzieli, że tak skończą. Chwała tym, którzy – na ile to możliwe – bezdomnych wspierają, zapewniając posiłek, kąpiel, pranie, ciepły nocleg w zimie, lekarską poradę itp.

Ale bezdomność to jeszcze nie jest dotknięcie dna. Teraz to widzę. Prawdziwą otchłań odsłania przed nami artykuł Przemysława Wilczyńskiego „Czynnik nieludzki", który publikujemy w tym wydaniu „Tygodnika". Na dnie nie sytuuje nas kryzys bezdomności, spycha nas tam dopiero poważna choroba, z którą bezdomny nie jest w stanie sam sobie poradzić.

Z reguły chorzy-bezdomni są postrzegani bardziej jako bezdomni niż jako chorzy. Co z tego, że ktoś cierpi, że jest ciężko chory? Słyszy: „sam się doprowadziłeś do tego stanu". I traktowany jest jak „żul", „śmierdzący menel", „pijak", „śmieć". Daje mu się odczuć, że budzi odrazę i zasługuje na pogardę. Bezdomnego pacjenta szpital chętnie gdzieś przekieruje, a jeśli przyjmie, to stara się go szybko pozbyć – i pacjent wraca na ulicę.

Cytowana przez Wilczyńskiego pani Adriana Porowska jest kompetentna w tym temacie. Długo współpracowała z nieżyjącym już założycielem Kamiliańskiej Misji Pomocy Społecznej o. Bogusławem Palecznym, dziś jest pełnomocnikiem tej Misji i kieruje związanym z Misją Pensjonatem św. Łazarza – czyli schroniskiem dla osób w kryzysie bezdomności, jest też przewodniczącą komisji dialogu społecznego Warszawska Rada Opiekuńcza przy prezydencie Warszawy oraz wchodzi w skład Rady Społecznej przy Rzeczniku Praw Obywatelskich (za kadencji Ireny Lipowicz i obecnie Adama Bodnara). Jest tam współprzewodniczącą Komisji Ekspertów ds. Przeciwdziałania Bezdomności.

Pani Porowska wie, że jedyną sensowną odpowiedzią na problem chorych-bezdomnych będzie stworzenie „miejsca, w którym przyjmowaliby przyjaźni (bezdomnym) lekarze z pracownikami socjalnymi, diagnozujący podstawowe potrzeby i kierujący ludzi do odpowiednich placówek albo szpitali". Mówi, że marzy o takim miejscu i że taki ośrodek powstaje. Wilczyński notuje jej słowa: „stary budynek sąsiadujący z prowadzonym przez Misję schroniskiem", „pomoc dla osób bezdomnych po leczeniu szpitalnym", „wolontaryjna pomoc lekarzy specjalistów dla osób bezdomnych i nieubezpieczonych".

Że taka placówka powstaje, to ważna i dobra wiadomość. A że tylko jedna?... To początek. W Polsce jest ponad 30 tys. bezdomnych. Wszyscy oni, jako trudni i niechciani pacjenci („żule", „śmierdzące menele", „pijaki"), prędzej czy później do służby zdrowia będą pukali. A tam... proszę poczytać Wilczyńskiego. Co może stan obecny zmienić?

I tu przypomniał mi się pewien kanonik z Turynu, doktor św. teologii ks. Józef Benedykt Cottolengo (1786–1842). Był świadkiem śmierci chorej na gruźlicę kobiety w szóstym miesiącu ciąży. Z obawy przed zarażeniem innych chorych nie przyjęto jej do miejskiego szpitala. Umarła w nędznym baraku, zostawiając męża i troje małych dzieci. Od tej pory kanonik Cottolengo całkowicie się poświęcił opiece nad biednymi i wykluczonymi. Dokonał rzeczy niewiarygodnych. Zbudował szpitale, stworzył system oparty na ofiarności ludzi dobrej woli. Dzieło to istnieje i funkcjonuje do dziś.

Takich Cottolengów Kościół wydał wielu. Od wieków inspirował i realizował troskę o ubogich, wykluczonych. Dziś wyzwaniem dla Kościoła jest problem bezdomnych-chorych. Zaradzenie tragicznej sytuacji wpisuje się w jego misję bardziej niż wiele innych spraw, które go dziś szalenie absorbują.

Może więc Bóg wzbudzi w naszym Kościele kogoś, kto połączy w sobie organizacyjne talenty dyrektora R. z Torunia i miłość do ubogich świętego kanonika C. z Turynu, kto zechce i potrafi wykorzystać istniejący kapitał ludzi dobrej woli i dla chorych-bezdomnych stworzy w Polsce sieć ośrodków, w których nie będzie podziału na „meneli" i „niemeneli", bo będzie tylko jedna kategoria chorych: człowiek. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

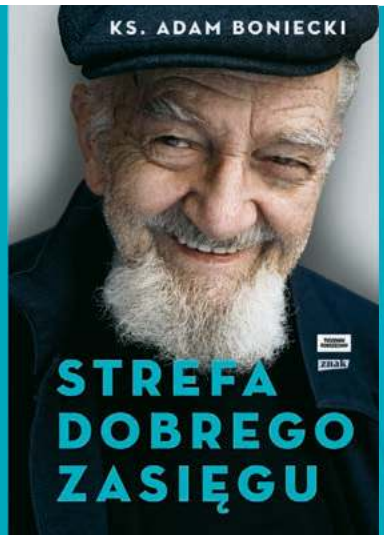

Spotkanie z ks. Adamem Bonieckim towarzyszące premierze książki

„STREFA DOBREGO ZASIĘGU"

prowadzenie: Anna Wacławik-Orpik
środa, 20 listopada, godz. 18
Muzeum POLIN, ul. Anielewicza 6 w Warszawie

Bezpłatne wejściówki dostępne będą na dwie godziny przed spotkaniem w kasach muzeum.

ZAPRASZAJĄ: TYGODNIK POWSZECHNY · TP KlubTygodnika.pl · POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich · 60 znak

TEMAT TYGODNIKA

12 Moda na geny
BARTOSZ KABAŁA
Nie ma nic bardziej osobistego niż nasz własny genom. Coraz więcej ludzi ujawnia go firmom oferującym rozmaite testy. Dla wiedzy lub zaspokojenia ciekawości. Oraz rozrywki.

22 Farmy patriotów
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Polska jest twierdzą oblężoną przez nieprzyjaciół, wydawało się, że to już znamy. Ale zarazem samo państwo okazuje się nie azylem, lecz przeciwnikiem, narzędziem zniewolenia.

34 Religia to lekcja
ROZMOWA Z KS. DAMIANEM WYŻKIEWICZEM, NAUCZYCIELEM RELIGII:
Zbyt często na lekcjach religii narzuca się uczniom jedną interpretację i odpowiedź, zamiast razem poszukiwać drogi. To indoktrynacja.

44 Chilijska wiosna
MAGDALENA BARTCZAK Z SANTIAGO DE CHILE
Na pozór to paradoks: milionowe gwałtowne demonstracje wybuchły w kraju, który dotąd był uważany za gospodarczego „tygrysa" Ameryki Południowej.

100 Postacie na wolności
OLGA TOKARCZUK, PISARKA:
Powieść jest nośnikiem obrazów i treści, ale też wskaźnikiem moralnym. Jest w naszym zwariowanym świecie wartością, czymś stałym. Traktuję ją bardzo, bardzo serio.

88 Dożynki ministra Glińskiego
PIOTR KOSIEWSKI
Kiedy obejmował urząd, zapowiedział wiele zmian. Słowa dotrzymał, ale też okazał się jednym z najgorszych ministrów kultury w dziejach III RP.

FREE-PHOTOS / PIXABAY // BEATA ZAWRZEL / REPORTER // SEBASTIÁN ARRIAGADA // JAKUB PORZYCKI / AGENCJA GAZETA // EDYTA DUFAJ / KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE // ALBERT ZAWADA / AGENCJA GAZETA

6 Brexit: trzecia rzeczywistość MARCIN ŻYŁA

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Farmy patriotów MARCIN NAPIÓRKOWSKI

26 Na linii ulicznego frontu PIOTR KOZANECKI: *Kiedy w Polsce ginie na pasach pieszy, mówi się, że „wtargnął na jezdnię”*

28 Czynnik nieludzki PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Bezdomni i niewydolny system ochrony zdrowia*

■ ■ WIARA

34 Religia to lekcja ROZMOWA Z KS. DAMIANEM WYŻKIEWICZEM

38 Ekumeniczna jesień KAROL WILCZYŃSKI: *Święto Reformacji uzyskało dodatkowy kontekst*

40 Jestem lesbijką i wierzę w Boga DARIUSZ KAŁAN: *Zuzka z Koszyc wyznała ojcu, że jest lesbijką. Jej ojciec jest księdzem greckokatolickim*

■ ■ ŚWIAT

44 Chilijska wiosna MAGDALENA BARTCZAK

48 Libańska rewolucja AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA: *Przeciwko czemu ludzie protestują na ulicach Bejrutu i Trypolisu*

52 Generał na premiera INGA ROGG: *Czy Benny Gantz strąci z tronu premiera Netanjahu?*

57 DODATEK HISTORYCZNY

Jakie emocje zapanowały wtedy w Europie Środkowej? Co z nich zostało? Jak dziś patrzy się na ówczesne wydarzenia, jak się je ocenia – na Węgrzech, w Czechach i na Słowacji, w byłych Niemczech Wschodnich, a także w Rumunii? Co dziś wiemy (a czego wciąż nie wiemy) o tym, jak władze Związku Sowieckiego – na czele z Michaiłem Gorbaczowem – patrzyły na wydarzenia w Warszawie, Berlinie i Pradze?

■ DODATEK SPECJALNY ■

77 Festiwal Ars Cameralis

■ FELIETONY ■

32 ANNA DZIEWIT-MELLER **43** SZYMON HOŁOWNIA **56** WOJCIECH BONOWICZ **109** PAWEŁ BRAVO **114** STANISŁAW MANCEWICZ **114** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: PIOTR MUCHARSKI
Redaktor prowadzący: PIOTR MUCHARSKI

53 Lepiej im być nie może MAREK RABIJ: *Obozy Rohingów w Bangladeszu opuszczają kolejne organizacje humanitarne*

76 Tygodnik Czytelników

■ ■ NAUKA

84 Wiatr niesie samogłoski SZYMON DROBNIAK, TOMASZ KOWALCZYK: *Nie tylko my zmieniamy przyrodę – ona sama nie pozostaje nam dłużna*

■ ■ KULTURA

88 Dożynki ministra Glińskiego PIOTR KOSIEWSKI

93 Zagrać starego zrzędę BARTOSZ HLEBOWICZ: *Wes Studi to pierwszy indiański aktor, który otrzymał honorowego Oscara*

96 Co skrywa maska? JAKUB MAJMUREK: *Serial „Strażnicy” ma się do produkcji o superbohaterach mniej więcej tak jak antywestern do westernu*

98 Hydra w panamie ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Pralnia” Stevena Soderbergha*

108 Między światami LEKTOR *o książce Margaret Atwood „Kamienne posłanie”*

■ ■ FESTIWAL CONRADA

100 Postacie na wolności ROZMOWA Z OLGĄ TOKARCZUK

105 Ćwiczenia Conradowskie GRZEGORZ JANKOWICZ

■ ■ ZMYSŁY

110 Sen założycielski MAREK BIEŃCZYK: *Dla Kartezjusza sen nie jest odlotowym wybrykiem, gdyż śni go ten sam wciąż umysł*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata: Kazachstan

Pół roku po ustąpieniu z tronu Nursułtan Nazarbajew, założyciel państwa, wciąż sprawuje niepodzielną władzę. Jego następca w praktyce nie może zrobić nic – **WOJCIECH JAGIELSKI** *wyjaśnia, kto naprawdę rządzi w Kazachstanie* **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

Na co choruje ochrona zdrowia

Że jest chora, to wiadomo. Ale co właściwie jej dolega? I jak to leczyć? – *polską ochronę zdrowia diagnozuje* **MACIEJ MÜLLER** *w kolejnym odcinku Podkastu Powszechnego. Weź, słuchaj!* **powszech.net/ochrona-zdrowia**

/TygodnikPowszechny ■ /Tygodnik ■ /Tygodnik ■ YouTube /TygodnikPowszechny

HENRY NICHOLLS / REUTERS / FORUM

TRZECIA RZECZYWISTOŚĆ

Za miesiąc Wielką Brytanię czekają najważniejsze wybory od dekad. Ale brexit nie jest ich jedynym tematem. Dlaczego? Bo wielu uznaje go już za powód do wstydu.

MARCIN ŻYŁA Z LONDYNU

Zwolennicy i przeciwnicy brexitu przed gmachem brytyjskiego parlamentu, Londyn, 19 października 2019 r.

Maisoon Rehani ma dość. Zanim się spotka, wyśle link do audycji. Nim się pożegna, pokaże kilka memów. – Słucham komików w Radio 4, wchodzę na satyryczną stronę „The Daily Mash", umawiam się z przyjaciółmi – wylicza zapytana o to, jak sobie radzi z przedłużającym się brexitem. Dodaje: – Robi tak wielu z nas.

Urodzona w Iraku Rehani osiadła w Anglii na początku lat 90. XX w. W centrum Londynu pracuje dla organizacji promującej brytyjską sztukę. Dobrze jej tu. Mówi, że miasto jest bardziej tolerancyjne niż kiedyś; że już się nie zdarza, by ktoś nie wiedział, jak wymówić jej imię. A jednak się żali: – Ale gdy wracasz do domu i włączasz telewizję, przenosisz się do innego świata.

Ten „inny świat" zobaczyła przed miesiącem, oglądając transmisję z Izby Gmin, gdzie posłowie oskarżali się nawzajem o zdradę i z lekceważeniem przysypiali w fotelach. – Dla nas, Brytyjczyków, to wszystko jest rodzajem upokorzenia. W pracy przestaliśmy rozmawiać o brexicie. Stał się powodem do wstydu – mówi Rehani. I choć od czterech lat wszystko na Wyspach kręci się wokół pytań,

czy i jak opuścić Unię, to osób takich jak ona – jednocześnie zaangażowanych i pełnych zawodu, przejętych i zrezygnowanych – ostatnio przybywa. Już nie tylko wśród w większości prounijnych londyńczyków brexit stał się zbiorowym stanem umysłu, którego ludzie są jakby coraz mniej świadomi.

Wyczuli to politycy, którzy w minioną środę zaczęli kampanię przed przyspieszonymi wyborami, rozpisanymi na 12 grudnia. Trzecimi w ciągu ostatnich czterech lat – mogą to być najważniejsze wybory od II wojny światowej. Premier Boris Johnson (Partia Konserwatywna, obecna średnia w sondażach: 39 proc.) liczy, że układ sił w przyszłym parlamencie pozwoli opuścić Unię do końca stycznia; na taki termin zgodziła się Bruksela. Ale kampanię zaczął od obietnicy szybkiego dofinansowania publicznej opieki zdrowotnej, z której zapaścią od lat nie może się uporać żadna władza. Z kolei Jeremy Corbyn, lider Partii Pracy (w sondażach: 25 proc.), chce w sprawie brexitu drugiego referendum – ale nawet członków swego „gabinetu cieni" poinstruował, by zanadto nie zanudzali tym wyborców. „Debata jest zakończona, partia podjęła decyzję" – mówił „Guardianowi".

Nigel Farage, szef skrajnie eurosceptycznej Brexit Party (10 proc. poparcia) i jedna z twarzy antyunijnej propagandy przed referendum w 2016 r., w ogóle nie startuje w wyborach. Prócz liberalnych demokratów, który w ciągu roku podwoili swą popularność (do 17 proc.) dzięki hasłu anulowania brexitu, kandydaci do Izby Gmin będą akcentować tematy społeczne (prócz zdrowia także reformę polityki mieszkaniowej) i ekonomiczne – tym bardziej że między konserwatystami a laburzystami jest wyraźny spór o interwencjonizm w gospodarce. Walka o głosy będzie najbardziej zacięta w okręgach, gdzie żadna z dwóch głównych partii nie ma wyraźnej przewagi, lecz i tam tematem nie będzie tylko brexit (Facebook zdjął właśnie ze swych stron rządową kampanię na temat inwestycji w ćwierćmilionowych miastach środkowej Anglii, uznając ją za przedwyborczą propagandę).

– Może to dobrze, że będzie nowy parlament, może coś się wreszcie ruszy? – zastanawia się Maisoon Rehani. – Jednak kraj jest tak podzielony, że nie zmieni tego żaden wynik. Nawet gdyby zdarzył się cud i po wyborach rozpisano drugie referendum.

Ale do tego czasu, do ostatecznego rozstrzygnięcia brexitu, jej i wielu Brytyjczykom ulgę wciąż będzie przynosić „trzecia rzeczywistość". Ani nie kompulsywne śledzenie wiadomości, ani nie ostentacyjne odsunięcie się od polityki – tylko ironia i dystans.

– Wielu z nas żyje udając, że brexitu nie było i nie będzie. Tak jest łatwiej – uśmiecha się Rehani. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

JAROSŁAW MROŹNY
Złotą polską jesień zakończyło nadejście frontu polarnego o wdzięcznym imieniu Jarosław. Feralny układ baryczny przyniósł ochłodzenie, opady deszczu, a miejscami także śniegu.

DONALD OSTROŻNY
W polityce też mamy do czynienia z rozlicznymi ochłodzeniami. Donald Tusk np. zlecił jednej z firm badawczych przeprowadzenie sondażu, aby sprawdzić, jakie szanse miałby w wyborach prezydenckich w 2020 r., a po zapoznaniu się z wynikami ostygł w zapale.

ADAM STASKIEWICZ / EAST NEWS

MARIAN INNY
W swoim zapale popierania szefa NIK ostygł wyraźnie PiS i jego sojusznicy. „Coraz częściej zastanawiam się, kim jest Marian Banaś; na pewno jest innym człowiekiem, niż myślałem" – powiedział jak zwykle zafrasowany wicepremier Jarosław Gowin w TVN24.

ARTUR JEDYNY
Innym człowiekiem okazał się także burmistrz warszawskiej dzielnicy Włochy, zatrzymany na gorącym uczynku przez CBA po przyjęciu 200 tys. zł łapówki od jednego ze stołecznych deweloperów. Kolejnym – były już poseł PiS Artur Zawisza, który potrącił rowerzystkę, jadąc samochodem bez prawa jazdy (stracił je w 2016 r. za prowadzenie pod wpływem alkoholu), i nie do końca jasno tłumaczył, że działał w stanie wyższej konieczności jako jedyny żywiciel rodziny.

ZNICZ PONURY
1016 nietrzeźwych kierowców zatrzymała policja w trakcie tegorocznej akcji „Znicz". Żartobliwego komentarza nie będzie – na przełomie października i listopada w wypadkach na polskich drogach zginęło 21 osób, a ponad 200 zostało rannych.

Schetyna walczy o życie

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Lidera PO nie interesuje to, kto będzie kandydatem jego partii na prezydenta. Nie interesuje go nawet to, kto będzie prezydentem. Walczy wyłącznie o zachowanie stanowiska. Kolejna porażka wyborcza doprowadziła bowiem do aktywizacji zwolenników jego usunięcia z posady. Ani Donald Tusk, ani Ewa Kopacz nie przegrali trzech wyborów z rzędu.

Formalnie kadencja Schetyny kończy się w styczniu, ale jego przeciwnicy chcieliby go zgilotynować jak najszybciej. Najbliżej decyzji o rzuceniu rękawicy przewodniczącemu jest wiceszef PO Borys Budka, który już cztery lata temu kandydował na szefa partii, ale dał się Schetynie przekupić posadą zastępcy. Obecny przewodniczący jednak tanio skóry nie sprzeda. Wymyślił plan obrony – prawybory prezydenckie. Chce zająć partię prezydenckim konkursem piękności, by odwrócić uwagę od siebie. To pozwoliłoby opóźnić wewnętrzne wybory, a może nawet ocalić skórę, jeśli kandydat PO wypadnie przyzwoicie – to znaczy osiągnie dobry rezultat w drugiej turze.

Przeciwnicy Schetyny doskonale odczytują tę grę. W minionym tygodniu szef PO podjął próbę przeforsowania prawyborów podczas posiedzenia zarządu partii – i nie udało mu się to. Buntownicy zażądali jak najszybszego wyznaczenia kandydata bez prawyborów, bo chcą uniemożliwić przewodniczącemu ucieczkę do przodu.

Widać wyraźnie, że wybór kandydata na prezydenta stał się pochodną rozgrywki o władzę w Platformie. Dlatego same prezydenckie personalia są mniej ważne. Większość kluczowych polityków w partii uważa, że Donald Tusk nie wystartuje. W tej sytuacji Platforma praktycznie nie ma nazwisk rezerwowych. Prezydent stolicy Rafał Trzaskowski nie chce startować. Zostaje więc Małgorzata Kidawa-Błońska. Czy ma szanse w starciu z Andrzejem Dudą, czy nie – to bez znaczenia. W partii tłumaczą: dużo w nią zainwestowaliśmy w kampanii sejmowej, no i nie mamy nikogo innego. Inna rzecz, że Kidawa-Błońska czuje się po wyborach sejmowych tak wyraźnie namaszczona, iż nie chce słyszeć o prawyborach. Uważa, że kandydowanie na prezydenta jej się po prostu należy.

Jak się skończy ta gra o Platformę z wyborami prezydenckimi w tle? Ani walczący o przetrwanie Schetyna, ani dążący do jego usunięcia buntownicy nie mają wyraźnej większości we władzach partii. Mogą się więc albo dogadać, albo wziąć za łby. ©

Autor jest dziennikarzem portalu Onet.pl, stale współpracuje z „Tygodnikiem".

Trójka bez Świetlika

TRÓJKĘ TAKĄ, JAKĄ ZNAMY, wymyślił pod koniec lat 60. Jan Mietkowski. Był kreatywny, kochał radio, szanował ludzi i pozwalał się im rozwijać. Dzięki temu rodziły się tam gwiazdy i rosło grono zakochanych słuchaczy. Nawet za ciężkiej komuny w Trójce panowała względna swoboda, do słuchaczy mówiło się innym językiem i można im było zagrać muzykę, której nigdzie indziej wysłuchać nie mogli. Zapytałem kilka lat temu Ewę Ziegler, która kierowała stacją w latach 70., na czym polegał ten fenomen. „Moją największą zasługą było to, że udało mi się nie zepsuć tego, co stworzył Mietkowski" – odpowiedziała.

MATERIAŁY PRASOWE

Tego, niestety, nie można powiedzieć o Wiktorze Świetliku, który właśnie ogłosił, że rezygnuje z funkcji dyrektora. Gigantyczne spadki słuchalności Trójki zaczęły się, gdy radio przejęła ekipa PiS, ale na dno sprowadził ją dopiero Świetlik, od którego w ciągu dwóch lat odeszły radiowe osobowości: Artur Andrus, Robert Kantereit, Artur Orzech, Marcin Zaborski, Michał Nogaś. To Świetlik doprowadził do tego, że wyniki słuchalności są najgorsze od 17 lat.

Nieprzypadkowo Wiktor Świetlik był pierwszym dyrektorem Trójki, który nie miał radiowego doświadczenia. Tym, którzy powoływali go na stanowisko, nie o doświadczenie przecież chodziło ani o genialne pomysły na radio. Świetlik miał pilnować interesów politycznych władzy. I świetnie się z tej roli wywiązał. Dlatego wielkie głosy zastępowane są w Trójce przez nijakie, ale wierne władzy. A że radio słabo nadaje się na propagandową machinę i źle znosi przydeptywanie przez politruków, stąd ten upadek.

Szkoda Trójeczki, szkoda jej słuchaczy, ale obawiam się, że po Świetliku ciężko będzie się podnieść. © CEZARY ŁAZAREWICZ

Polki nie chcą rodzić za pieniądze

GŁÓWNYM CELEM UCHWALONEJ PRZEZ PIS W 2016 R. ustawy „Za życiem" miało być zmniejszenie liczby legalnych aborcji. Nie udało się: w ubiegłym roku wykonano 1076 zabiegów (więcej niż rok wcześniej).

Niedawno na jednym z forów matka ciężko niepełnosprawnego dziecka napisała, że nie świętuje pierwszych urodzin córki. Z czego ma się cieszyć? Że ma dziecko leżące, bez kontaktu? Wymagające ciągłej rehabilitacji i wizyt u specjalistów, na które jej nie stać? „Gdybym mogła wybierać, wolałabym, (...) żeby umarła. Bo to nie jest kraj dla ciężko chorych ludzi" – pisała. Opisywała też swoje perypetie z ustawą „Za życiem", z rehabilitacją córki i opieką nad nią. Pomoc państwa jest znikoma, jeśli nie żadna.

„Za życiem" okrzyknięto „trumienkowym": kobiety decydujące się na urodzenie dziecka z wadami letalnymi (które umrze po porodzie) bądź z niepełnosprawnością otrzymują jednorazowy zasiłek w wysokości 4 tys. zł. Inne zapisy (np. o rehabilitacji czy ułatwionym dostępie do specjalistów) są martwe. Niektóre ośrodki zajmujące się rehabilitacją dzieci w ramach ustawy poinformowały, że z powodu braku funduszy zajęcia nie będą się odbywać.

Znam wiele matek niepełnosprawnych dzieci. Żadna nie urodziła pod wpływem ustawy. Decydowały względy moralne (prawo do naturalnej śmierci) albo choroba dziecka wychodziła na jaw dopiero po porodzie. Kobiety, które dowiadują się, że płód obciążony jest wadą genetyczną, w większości decydują się na zabieg, ale najczęściej za granicą. W Polsce, w dużym mieście, w państwowym szpitalu słyszą od lekarza-genetyka: „Jeśli chce pani usunąć, radzę wyjechać, dla własnego komfortu". Więc żadne statystyki nie są tu wiarygodne – zabiegów jest o wiele więcej.

JUSTYNA ROJEK / EAST NEWS

Czarny Piątek, Warszawa, marzec 2018 r.

Każda kobieta nosząca w swoim ciele chore dziecko stoi przed tragicznym wyborem. Ustawa „Za życiem" ani żadna inna ustawa tego nie rozwiąże. Potrzebne jest systemowe wsparcie państwa. Ale tego nie wolno łączyć z problemem aborcji. © MAŁGORZATA NOCUŃ

Kościelny mobbing w Bełchatowie

KS. JACEK PRUSAK SJ

Sprawa 13-letniego chłopca „zatrzymanego" przez księży jednej z bełchatowskich parafii po tym, jak w trakcie mszy wyjął z ust i schował do kieszeni konsekrowany opłatek, i przetrzymywanego w „areszcie" na terenie parafii do czasu przybycia policji wywołała wiele emocji. Jedni bardziej bulwersują się postawą księży, inni zachowaniem policji, są i tacy, którzy uważają, że niczego innego nie można było zrobić. Czy na pewno?

Nie będę się wypowiadał w imieniu policji, choć uważam, że interweniowała bez powodu i przyczyniła się do całego zamieszania. Co jednak z księżmi? Nie dziwi mnie, że reagowali wobec możliwości dokonania świętokradztwa. Wygląda jednak na to, że nie była to rozmowa duszpasterska o możliwości popełnienia grzechu, tylko przesłuchanie pod pretekstem dokonania przestępstwa. A ponieważ księża nie są uprawnieni do prowadzenia przesłuchań w sprawie przestępstw cywilnych, dlatego ich zachowanie miało znamiona mobbingu – zwłaszcza że ich ofiarą był niepełnoletni. Wezwanie policji miało wzbudzić u chłopca lęk i uległość, bo gdy policja przyjechała, żadnych oskarżeń nie wniesiono.

Nie wiem, czy chłopak był świadomy tego, że popełnia ciężki grzech, czy nie, ale wszystko wskazuje na to, że nie miał świadomości, iż jego zachowanie może być karane cywilnie. „Sprawa bełchatowska" pokazała brak kościelnych procedur w przypadku takich sytuacji i ujawniła, jak problematyczne bywa powoływanie się na obrazę uczuć religijnych. Pokazała również, że księżom brak wiedzy o interwencji kryzysowej w przypadku osób niepełnoletnich, choć nie grzeszą brakiem wiedzy o kontaktach z policją. ©℗

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

STACH ANTKOWIAK / REPORTER

MNIEJ POWOŁAŃ

Do seminariów diecezjalnych i zakonnych wstąpiło w tym roku 498 osób, o 122 mniej niż w roku ubiegłym – poinformował sekretariat Konferencji Rektorów Wyższych Seminariów Duchownych. Na wszystkich latach kształcenia rok akademicki rozpoczęło 2853 alumnów – to około 60-procentowy spadek powołań w porównaniu z latami 90. XX wieku. Częściowo sytuację tłumaczy niż demograficzny.

UMORZONE POSTĘPOWANIE

Sąd Okręgowy w Warszawie umorzył postępowanie w sprawie tzw. prowokacji na ul. Chłodnej w 1983 r. w Warszawie – do mieszkania ks. Jerzego Popiełuszki SB podrzuciła wówczas obciążające go materiały. Zdaniem sądu czyny popełnione przez byłych funkcjonariuszy SB „nie stanowią zbrodni przeciwko ludzkości". IPN wniósł akt oskarżenia właśnie z takim uzasadnieniem (zbrodnie przeciwko ludzkości nie ulegają przedawnieniu).

NIEŚMIAŁY POSTULAT

Podczas zorganizowanej na KUL konferencji „Rosarium Misericordiae" pojawił się formułowany ostrożnie postulat wprowadzenia nowych tajemnic różańcowych. „Stawiamy sobie dzisiaj, jak przystało na sesję teologiczną, pytanie, czy dołączyć i myśleć o uzasadnieniu, przekonywać siebie i być może władze kościelne, by modlitwa różańcowa była poszerzona o Tajemnice Miłosierdzia?" – mówił ks. prof. Kazimierz Pek, kierownik Katedry Pneumatologii, Eklezjologii i Mariologii KUL.

Arcybiskup Głódź do dymisji

ARTUR SPORNIAK

Według Kodeksu Prawa Kanonicznego biskup powinien odznaczać się dobrymi obyczajami, pasterską mądrością, roztropnością, ludzkimi cnotami oraz cieszyć się dobrą opinią. Ponadto „ma obowiązek dawać przykład świętości poprzez miłość, pokorę i prostotę życia".

Co, jeśli biskup nie wypełnia tych wymogów? Jeśli, jak w przypadku abp. Sławoja Leszka Głódzia, księża zarzucają mu mobbing, wulgarne zachowanie, wymuszanie pieniędzy? Jeśli jest oskarżany o tuszowanie przypadków pedofilii, publicznie popiera jedną partię polityczną, ignorując nauczanie Kościoła, i gorszy ludzi życiem w luksusie?

Instytucja Kościoła jest zdumiewająco bezradna w takiej sytuacji. Kodeks jedynie stwierdza: „Usilnie prosi się biskupa diecezjalnego, który z powodu choroby lub innej poważnej przyczyny nie może w sposób właściwy wypełniać swojego urzędu, by przedłożył rezygnację z urzędu". Z kolei papież, co prawda, w każdej chwili może odwołać każdego biskupa, ale w praktyce czyni to tylko wtedy, gdy na biskupie ciąży wyrok świecki lub kanoniczny. Czy publiczne wzywanie do dymisji ma zatem sens?

Ma. Jezus pokazał, że w chrześcijaństwie słowo, które dopomina się o prawdę, nie jest bezbronne. Tylko ono jest w stanie dotknąć sumienia. Staje się także świadectwem. Dlatego zewsząd słychać głosy poruszonych katolików, wzywających abp. Sławoja Leszka Głódzia do podania się do dymisji. ©℗

FRANCO ORIGLIA / GETTY IMAGES

Bodyguard – odejście na medal

POLUBILI SIĘ JUŻ WTEDY, GDY SIĘ POZNALI – w pierwszy poranek po konklawe. Papież wybierał się do bazyliki Santa Maria Maggiore. Odmówił jazdy czarnym pancernym mercedesem, czekającym pod Domem św. Marty, i wsiadł do skromnego volkswagena komendanta żandarmerii. Domenico Giani został zaufanym ochroniarzem Franciszka (obaj na zdjęciu) i jedną z nielicznych osób (a z czasem wręcz jedyną), które miały do niego nieograniczony dostęp. Wszyscy wiedzieli, że wiele spraw czy prywatnych spotkań załatwi szybciej niż którykolwiek kardynał.

Ma 57 lat, pochodzi z Arezzo. Był policjantem włoskiej Guardia di Finanza, oficerem tajnych służb. W 1999 r. rozpoczął pracę w Watykanie, w 2006 r. objął dowództwo nad setką żandarmów, z których zrobił profesjonalną, świetnie wyszkoloną jednostkę, przyjętą do Interpolu, współpracującą z FBI. Sam dwukrotnie obronił papieża Benedykta przed atakiem szalonej kobiety. Jego służby specjalizują się też w walce z terroryzmem, przestępczością cyfrową czy praniem brudnych pieniędzy.

Miał w kurii coraz więcej wrogów. Oskarżano go o zakładanie podsłuchów i inwigilację. Miesiąc temu ktoś udostępnił prasie rozkaz Gianiego o wszczęciu śledztwa przeciwko ważnym urzędnikom Sekretariatu Stanu. Wyciekły zdjęcia i dane osobowe pięciu podejrzanych. Komendant podał się do dymisji, papież ją przyjął.

W ub. tygodniu Franciszek mianował Domenica Gianiego Kawalerem Wielkiego Krzyża Orderu Piusa IX. To najwyższe wyróżnienie, jakie Watykan nadaje osobom świeckim.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Śmierć kalifa nic nie zmieni

WOJCIECH JAGIELSKI

Abu Bakr al-Baghdadi, „Bagdadczyk", samozwańczy kalif tzw. Państwa Islamskiego, zginął w ostatnią sobotę października osaczony przez ścigających go Amerykanów. Dzięki informacjom wywiadu irackiego oraz syryjskich Kurdów, ich głównych do niedawna sprzymierzeńców w wojnie z dżihadystami, jankesi wytropili w końcu kryjówkę kalifa, za którego głowę obiecywali 25 mln dolarów nagrody. Dobiegający pięćdziesiątki „Bagdadczyk", który ogłosił się kalifem w 2014 r., ukrywał się w syryjskiej wiosce Brisza, w prowincji Idlib, jedynej, na którą nie rozciąga się władza prezydenta Baszara al-Asada. Położona przy granicy z Turcją, kontrolowana jest przez wszelkiej maści przemytników oraz dżihadystów z pokonanego na początku roku kalifatu, a także wrogiej mu al-Kaidy.

Osaczony przez przybyłych śmigłowcami amerykańskich komandosów kalif próbował uciekać podziemnym tunelem. Zapędzony w ślepy zaułek, bez wyjścia i ścigany przez psy, wybrał samobójczą śmierć, odpalając ładunki wybuchowe, wszyte w kamizelkę, którą nosił. Wraz z nim zginęła trójka jego dzieci, które ze sobą zabrał.

Pięć dni później emirowie Państwa Islamskiego potwierdzili, że kalif zginął męczeńską śmiercią, oraz ogłosili, że na jego następcę wybrany został Abu Ibrahim al-Haszimi al-Kurejszi. Nic o nim nie wiadomo. Jego imię jest jedynie przydomkiem wojennym, a nazwisko wskazuje na pokrewieństwo z plemieniem i rodem proroka Mahometa.

Śmierć kalifa, będąca bez wątpienia sukcesem ścigających go Amerykanów, w żaden sposób nie wpłynie na sytuację Państwa Islamskiego. W przeciwieństwie do założyciela i przywódcy al-Kaidy Osamy ibn Ladena, „Bagdadczyk" nigdy nie stał się sztandarem dżihadu, a po wojennej klęsce kalifatu jego armia poszła w rozsypkę. Amerykanie szacują, że w Iraku i Syrii wciąż ukrywa się kilkanaście tysięcy partyzantów kalifatu, a drugie tyle przebywa w niewoli u syryjskich Kurdów. ©

Argentyna znów w lewo

WYNIK WYBORÓW prezydenckich w Argentynie jest jednoznaczny: to koniec neoliberalnych rządów. Reprezentant centrolewicy Alberto Fernández wygrał już w pierwszej turze. Oznacza to powrót peronistów, czyli (w skrócie) zwolenników „trzeciej drogi" i populizmu, którzy rządzą z przerwami od lat 40. XX w.

Ustępujący prezydent Mauricio Macri zostawia gospodarkę w ruinie. Gdy doszedł do władzy w 2015 r., obiecywał zmniejszenie inflacji i bezrobocia, ale nic z tego nie zostało spełnione. Inflacja wynosi prawie 60 proc. (to niechlubne trzecie miejsce w świecie, po Wenezueli i Zimbabwe), bezrobocie sięga 10 proc. Oliwy do ognia w zaostrzającym się konflikcie społeczno-politycznym dolało podpisanie w 2018 r. umowy z Międzynarodowym Funduszem Walutowym na historycznie wysoką sumę 57 mld dolarów, co dodatkowo zwiększyło dług publiczny.

Poprzednicy Macriego nie mieli jednak łatwiej. Peronistkę Cristinę Kirchner, rządzącą w latach 2007-15, krytykowano za zbyt szeroko zakrojone polityki socjalne i ogromną korupcję z byłą prezydent w roli głównej. Mimo to, wybierając Fernándeza, suweren zdecydował się dać peronistom jeszcze jedną szansę, a i sama Kirchner wraca do łask: ma objąć funkcję wiceprezydenta. Choć więc nowy prezydent może budzić sprzeczne emocje, to – parafrazując ulubioną piosenkę peronistów – po Macrim Argentyna płakać nie będzie.

RICARDO CEPPI / GETTY IMAGES

© DOMINIKA MATEJKO

Ukraińskie groby na krakowskich Rakowicach

TO KOLEJNY ELEMENT w – i tak złożonej – polsko-ukraińskiej dyskusji o XX-wiecznych mogiłach, ukraińskich w Polsce i polskich na Ukrainie.

W ostatnim numerze tygodnika „Nasze Słowo" (wydawanego przez Związek Ukraińców w Polsce) ukazał się tekst historyka Eugeniusza Misiły o „odkryciu mogił więźniów Jaworzna" na krakowskim cmentarzu Rakowickim. Sądząc po reakcjach w sieci, wywołał poruszenie w społeczności ukraińskiej w Polsce; odnotowano go też na Ukrainie. Chodzi o 49 Ukraińców z obozu w Jaworznie (trafiali tam podejrzani o członkostwo w UPA, ujęci w akcji „Wisła"), straconych w 1947 r.; kolejnych kilku zmarło w areszcie. Komunistyczny sąd w Krakowie skazał ich na śmierć za działalność w UPA. Ciała chowano anonimowo, jak członków polskiego podziemia.

W komentarzu do tej publikacji redakcja „Naszego Słowa" podnosi kwestię ekshumacji. Czytamy też: „Gdy temat pochówku polskich ofiar na Wołyniu jest omawiany na szczeblu międzynarodowym, jest wyjątkowa okazja, by postawić na porządku dziennym kwestię godnego upamiętnienia także ofiar akcji »Wisła«". To konkretne oczekiwanie – i wskazanie na kontekst: decyzję nowych władz w Kijowie, by zaprzestać blokady polskich ekshumacji.

Co teraz? Być może sprawa ukraińskich grobów na Rakowicach to okazja, by wszystkie strony wykazały dobrą wolę. Jak? Najpierw warto sięgnąć do polsko-ukraińskiej umowy z 1994 r. o „ochronie miejsc pamięci i spoczynku ofiar wojny i represji komunistycznych". Określa ona zasady, co do których chyba wszyscy nadal się zgadzają. Do ustalenia są szczegóły – i tu dyskusja zapewne nie będzie łatwa, skoro strona ukraińska w ludziach pochowanych na Rakowicach będzie widzieć ofiary komunistycznych represji, a polska członków zbrodniczej armii. Dyskusji pewnie nie ułatwi i to, że nawet jeśli zachowały się ówczesne akta tych ludzi, trudno dziś ocenić (znając metody śledcze), czy ktoś z nich był winny zbrodni (i czy zasłużył na śmierć).

Umowa z 1994 r. nie regulowała kwestii kluczowej, nie tylko w kontekście Rakowic: jak konkretnie mogą wyglądać stawiane dziś mogiły, w tym ponowne pochówki – ukraińskie w Polsce i polskie na Ukrainie – od strony ich przesłania (tj. treści na pomnikach nagrobnych), tak aby były akceptowalne dla drugiej strony. Udało się to w relacjach z Niemcami: w oparciu o umowę polsko-niemiecką swoje cmentarze mają dziś w Polsce żołnierze niemieccy (a wśród nich członkowie organizacji uznanych za zbrodnicze).

To zatem rzecz do negocjacji.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

Więcej na: powszech.net/ukraincy-rakowice

KULTURA W SKRÓCIE

ODESZŁA
W wieku 88 lat zmarła Izabella Galicka, historyczka sztuki, alpinistka, odkrywczyni „polskiego" El Greca. „Ekstaza świętego Franciszka" przez 40 lat wisiała na plebanii w Kosowie Lackim. Galicka zauważyła obraz przypadkiem, podczas inwentaryzacji. Początkowo nikt nie wierzył w jego autentyczność, ale w trakcie prac konserwatorskich odnaleziono podpis artysty. Do dziś nie wiadomo, jak obraz trafił do Polski.

BALANSUJE
Wiadomo natomiast, dokąd pojechały rzeźby Jerzego Kędziory. Przez najbliższe pół roku będą je oglądać w jednym z miejskich parków mieszkańcy Columbus w stanie Ohio. Kędziora jest coraz bardziej rozpoznawalny na świecie, a jego cykl „Balansujące" prezentowany był m.in. w Miami, Abu Dhabi i Dubaju. Prace artysty można także zobaczyć, spacerując po krakowskiej kładce Bernatka.

PRZYSPIESZA
Na początku roku rzeźby Kędziory prezentowane były także w Nowym Jorku, gdzie mieszka i pracuje Agnieszka Kurant. Artystka została właśnie laureatką Frontier Art Prize, przyznawanej najbardziej nowatorskim artystom współczesnym. Projekty Kurant wystawiało m.in. Tate Modern, Muzeum Guggenheima i Palais de Tokyo, a w 2017 r. artystka odbyła rezydencję artystyczną w Massachusetts Institute of Technology.

LICZBA TYGODNIA

6,8

mln zł zapłacono na aukcji za instalację „Caminando" Magdaleny Abakanowicz. Po doliczeniu kosztów aukcyjnych i podatku kwota wzrośnie do ponad 8 mln, co stanowi rekord na polskim rynku sztuki.

ANSELMO D'AFFONSECA / AFP / EAST NEWS

GŁOŚNY ZALOTNIK. Na różne sposoby samce ptaków próbują uwieść partnerki: czasem chwalą się skomplikowanym układem tanecznym, czasem oszałamiającym upierzeniem albo bogatym repertuarem zapamiętanych piosenek. U dzwonnika białego, tropikalnego ptaka z Ameryki Południowej, dobór płciowy wynalazł jeszcze inny klucz do serca samic: głośne pieśni. Jak poinformowali w „Current Biology" Jeffrey Podos i Mario Cohn-Haft, koncerty wykonywane przez dzwonniki podczas zalotów osiągają głośność 125 dB – czyli są bardziej hałaśliwe niż młot pneumatyczny czy koncerty rockowe. Te donośne pieśni nie są wykonywane po to, by zwabić samice znajdujące się gdzieś w oddali – samce najgłośniej śpiewają tuż przy głowach samic, dla których randka może się skończyć uszkodzeniem słuchu. ©℗ ŁK

Na Zamek Ujazdowski bez konkursu

PIOTR KOSIEWSKI

Minister Piotr Gliński ogłosił, że bez konkursu powoła Piotra Bernatowicza na nowego dyrektora Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie. Nominowany był redaktorem naczelnym „Arteonu", dyrektorem poznańskiej galerii Arsenał, której nadał ciekawy prawicowy charakter, a ostatnio prezesem publicznego Radia Poznań. Nic jednak nie wiadomo o programie, jaki chce realizować w CSW. Czy będzie tam miejsce dla dotychczasowych jego pracowników i licznej obecnie publiczności (w 2018 r. 180 tys. osób)? Czy zachowany zostanie jego międzynarodowy wymiar (nominowany nie ma tu żadnych istotnych doświadczeń)? Czy pozostanie instytucją niezależną od rządzących? Radio Poznań pod kierownictwem Bernatowicza silnie utożsamiło się przecież z linią PiS.

Gliński ma prawo do takiego trybu powołania dyrektora. Jednak w przypadku instytucji tak ważnej dla polskiej kultury konkurs powinien się odbyć. Tylko jego przeprowadzenie pozwala na w pełni merytoryczną ocenę kandydatów, a powołanej osobie daje silniejszą niż tylko partyjna legitymizację. Przypadek stołecznego Muzeum Narodowego pokazuje, do jakich kompromitacji prowadzi jego pominięcie. ©

Szatańskie korelacje

MORALNY WITALIZM, czyli wiara w nadprzyrodzone siły odpowiedzialne za zło, może być... zdrowa. Takie wnioski przedstawił międzynarodowy zespół badaczy (m.in. Michał Bilewicz z Uniwersytetu Warszawskiego) w artykule opublikowanym w „Proc. R. Soc. B.".

Zanim rozwinęła się nowoczesna medycyna, patogeny stanowiły stałe śmiertelne zagrożenie dla ludzkości. W odpowiedzi na nie ludzie, poza biologicznym systemem odpornościowym, rozwinęli także zestaw praktyk i przekonań sprzyjających (zupełnie nieświadomie) unikaniu zakażeniom. Były one często wzmacniane przez religie, traktujące pewne potrawy czy ryzykowne zachowania jako „nieczyste" i grzeszne.

Autorzy publikacji przeprowadzili kilka analiz statystycznych, które wykazały powiązanie między poziomem występowania na danym terenie patogenów rozmaitych chorób a stopniem akceptacji moralnego witalizmu, za którego wskaźniki uznano m.in. wiarę w istnienie wiedźm, w „złe oko" i diabła. Ponieważ moralny witalizm promuje ostrożność w kontaktach z innymi, „podejrzanymi" ludźmi i wstrzemięźliwość w zachowaniu, sprzyja unikaniu zakażenia patogenami i może być postrzegany w kategoriach adaptacji.

O szerszym kontekście badań z nurtu „ekologii religii" piszą również w dziale Nauka Szymon Drobniak i Tomasz Kowalczyk. ©℗ ŁK

FREE-PHOTOS / PIXABAY

TEMAT TYGODNIKA

MODA NA GENY

Nie ma nic bardziej osobistego niż nasz własny genom. Coraz więcej ludzi ujawnia go firmom oferującym rozmaite testy. Dla wiedzy lub zaspokojenia ciekawości. Oraz rozrywki.

BARTOSZ KABAŁA

Promocja z okazji Dnia Wszystkich Świętych: tylko 59 euro" – zachęcała na swojej stronie internetowej MyHeritage izraelska firma oferująca komercyjne badania genetyczne oraz aplikacje do tworzenia drzew rodowych. Za taką kwotę będziemy mogli „zaskoczyć samych siebie, odkryć swoje pochodzenie genetyczne i odnaleźć nowych krewnych".

Drożej – za 199 dolarów – można wykonać w amerykańskiej firmie 23andMe poszerzone testy, obejmujące także informacje o predyspozycjach do zapadania na rozmaite choroby, a nawet o tym, jak bardzo nasz profil genetyczny sprzyja określonemu stylowi życia.

„Domowe" testy genetyczne zyskały w ostatnich latach sporą popularność. W lutym tego roku pismo MIT „Technology Review" informowało, że 26 mln Amerykanów wykonało w życiu choć jeden komercyjny test genetyczny. To dwa razy więcej niż w roku 2018. Z usług tych firm mogą korzystać również Polacy. Autorzy wyliczeń szacują, że w 2021 r. bazy danych zawierać będą dane o 100 mln osób.

Takie upowszechnienie stało się możliwe dzięki niskiej cenie oraz prostej procedurze badań. W 1990 r. oficjalnie rozpoczęły się prace nad odczytaniem całej sekwencji ludzkiego genomu. Human Genome Project kosztował blisko 3 mld dolarów i zajął kilkanaście lat. Półtora dekady postępu naukowego i technologicznego później sekwencjonowanie DNA kosztuje kilkadziesiąt dolarów i trwa kilka godzin.

Najczęściej oferowana w internecie metoda pobrania materiału genetycznego to tzw. testy *direct-to-customer* (DTC, bezpośrednio od klienta). Na stronie internetowej danej formy zamawiamy zestaw, który zwykle składa się z krótkiej instrukcji i jednorazowego pojemnika na ślinę. Z odesłanej do firmy próbki wyławiane są komórki, a z komórek izoluje się DNA, które zostaje poddane analizie. Wyniki dostajemy pocztą lub na konto w aplikacji internetowej po kilku tygodniach.

Szycie na miarę

Dziś testy genetyczne nie służą już wyłącznie do badań naukowych. Stały się produktem, jak książki i pizza na dowóz. I jak każdy inny produkt – wymagają odpowiedniej reklamy. Jedna z brytyjskich firm z okazji referendum brexitowego posługiwała się hasłem: „Statystyczny Brytyjczyk ma 60 proc. europejskiego DNA. Możemy wyjść z Europy, ale Europa nigdy nie wyjdzie z nas".

Działające na rynku firmy oferują całą gamę testów, którą można sprowadzić do trzech rodzajów badań: medycznych, lifestylowych i genealogicznych. Pierwsze oferują dane na temat genów sprzyjających niektórym chorobom. Drugie informują o tym, do jakiego stylu życia predysponują geny swojego posiadacza (być może masz geny maratończyka, a marnujesz się w pracy za biurkiem?), a trzecie pozwalają na etniczne i geograficzne określenie pochodzenia na podstawie DNA.

↦

NA CZYM POLEGA POLIMORFIZM POJEDYNCZYCH NUKLEOTYDÓW

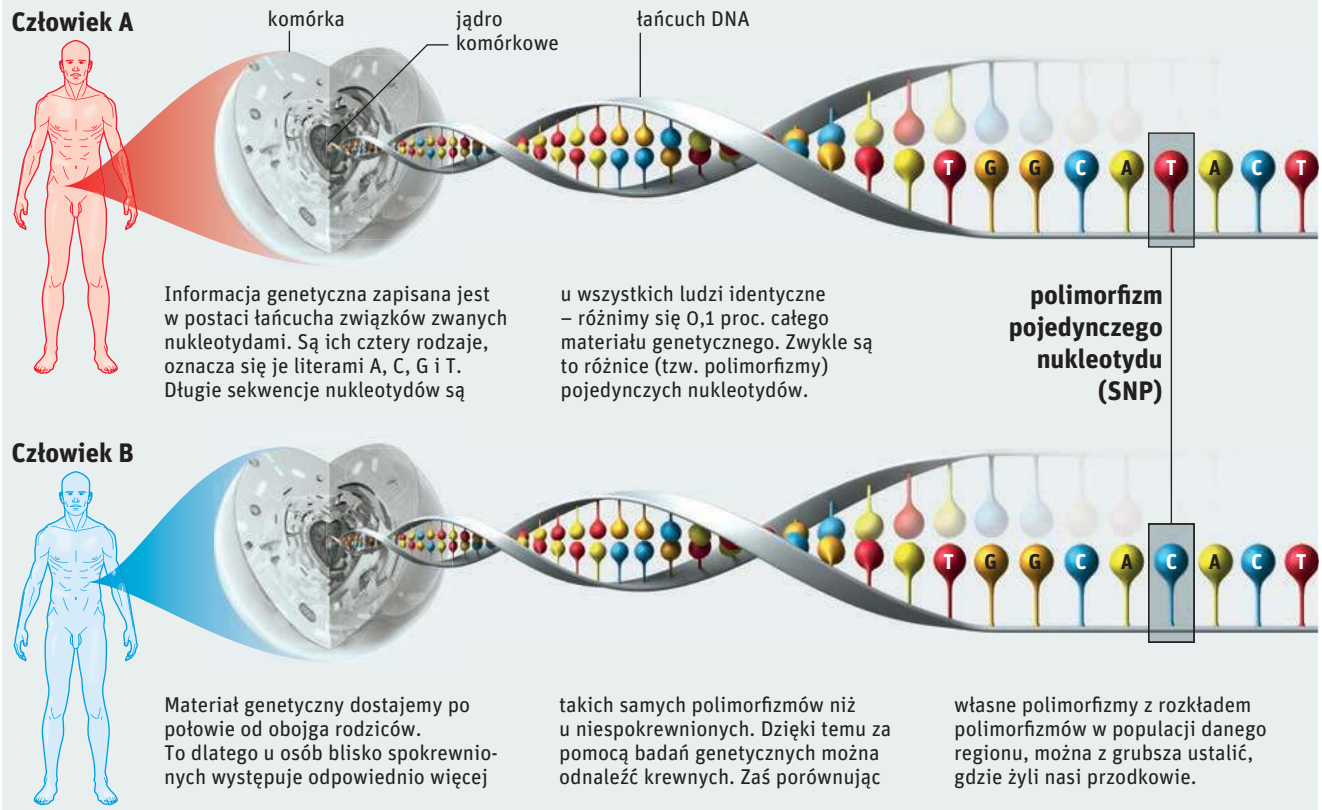

LECH MAZURCZYK

↦ W przypadku tego ostatniego rodzaju badań firmy odwołują się najczęściej do zaspokojenia ciekawości klientów (możesz się nie tylko dowiedzieć, że posiadasz w 80 proc. wschodnioeuropejskie DNA z 15-procentową domieszką skandynawską i 5-procentową brytyjską, ale nawet tego, że twoje DNA zawiera 4 proc. genów neandertalczyków) lub obiecują pomoc w identyfikacji krewnych – o ile oczywiście ich profil genetyczny znajduje się w dostępnej bazie danych.

Badania lifestylowe oraz medyczne – przynajmniej w teorii – mają powiedzieć coś ważnego o funkcjonowaniu naszego organizmu i zagrożeniach, czyhających na nas i nasze dzieci, którym przekazaliśmy lub dopiero przekażemy geny. Jak zapewniają firmy, dzięki testom dowiemy się, czy mamy predyspozycje do cukrzycy typu drugiego, chorób serca, choroby Alzheimera, schizofrenii, depresji, hemochromatozy i wielu innych. Nasze geny powiedzą też o ryzyku zachorowania na nowotwory, w tym raka piersi i jajników, związanego z osławionym genem BRCA.

Nie są to jednak badania zlecone na potrzeby procesu diagnostycznego czy leczniczego. Lekarz nie interpretuje ani nie omawia wyników z pacjentem. Łatwo je więc źle zinterpretować.

Czynnik dziedziczny

Najczęściej wykorzystywaną metodą w tego typu usługach jest badanie polimorfizmów pojedynczych nukleotydów (SNP). Nasz materiał genetyczny można wyobrazić sobie jako ciąg kulek zawieszonych na sznurze o długości dwóch metrów – tyle DNA znajduje się w każdej ludzkiej komórce. Kulki są opisane jedną z czterech liter: A, T, G lub C – to skróty nazw chemicznych zasad azotowych, które kodują informację genetyczną (patrz infografika). Na tych dwóch metrach znajduje się ponad 3 miliardy kulek. Ich kolejność w 99,9 proc. jest identyczna u wszystkich ludzi. Miejsca w DNA, w których bywamy wyjątkowi, stanowią tylko 0,1 proc. materiału genetycznego. To właśnie tutaj pojawiają się polimorfizmy typu SNP – kulka A u Nowaka występuje w punkcie, w którym Kowalski ma kulkę C. Te polimorfizmy odpowiadają za 90 proc. zmienności w całym materiale genetycznym i warunkują rozmaite różnice między ludźmi, w tym różnice w metabolizmie leków i substancji odżywczych, a także występowaniu niektórych chorób. Badając owe różnice, zwykle szuka się konkretnego genu i konkretnego polimorfizmu bez odczytywania całej sekwencji DNA – choć to również oferują niektóre firmy świadczące genetyczne usługi DTC.

O tym, że choroby bywają zapisane w genach, wiadomo nie od dziś. Pewną cezurą, od której pojęcia „dziedziczność", „gen" i „choroba" zaczęły występować coraz częściej wspólnie, było odkrycie angielskiego lekarza Archibalda Garroda. Sir Garrod w 1902 r. opisał noworodka, który kilka godzin po porodzie moczył pieluchę na czarny kolor. Dziecko cierpiało na alkaptonurię. Zainteresowany przypadłością lekarz odkrył wkrótce, że choroba ta jest dziedziczna i odpowiada za nią brak pewnego enzymu.

Garrodowi udało się połączyć enzym z jednostką dziedziczenia, zanim

odkryto, jaka właściwie substancja odpowiada za dziedziczenie, w jaki sposób cechy są w niej zapisane i jak ta substancja jest przekazywana dalej. Lata badań i ogromne fundusze doprowadziły w 1995 r. do odkrycia, pośród wielu innych, genu i mutacji odpowiedzialnych za alkaptonurię.

Jest to przykład tzw. choroby jednogenowej – co oznacza, że konkretny wariant genetyczny (tzw. allel) odpowiada za daną chorobę. Wśród chorób genetycznych wyróżnia się także inne, np. choroby chromosomalne czy mitochondrialne – najczęściej niosące bardzo poważne konsekwencje. Zdarzają się na szczęście rzadko w porównaniu z chorobami wieloczynnikowymi, czyli takimi, których przyczyn upatruje się zarówno w genach, jak i w uwarunkowaniach zewnętrznych. Do tego rodzaju schorzeń zalicza się choroby cywilizacyjne, a także autoimmunologiczne i psychiczne. Firmy oferujące testy DTC badają materiał genetyczny głównie pod kątem tych właśnie chorób.

Jednakże wpływ genów na rozwój chorób wieloczynnikowych bywa różny. Wspomniana cukrzyca typu drugiego wiąże się z co najmniej 150 wariantami genów. Każdy wariant w innym stopniu wpływa na rozwój tej choroby. Część z wariantów posiadają osoby, które nigdy nie zachorują na cukrzycę. Ale może zdarzyć się tak, że osoba genetycznie mniej obciążona na cukrzycę zachoruje. Kluczowy bowiem jest wpływ środowiska, stylu życia, diety i innych czynników, których nauka jeszcze nie odkryła. Choćby otyłość – jeden z głównych czynników ryzyka – zwiększa szansę zachorowania na cukrzycę około 80 razy.

Informacja bezwartościowa

Innym schorzeniem często badanym przez komercyjne laboratoria jest choroba Alzheimera. W latach 90. XX w. zaobserwowano, że pewien wariant genu kodującego apolipoproteinę E, czyli białkowy fragment cząstek przenoszących cholesterol we krwi, pojawia się częściej u pacjentów z chorobą Alzheimera. Istnieje kilka wersji tego białka. Wersja epsilon 2 (e2) nieznacznie zmniejsza ryzyko wystąpienia choroby, wersja e3 nie wpływa na ryzyko, a wersja e4 zwiększa je. Każdy z nas otrzymał od rodziców dwie kopie tego genu. Posiadacz dwóch niekorzystnych wersji e4/e4 (takich osób w populacji ogólnej jest około 2 proc.) jest od trzech do pięciu razy bardziej narażony na zapadnięcie na tę formę demencji.

Co oznacza taka informacja dla odbiorcy wyników? To zależy od kontekstu i wiedzy. Gen APOE4 nie jest jedynym poznanym genem związanym z chorobą Alzheimera. Podobnie jak opisana wcześniej cukrzyca typu drugiego, jest to choroba wieloczynnikowa. Zależy od wielu genów, chorób współwystępujących, stylu życia, wykształcenia i diety. O ostatecznym ryzyku decydują nie tylko predyspozycje genetyczne. Wykazano przecież, że czytanie, gry planszowe i rozbudowane interakcje społeczne opóźniają i zmniejszają ryzyko wystąpienia demencji. Wśród chorych na chorobę Alzheimera osoby posiadające niekorzystny wariant stanowią od 40 do 65 proc. A więc obecność określonego genu nie determinuje pojawienia się choroby, lecz jedynie zwiększa ryzyko.

Craig Venter, jeden z najgłośniejszych naukowców przełomu wieków i twórca przedsiębiorstwa, które swego czasu ścigało się z Human Genome Project, w wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel" z 2010 r. przyznał, że przebadał swój materiał genetyczny na obecność genu APOE4. „Mam nieznacznie podwyższone ryzyko wystąpienia choroby Alzheimera. Ale nie robi to na mnie wrażenia, bo mógłbym mieć dziesiątki innych genów, które temu przeciwdziałają. Nie znam ich, więc ta informacja staje się bezwartościowa" – mówi Venter.

Oczywiście nie wszyscy, którzy zdecydowali się na test DTC i na własną rękę próbują dowiedzieć się prawdy zawartej w genach, podejdą do tego jak Venter. Świadomość posiadania genetycznej predyspozycji do choroby Alzheimera musi być stresująca – i może się odbijać na psychicznej kondycji osoby, która dała sobie zrobić testy, pomimo że firmy od jakiegoś czasu informują o złożoności ludzkiego zdrowia i podkreślają, że trudno przewidzieć rozwój choroby.

Co ciekawe, wpływ, jaki ma na przebadaną osobę wieść o genetycznym ryzyku, także stał się tematem badań.

Wiedza niezdrowa

Z jednej z pierwszych prac dotyczących psychologicznych efektów informacji genetycznych wynikało, że ten wpływ nie jest tak duży, jak podejrzewano wcześniej. Przebadano dorosłe dzieci osób chorych na alzheimera i nie stwierdzono istotnych różnic między osobami, które dowiedziały się o swoim genetycznym obciążeniu, oraz tymi, które tej wiedzy nie miały. Badanych obserwowano pod kątem depresji i zaburzeń lękowych. Okazuje się jednak, że efekty tych informacji mogą być znacznie bardziej subtelne. W 2014 r. opublikowano eksperymentalne badanie, w którym naukowcy zebrali grupę osób genetycznie obciążonych wariantem APOE4. Połowie z tych osób przedstawiono wyniki badań genetycznych, druga połowa nie wiedziała o swoim genotypie. Osoby świadome posiadanych genów znacznie gorzej oceniały swoje zdolności poznawcze i gorzej wypadały w obiektywnych testach pamięci od osób, które nie miały pojęcia o wyniku badania.

Mogłoby się jednak wydawać, że informacja o predyspozycji do chorób, których istotnym czynnikiem rozwoju jest szeroko pojęty styl życia pacjenta, mogłaby korzystnie wpłynąć na jego zachowanie. Metaanaliza opublikowana w „British Medical Journal" pokazuje tymczasem, że testy genetyczne i znajomość swoich obciążeń wcale nie skłaniają pacjentów do prozdrowotnych działań. Osoby z genetyczną predyspozycją do zachorowania na nowotwór płuc nie rzucały palenia papierosów. Badani z predyspozycjami do chorób sercowo-naczyniowych, choroby Alzheimera, cukrzycy typu drugiego, otyłości, rodzinnej hipercholesterolemii i innych schorzeń nie zmienili swojej diety. Podobnie było z aktywnością fizyczną, ochroną skóry przed słońcem i spożyciem alkoholu. Inne badanie wykazało nawet, że otyłe osoby, które dowiedziały się o genetycznym podłożu nadmiernej wagi, były skłonne jeść więcej.

Efekt Angeliny Jolie

Oczywiście wiedza dotycząca własnych genów czasem może wiele zmienić. Prawdopodobnie najbardziej znane w świecie stały się mutacje genu BRCA1 i 2, predysponujące do nowotworów piersi i jajnika. Za sprawą tzw. „efektu Angeliny Jolie" wiele kobiet zdecydowało się przebadać swoje geny. Aktorka w 2013 r. ogłosiła, że w związku z wykryciem u niej mutacji w genie BRCA1 poddała się mastektomii oraz usunięciu jajników, co bezwzględnie zmniejszyło ryzyko zachorowania. Radykalne działanie może zapobiec rozwojowi nowotworu, jednak wiele innych ↦

↦ chorób jest znacznie bardziej nieprzewidywalnych.

Oba geny to tzw. geny supresorowe, które mają za zadanie hamować mnożenie się komórek. Gdy są niesprawne, komórki zaczynają się dzielić w niekontrolowany sposób. U nosicielek mutacji genu BRCA1 ryzyko pojawienia się choroby rośnie nawet do 80 proc. Także i w tym przypadku obecność mutacji nie wiąże się jeszcze z pewnością wystąpienia raka. Co więcej, także wynik negatywny nie oznacza, że można zrezygnować z regularnej profilaktyki, bo genetycznie uwarunkowany rak piersi stanowi tylko 5 proc. wszystkich przypadków.

Skomplikowane podłoże genetyczne, ryzyko, jakie niosą ze sobą poszczególne mutacje i warianty genów, oraz mnogość czynników biorących udział w rozwoju chorób powodują, że testy DTC nie są najlepszą metodą do kontrolowania swojego zdrowia. Ich popularność wynika jednak z naturalnej dla człowieka potrzeby ujrzenia swojej przyszłości. A czasem także poznania swojej przeszłości – jak w przypadku badań swojego pochodzenia.

Biorąc jednak pod uwagę popularność testów lifestylowych, w grę wchodzić mogą znacznie banalniejsze sprawy.

Genetyczny Netflix

Część badań i usług, które oferują firmy – najczęściej w pakietach z poważniejszymi testami dotyczącymi chorób – to czysty marketing i swego rodzaju *infotainment*. Klientom można np. obiecać, że przebada się ich geny pod kątem odpowiedniej diety oraz zalecanego sportu i dziedziny nauki, w których badany osiągnie najlepsze wyniki. Wysyłając swój materiał genetyczny, klient zamawia szczegółowy raport, w którym dieta rozpisana jest w dokładnych procentowych proporcjach, np.: „Twoje geny mówią, że każdego dnia potrzebujesz 750 ml soku jabłkowego bogatego w polifenole". Jak zauważa Kristen Brown, autorka portalu Gizmodo, takie stwierdzenie prawdopodobnie oparte jest tylko na pojedynczej pracy naukowej, z której (po przebadaniu genomów 68 mężczyzn) wynikło, że istnieją geny sprzyjające chudnięciu wtedy, gdy pije się właśnie taki sok.

Testy oparte na luźnej interpretacji wyników pojedynczych badań naukowych mogą być jeszcze bardziej kuriozalne. Na przykład firma Orig3n oferuje genetyczny test na superbohatera, który sprawdzi, czy badany ma nadprzyrodzone zdolności, a także badanie genu PAX3, który podejrzewany jest o warunkowanie monobrwi. Ten sam gen odpowiada za zespół wad rozwojowych Waarburga, choć powoduje go wtedy inna mutacja. Do kompletu mamy muzyczną playlistę na Spotify, którą pewna firma ułoży dla nas na podstawie DNA. Trudno jednak przebić ofertę Vinome – czyli sklepu, który obiecuje dobranie win „pod geny" klienta. Mamy też już genetyczne pomiary poziomu empatii, wrażliwości na kofeinę, genetycznie uwarunkowany rudy kolor włosów albo procentowe podobieństwo do neandertalczyka.

Możliwości jest tak wiele, że powstała nawet platforma, która, jak nazywają ją twórcy, jest „genetycznym sklepem z aplikacjami". Materiał genetyczny wysyła się raz, a potem, w dowolnej chwili można dokupić nowe badanie. Inna firma planuje stworzenie „genetycznego Netfliksa".

Koniec genetycznej prywatności

COLUMBIA UNIVERSITY

KIEDY YANIV ERLICH zorientował się, co właściwie zrobił i jak łatwo mu to przyszło, musiał wyjść z laboratorium i pójść na spacer. Izraelski bioinformatyk i haker udowodnił, że w świecie testów DNA anonimowość to bujda.

Erlich (na zdjęciu), dziś profesor na Uniwersytecie Columbia, w 2013 r. zdołał bez problemu znaleźć imiona, nazwiska, adresy i profile facebookowe 50 mężczyzn, których zanonimizowane kody genetyczne znalazły się w ogólnodostępnej bazie projektu 1000 Genomów. Musiał tylko wrzucić ich kod do darmowej wyszukiwarki genealogicznej – skąd otrzymał prawdopodobne nazwiska właścicieli – i spędzić chwilę z Google'em i Facebookiem. To właśnie techniki opracowane przez Erlicha wykorzystało potem FBI do wytropienia „Golden State Killera" (patrz tekst).

O ile nikt nie płacze za zabójcą, o tyle utrata genetycznej prywatności powinna niepokoić. Wg ubiegłorocznych badań Erlicha 60 proc. białych Amerykanów ma już w genetycznych bazach danych co najmniej trzeciego kuzyna, a jeśli obecne trendy się utrzymają, w ciągu 2-3 lat za ich pomocą będzie można znaleźć każdego w USA. Dlaczego to niebezpieczne? Po pierwsze, profilowanie genetyczne to kolejne inwigilacyjne narzędzie, które chętnie wykorzystają opresyjne reżimy – do namierzania członków rodzin dysydentów czy represji wobec grup etnicznych. Po drugie, trudno o bardziej osobiste informacje niż te zawarte w DNA, co tworzy potencjał dla szantażu i nacisku. Na przykład na przygotowującego się do reelekcji polityka, z którego DNA wynika, że jest w grupie podwyższonego ryzyka zachorowania na alzheimera. Wreszcie po trzecie – dostęp do naszego DNA to ogromne pieniądze. Bank może odmówić kredytu, jeśli jego algorytm grzebiąc w DNA wykaże, że klient może nie dożyć spłaty. Ubezpieczalnia nie sprzeda ubezpieczenia na życie w oparciu o podwyższone ryzyko genetycznie uwarunkowanego nowotworu. To dystopijna przyszłość genetycznej dyskryminacji rodem z filmu „Gattaca".

Istnieje jeszcze jedno zagrożenie. Wielkie koncerny farmaceutyczne płacą miliony za dostęp do DNA gromadzonego przez firmy prowadzące komercyjne testy zakładając, że zyskują w ten sposób przekrój całego społeczeństwa. Tyle że to założenie może być błędne: domowe testy DNA, choć nie są drogie, i tak stanowią głównie zabawkę dla zamożnych. Zatem dane, na których pracować będą farmaceuci, nie obejmą mniejszości etnicznych i społecznych, które do zamożności aspirować nie mogą. A to oznacza potencjalnie medyczne wykluczenie dużych grup społecznych.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Wykupujemy subskrypcję, wysyłamy swoje DNA i przez resztę życia otrzymujemy wyniki coraz to nowszych testów.

Bliźniaczki niespokrewnione

Najpopularniejsze są jednak testy badające pochodzenie. Firmy takie jak 23andMe, MyHeritage czy Ancestry.com kuszą klientów odkryciem ich korzeni, sięgających dalej niż dwa czy trzy pokolenia wstecz. Popularność zdobyły zwłaszcza wśród Amerykanów, którzy w większości są przecież potomkami imigrantów, ale usługa jest dostępna międzynarodowo.

Nie istnieje oczywiście jeden gen lub nawet ich zestaw, który umiejscawiałby nas w jakimś konkretnym miejscu na mapie. Nie ma przecież genu Polaka, Chińczyka czy Sudańczyka. Wysłany materiał genetyczny zostaje porównany z bazą danych, jaką firmie udało się zebrać, i na tej podstawie program komputerowy wylicza, ile procent genomu jest wspólne dla badanego i osób pochodzących z danego miejsca na Ziemi.

Okazuje się jednak, że próba genetycznego określenia pochodzenia ma sens wtedy, gdy osoba badana ma pochodzenie europejskie, ponieważ bazy danych tych firm wypełnione są głównie DNA Europejczyków i ich potomków. A nawet wówczas mogą pojawić się problemy. Często się zdarza, że wynikiem porównania nadesłanego materiału genetycznego z bazą danych jest bardzo zgrubne określenie pochodzenia, np. „Bałkany" albo „Bliski Wschód".

Istotna jest nie tylko precyzja interpretacji wyniku, ale także jakość wykonywanych badań. W mediach pojawiają się informacje o prowokacjach, które dziennikarze przeprowadzali na firmach sprzedających testy DTC. Kanadyjska telewizja CBC przesłała do genealogicznych badań genetycznych próbki DNA pochodzącego od bliźniaczek jednojajowych, czyli genetycznie identycznych. Okazało się, że według jednej z firm mają one różne pochodzenie. Z kolei pewien dziennikarz przebadał swoje DNA dziewięć razy w trzech laboratoriach, otrzymując sześć różnych wyników. Nie dość, że różniły się w zależności od firmy wykonującej badanie, to jeszcze jedna z nich stwierdzała, że raz ma więcej, a raz mniej genów aszkenazyjskich. Zaś amerykańska telewizja NBC przesłała do testów ślinę... psa. W większości odpowiedzi „wyniki były nie do zinterpretowania", jednak jedna z firm zaleciła labradorowi imieniem Bailey wysiłek długotrwały i ćwiczenia z trenerem personalnym.

Dziennik „The Guardian" pisał w lipcu tego roku o brytyjskich lekarzach, którzy wzywali do ostrzejszej kontroli „domowych" testów genetycznych, ponieważ zgłaszające się do nich kobiety z pozytywnym wynikiem testu na mutację BRCA w wielu przypadkach były źle poinformowane i wcale tej mutacji nie posiadały. Według jednej z przywołanych analiz genetyczne testy DTC są zazwyczaj niedokładne w przypadku bardzo rzadkich wariantów mutacji BRCA.

Kopalnia złota

Problemem jest jednak nie tylko to, jak klient zinterpretuje wynik badania, jaka jest jego jakość i naukowy sens, ale staje się nim także to, co dzieje się z naszą informacją genetyczną później. Laboratoria posiadające profile genetyczne milionów osób – czasem połączone z danymi medycznymi (patrz ramka) – stają się obiektem zainteresowań firm farmaceutycznych. Dostęp do zanonimizowanej genetycznej bazy 23andMe wyceniono na 300 mln dolarów.

Dobrowolnie oddany materiał genetyczny ogromnych rzesz ludzi może być niemal niewyczerpanym źródłem medycznej wiedzy. Poszukiwanie genów ↦

MAJA HITIJ / BONGARTS / GETTY IMAGES

Sprofilowana wyspa

PONAD POŁOWA ISLANDCZYKÓW – jak donosił w lipcu portal BBC News – przebadała już swoje geny i stworzyła swój genetyczny profil, korzystając z usług firmy Decode Genetics.
Założone przez islandzkiego neurologa Kári Stefánssona przedsiębiorstwo zdobyło rozgłos pod koniec ubiegłego wieku. W grudniu 1998 r. islandzki parlament przegłosował Act on Health Sector Database – ustawę umożliwiającą prywatnej firmie prowadzenie narodowej medycznej bazy danych. Decode Genetics wygrało przetarg i otrzymało zgodę na zebranie danych medycznych (wyniki badań, przebieg choroby, leczenie) oraz danych genetycznych. Dodatkowo firma otrzymała dwunastoletnie pozwolenie na komercyjne wykorzystanie bazy danych.
Sprawa wywołała spore kontrowersje. Pojawiły się pytania o prywatność osób, które zdecydowały się na przebadanie swojego DNA, o monopolizację rynku i komercjalizację prywatnych danych. O ile nie każdy musiał wziąć udział w genetycznych testach, o tyle cała populacja została włączona do ogromnej bazy danych. Jedyną możliwością usunięcia z bazy swojego rekordu była pisemna rezygnacja.
W 2007 r. jako pierwsze laboratorium na świecie Decode Genetics uruchomiło stronę internetową, na której można było zamówić zestaw testowy do domu, a później odczytać analizę wyników. W związku z finansowymi problemami Decode Genetics w 2012 r. została sprzedana amerykańskiemu gigantowi Amgen, co tylko skomplikowało sprawę. Dane 100 tys. obywateli stały się cennym towarem dla międzynarodowych korporacji. © BK

↦ sprzyjających chorobom i pewnym cechom organizmu pozwala na lepsze zrozumienie naszej fizjologii i patofizjologii. Odnalezienie w gąszczu statystyk pewnych wspólnych dla chorych mutacji i wariantów genów nie oznacza, że stają się one genetycznymi zwiastunami choroby, ale pozwalają na pełniejsze ujrzenie mechanizmów do niej prowadzących. Dzięki bazom danych badania naukowe są znacznie łatwiejsze – i niewątpliwie jest to pozytywny aspekt kolekcjonowania w jednym miejscu takiej ilości informacji genetycznych. Część firm oferujących testy DTC ma na koncie ważne publikacje naukowe.

Trudne do jednoznacznej oceny jest też użycie baz danych przez organy ścigania. W ubiegłym roku w USA ujęto seryjnego mordercę i gwałciciela po ponad 40 latach od popełnienia przestępstw. Były policjant Joseph James DeAngelo, nazwany „Golden State Killerem", został złapany dzięki ogólnodostępnej genetycznej bazie GEDMatch służącej do odnajdywania członków rodzin za pomocą DNA. Poszukiwacze zapomnianych gałęzi swojej rodziny mogą wgrać tu plik z wynikami testów otrzymany od firmy, w których je wykonali, i porównać je do innych zawartych w bazie. Agenci FBI, których wewnętrzna baza danych nie dawała odpowiedzi, wprowadzili do bazy GEDMatch informacje o DNA znalezionym na miejscu zbrodni (przypomnijmy, 40 lat temu!). Choć sam zbrodniarz i w tej bazie nie figurował, to materiał genetyczny udało się częściowo dopasować do jego dalekiego krewnego.

Atak hakerski na jedną ze stron zajmujących się genealogią (w tym zbieraniem danych genetycznych użytkowników) spowodował wypłynięcie danych ponad 92 mln osób z całego świata.

Powyższa historia może się zakończyć słusznie wymierzoną karą, ale uświadamia jednocześnie, że nasze DNA w świecie powszechnych komercyjnych testów genetycznych przestaje być anonimowe. O ile zagrożenie dla prywatności ze strony firm farmaceutycznych i wymiaru sprawiedliwości jest trudne do jednoznacznej oceny, a część osób byłaby w stanie się z tym nawet pogodzić, o tyle grozi nam wykradanie informacji z genetycznych baz przez hakerów (patrz ramka). Atak hakerski na jedną ze stron zajmujących się genealogią (w tym zbieraniem danych genetycznych użytkowników) spowodował wypłynięcie danych ponad 92 mln osób z całego świata. Wprawdzie w tym przypadku same informacje genetyczne pozostały bezpieczne, ale takie bazy mogą być celem kolejnych ataków. Jednocześnie usunięcie swojego rekordu, jak pokazują niektóre dziennikarskie eksperymenty, okazuje się niezwykle trudne.

Jeden z elementów

Choć naukowy i medyczny sens komercyjnych testów genetycznych bywa wątpliwy, a ich jakość czasami odbiega od badań zlecanych i omówionych przez lekarzy, to zainteresowanie nimi stale rośnie. Rozwój genetyki pozwolił też na rozwój genetycznych biznesów, które korzystając z naukowych podstaw oferują czasem dobrą zabawę, czasem zdrowotną lub dietetyczną poradę, a czasem odkrywają rodzinne korzenie.

Genetyka wciąż jest nauką pełną tajemnic. Pomimo odczytania całego ludzkiego genomu oraz odkrycia tysięcy genów i ich funkcji przyczyny niektórych chorób pozostają niejasne. Jeden gen, jedna mutacja może mieć krytyczne znaczenie dla zdrowia i życia, a jednocześnie kombinacja kilku „złych" genów może nie zmienić niczego. Samo DNA nie decyduje o wszystkim, co dzieje się w komórce. Dochodzi do tego jeszcze epigenom, czyli wszystkie naturalne chemiczne modyfikacje materiału genetycznego. Na ludzkie zdrowie wpływa cała mieszanka czynników. Geny są tylko – i aż – jednym z elementów.

Łatwo jednak ulec przekonaniu, że całe nasze życie jest zapisane na dwumetrowej nitce. Że gen to współczesna Ananke, bogini konieczności. Genetyczny determinizm staje w kontrze do przeświadczenia o całkowitej niezależności człowieka. Rzeczywistość jest jednak skomplikowana i pełna szarości. Choć w genach nie ma przepowiedni na przyszłość, nie zmienia to faktu, że genetyka to przyszłość.

© BARTOSZ KABAŁA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

REKLAMA

MIASTO GOSPODARZ
Kraków

PARTNER GŁÓWNY
KRAKÓW REGION MAŁOPOLSKA

open eyes economy summit '19

Międzynarodowy Kongres Ekonomii Wartości

ICE Kraków, **19–20 XI 2019**

Rejestracja: **www.oees.pl**

Szymon Hołownia
Thomas Keneally
Alberto Acosta
Nancy Githaiga
Dominika Bettman
Magdalena Środa
ks. Adam Boniecki

WSPÓŁORGANIZATORZY

Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie
Pracodawcy Rzeczypospolitej Polskiej
Wrocław miasto spotkań
AGH

SPONSORZY STRATEGICZNI

ING
synthos chemical innovations

GŁÓWNI PATRONI MEDIALNI

Dziennik Gazeta Prawna
interia
RMF

PATRON MEDIALNY

ams

POWERED BY

Eskadra

ORGANIZATOR

fundacja gap – Fundacja Gospodarki i Administracji Publicznej

PAWEŁ

Śpiewak: *Kohelet i kanon*

Księga Koheleta powstała tuż przed tym, jak Izrael znalazł się pod hellenistycznym panowaniem (330 r. p.n.e.). Dwa wieki później jej fragmenty znalazły się w bibliotece w Qumran. Dość szybko zatem weszła do kanonu biblijnego.

Z pewnością nie z racji końcowych zdań: „Ostatnim słowem wszystkiego niech będzie to: Boga się bój i zachowuj przykazania, bo w tym jest cała wartość człowieka. Bo za wszystkie czyny Bóg przywiedzie cię na sąd, za wszystko, co ukryte, czy dobre, czy złe" (Koh 12, 14, 15).

Fragment ten dość powszechnie uważa się za późniejszy dodatek do Księgi. Nikt zresztą, kto poemat przeczyta – poza ortodoksyjnymi rabinami – nie może mieć wątpliwości, że przesłanie Koheleta nie znajduje spełnienia w ich ostatnich słowach. Nie wyciszają one dramatu i absurdu opisanego w Księdze, nie wpływają zbytnio na jej zasadniczy sens.

Trudno o naiwność podejrzewać poważnych starożytnych czytelników. Uznali, że Księga ta, mimo swojej osobności, jest jednym z najoryginalniejszych dzieł powstałych w okresie wczesno- i późnobiblijnym. Pewnie zamiast używać słowa „kanon" należałoby raczej mówić o swoistej antologii ksiąg tworzących dziedzictwo judejskie. Owa antologia gromadziła dzieła, które stanowiły wyzwanie i źródło nauczania dla czytelników, zmuszała do stałego odnawiania swoich racji. Można śmiało zakładać, że nikt w starożytności nie myślał o spójności dziedzictwa hebrajskiego. Nikomu nie było potrzebne uzgadnianie etyki czy filozofii Ksiąg różnych epok.

Ważniejsze było samo dzieło z powtarzającą się frazą: „Marność nad marnościami – powiedział Kohelet, marność nad marnościami i wszystko marność". Ważne, było, by trwało, było czytane, komentowane pośród kolejnych pokoleń, które przemijają i które nadchodzą.

Nikt też nie mógł mieć wątpliwości, że autor Koheleta ma w wielu kwestiach własne zdanie w porównaniu np. z Torą czy Księgami Samuela. Nawet stylistyka tego dzieła, jego filozoficzny ton, wyobraźnia – nie kojarzą się z opowieściami o domu Jakuba i historiami jego potomków. Prędzej wielu czytelników szuka w Kohelecie związku z dziełami klasycznej greckiej myśli – choć to prowadzi do dość ograniczonych interpretacji. Z Grekami łączy go poszukiwanie cnót i wartości pierwszych, refleksja nad ludzką kondycją, ale brak tutaj teoretycznego zaplecza i systematyczności myślenia, jakie znajdujemy u współczesnych mu Platona czy Arystotelesa. Podejmuje Kohelet wiele kwestii etycznych, ale brak mu analiz ontologicznych, nie ma tu teorii poznania i metafizyki. Więcej za to dydaktyki i pragmatycznego podejścia do świata.

Kohelet jest osobnym kontynentem, spisanym przez proroka absurdu życia. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Siedmiu mężów i ona jedna*

Saduceuszy można postawić w jednym szeregu z niektórymi dzisiejszymi teologami akademickimi, a jeszcze bardziej z domorosłymi, którzy każdą wątpliwość rozstrzygają powiedzeniem: nigdy nie słyszałem, żeby Kościół coś takiego głosił. „Można odnieść wrażenie – mówi Leszek Kołakowski – że na wydziałach teologii ostatnią rzeczą, o której się słyszy, jest Bóg: mówi się o symbolach religijnych, o sprawiedliwości społecznej, o zaangażowaniu, o wymiarze historycznym. Cóż to za spektakl! Załamuje się wiek oświecenia i racjonalizmu, światła oświecenia gasną wszędzie, ale nie w Kościołach i u teologów".

O co więc poszło saduceuszom w sporze z Jezusem o los człowieka po śmierci? Zwyczajnie, za wszelką cenę chcieli udowodnić, że tylko oni posiadają prawdziwą wiedzę o rzeczywistości, a Jezus się myli. A każdy niezgadzający się z nimi właściwie powinien przestać istnieć.

Adwersarze Jezusa uciekają się do argumentacji z tzw. zdrowego rozsądku, co zresztą nie musi być naganne. Przecież to oczywiste pytanie, że jeśli umarli wyjdą z grobów żywi, to co będzie np. z kobietą, która siedem razy wychodziła za mąż? Którego z tych siedmiu mężczyzn, po ich zmartwychwstaniu, będzie żoną? To zdroworozsądkowe twierdzenie podpierali argumentem z Biblii: „Jeśli bracia mieszkają razem – czytamy w Księdze Powtórzonego Prawa – a jeden z nich umrze i nie pozostawi syna, to żona zmarłego nie może wyjść za mąż za kogoś spoza rodziny, lecz jej szwagier ma przyjść do niej, wziąć ją za żonę i w ten sposób wypełnić wobec niej obowiązek szwagra". Gdyby jednak ów mężczyzna nie chciał się z nią ożenić, wtedy pójdzie ona „do bramy miasta, do starszych, i powie: Mój szwagier nie chce podtrzymać imienia swojego brata w Izraelu, bo nie chce wypełnić wobec mnie obowiązku szwagra. Wówczas starsi miasta wezwą go i będą go przekonywać". Ale jeśli nadal będzie się upierał przy swoim, wtedy wdowa „napluje [mu] w twarz i powie: Tak należy traktować człowieka, który nie chce odbudować rodziny swojemu bratu".

Jakie rozwiązanie tego kazusu znalazł Jezus, wiemy. A dzisiaj? Też z „życiem po życiu" mamy kłopot. „Proponujemy więc następujące rozwiązanie – mówi Ladislaus Boros. – Zmartwychwstanie dokonuje się w momencie śmierci, ale jest ono jeszcze nieskończone. Ciału zmartwychwstałemu potrzebny jest przeistoczony, przemieniony kosmos jako przestrzeń z istoty przynależna do ciała. Nasze cielesne zmartwychwstanie przeżywać możemy w pełni dopiero wtedy, gdy świat znajdzie się w stanie przemienienia. Przeto ostatecznym spełnieniem się zmartwychwstania, które już dokonało się w śmierci, byłoby pełne chwały przeistoczenie świata u kresu czasu".

Z tego wynika, że ziemię najlepiej jest oglądać w światłach nieba. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
„Nieregularni” w Kościele

Dobro unika gadatliwości.

DIADOCH Z FOTYKI

Wielkoduszny jest ten, kto nie zastanawia się nad swoją wielkodusznością.

SZAJCH DŻUNAJD

Wybrał PIOTR SIKORA

„Do czego podobne jest królestwo Boże i z czym mam je porównać? Podobne jest do ziarnka gorczycy, które ktoś wziął i posiał w swoim ogrodzie. Wyrosło i stało się wielkim drzewem, tak że ptaki podniebne zagnieździły się w jego gałęziach. (...) Z czym mam porównać królestwo Boże? Podobne jest do zaczynu, który pewna kobieta wzięła i włożyła w trzy miary mąki, aż wszystko się zakwasiło” – liturgia przypomniała nam ostatnio te słowa Jezusa w zapisie Łukaszowym (zob. Łk 13, 18-21). Zauważam atrybucję nie bez powodu – św. Łukasz dokonuje bowiem w tym przypadku ważnego zabiegu redakcyjnego, ujawniającego jego autorski zamysł.

Otóż u św. Mateusza, a także (częściowo) u św. Marka przytoczona wypowiedź Pana jest częścią Jego mowy w przypowieściach o Królestwie Niebieskim (por. Mt 13, 31-33; Mk 4, 30-32). Łukasz wyrwał te dwie przypowieści (o ziarnku gorczycy i o zaczynie) z ich pierwotnego kontekstu i uczynił komentarzem do wydarzenia uzdrowienia w szabat kobiety, „która od osiemnastu lat miała ducha niemocy: była pochylona i w żaden sposób nie mogła się wyprostować” (Łk 13, 10-17). Zamknąwszy opis tego epizodu, Łukasz kontynuuje: „Powiedział więc im...”.

Zamysł św. Łukasza można interpretować na dwa sposoby. To owa kobieta, która – „trzymana przez szatana na uwięzi” – przez osiemnaście lat nie była w stanie podnieść oczu ku niebu, jest jak ziarnko gorczycy i odrobina zaczynu. W synagodze nikt nie zwraca na nią uwagi; nie widać powodu, dla którego należałoby się zająć – i to w szabat – nią właśnie. Jezus najwyraźniej widzi inaczej – właśnie jej potrzebuje, by objawić zasady królestwa Bożego. To na niej – małej i nic nieznaczącej – skupia swoje nadzieje na eksplozję królowania Boga!

Drugie tłumaczenie: patrząc w synagodze na kobietę zniewoloną przez blisko dwadzieścia lat przez szatana, Jezus dostrzegł w niej jednak jakieś dobro wielkości ziarnka gorczycy i wychodząc z tego punktu poprowadził ją ku pełni zdrowia – tak że ogarnęło ją królowanie Boga, że wszystko się w niej „zakwasiło”. Od najskromniejszego początku została przeprowadzona ku w pełni uzdrawiającej łasce. I teraz stanie się drzewem, w którym będą mogli zagnieździć się inni.

Czym było w jej życiu owo ziarenko gorczycy?

Może właśnie tylko przyjściem w szabat do synagogi? Zwyczajowo? Z przyzwyczajenia? A może jednak z jakąś tęsknotą? Cokolwiek to było, jedno jest pewne: Jezus to zobaczył!

Na tym właśnie polega tak zalecane przez papieża Franciszka „rozeznanie” – konieczne w „towarzyszeniu” (to drugie ważne w jego języku duszpasterskim słowo) ludziom, których życie nie przystaje do ideału (mówimy o ich sytuacjach życiowych: „nieregularne”). Jakże bardzo potrzebują kogoś, kto pomoże im rozeznać obecność Bożą w ich życiu – choćby najskromniejszą (jak ziarnko gorczycy); być może zobaczą wtedy sami, że nie są jedynie „problemem”, ale „szansą” – dla samych siebie, dla swoich bliskich, dla Kościoła. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (10 – 17 XI)

32. niedziela zwykła: 2 Mch 7, 1-2. 9-14; Ps 17; 2 Tes 2, 16 – 3, 5; Łk 20, 27-38;
Poniedziałek: Mdr 1, 1-7; Ps 139; Łk 17, 1-6;
Wtorek: Mdr 2, 23 – 3, 9; Ps 34; Łk 17, 7-10;
Środa: Mdr 6, 1-11; Ps 82; Łk 17, 11-19;
Czwartek: Mdr 7, 22 – 8, 1; Ps 119; Łk 17, 20-25;
Piątek: Mdr 13, 1-9; Ps 19; Łk 17, 26-37;
Sobota: Mdr 18, 14-16; 19, 6-9; Ps 105; Łk 18, 1-8;
33. niedziela zwykła: Ml 3, 19-20a; Ps 98; 2 Tes 3, 7-12; Łk 21, 5-19.

Po uroczystości Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych, Kraków, 28 lutego 2016 r.

FARMY PATRIOTÓW

Polska jest twierdzą oblężoną przez nieprzyjaciół? Wydawało się, że to już znamy. Ale zarazem samo państwo okazuje się nie azylem, lecz przeciwnikiem, narzędziem zniewolenia. To nowość.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Oto nowa forma polskiego patriotyzmu, która wykuwa się w internecie. „My Polacy, My Waleczni, / Nie czujemy się bezpieczni. / Islam pcha się w nasze wrota, / Naszej krwi chce ta hołota. / My Polacy, My Waleczni, / Pamiętamy z kart Historii, / W sercach – Jan III Sobieski, / W żyłach płynie krew Husarii". Do tego ilustracja – pędząca konnica pod łopocącymi sztandarami. Powyżej zdjęcie przedstawiające starszego mężczyznę sprzątającego ulice. To nie powstaniec, tylko pracownik firmy dbającej o czystość miasta. Podpis: „Możesz się naśmiewać, ale on przynajmniej uczciwie pracuje i nie pasożytuje na państwie". Poniżej reklama koszulek i bluz oczywiście z motywami patriotycznymi, choć nie tylko. Oferta sklepu jest znacznie szersza. Obok mody patriotycznej jest także „odzież uliczna", odżywki białkowe i rękawice do uprawiania sztuk walki.

Wszystko to na facebookowym profilu „Narodowe Siły Zbrojne" (23 tysiące fanów). To jedna z setek podobnych stron. Wzruszające patriotyczne grafiki i wiersze z nieco sypiącym się rymem sąsiadują tu z krytyką podatków, socjalu i programów szczepień. Na każdy wzniosły cytat przypada reklama koszulek, na kartkę z kalendarza – bieżący polityczny mem albo link do strony z wiadomościami wątpliwej wiarygodności.

A jednak obraz świata, jaki wyłania się z tej przedziwnej mozaiki, jest zaskakująco spójny. Polska jest tu twierdzą oblę-

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

żoną przez nieprzyjaciół. Zarazem samo państwo okazuje się nie azylem, lecz przeciwnikiem, narzędziem zniewolenia. Do listy wrogów patrioty dołączają więc – nieco nieoczekiwanie – podatki, urzędnicy, a także cała klasa polityczna.

W okolicach 11 listopada zapraszam na krótką wycieczkę po nowych sieciach polskiego patriotyzmu. Kto je plecie? Jaki mają kształt? Co daje się w nie złowić?

Od mapy do sieci

Nowoczesne państwo narodowe jest zaskakująco późnym tworem. Jego zręby ukształtowały się dopiero w XVII wieku, a kluczowe przemiany na mapie Europy zachodziły jeszcze w wieku XIX – w następstwie rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich, zjednoczenia Niemiec i Włoch. Pisze o tym Benedict Anderson, autor książki „Wspólnoty wyobrażone", który podkreśla przede wszystkim związek narodzin nowoczesnego państwa narodowego z rozwojem kultury druku. Naród to według Andersona „wspólnota polityczna, wyobrażona jako nieuchronnie ograniczona i suwerenna". A więc naród ma swoje granice, w ramach których sprawuje niepodzielną władzę. Usuwa konflikty między obywatelami, zachowując na danym terytorium monopol na przemoc, ale też wyłączność na ustanawianie praw, wymierzanie sprawiedliwości, edukację i wiele innych prerogatyw.

Cóż to ma wspólnego z drukiem? Anderson pokazuje, że na poziomie dosłownym druk ujednolicił język, zmniejszając znaczenie różnic między dialektami, zapewnił sprawne zarządzanie państwem, a przede wszystkim umożliwił synchronizację wyobraźni milionów obywateli (pomyślmy tylko o prasie, kanonach lektur i podręcznikach szkolnych). Na płaszczyźnie bardziej metaforycznej warto zauważyć, że prasa drukarska jest idealnym modelem dla nowoczesnego patriotyzmu. Ten sam wzorzec tożsamości odbija się i powiela w niezliczonych kopiach. Na mapie dany kolor rozciąga się na całym terytorium. Każdy kawałek lądu (poza Antarktydą) pomalowany jest na któryś z kolorów.

Od czasu wynalezienia druku wiele się zmieniło. Świat internetu nie jest już taki prosty. „Kiedyś państwo narodowe pilnowało swoich terytorialnych i społecznych granic wręcz neurotycznie – opowiada niemiecki filozof Jürgen Habermas. – Te kontrole dawno przestały być szczelne wskutek niepowstrzymanych procesów przekraczających granice. (...) Sfery publiczne wytwarzane w internecie są od siebie odcięte niczym globalne wioski".

A zatem sięgamy dziś wzrokiem dalej, ale zarazem – w sposób znacznie bardziej wybiórczy. Poszczególne obszary świata nie są już pomalowane na jeden kolor. Nie łączy nas już oczywista, jednoznaczna więź ze wszystkimi członkami tego samego narodu. Zamiast tego otrzymujemy narzędzia wiązania się w nowe wspólnoty, w ramach których bliskie może się okazać dalekim (nie znam swoich sąsiadów), a dalekie – bliskim (fan tego samego muzyka mieszkający na drugim końcu świata). W ten sposób nastąpiło przejście od druku do internetu, od mapy do sieci – transformacja, która mocno uderza w dawne relacje między państwem i narodem.

Ceną za uczestnictwo w globalnym świecie jest wycofywanie się państwa z kolejnych obszarów. Nie wszystkie dochody daje się opodatkować, wielu sfer życia nie sposób już regulować na poziomie narodowym. Coraz węższy staje się zakres egzekwowanych przez państwo monopoli, coraz bardziej rozmyte granice. Doskonale współgra to z neoliberalnymi reformami.

W sytuacji osobistej niepewności, poczucia ryzyka i gwałtownie zmieniających się norm od państwa żąda się, by obiecało całkowite bezpieczeństwo (jest to obietnica niemożliwa do spełnienia) lub abdykowało. Kiedy brak punktów odniesienia w postaci stałego miejsca pracy czy niezmiennego pejzażu miejskiego, tym ważniejsze stają się próby zakotwiczenia gdzieś własnej tożsamości. Coraz bardziej istotną kategorią staje się naród, a wraz z nim hierarchia, szacunek dla przeszłości czy „tradycyjny model rodziny".

W ten sposób docieramy do paradoksalnej, na pierwszy rzut oka, konstrukcji. Więcej narodu, mniej państwa. Patriotyzm sieci wszelkie ograniczenia postrzega jako zamach na to, co stałe. Im bardziej zmienny i efemeryczny jest w swej formie, tym bardziej w treści podkreśla kult przeszłości. Wypowiada wojnę wielkim korporacjom, ale doskonale radzi sobie w świecie nowoczesnego biznesu. Lęka się globalizacji, ale okazuje się częścią globalnego zwrotu.

Wyklęci żołnierze Facebooka

Na Facebooku dawni bohaterowie stali się nowym biznesem. Sprzedają koszulki, gadżety, promują linki do stron zarabiających na reklamach. Przepis jest prosty. Najpierw zbieramy publiczność, wrzucając patriotyczne grafiki i ciekawostki o żołnierzach wyklętych, Narodowych Siłach Zbrojnych albo powstańcach warszawskich. W miarę, jak rośnie liczba obserwujących, coraz częściej między patriotyczne treści wplatamy reklamy i linki. Powstańcy zapewniają nam zasięgi, a sponsorowane treści – przyzwoity zarobek. W ten sposób bieżąca polityka i drobny biznes jadą sobie wygodnie na grzbiecie przygarbionej pod ciężarem lat historii.

Profil „Żołnierze Wyklęci" (55 tys. obserwujących) to reprezentatywny przykład. Strona, która zaczynała jako album z patriotycznymi grafikami, dziś jest już wyłącznie ciągiem wrzucanych co kilka godzin linków do strony prostozmostu.pl i clickbaitowego (kuszącego intrygującymi nagłówkami) serwisu wsieci24.pl. Postaci historyczne ustąpiły miejsca nagłówkom takim jak: „4 lata pisała SMSy do zmarłego taty. Nagle otrzymała ↦

odpowiedź" albo „Potężny robak siadł na jego policzku. Po chwili stało się coś strasznego". To wsieci24, bo na prostozmostu.pl tematy są wyraźniej sprofilowane: „Polska rodzina zaatakowana w Mediolanie", „Mocne słowa Korwin-Mikkego: Nie ma dla mnie różnicy między Hitlerem a...", „Islamista się tego nie spodziewał! Obywatele sami wymierzyli sprawiedliwość [WIDEO]".

Sama nazwa „Prosto z Mostu" też brzmi jakby znajomo – to tytuł zapożyczony wprost z międzywojennego tygodnika związanego z narodowcami. O ile jednak przedwojenne „Prosto z mostu", mimo radykalizujących się coraz bardziej poglądów redakcji, mogło się poszczycić współpracą z wybitnymi literatami epoki, o tyle dla jego internetowego prawnuka pracują ludzie, których maksimum możliwości stanowi nagłówek „Szalone protesty ekologów. Wisieli w hamakach tuż nad wodą i nagle stało się TO (WIDEO)". Serwis stanowi zaskakujące na pierwszy rzut oka połączenie prawicowych treści i tabloidowej formy opartej na bezwstydnym stosowaniu tytułów będących pułapką skłaniającą czytelnika do zajrzenia do serwisu.

Nietrudno wskazać setki przykładów podobnych inicjatyw, które powstały jako farma obserwatorów, a następnie zostały całkowicie podporządkowane linkom z jednego czy dwóch serwisów i reklamom odzieży patriotycznej. W logo polska flaga, Mały Powstaniec, wilk lub kotwica Polski Walczącej. W zdjęciu nagłówkowym łacińska sentencja albo współczesny polski komandos. Posty pisane niestarannie, z licznymi błędami gramatycznymi i ortograficznymi. To wszystko podane w sosie niezależności od głównego nurtu – jako coś alternatywnego, partyzanckiego.

Chodzi o to, byśmy udostępniając grafiki z żołnierzami wyklętymi, sami poczuli się jak rebelianci walczący z potężnym imperium. Do tego niekończący się łańcuch linków do stron opowiadających o czyhających na naród zagrożeniach: imigranci, aborcja i eutanazja, żeńskie formy nazw zawodów, koalicja obywatelska, Olga Tokarczuk i ekolodzy...

Prasłowiańskie blogi

Wielka Lechia to pseudonaukowa koncepcja prastarego imperium dawnych Polaków, które miało istnieć na tych ziemiach tysiące lat przed chrztem Mieszka.

> Przepis jest prosty. Najpierw zbieramy publiczność, wrzucając patriotyczne grafiki i ciekawostki. W miarę, jak rośnie liczba obserwujących, **coraz częściej między te treści wplatamy reklamy i linki.**

Według Janusza Bieszka, najpopularniejszego autora związanego z tym nurtem, Polacy są bezpośrednimi spadkobiercami praindoeuropejskich Ariów, którzy przybyli na te tereny po upadku zniszczonego przez potop Imperium Ramy. Nie uczą nas o tym w szkole, bo władzę nad naszą historią sprawuje watykańsko-niemiecki spisek. Janusz Bieszk chętnie opowiada także o kosmitach, latających spodkach i żyjącej we wnętrzu Ziemi cywilizacji Agartha. I wszystko jasne.

Autor wydanych przez Bellonę „Słowiańskich królów Lechii" nie jest sam. Towarzyszą mu dziesiątki internetowych twórców, samodzielnie eksplorujących najniesamowitsze wątki z naszej przeszłości i teraźniejszości. Zajrzyjmy chociażby na stronę „Słowianie i ukryta historia Polski". „Jest to niezależny od głównego nurtu elementarz historii dla młodego i starszego Polaka. Wyniki studiów historycznych odnoszę do współczesności i przyszłości. (...) Nie traćmy czasu na pielęgnowanie tego, co już nie jest prawdą naukową. Zapraszam serdecznie".

Podobnie jak w przypadku patriotycznych stron na Facebooku, kluczowa jest tu idea „niezależności od głównego nurtu". Jeżeli przyjmiemy, że polskie państwo – kontrolowane oczywiście przez Niemców i Żydów – ukrywa przed nami prawdę o tysiącleciach naszych dziejów, z łatwością uwierzymy też we wszelkie inne spiski. Dlatego na stronie możemy się dowiedzieć nie tylko o Wielkiej Lechii i zmowie historyków, ale też poznać sekrety medytacji słowiańskiej i rozmów z drzewami. Wciąż brzmi niewinnie? Zejdźmy więc o poziom głębiej.

Na stronie powraca motyw depopulacji, czyli ludobójstwa dokonywanego na Polakach, między innymi poprzez program szczepień. Cała nowoczesna medycyna także okazuje się wynikiem spisku. Prawdę o niej mają odwagę głosić tylko ludzie tacy jak Jerzy Zięba, autor książki „Ukryte terapie".

Bo „Słowianie i ukryta historia Polski" to znowu nie wyjątek, a kolejna reguła. Podobnych serwisów znajdziemy w polskim internecie dziesiątki. Najpopularniejsze wśród nich to: „Tajne archiwum watykańskie", „Porozmawiajmy.tv" czy Bialczynski.pl. Przeczytamy tam o Lechitach, kosmitach, zabójczych szczepionkach i o tym, jak być zdrowym bez leków. Od czasu do czasu znaleźć można też wywiady z prominentnymi działaczami Ruchu Narodowego.

Choć od razu zaznaczyć trzeba, że stosunek do Wielkiej Lechii na odległych rubieżach prawicy daleki jest od jednoznaczności. Niedawno na łamach czasopisma „Magna Polonia" imperium Lechitów demaskowane było jako „antykatolicki wymysł agentury". Opowieść o spisku sama okazuje się spiskiem. Ma to sens.

Twitterowa prawica

Donald Trump prowadzi politykę na Twitterze. Krótkie, 280-znakowe komunikaty nie są dodatkiem do jego politycznej agendy ani sposobem opowiadania o tym, co robi. Twitter jest główną przestrzenią działania Trumpa. To wniosek przywoływany ostatnio przez coraz liczniejszych badaczy.

To, czego nie da się wyrazić w 280 znakach, w ogóle nie ma szansy przebicia. To kolejny dowód na to, w jakim stopniu nowoczesną politykę zdominowała zasada clickbaitu. Trump pisze coś skandalicznego, a potem wyjaśnia, że wcale nie miał tego na myśli i trzeba było czytać uważniej. Zgarnia darmową uwagę mediów, radykalizuje i mobilizuje zwolenników. To tania sztuczka, ale działa.

W Polsce taką strategię do mistrzostwa opanowali liderzy Konfederacji. To ważna różnica między polityką Prawa i Sprawiedliwości a tym, co do Sejmu mogą wnieść posłowie z nowej prawicowej formacji. Pomiędzy tymi ugrupowaniami jest sporo podobieństw w sferze światopoglądowej. Wynikają one ze zbudowania obrazu Polski w oparciu o wizję nieustannie zagrożonej niepodległości, której trzeba wciąż bronić przed jakimiś wrogami.

To nie przypadek, że Jarosław Kaczyński nie ma konta na Twitterze, nie bryluje w mediach społecznościowych, a cytaty z niego stają się raczej orężem w rękach

przeciwników PiS niż jego zwolenników. Zupełnie inaczej działają Janusz Korwin-Mikke, Grzegorz Braun czy młodzi posłowie Konfederacji tacy jak Konrad Berkowicz. Trumpowska logika Twittera jest czymś bardzo im bliskim.

Można powiedzieć, że Kaczyński prowadzi politykę całości. Poszczególne postulaty układają się w spójną, sensowną strukturę. Można się z nim nie zgadzać, ale nie wiedząc, co PiS sądzi o finansowaniu teatrów albo ruchu drogowym w wielkich miastach, zwykle jesteśmy w stanie wydedukować odpowiedź z działań podejmowanych na innych polach.

Konfederacja stawia raczej na politykę części. Liczą się poszczególne mocne uderzenia, przyciągnięcie uwagi, chwilowy efekt i radykalizacja wyborców. Z programu wypada wszystko, czego nie da się przedstawić w postaci 30-sekundowego klipu na YouTubie. Taka polityka w pełni wykorzystuje możliwości nowych mediów, zwłaszcza Twittera.

Powiedziawszy to, warto zarazem podkreślić, że polska prawica ma do mediów społecznościowych stosunek ambiwalentny. Kocha Twittera i nienawidzi go. Zwłaszcza, gdy tajemniczy administratorzy zza oceanu blokują prawicowe konta w imię znienawidzonej politycznej poprawności. Posłuchajmy komunikatu „Tygodnika Solidarność" (którego współczesna internetowa forma bardzo przypomina inne omawiane w tym tekście serwisy) po tym, jak jego konto na Twitterze zostało zablokowane: „Tygodnik Solidarność jest historycznym pomnikiem wolności słowa. Jednocześnie jest jakimś symbolem fakt, że Twitter ośmiela się go banować bez podania żadnej przyczyny".

Twitter powinien być wymarzoną przestrzenią całkowitej wolności słowa, o której śnią współcześni prawicowi aktywiści, przerażeni dyktaturą feministek i „lobby LGBT". Ciosy otrzymywane na terenie, który prawica coraz częściej uznaje za swój, bolą najbardziej. Stąd pewnie pojawiające się co jakiś czas pogróżki o powołaniu nowego, narodowego Facebooka i Twittera.

Kocham i nienawidzę

„Ogłaszam światu »piątkę Konfederacji« – z dumą oświadczał podczas kampanii Sławomir Mentzen z partii KORWiN – Nie chcemy: Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej". Warto się w te słowa wsłuchać. Istotne jest zarówno to, że „piątka Konfederacji" ma charakter negatywny, jak i sama lista rzeczy niepożądanych. Żydzi, homoseksualiści, aborcja i Unia Europejska – to stały repertuar wrogów i zagrożeń współczesnej prawicy. Ale podatki? To coś nowego!

Jarosław Kaczyński nie bryluje w mediach społecznościowych. Inaczej działają Korwin-Mikke, Braun czy młodzi posłowie Konfederacji. Trumpowska logika Twittera jest im bardzo bliska.

To nie przypadek, że Konfederacja szła do tych wyborów pod sztandarami skrajnego ekonomicznego liberalizmu. Sojusz Ruchu Narodowego z ultraliberalnym gospodarczo Korwin-Mikkem nie wynika wyłącznie z sejmowej arytmetyki. To nie kamuflaż, jak chciałoby wielu dziennikarzy, lecz naturalna konsekwencja przejścia od patriotyzmu mapy do patriotyzmu sieci.

Chcemy potężnego narodu, ale państwo musi abdykować – mówią nowi patrioci. Łączy nas bezpośrednio tożsamość i nie potrzebujemy żadnego organizmu, który stałby na straży naszych interesów (tym bardziej odrzucamy więc Unię Europejską). Historia, żołnierze wyklęci, a nawet Wielka Lechia – proszę bardzo. Podatki – nie, dziękuję. Obniżmy daniny na rzecz państwa, wprowadźmy bony edukacyjne i prywatną służbę zdrowia. Nawet przemoc, ów najważniejszy z monopoli nowoczesnego państwa, powinna zostać zreprywatyzowana. Rozdajmy ludziom broń – niech bronią się sami. Obowiązkowy program szczepień? Toż to kolejna forma przymusu! Zaprośmy na listę wyborczą Justynę Sochę, liderkę stowarzyszenia STOP NOP (startowała w Poznaniu, szczęśliwie bez powodzenia).

Jak zwraca uwagę Zygmunt Bauman, gdy Hobbes pisał swego „Lewiatana", państwo było przede wszystkim wynalazkiem „przeciw mobilności" – jego ustanowienie miało sprawić, że strategia „nagłego uderzenia i błyskawicznej ucieczki" stanie się nie do pomyślenia. „Lewiatan o nieszczelnych granicach państwowych, przez które łatwo przeniknąć, okazałby się nieznośną sprzecznością". Dziś państwo narodowe jest jednym z trybików w nowoczesnej układance globalizacji. Nowoczesne państwa same po cichu rezygnują ze swojego monopolu na przemoc, prywatyzując policję, wojsko, więziennictwo. Nic nie symbolizuje upadku „Lewiatana" (1651) wymowniej niż wszechobecne firmy ochroniarskie wynajmowane nawet przez instytucje państwowe pod hasłem redukcji kosztów, outsourcingu i zdejmowania z siebie odpowiedzialności.

Aby usunąć sprzeczność między gloryfikacją niepodległego państwa narodowego a niechęcią, z jaką przyjmowane są państwowe ingerencje w sferę prywatną, trzeba udowodnić, że państwo nie jest nasze. Że należy do obcych (np. zdradzieckich elit) albo że wykonuje rozkazy międzynarodowej finansjery czy Unii Europejskiej. W ostateczności wychodzi więc na to, że nowy, sieciowy patriotyzm wcale nie ufa państwu. Zamiast tego snuje fantazje o strzelnicy w każdej wsi, karabinie w każdym domu i pospolitym ruszeniu wojsk obrony terytorialnej...

Kim w zasadzie jest dziś ten wróg o tysiącu twarzy, którego lękają się i nienawidzą nowi patrioci? Wojska obrony terytorialnej i amatorska historia uprawiana przez rekonstruktorów, dopatrywanie się wszędzie agentów, twierdzenia o niesuwerenności państwa podporządkowanego Unii Europejskiej, prywatyzacja obchodów wydarzeń historycznych, rozmienianie ich na tysiące niepowiązanych projektów... Przecież wszystko to pokazuje nam, że nowy patriotyzm nosi w sobie zaskakująco wiele elementów ideologii skrajnie antypaństwowej. Czyżby smokiem, przeciw któremu wyruszają internetowi rycerze, był właśnie lewiatan Hobbesa – symbol nowoczesnego państwa narodowego?

Sieciowi patrioci kochają niepodległą Polskę. Ale chcieliby ją zabić.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Korzystałem m.in. z książek:
Benedict Anderson, „Wspólnoty wyobrażone", przeł. S. Amsterdamski, Kraków 1997.
Zygmunt Bauman, „Retrotopia", przeł. Karolina Lebek, Warszawa 2018.
Jürgen Habermas, „Uwzględniając Innego", przeł. A. Romaniuk, J. Kloc-Konkołowicz, Warszawa 2009, zwłaszcza s. 113-133.

JAN GRACZYŃSKI / EAST NEWS

Mieszkańcy podkrakowskiej gminy Mogilany chcą budowy kładki i bezpiecznych przejść dla pieszych na zakopiance, Gaj, 4 maja 2014 r.

Na linii ulicznego frontu

PIOTR KOZANECKI

Kiedy w Polsce ginie na pasach pieszy, mówi się, że „wtargnął na jezdnię".

W październiku 2069 r. doszło do pierwszego od 13 lat śmiertelnego wypadku samochodowego w Warszawie. To dobra okazja, by przypomnieć, że pół wieku temu takie wypadki zdarzały się regularnie. W całej Polsce każdego dnia ginęło na drogach 8 osób.

Lektura archiwalnych serwisów internetowych z początku XXI w. przeraża nie mniej niż czytanie książek o pracy dzieci podczas rewolucji przemysłowej albo o zachorowaniach na polio przed wynalezieniem szczepionki. Dziś wydaje się nam całkowicie oczywiste, że bezpieczeństwo na drodze to priorytet i że nie ma ważniejszego aspektu przy projektowaniu drogi.

W Polsce lat 2000–2020 szacunek do życia był oczywiście w debacie publicznej ważną wartością. Ale z niezrozumiałych z dzisiejszego punktu widzenia powodów, jeśli chodzi o śmierć ponoszoną w wyniku wypadku drogowego, szacunek ten ulegał zawieszeniu. Można nawet natknąć się na ironiczne nagłówki prasowe mówiące o tym, że „w Polsce życie chroni się od poczęcia do przejścia dla pieszych". To jednak wyjątki. Obok nielicznych głosów ekspertów przekonujących do oczywistych dziś dla nas rozwiązań, znajdziemy w dyskusjach tych dekad masę wypowiedzi, które porażają ignorancją. „Cóż, dla niektórych stwierdzenie, że szerzej nie znaczy bezpieczniej, to rzeczywiście jak przewrót kopernikański" – mówił „Tygodnikowi Powszechnemu" w 2019 r. Paweł Górny, ówczesny działacz na rzecz poprawy bezpieczeństwa na drogach.

Ślepe uliczki

Zacznijmy od przypomnienia statystyk. W późnym PRL doskonale widać korelację pomiędzy sytuacją społeczno-ekonomiczną a liczbą śmierci na drogach. W czasach gierkowskiej *prosperity* jeździliśmy relatywnie dużo, więc dużo było i śmiertelnych wypadków. Najwięcej ludzi zginęło w roku 1981, aż 6107. Kryzys lat 80. ograniczył liczbę podróży i widać wyraźny spadek tej dramatycznej statystyki. Tragicznie wyglądają lata przełomu. W 1991 r. zginęło na polskich drogach aż 7901 osób. To blisko jedna śmierć na godzinę! Zbliżyliśmy się do tej liczby jeszcze w roku 1997, a potem nastąpił powolny spadek, który z niewielkimi odchyleniami trwał do połowy drugiej dekady XXI wieku. Wówczas wskaźnik śmiertelnych wypadków zaczął znów wędrować w górę, oscylując wokół 3 tysięcy ofiar. Część publicystów najbardziej była zaskoczona rokiem 2018, w którym spadła liczba wypadków i rannych, ale wzrosła liczba zabitych.

Dramatyczna końcówka roku 2019, gdy tematem numer jeden w mediach stał się wypadek na ul. Sokratesa w Warszawie (jadący 130 km/h mężczyzna potrącił na przejściu dla pieszych młodego ojca, który w ostatniej chwili odepchnął sprzed maski pędzącego auta żonę i dziecko), wydaje się być pierwszym momentem, w którym dziennikarze i publicyści zaczęli mówić o problemie głębiej, niż to się robi na rodzinnym obiedzie. Głos zabrał nawet ówczesny premier Mateusz Morawiecki.

Swoje pięć minut miał wówczas Łukasz Zboralski, twórca serwisu brd24.pl, nestor walki o bezpieczeństwo na drogach. „Kto pyta, dlaczego tak jest w Polsce, ten musi zrozumieć system politycznego cynizmu, zakłamania i urzędowego unikania jakiegokolwiek wysiłku. Mógłbym napisać pracę doktorską o tym, dlaczego na polskich drogach jest źle, i co zawodzi konkretnie w poszczególnych elementach systemu (edukacji, nadzorze, inżynierii, ratownictwie). Ale piszę o tym już 6 lat i zwyczajnie mam dość" – grzmiał w komentarzu na swoim serwi-

sie. Pytany w 2019 r. przez dziennikarza „Tygodnika" o to, które ze stosowanych przez państwo rozwiązań mających poprawić bezpieczeństwo są ślepą uliczką i niewiele zmienią, odpowiedział, że nie widzi żadnych rozwiązań, więc trudno mu ocenić coś, czego nie ma.

Śmieszny jak mandat

Rzeczywiście, w latach 1989–2019 mało kto dostrzegał wagę problemu. W 2019 r. mandat za wykroczenie drogowe wynosił maksymalnie 500 zł. Ta wysokość była ustalona w czasach, gdy średnia pensja wynosiła 1061 zł. Mandat wynosił więc jej połowę. Lecz w 2019 r. było to już tylko 14 proc., podczas gdy nawet u naszych południowych sąsiadów było to 42 proc. (w Czechach) lub 72 proc. (na Słowacji). W Wielkiej Brytanii, gdzie żyło wtedy milion Polaków, mandat taki wynosił niemal równowartość średniego wynagrodzenia.

Jeszcze gorzej miała się sprawa w przypadku pierwszeństwa pieszych. Kierowcy uparcie przekonywali w internetowych dyskusjach, że to piesi sami pakują się pod koła. Uspokajanie ruchu w miastach uważali za zamach na symbol wolności, jakim jest własne auto. Tłumaczenia, że pieszym może być dziecko, niewidomy, głuchoniemy, niepełnosprawny, pijany, chory i bez jakichkolwiek dokumentów uprawniających do poruszania się, a kierowca musi być trzeźwy, dorosły, mieć przegląd techniczny pojazdu i badania lekarskie, oraz że ze względu na wielokrotnie większą siłę rażenia, jaką daje ważące tonę auto, ponosi też większą odpowiedzialność – nie przebijały się zupełnie.

W drugiej dekadzie XXI wieku w kraju członkowskim UE ginęło rocznie ok. 800 pieszych. Blisko jedna trzecia na pasach. Absurdalności używania pojęcia „wtargnął na jezdnię" w przypadku oznakowanego przejścia dla pieszych nie widział prawie nikt. Z prawa pierwszeństwa w pełni mógł korzystać tylko kierowca w stosunku do innych kierowców. Kiedy próbował z niego korzystać pieszy, był określany jako nieostrożny. Po forach zrzeszających fanów motoryzacji całkiem serio krążyły legendy miejskie o wypadkach, w których próbujący ominąć pieszego tir wpada w drzewo i śmierć ponosi kierowca.

Jedyną próbę wprowadzenia do kodeksu drogowego pierwszeństwa pieszego oczekującego na przejście, a nie tylko się na nim znajdującego, zablokował w 2015 r. senator PO Aleksander Pociej. Argumentował, że to zwiększy tylko niebezpieczeństwo i... korki. Choć we wszystkich krajach Europy Zachodniej taki przepis bezpieczeństwo zdecydowanie poprawiał, a na korki nie miał wpływu.

Jeszcze w 2019 r. wiceminister infrastruktury Rafał Weber twierdził, że „wiele rzeczy w Polsce nie dzieje się tak jak w Europie Zachodniej. (...) Jeżeli są pozytywne przykłady rozwiązań prawnych w obszarze bezpieczeństwa ruchu drogowego w Niemczech, Francji czy Wielkiej Brytanii, to je powielamy, jeśli mamy przekonanie, że zadziałają. Jeśli go nie mamy, to nie. Tak jest w przypadku zwiększenia praw pieszych na przejściach".

„Jako psycholog transportu mogę tylko stwierdzić, że nie ma żadnych powodów, dla których takie rozwiązanie miałoby działać po lewej stronie Odry, a nie działać po prawej" – komentował sarkastycznie Grzegorz Marek ze skupionej w Federacji Piesza Polska organizacji Pieszy Kraków. Wygłaszanie poglądów przeciwnych naukowym badaniom i doświadczeniom nie dotyczyło bynajmniej tylko szczepionek i kryzysu klimatycznego. Przekładało się także na tak proste rzeczy, jak ruch drogowy.

Tolerancja radarów

Pasjonująca jest także lektura raportu NIK o fotoradarach z września 2019 r. W ciągu trzech lat Generalny Inspektorat Transportu Drogowego dopuścił do przedawnienia się 115 tys. spraw, które powinny były skończyć się mandatami, a w wielu przypadkach zapewne także utratą prawa jazdy. Dlaczego? Bo nie miał dość ludzi do obsługi generowanych przez system danych. Słowem: przekroczeń prędkości było tak dużo, że nie miał kto się nimi zająć. Zamiast znaleźć pieniądze na pracowników, zwiększono tolerancję fotoradarów nawet o 30 km/h. Przy ograniczeniu np. do 50 km/h można było bezkarnie jechać osiemdziesiątką. Warszawskie stowarzyszenie Miasto Jest Nasze oszacowało wówczas straty budżetu państwa na 3 mld zł. Nieco więcej, niż wynosił wtedy roczny budżet Szczecina. Wybór lokalizacji 29 urządzeń do odcinkowych pomiarów prędkości trwał dwa i pół roku. Jedną trzecią z nich NIK ocenił jako bezsensowne.

„Na zachód od nas 90 proc. mandatów za prędkość może być wygenerowana przez automatyczne pomiary prędkości. U nas 90 proc. wręczają policjanci. To niesamowite marnotrawienie ich czasu, który powinni poświęcać na inne rzeczy i pozwolić się wyręczyć sprawnie i 24 godziny na dobę działającym maszynom" – mówił w 2019 r. Zboralski. Budowanie odpowiedniego systemu zahamował w 2016 r. parlament po tym, jak zakazał ustawiania fotoradarów gminom, bo rzekomo za dużo „zarabiały" na „sprytnie" ustawionych urządzeniach. W tym samym roku zatrzymał się spadkowy trend śmiertelnych wypadków na drogach.

Jeszcze w 2019 r. nie działało więc w Polsce egzekwowanie przepisów. Raport Instytutu Transportu Samochodowego wskazywał, że nawet 90 proc. kierowców przekracza prędkość w okolicach przejść dla pieszych. Normą w miastach były drogi o parametrach autostrady – szerokie, wielopasmowe arterie. Ich zwężanie było wyobrażalne tylko dla garstki zaangażowanych ekspertów. Obsesją zdecydowanej większości kierowców były korki i zwiększanie przepustowości, oczywiście tylko dla aut, niekoniecznie dla autobusów lub tramwajów. Nie istniały niezależne audyty powypadkowe, pozwalające wyjść z zaklętego kręgu winny–ofiara i spojrzeć na otoczenie, charakter drogi, miejsce zdarzenia. Z mandatów nie śmiali się tylko najbiedniejsi, a prowadzenie auta bez prawa jazdy nie niosło za sobą żadnych poważniejszych konsekwencji.

Kampanie społeczne skupiały się zaś na obwinianiu ofiar. W jednej z nich, przygotowanej przez warszawski ratusz, św. Piotr nie wpuszczał do nieba starszej pani, bo ta przechodziła przez jezdnię na czerwonym. W innej z kolei, promowanej przez policję, za potrącenie dziecka w kiepską pogodę odpowiadało dziecko, bo nie miało odblasku. Przez co najmniej dwie dekady XXI wieku nie można wskazać ani jednej poważniejszej reformy, która poprawiłaby bezpieczeństwo na drogach. Niewiele było szacunku do życia w kraju, gdzie codziennie 8 osób to życie traciło w wypadkach, których można było uniknąć. ©

PIOTR KOZANECKI *jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".*

Czynnik nieludzki

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Bezdomny: „Jesteśmy przez służbę zdrowia traktowani jak śmieci". Lekarka: „Niewydolny system wyciąga z nas to, co najgorsze".

18 marca tego roku. W odstępie kilku godzin do warszawskiego Szpitala Praskiego trafia – niezależnie od siebie – dwóch mężczyzn. „Pacjent przywieziony (...) z powodu bólu stawu kolanowego. Bez urazu, alkoholik, brudny, śmierdzący, zaniedbany (...) Aktualnie skargi na bóle nóg i kłopoty z chodzeniem. Owrzodzenia. Zdezynfekowano, założono opatrunki" – napiszą o jednym z panów lekarze. Z epikryzy drugiego: „Znaleziony w śmietniku, karetkę wezwało zaniepokojone społeczeństwo. Pacjent zgłasza skargi na problemy z chodzeniem. Nogi zdezynfekowano, założono opatrunki".

Obaj wychodzą nazajutrz, obaj trafiają do noclegowni na ul. Skaryszewskiej. – To miejsce, w którym nie ma opieki. Jest tylko ktoś, kto przyjmuje, wskazuje pomieszczenie i łóżko – zaznacza Adriana Porowska, szefowa Kamiliańskiej Misji Pomocy Społecznej, prowadząca na warszawskim Ursusie schronisko dla bezdomnych mężczyzn.

20 marca – po nocy w placówce – obu panów zabiera straż miejska. Do dwóch różnych schronisk: „Przystani" Caritasu i schroniska św. Krzyża. W jakim stanie byli wtedy pacjenci, wiadomo od Adriany Porowskiej, która spotkała jednego z nich w placówce Caritasu, a także Pawła Chachulskiego, kierującego schroniskiem w dzielnicy Włochy.

Porowska: – Pan leżał, ciężko było mu mówić. Był wycieńczony. Zdążyłam zadać mu dwa pytania. Jak się czuje i czy dostał jedzenie na SOR-ze. Na drugie odpowiedział: „Chyba pani żartuje". Nas wtedy bulwersowało to, że obu panów wypisano do noclegowni.

Chachulski: – Szokująca w tej historii jest różnica pomiędzy opisem w dokumencie a stanem, jaki zobaczyliśmy. Pan trafił do nas po południu. Wieczorem zbadał go nasz lekarz. Okazało się, że jest źle, i że wymaga co najmniej diagnostyki. Następnego dnia pojechał do szpitala na Banacha.

Obaj pacjenci umrą niedługo potem, w dwóch różnych szpitalach. – Zdecydowałam się ich historie nagłośnić, by lekarze nie czuli się bezkarni. Ci ludzie nie umarli na owrzodzenie nóg. I pewnie by nie zmarli, gdyby nie byli bezdomni – twierdzi Adriana Porowska, która obie historie upubliczniła, także za pośrednictwem „TP", już w maju.

Wersja szpitala? Nie było wskazań do dalszej hospitalizacji. A wobec pacjentów podjęto „szereg czynności wykraczających poza katalog świadczeń zdrowotnych. Zapewniono toaletę (...), wymieniono odzież oraz zagwarantowano dodatkowe posiłki regeneracyjne".

Niezależnie od rozstrzygnięcia (sprawę bada prokuratura) przedstawiciele organizacji pomagających osobom w kryzysie bezdomności alarmują: im gorzej dzieje się w polskim systemie ochrony zdrowia, tym częściej jej ofiarami padają najsłabsi.

„Żul", „menel", „pijak"

Końcówka lata, ciepły dzień. Wokół skweru im. Andrzeja Wajdy na krakowskich Plantach – w miejscu, w którym co niedziela wolontariusze popularnej Zupy na Plantach dają chętnym ciepły posiłek – gromadzi się kilkadziesiąt, może setka osób. Za moment podjedzie – jak w każdą środę oraz niedzielę – karetka z wolontariuszami Przystani Medycznej. Lekarz i pielęgniarki opatrzą pierwszego z panów – nie ostatniego z owrzodzeniem nóg, typową dolegliwością kryzysu bez-

Ośrodek dla bezdomnych w Białymstoku, styczeń 2018 r.

domności (czerwona, napuchnięta noga, strupy, latające wokół muchy).

Krzysztof, po pięćdziesiątce. Nie przyszedł tu po pomoc, chciał spotkać znajomych, porozmawiać. Miejsce pochodzenia: kujawsko-pomorskie. Pobyt: od kilku lat stare wagony na krakowskim Prokocimiu. O systemie ochrony zdrowia nie ma najlepszego zdania. – Jak przyjeżdża „nasza karetka", jest OK – mówi Krzysztof. – To są wspaniali ludzie. Na SOR-ach już tak kolorowo nie jest. Kolegę, który zgłosił się ze spapraną nogą, po jakimś czasie lekarze wystawili za drzwi szpitala, mimo że nie był jeszcze zdrów. Sam kiedyś wzywałem karetkę, bo czułem ból w klatce. Przyjechali, mówią: „Pan jest wypity!", i wezwali straż miejską. Dmuchnąłem – trzeźwy. Dopiero wtedy mnie wzięli do szpitala. Tam się okazało, że przechodziłem lekki zawał. Jak większość lekarzy traktuje osoby bezdomne? Szczerze? Jak śmiecie.

– Po tym, jak nagłośniliśmy sprawę Szpitala Praskiego, dostałam kilka podobnych sygnałów – mówi Adriana Porowska. – Np. mail od krewnego nieżyjącej już osoby bezdomnej, który spędził z nim wiele tygodni na OIOM-ie. Ten krewny próbował się dowiedzieć czegoś o stanie zdrowia pacjenta. Słyszał: „Nam tu wszy po poduszkach skakały". Albo: „Sam się doprowadził do tego stanu. Pracował na to latami".

AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA GAZETA

Porowska przytacza też historie przyjazdów karetek do prowadzonego przez nią schroniska. „K..., znowu na górę?" – miała kiedyś usłyszeć od jednego z ratowników. – Gdy zaczął badać naszego pana, ani na niego nie patrzył, ani się do niego bezpośrednio nie zwracał – opowiada szefowa Misji. – W końcu zgodził się go zabrać do szpitala. Ale na odchodne jedna z pracujących u nas dziewczyn usłyszała, jak mówi do niego: „Śmierdzisz gorzej niż gówno". Słyszałam też od medyków, że w tym samym momencie mogliby ratować dziecko. To szantaż na porządku dziennym: bezdomny kontra dziecko. „Wina" kontra niewinność.

Pracownica medyczna jednego z warszawskich schronisk: – Przyjeżdża do nas kobieta, właśnie opuściła szpital. W rubryce „adres zamieszkania" ma napisane: „bezdomny jeden", co jest skandalem, bo po pierwsze adres miała, po drugie, jak można coś takiego upubliczniać? Inna pani trafiła do nas w połowie września, też ze szpitala: na głowie tyle ran, że jeden strup. W karcie było napisane, że zastosowano leczenie zachowawcze. I nic więcej: jak, co, ile. Kwalifikowała się na co najmniej tygodniowy pobyt w szpitalu.

Inna prosząca o zachowanie anonimowości lekarka z dużego miasta (pomaga bezdomnym wolontaryjnie): – „Żul", „menel", „pijak". Nie raz zdarzało mi się słyszeć takie określenia z ust personelu medycznego o osobach bezdomnych. Gdy byłam na stażu szpitalnym, pamiętam taką scenę. Karetka przywozi pana, mocno zaniedbanego. Na miejscu okazuje się, że został w tej karetce wymalowany na plecach flamastrem. Miał na ciele jakieś znaczki, kwiatki. Po co? Dla żartu.

Kolejną historię przytacza Paweł Chachulski: – Kilka tygodni temu byłem w warszawskiej przychodni Lekarzy Nadziei na Wolskiej. Zobaczyłem pacjenta siedzącego w gabinecie. Oddychał, jakby się dusił. Trudny kontakt, półprzytomny, gorączka, posiniały. To był pacjent z ulicy. Chory na nowotwór w takiej fazie, że w kieszeni miał skierowanie do hospicjum. Czekał na miejsce, ale go nie było. Wymagał środków przeciwbólowych, łóżka. Umierał. Medycy dzwonili po karetkę, ale dyspozytor dwa razy odmówił, twierdząc, że to nie jest sytuacja zagrażająca życiu.

Nie tylko zimą

– Czuję się młodo, a ciało stare. Ktoś mi kiedyś powiedział, że mam niezniszczalny organizm, ale to nieprawda.

Kajetan (imię zmienione), po pięćdziesiątce: wychudzony, szczupła twarz, żółtawa cera. Rozmawiamy w centrum Krakowa, właśnie wrócił z wizyty lekarskiej ze skierowaniem na operację krtani, w której lekarze „coś znaleźli". Ale kartoteki ma lub mógłby mieć u: kardiologów (jest po zawałach i wszczepieniu by-passów), pulmonologów (przewlekła obturacyjna choroba płuc), reumatologów, gastrologów (operacja trzustki).

Na ulicę trafił dekadę temu. Posypało mu się małżeństwo, dzieci do niedawna nie chciały go znać. Pali od 40 lat, wypił hektolitry alkoholu, brał narkotyki. Od około roku ma dach nad głową, nie pije i nie bierze. Ale problemy ze zdrowiem zostały.

– Najgorszy jest stres – mówi pytany, co w życiu bez domu najbardziej wpływa na stan zdrowia. – Śpi pan na klatce między ósmym a dziewiątym piętrem. Piąta rano. Kroki. Niepewność. Próbowałem tak się zakamuflować, żeby mnie nikt nie widział. Ale stres był zawsze. Piłem wtedy nie z tego powodu, że mi to smakowało, tylko dlatego, że nie potrafiłem zasnąć. Miałem organizm zniszczony myślami. Co jutro? Gdzie będę sikał? Skąd pieniądze? Jedzenie?

Jeśli wierzyć wynikom „Ogólnopolskiego badania liczby osób bezdomnych", w lutym 2019 r. było ich w Polsce nieco ponad 30 tys. To w zgodnej opinii przedstawicieli organizacji pomocowych liczba niedoszacowana, ale może dawać jako taki wgląd w strukturę grupy (jako taki, bo wśród badanych zabrakło np. osób zamieszkujących altanki działkowe). Co najmniej kilka tysięcy z tej grupy to przebywający poza instytucjami: na ulicach, klatkach schodowych, dworcach, w pustostanach.

Już wkrótce może się o nich zrobić – jak niestety co roku – głośno. Jeśli powtórzy się ubiegłoroczny trend, licznik ruszy w listopadzie (w 2018 r. 12 przypadków śmierci z wychłodzenia), ↦

↦ przyspieszy w grudniu i styczniu (odpowiednio 23 i 33 zamarznięcia), a wyhamuje w lutym (5 wypadków). Razem z policyjnymi tabelkami temat wróci do mediów – zwykle też w formie statystyk.

W pozostałe dziewięć miesięcy umierają bez rozgłosu. I chorują. Niby tak samo, a jakby inaczej. – Przede wszystkim szybciej. Kiedyś badałam głównie osoby po sześćdziesiątce, teraz coraz częściej między trzydziestką a pięćdziesiątką – mówi Maria Maciaszek, lekarka pierwszego kontaktu i szefowa Przystani Medycznej. – Charakterystyczne, że osoby w kryzysie bezdomności zwykle później dostrzegają objawy schorzeń. Są zajęci innymi rzeczami: zdobywaniem jedzenia, szukaniem miejsca do spania, przetrwaniem. Pewien badany przeze mnie pan nie miał świadomości, że ma złamaną nogę, która już się zaczęła zrastać.

Katarzyna Cholewa, inna krakowska lekarka – wolontariuszka Zupy i Przystani – opowiada historię młodej pary mieszkającej pod jednym z krakowskich mostów. Dziewczynę od dwóch tygodni boli brzuch i ma biegunkę, więc jej partner alarmuje znanych sobie już z wcześniejszych spotkań wolontariuszy Zupy. – Gdy przyjechałam i zbadałam ją w namiocie, z którego od tygodnia prawie nie wychodziła, wiedziałam już, że albo ma w jamie brzusznej dużego guza, albo jest w ciąży – opowiada Cholewa. – W pierwszej chwili zareagowała: „Żaden szpital!". Po długich przekonywaniach udało się. Dziewczyna urodziła następnego dnia, nie wiedziała wcześniej, że jest w ciąży. Ta para już dawno stanęła na nogi, wynajęli mieszkanie. Ich historia pokazuje, jak życie na ulicy osłabia czujność w stosunku do własnego organizmu.

Też jesteśmy ofiarami

– Lubię ludzi. Po prostu. Czy siedzi przede mną papież, czy pan Bogdan bez domu – wyznaje doktor Maria Maciaszek. Od 18 lat pracuje w tej samej przychodni POZ: przy ul. Rusznikarskiej w Krakowie. Tam przyjmuje również osoby bezdomne, nie bacząc na to, czy są ubezpieczone. To niejedyne jej miejsce pracy: kilka lat temu założyła fundację – wspomnianą Przystań Medyczną, która pomaga osobom w kryzysie bezdomności – i w placówkach, i na ulicy.

LEKARKA Z DUŻEGO MIASTA:

Karetka przywozi pana, mocno zaniedbanego. Na miejscu okazuje się, że został w tej karetce wymalowany na plecach flamastrem. Miał na ciele jakieś znaczki, kwiatki. Po co? Dla żartu.

– Lubienie wystarcza? – pytam doktor Maciaszek.

– Widzi pan, ja to widzę po twarzach lekarzy – odpowiada. – Czy zasłaniają nos, czy zwracają się do pacjenta po imieniu. Pogarda nie zawsze jest wyrażana wprost.

– Pan na Plantach powiedział mi, że lekarze traktują bezdomnych jak śmieci.

– Bo tak się zdarza! Powód jest prosty: czynnik ludzki. Praca w ochronie zdrowia to ciężki kawałek chleba. Trzeba mieć końskie zdrowie, żeby to wytrzymać. Zmianowość, ciągła adrenalina, stres. W dodatku szwankujący system. My też jesteśmy ofiarami.

– Ofiarami?

– Proszę uruchomić wyobraźnię. Jest pan dwudziestą godzinę na dyżurze, sfrustrowany i przemęczony. Wystawiony na cierpienie, ból, pretensje. Po tych godzinach już pan nie słyszy, że ktoś cierpi. Nie chce pan słyszeć. I nagle pojawia się pacjent. Nieludzko śmierdzi, wyzywa, jest pijany. Wymaga tomografii, bo się z kimś pobił. Za tym pacjentem jest kolejka. Powiem panu: nie jest to proste. Więc niektórym lekarzom włącza się frustracja.

– Pani ich usprawiedliwia?

– Nie, bo ten zawód wymaga czegoś więcej niż umiejętności i wiedzy. Musimy dbać o tę część nas, która pokonuje odruchy. Jesteśmy od tego, by ratować każdego człowieka. Każdego! A niewydolny system czasami wyciąga z nas to, co najgorsze.

Nie zawsze i nie wszędzie: nietrudno usłyszeć i inne przykłady. Doktor Maciaszek służy historią sprzed kilku tygodni: pacjent został bardzo dobrze i sprawnie obsłużony na SOR w krakowskim Szpitalu im. Żeromskiego.

– Podczas jednego z ostatnich dyżurów na Plantach rozmawiałem z kilkoma osobami, które powiedziały mi, że w Krakowie od kilku lat jest dużo lepiej – opowiada z kolei Karol Wilczyński ze Wspólnoty Hanna, innej działającej w Krakowie organizacji na rzecz osób w kryzysie bezdomności. – Byliśmy też niedawno z pewną panią na jednym z krakowskich SOR-ów. Przyjęli ją, mimo że miała 1,4 promila alkoholu we krwi.

– Znam wiele podobnych historii – dodaje Paweł Chachulski. – Np. pana, który leżał w szpitalu gruźliczym w Otwocku, a potem miał być przewieziony do naszego schroniska. Co tydzień przez około półtora miesiąca dzwoniłem, by zapytać, czy pacjent jest już gotów, i za każdym razem słyszałem, że lekarzom nie podobają się jego wyniki badań. Robili dla niego wszystko – nie bacząc na koszty oraz na to, że to osoba bezdomna.

System wykluczenia

Czynnik ludzki – nie tylko on decyduje o losie chorych. Także system.

Jego najniższy poziom – podstawową opiekę zdrowotną – osobom w kryzysie bezdomności rzadko zdarza się testować. – Przychodnie POZ aspirują do bycia „przyjaznymi dla wszystkich": od niemowlaków po seniorów – opowiada doktor Maciaszek. – Osoba bezdomna jest niewygodna, głównie ze względów higienicznych. Więc gdy się zgłasza, najczęściej słyszy, że „lista jest już zamknięta".

Bywa, że podobny mechanizm rządzi opieką szpitalną. – Osoba w kryzysie bezdomności wymaga często większego nadzoru, wnikliwszej diagnostyki, a czasem detoksu i zabiegów higienicznych – dodaje Maciaszek. – Więc szpital próbuje się tego „problemu" jak najszybciej pozbyć.

Ze szpitalami od lat zmaga się siostra Małgorzata Chmielewska, której Wspólnota Chleb Życia prowadzi dziewięć domów, m.in. dla osób w kryzysie bezdomności. Kilka z nich znajduje się w rejonie jednego z powiatowych szpitali. – Dotarł do mnie komentarz jego pracownicy: „Ta stara k... Chmielewska ciągle nam tu zwozi bezdomnych" – opowiada szefowa Wspólnoty. – To tak, jakbyśmy ro-

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI będzie gościem Pawła Sulika w Popołudniu Radia TOK FM w środę 6 listopada o godz. 15.40.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

bili szkole kłopot, przywożąc uczniów. Ja wiem, że w rejonie jednego szpitala jest kilka schronisk, ale przecież dostają za to pieniądze. I po coś są! Jeśli podjęli się tej pracy, to nie tylko po to, by leczyć na grypę zadbanych ludzi. Ostatnio przyszła do nas pani. Wypisała się ze szpitala na własne życzenie. I słusznie, bo nabawiła się tam odleżyny. Mówiła, że nikt się nią specjalnie nie zajmował, i ja jej wierzę. Przyjęcie osoby bezdomnej na oddział wiąże się niemal każdorazowo z walką.

– Nasz główny problem to Polska resortowa – uważa Piotr Mierzejewski, dyrektor Zespołu Prawa Administracyjnego i Gospodarczego w biurze Rzecznika Praw Obywatelskich. – Widać to już w momencie, gdy osoba w kryzysie trafia do szpitala. Jeśli jest niezadbana, nieumyta, to nie wiadomo, kto ma jej pomóc. Jest pracownik socjalny, ale zwykle tym się nie zajmuje. Jest personel medyczny, ale oni są od leczenia. Podobnie jest przy wypisie: pacjent wychodzi ze szpitala, będącego częścią ochrony zdrowia, i wpada do sfery, za którą odpowiada inny resort, ten od pomocy społecznej.

W marcu tego roku RPO alarmował: „Wciąż zdarzają się przypadki bezdomnych pacjentów, wypisywanych ze szpitali bez skierowania do schroniska dla osób bezdomnych świadczącego pomoc opiekuńczą (...) Osoby wymagające szczególnego wsparcia w okresie rekonwalescencji trafiają do miejsc do tego nieprzygotowanych: schronisk czy noclegowni". Tak właśnie stało się w przypadku dwóch bezdomnych pacjentów wypisanych w marcu tego roku ze Szpitala Praskiego. Przyczyny? Według RPO m.in. złe prawo. Głównie brak szybkiej, interwencyjnej procedury umieszczenia osoby bezdomnej w specjalistycznym schronisku.

Takich placówek jest w Polsce mało. Jedną z nich jest schronisko z usługami opiekuńczymi we Włochach. – Przyjmujemy ludzi, których nie mogą przyjąć inni – mówi Paweł Chachulski. – Z nowotworami, po udarach, wymagające pielęgnacji. W stolicy i jej okolicach schronisk jest dwadzieścia jeden, z tego dziesięć zapewnia usługi opiekuńcze. Ale nawet te nie mają zatrudnionych na stałe lekarzy, pielęgniarek czy rehabilitantów. My możemy sobie na to pozwolić, bo prowadzimy także hospicjum domowe i jesteśmy Niepublicznym Zakładem Opieki Zdrowotnej.

– U nas w schronisku na etacie jestem ja, dwoje pracowników socjalnych, kierowca i opiekun. Jak kilka osób choruje, to jesteśmy sparaliżowani – potwierdza Adriana Porowska.

„Przyszedł do nas kolejny człowiek – napisała niedawno na Facebooku. – Ma 55 lat, a wygląda na 70. Ledwo chodzi. Nie pamięta, kiedy jadł. Ma żółtą cerę. Zdecydowanie nie chce, aby wzywać karetkę (...) Nie znam się na medycynie. Nie potrafię sprawdzić tkliwości brzucha. Zaprzyjaźniony ratownik pomaga nam zdalnie opanować sytuację i podpowiada, co robić. Czuję, że zamiast specjalizacji z organizacji pomocy społecznej powinnam iść na medycynę (...) Cudownie by było zorganizować miejsce, w którym przyjmowaliby przyjaźni lekarze z pracownikami socjalnymi diagnozujący podstawowe potrzeby i kierujący ludzi do odpowiednich placówek albo szpitali".

Takie miejsce już jest: to stary budynek sąsiadujący z prowadzonym przez Misję schroniskiem. Ale jego stan wymaga remontu, a ten – pieniędzy.

S. Chmielewska może długo opowiadać o ludziach, którzy trafili do jednego z jej domów, choć nie powinni. – Np. przychodzi do nas ze szpitala pan z zaleceniem: izolacja. Jest nosicielem bakterii. Drugi pan też musi być izolowany, więc leży na korytarzu przy toalecie. Nie chce go wziąć ani ZOL, ani DPS. Albo inny mężczyzna: nie wie, jak się nazywa. Wymaga cewnikowania, mycia. Ci wszyscy ludzie nie powinni u nas być, ale jak ich się pozbędziemy, to trafią w próżnię!

Według szefowej Wspólnoty Chleb Życia polska ochrona zdrowia posiada jeszcze jedną cechę, która uderza w bezdomnych: iluzję wydolności tego systemu podtrzymują... rodziny pacjentów. – Odwiedzają w szpitalu, dokarmiają, potem załatwiają prywatnego lekarza, a na koniec opiekują się krewnym w domu – mówi s. Chmielewska. – Dlatego do wykluczenia nie jest nawet potrzebna pogarda: w tym ogólnie niewydolnym systemie najsłabsi tracą jako pierwsi. I będą tracić, dopóki nic się nie zmieni.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Katastrofa klimatyczna nie będzie długotrwałym procesem. Los naszego świata decyduje się teraz. Mamy mało czasu, aby ograniczyć zatruwanie atmosfery i wyhamować globalne ocieplenie. A jeśli nie zdążymy? **Czy to KONIEC ERY CZŁOWIEKA?**

„Tygodnik Powszechny" i Nowy Teatr zapraszają na TrzePak w Nowym

W dyskusji wokół tematów poruszanych w premierowym wydaniu specjalnym „Halo, tu Ziemia" udział wezmą Ewa Bińczyk, Agata Kasprolewicz i Łukasz Lamża.

Do zobaczenia w **czwartek 14 listopada o godz. 18.30** w Nowym Teatrze przy ul. Madalińskiego 10/16 w Warszawie.

Wydanie specjalne do nabycia tylko w sklepach z dobrą prasą oraz na powszech.net/ziemia

NOWY TEATR | TYGODNIK POWSZECHNY | FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ANNA

Dziewit-Meller:
Tka, tkę, tki

Żeńskie końcówki powracają do debaty publicznej z pewną regularnością, zazwyczaj w tej samej formie, określonej – uznanym przez wszystkie strony wszelkiego sporu – słowem „gównoburza". Słowem niby nowym, niby będącym prostacką kalką z angielskiego *shitstorm*, niby nawet wulgarnym, a jednak mimo tych wad tak doskonale zaadaptowanym w dyskursie, jakby je nam sam Jan Kochanowski darował w swej słynnej, pisanej pod czarnoleską lipą fraszce „Na fejsbuka".

Nie wszystkie jednak słowa występujące w rodzaju żeńskim mają tyle szczęścia. Feminatywy, niby tylko małe niepozorne końcóweczki, krótkie zbitki liter, a ile z wami ojczyzna ma teraz problemu!

Ostatnio „architektki", „adiunktki" i „gościnie" przemazywały się przez publiczne dyskusje tak gremialnie w roku 2012, bo to wówczas postawiona pod ścianą Rada Języka Polskiego orzekła, by feminatywów używać, jak ktoś chce, albo nie używać, jak komu nie pasują, i się zobaczy potem, czy się przyjmą. Wbrew bowiem jaczejkom domorosłych prawackich językoznawców język to żywa sprawa i nieustająco się zmienia, a czasem nawet zaczyna dążyć do pewnego wyrównania w mniej wyrównanych do tej pory obszarach. Jest więc ryzyko, że zacznie się zmieniać, bo połowa mieszkańców Polski to mieszkanki Polski i niektóre z nich odczuły w końcu pewną niespójność swojej treści ze swoją formą, widząc siebie jednak bardziej pisarką niż pisarzem, architektką niż architektem etc.

Jaczejki szczególnie aktywne są przy „posłankach", „reżyserkach" i „adiunktkach", ale – jak słusznie zauważyła analizująca aktualną awanturę pisarka Renata Lis – słabo walczą z problemem słów takich jak „pielęgniarka", „sprzątaczka" i dajmy na to „przedszkolanka", czyli na froncie zawodów tradycyjnie sfeminizowanych i (dlatego) słabo opłacanych. Czyli jak zawsze to samo – klasa, kasa, dystrybucja prestiżu i kontrola.

A taka na przykład „himalaistka"? Byłoby to słowo możliwe do przyjęcia? Ot, choćby dla poseł Krystyny Pawłowicz, której przecież słowo „posłanka" stawało w gardle niczym źle pogryziony kawałek ziemniaka z sałatki kartoflanej? Zdaje się bowiem, że „himalaistka" musi oznaczać kogoś innego od „himalaisty" i mam na to dowody.

45-letnia Lhakpa Sherpa zdobyła Mount Everest już dziewięciokrotnie, co czyni ją mistrzem świata pośród kobiet (mistrzynią?). Wychowała się w nepalskiej wiosce w regionie Makalu, pośród jedenaściorga rodzeństwa, tata prowadził tam herbaciarnię, mama wychowywała tę potężną gromadę w domu bez prądu i bez pomysłu na prawo do edukacji dla córek. Lhakpa – podobnie jak jej rodzeństwo – zaczęła się więc wspinać, już jako nastolatka pomagała wujowi w organizacji wypraw dla himalaistów z Zachodu (możliwe, że również dla himalaistek).

Góry stały się dla niej największą miłością i obsesją, ale także wielką szansą, z której skorzystała, zdobywając mistrzostwo. Choć zarzekała się, że nie wyjdzie nigdy za mąż, na jednej z wypraw poznała swojego przyszłego męża i razem z nim wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Niestety ukochany okazał się klasycznym domowym tyranem, któremu bicie żony przychodziło łatwo nawet na wspólnych wyprawach w Himalaje. Lhakpa uciekała więc z domu, szukając schronienia w przytułkach dla samotnych kobiet, tułając się po Ameryce z trójką dzieci, do których miała już teraz wyłączne prawo, bowiem sąd pozbawił ojca praw rodzicielskich.

By móc żyć i trenować, mistrz świata (mistrzyni?) w himalaizmie (himalaistka?) Lhakpa Sherpa pracuje obecnie na zmywaku (pomywaczka?) w sieci Whole Foods. Reporterowi „Guardiana" Megan Mayhew Bergman (reporterce?), która odwiedziła ją w jej domu, powiedziała niedawno, że wspinaczka to dla niej ucieczka od zmywaka. Bez zmywaka i innych dodatkowych prac, typu mycie podłóg w biurach (sprzątaczka?), ciężko byłoby jej po prostu utrzymać rodzinę, prowadzenie biznesu wspinaczkowego bez jakiegokolwiek wsparcia nie jest proste, zwłaszcza kiedy się jest samotną matką.

Lhakpa usiłuje właśnie zorganizować kolejną, jubileuszową wszak dla siebie, dziesiątą wyprawę na dach świata, ale himalaistce z Nepalu żyjącej w Ameryce za najniższą krajową, próbującej wiązać koniec z końcem, by wyedukować swoje trzy córki, łatwo nie jest. Nawet jeśli jest mistrzem tego świata (mistrzynią?). Znacznie fajniej jest być po prostu himalaistą niż himalaistką, daj Boże jeszcze niepochodzącym z żadnej kolorowej mniejszości, wtedy to już w ogóle nic tylko się wspinać, nie narzekać.

Odpowiednie dać rzeczy słowo, powiadał poeta, i coś w tym może być. Panowie! My, panie, mówimy wam – pora wpuścić więcej światła (mehr Licht!) i pokazać w języku całą złożoność świata, który nas otacza. Jest bogaty również w doświadczenia inne niż te zdobyte niegdyś przez białych heteroseksualnych mężczyzn. Polacy nie gęsi i swój język mają, ale Polki też by chętnie w tym języku w końcu się odnalazły. Podpisano uprzejmie: Anna Dziewit-Meller, pisarka, felietonistka, dziennikarka, politolożka, absolwentka, matka, córka, siostra, wnuczka, kobieta. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

Podkast Powszechny

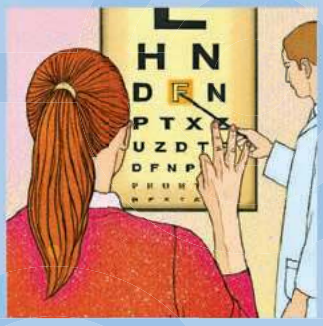

Autorski podkast
„Tygodnika Powszechnego”

Od jajka do kosmosu.
Od Hańby! do „Gry o tron”.
Od sztucznej inteligencji do Boga.
Od psychologii do polityki.
I dużo dalej.

A także o kryzysie klimatycznym, życiu osób głuchych, religii, prawach zwierząt, leczeniu niepłodności, mniejszościach, literaturze i futbolu kobiet. A nawet mężczyzn.

Zapraszają: Michał Kuźmiński, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Marcin Żyła.

weź, słuchaj!

powszech.net/podkast

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. WIKIMEDIA COMMONS // ŁUKASZ GIZA // GRAŻYNA MAKARA // ŁUKASZ SZCZEPAŃSKI / REPORTER // FREEIMAGES.COM // PETTER ARVIDSON / EN // MAGDA WOLNY

WIARA

RELIGIA TO LEKCJA

KS. DAMIAN WYŻKIEWICZ,
NAUCZYCIEL RELIGII WYRÓŻNIONY W KONKURSIE NAUCZYCIEL ROKU 2019:

Zbyt często na lekcjach religii narzuca się uczniom jedną interpretację i odpowiedź, zamiast razem poszukiwać drogi. To indoktrynacja.

IGNACY DUDKIEWICZ: Zacznijmy od wyliczanki. Religia w szkole – dobry pomysł?
KS. DAMIAN WYŻKIEWICZ: Dobry.

Wliczanie ocen z religii do średniej?
Dobry.

Religia na maturze?
Zły.

Czy religia powinna być na pierwszej lub ostatniej lekcji?
Póki istnieje możliwość, by nie chodzić ani na religię, ani na etykę, to tak.

A dlaczego religia w szkole to dobry pomysł?

SŁAWOMIR OLZACKI / FORUM

Peregrynacja obrazu i relikwi św. Stanisława Kostki. Lekcja religii dla uczniów szkoły podstawowej, Maków Mazowiecki, kwiecień 2018 r.

Teologia jest częścią wiedzy. Warto, żeby uczniowie znali podstawowe informacje także z tej dziedziny. Chodzi o podstawy pozwalające lepiej zrozumieć świat i kulturę, w której żyjemy. Polskie społeczeństwo ma bardzo niski poziom wiedzy biblijnej czy teologicznej. Człowiek wykształcony powinien mieć zaś jakikolwiek kontakt z podstawowymi pojęciami religijnymi, teologicznymi, z biblistyką. Inaczej jest ignorantem – niezależnie od tego, czy wierzy, czy nie. I temu służy religia w szkole.

Wyłącznie przekazywaniu wiedzy?
Zdecydowanie. Nie powinniśmy ze szkoły robić kościoła, organizując w niej nabożeństwa, przynosząc relikwie czy odprawiając mszę.

Modlicie się na początku lekcji?
Tak, ale krótko. Zawsze zaczynamy tradycyjnym „Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu". To tyle. Nikt dotąd nie zgłaszał pretensji z tym związanych. Myślę, że w tej formie nie jest to zwyczaj opresyjny.

Wielu nauczycieli religii próbuje jednak przekazywać na lekcjach nie tylko wiedzę, ale także wiarę.
To do końca nie jest możliwe – chyba że poprzez przykład swojego życia. W planie lekcji jest napisane „religia", nie „katecheza", która obejmuje także wtajemniczenie chrześcijańskie. W szkole nie sposób tego osiągnąć. To zadanie dla parafii! Bo co mam zrobić, gdy na moje zajęcia trafia osoba niewierząca albo muzułmanin? Powinien otrzymać konkretną wiedzę. Tym bardziej że tej często brakuje także osobom wierzącym. Bywa, że wiedza tych, którzy przychodzą do liceum po katolickich gimnazjach i podstawówkach, bywa większa, ale także bardzo schematyczna i wyuczona. To są zapamiętane formułki, powtarzane niekiedy bez zrozumienia.

Musi czasem Ksiądz prostować rozumienie podstawowych spraw?
Przede wszystkim w dziedzinie biblistyki. Wielu uczniów jest przekonanych, iż Pismo twierdzi, że wszyscy pochodzimy z kazirodczych związków dzieci Adama i Ewy. Nie dostrzegają w tej opowieści narracji. Przykład Kaina, który po zabójstwie brata boi się wejść do miasta pełnego ludzi, jest pewnym zaskoczeniem dla uczniów. Bo skąd ci ludzie się wzięli?

Przychodzą do Księdza osoby niewierzące i innych wyznań na lekcje?
Jest ich kilka. Chcą uczestniczyć, bo twierdzą, że wiele się dowiadują, wiedzą, że mogą wyrazić swoje zdanie, że zajęcia są przygotowane i do czegoś prowadzą.
Bo jeśli kogoś chce się przyciągnąć do Kościoła, to można jedynie proponować. Niczego nie wolno w tym względzie uczniom narzucać.

To przejście między przekazaniem wiedzy w szkole a wtajemniczeniem w kościele jest w ogóle możliwe?
Wyłącznie przez relacje osobowe. Nie epatuję w szkole swoim „księżostwem", choć chodzę w koloratce. Zawsze mówię uczniom: „jestem księdzem, mogę udzielić sakramentów, mogę was spowiadać, zaprosić na nabożeństwo, wprowadzić w życie chrześcijańskie". Składam propozycję, ale decyzja musi należeć do nich. Cieszy mnie, kiedy na rekolekcje, które organizuje seminarium księży misjonarzy w Krakowie, jadą także moi uczniowie. Ale nikogo z tego nie rozliczam. Bo młodzież wtedy odnajduje swoją drogę do Kościoła, kiedy nie jest do tego przymuszana – ani przez rodziców, ani przez szkołę. Wówczas decyzja młodego człowieka o uczestnictwie w lekcjach religii czy w życiu Kościoła staje się bardziej dojrzała, dzięki czemu dojrzewa także sam Kościół. Choć statystyki mogą się nie zgadzać. Gdy wszystko dzieje się w wolności, na lekcje religii czasem przychodzi mniej osób.

Skąd się zatem bierze ta pokusa krzewienia w szkole wiary?
Z pomieszania pojęć. Z próby zaspokojenia oczekiwań i kuratorium, i kurii. Owszem, otrzymuję misję kanoniczną od biskupa, ale jednocześnie podpisuję umowę z dyrektorem szkoły. Niektórzy nie umieją odnaleźć się w tych dwóch porządkach jednocześnie, zrozumieć swojej roli.

Czym to skutkuje?
Na ogół dwiema skrajnościami. Albo fanatyzmem religijnym i próbą przymuszania uczniów do praktyk religijnych, ↦

albo strachem przed trudnymi pytaniami. Niektórzy katecheci tylko puszczają filmy albo pytają: „to o czym chcecie gadać?". Jest wówczas oczywiste, że nauczyciel nie jest przygotowany do zajęć. W kościele, w którym służę, są ministranci, którzy nie chodzą na religię właśnie z takich powodów, bo twierdzą – podobnie jak ich rodzice – że to strata czasu. I ja się im nie dziwię.

Może łatwiej byłoby połączyć przekaz wiedzy z wtajemniczeniem, gdyby lekcje religii odbywały się w kościołach?

Nie w tym rzecz. Moja mama pochodzi z Jasła, z Podkarpacia. Opowiadała, że w latach 80., na tych pobożnych terenach na religię do parafii przychodziło po 5-6 osób z 30-osobowej klasy. Przekonanie, że jeśli wrócimy z lekcjami religii do parafii, to młodzież na nie wróci, jest mitem.

Jeśli chcemy proponować młodzieży zaangażowanie przy parafii, powinny przy niej istnieć konkretne propozycje, a nie jedna, nieokreślona grupa duszpasterska. Bo nawet jeśli dany ksiądz będzie na tyle charyzmatyczny, że wokół niego zgromadzą się młodzi ludzie, to stanie się on idolem. A kiedy go zabraknie, to i młodzi znikną.

To co robić?

Powinniśmy proponować młodym różne formy zaangażowania i rozwijania wiary. Jeśli chcą być harcerzami, niech będą harcerzami. Jeśli chcą działać charytatywnie, niech angażują się w Caritas. Jeśli chcą rozwijać praktyki medytacji chrześcijańskiej, zaproponujmy im to. Ale żeby to zrobić, musimy mieć z młodymi styczność. Często zaś pierwszym kontaktem ucznia z Kościołem jest właśnie spotkanie z katechetą w szkole.

To nie zawsze pomaga. Czasem wręcz odstrasza.

Wszystko zależy od tego, kim ten ksiądz jest. Czy jest wykształcony i kontaktowy, czy zamknięty i niedouczony. Wielu księży i sióstr zakonnych jest przymuszanych do uczenia w szkole, niezależnie od tego, czy tego chcą i czy się do tego nadają. To paranoja. Nie każdy teolog będzie dobrym dydaktykiem. Nie każdy dobry dydaktyk tak samo nadaje się do pracy z klasami 1-3 podstawówki, jak i z licealistami.

A jednak księża trafiają do szkół niemal automatycznie.

To wielki błąd. Ale nie ma kim ich zastąpić. Skoro mamy mieć dwie lekcje religii w tygodniu w szkole, to ktoś musi je prowadzić. W efekcie bierze się, kogo popadnie.

Może nie potrzebujemy dwóch lekcji tygodniowo?

To bardzo ważne pytanie, nad którym powinniśmy się bez uprzedzeń zastanowić, zwłaszcza w kontekście sytuacji z podwójnym rocznikiem w szkołach średnich. Naprawdę trudno jest wcisnąć w plan drugą godzinę religii. Czuję zresztą zażenowanie, gdy widzę, że uczniowie mają jedną godzinę fizyki w tygodniu, a religii dwie. Znajmy proporcje.

Wielu katechetów, a także profesorów katechetyki twierdzi, że w podstawówce dwie godziny religii mają sens. W szkole średniej wystarczyłaby natomiast jedna lekcja porządnie przeprowadzona przez nauczyciela z umiejętnościami i przekonaniem, który umiałby do młodych trafić.

Jak to osiągnąć?

Po pierwsze, trzeba mówić językiem ich świata.

Czyli jakim?

Operować pojęciami, które znają. Dostosowywać się do ich możliwości i sposobów wyrazu. Gdy rozmawialiśmy o tym, co oznacza wszechmoc Boga i to, że ma On w sobie pełnię, usłyszałem od ucznia: „czyli Bóg ma wszystko na maksa". I to jest w porządku, nawet jeśli później dodaję, że każdy język opisu Boga jest niewystarczający. Gdybym jednak używał tradycyjnych pojęć teologicznych czy filozoficznych, to byśmy się nie dogadali.

Powinniśmy też walczyć z kaznodziejskimi naleciałościami, jak mówienie o pochylaniu się, ujmowaniu, kroczeniu i spożywaniu. Naprawdę zdarza się, że uczeń pyta, co to znaczy, że „Chrystus spożywał". Lepiej użyć zwyczajnych słów, porównań, nie mówić ponad głowami uczniów.

Po drugie, religia powinna być interdyscyplinarna.

Co to znaczy w praktyce?

Bywam zapraszany na lekcje języka polskiego, by opowiedzieć o Księdze Rodzaju. Jestem filozofem z wykształcenia, opowiadam więc także o historii filozofii XIX wieku. Sam zapraszam nauczycieli oraz osoby z zewnątrz, by pogłębiły na moich lekcjach pewne zagadnienia.

Stworzyłem własny schemat, który realizuję od kilku lat. Lekcje religii zawsze zaczynam od psychologii – od zajęć o mechanizmach obronnych, komunikacie „ja", kodach emocjonalnych. Dzięki temu uczymy się rozpoznawać samych siebie. Następnie przechodzimy do filozofii, później do etyki, a dopiero na koniec docieramy do rozmowy o Biblii i teologii.

W seminarium, zanim zaczynamy zajmować się teologią, też najpierw przez dwa lata studiujemy filozofię. To odpowiednia kolejność. Nie rozumiem, dlaczego w liceum, czyli szkole pre-akademickiej, z tego nie korzystać. Zamiast tego uczniów się indoktrynuje.

Mocne słowo.

Ale adekwatne. Zbyt często na lekcjach religii narzuca się uczniom jedną interpretację i odpowiedź, zamiast razem poszukiwać drogi. Co gorsza, wiele osób w liceum słyszy dokładnie to samo, co w gimnazjum. Dlatego tak wielu uczniów wypisuje się z tych zajęć. Sam bym nie chciał na nie chodzić.

Młodzieży często brakuje spojrzenia na wiele spraw z dwóch stron. Również moją rolą jest to, żeby im to umożliwić – pokazać argumenty za i przeciw. Także po to, by ostatecznie młody człowiek mógł w swoim sumieniu, którego prymat uznajemy, zdecydować o swoim podejściu do danej kwestii. Będzie znał doktrynę katolicką, ale także inne poglądy. Myślę, że niektóre problemy z religią w szkole biorą się właśnie z tego, że nie wierzymy w sumienia młodych ludzi.

Księdza oponenci powiedzą, że oni oczywiście chcą, żeby młodzi działali w zgodzie z sumieniem. Tyle tylko, że „prawidłowo uformowanym".

Cóż to dokładnie znaczy? Człowiek musi być traktowany jako dojrzały podmiot, a nie tylko przedmiot naszego działania. Również dziecko czy nastolatek. Przecież także Katechizm Kościoła Katolickiego się zmienia. Parę paragrafów zmienił w nim Benedykt XVI, Franciszek zmodyfikował nauczanie na temat kary śmierci. Wszyscy poszukujemy. Warto zaufać młodym ludziom, że oni też chcą uczciwie szukać. I im to umożliwić. Ina-

czej zajmujemy się nie nauczaniem, lecz właśnie indoktrynacją.

To widać nawet w podstawie programowej. O sprawach bioetycznych rozmawiam z uczniami dopiero w klasie maturalnej. Nie rozumiem podręczników, które zalecają podejmowanie tych tematów na etapie późnej podstawówki. Ktoś, kto chce rozmawiać z ósmoklasistami o eutanazji, zapomniał o psychologii rozwojowej i możliwościach asocjacji wiedzy na różnych etapach życia. To nie służy dojrzałemu kształtowaniu postaw i poglądów.

Właśnie po to, by wspólnie szukać, otworzył Ksiądz w szkole klub dyskusyjny „Więzi"? To nieoczywisty wybór patronackiego środowiska w polskim Kościele.

Chciałem ożywić życie w naszej szkole, zapraszać do niej gości, organizować debaty. Jest to coraz trudniejsze w obliczu przeładowania planu zajęć, ale staram się nie poddawać. A środowisko „Więzi" lubię. Jest mi ideowo najbliższe, okazało się także, że wielu nauczycieli ją czyta, a pani dyrektor jest sympatyczką Klubu „Tygodnika Powszechnego". Okazuje się, że wielu osobom takie spojrzenie na Kościół jest niezwykle bliskie. Chciałem się nim podzielić także z młodzieżą.

A czy młodzież sama czasem chciałaby o czymś porozmawiać?

Zdarza się. Często mówię im wtedy, że jeżeli chcemy o tym pogadać na poważnie, to muszę mieć czas, żeby się przygotować. W ostatnich miesiącach było takich sytuacji wiele. Młodzież chce na przykład rozmawiać o przestępstwach seksualnych w Kościele. Jestem po zajęciach z ojcem Adamem Żakiem, więc czuję się do tych rozmów gotowy. Ale nie z każdym tematem tak jest. Nauczyciel musi się ciągle dokształcać. Nawet jeśli jest bardzo sympatyczny, to najważniejsze jest to, czy jest kompetentny. Na samej sympatyczności nie zajedziemy daleko.

Ale znów: pozwala ona na nawiązanie pierwszego kontaktu.

To też prawda. Wielu młodych, kiedy słyszy o skandalach w Kościele, nie chce mieć z nim nic do czynienia. Potrafi się to zmienić, gdy zobaczą, że ksiądz nie jest taki straszny, że jest zaangażowany, robi klub dyskusyjny, ma opinię normalnego gościa. Wtedy pojawia się zainteresowanie i otwartość. Ale to wymaga czasu i nakładu sił. I nie zawsze się udaje. Słyszę czasem: „szanuję księdza, bardzo się cieszę, że jest ksiądz wykształcony i aktywny, ale reprezentuje ksiądz instytucję, która mi się nie podoba". Co mogę wtedy powiedzieć? Jedynie przeprosić za moich braci i siostry, którzy czynią zło. Młodzież nie widzi w Kościele miejsca, w którym mogłaby realizować swoje potrzeby duchowe.

KS. DAMIAN WYŻKIEWICZ CM
(ur. 1986) należy do Zgromadzenia Księży Misjonarzy św. Wincentego a Paulo. Filozof i teolog, doktorant w IFiS PAN. Duszpasterz młodzieży w warszawskiej parafii Świętego Krzyża i katecheta w Zespole Szkół nr 22 im. E. Konopczyńskiego w Warszawie. Kapelan wspólnot ruchu Wiara i Światło. Został wyróżniony w konkursie Nauczyciel Roku 2019 zorganizowanym przez „Głos Nauczycielski".

I gdzie wtedy szuka?

Albo w innych religiach, na przykład Wschodu, albo w kulturze, albo zwyczajnie obojętnieje. Nie szuka w ogóle. Również dlatego zmieniłbym w polskim systemie jedno: nie pozostawiałbym uczniom możliwości niechodzenia na żadne zajęcia – ani na religię, ani na etykę. Bo uczniowie są pragmatyczni i często, gdy mogą, wolą mieć wolne. Uważam, że jeśli ktoś nie chodzi na religię, to warto, by dostał porządną edukację filozoficzną i etyczną na innych lekcjach.

Psychologowie twierdzą, że młodzież jest obecnie wyjątkowo pogubiona, często samotna, pozbawiona punktów oparcia i trwałych relacji. Czy lekcje religii mogą odpowiadać na egzystencjalne potrzeby uczniów?

Jedynie pod warunkiem, że katecheta współpracuje z pedagogiem i psychologiem. Nie należy przekraczać swoich kompetencji. Jestem nauczycielem, dydaktykiem i duszpasterzem. Ale zdarza się, że robię swego rodzaju pierwszy wywiad, a następnie sugeruję uczniowi poszukanie wsparcia u psychologa. Niektórzy uczniowie mają zaufanie do księdza, co może mu pozwolić na reakcję i udzielenie wsparcia. Ale trzeba pamiętać o swoich ograniczeniach. Chyba że mówimy o sprawach związanych z relacją z Bogiem, problemami z modlitwą i tak dalej. Wtedy jestem w stanie pomóc.

A jeżeli słyszy Ksiądz słowa: „nie wiem, co zrobić z moim życiem, bo rodzice nakładają na mnie olbrzymią presję, z którą sobie nie radzę"?

Trzeba takiej osobie towarzyszyć. Spotykałem się z takimi przypadkami. Zdarzało mi się zapraszać na rozmowę rodziców. I czasem przynosi to efekty, udaje się wspólnie wypracować drogę poprawy sytuacji i uzdrowienia relacji w rodzinie. To jednak pojedyncze sytuacje.

Kiedyś chodził do mnie na kółko chłopak, który mówił, że bardzo lubi filozofię, ale nie bardzo ją rozumie, bo jest „typowym matematykiem". Później okazało się, że ma problemy egzystencjalne. Poradziłem mu konsultację psychologiczną. I psycholog zdiagnozował u niego zespół Aspergera. W wieku dziewiętnastu lat, na pół roku przed maturą! Wcześniej nikt tego nie zauważył. To tylko pokazuje, jak potrzebna jest współpraca między wszystkimi osobami pracującymi w szkole. Tego często brakuje. Słyszę niekiedy, że w niektórych szkołach ksiądz pojawia się na radzie pedagogicznej od wielkiego dzwonu. Pytam wtedy: czy on pracuje w tej szkole i bierze na siebie związane z tym obowiązki, czy też jest w niej bezkarny? Inni nauczyciele też mają wiele spraw do załatwienia, mają rodziny i dzieci. Kiedy słyszę, że ksiądz nie idzie na radę, bo ma różaniec o 17.00, to myślę, że niepoważnie traktuje swoje obowiązki. Albo niech znajdzie dla siebie zastępstwo, albo niech nie bierze pieniędzy ze szkoły.

© Rozmawiał IGNACY DUDKIEWICZ

IGNACY DUDKIEWICZ *jest redaktorem naczelnym magazynu „Kontakt" (www.MagazynKontakt.pl).*

Ekumeniczna jesień

KAROL WILCZYŃSKI

Ostatnio w Kościele rzymskokatolickim coraz częściej zapominamy, że jesteśmy wspólnotą większościową i że w głównej mierze to od nas zależą dobre relacje ze wspólnotami innych Kościołów.

Tegoroczne Święto Reformacji uzyskało dodatkowy kontekst. 20 lat temu 31 października katolicy i luteranie podpisali jeden z najważniejszych dokumentów w historii ekumenizmu: Wspólną Deklarację w Sprawie Nauki o Usprawiedliwieniu. Deklaracja pokazała, że dzisiaj nie ma już poważnych różnic w rozumieniu teologii usprawiedliwienia człowieka przez Boga, która pięć wieków temu tak bardzo podzieliła chrześcijan w Europie. Skoro zniknął jeden z najważniejszych powodów podziału, wydawałoby się, że powinno nas to do siebie zbliżyć. Fakt, że poza jednym wyjątkiem w tegorocznym Święcie Reformacji w Polsce nie uczestniczy żaden z rzymskokatolickich hierarchów mimo dodatkowej okazji jubileuszu Wspólnej Deklaracji, daje jednak do myślenia.

Katolicka odpowiedzialność

Po raz drugi wyjątkowe obchody przeżywa parafia ewangelicko-augsburska (luterańska) św. Mateusza w Łodzi, gdzie w chwili oddawania tego artykułu do druku na nabożeństwie w Święto Reformacji homilię głosi abp Grzegorz Ryś, rzymskokatolicki metropolita łódzki.

– Przecież to normalne, że gdy sąsiedzi świętują, to świętujemy razem z nimi. A może jest to normalne tylko dla mnie, wychowanego na Śląsku Cieszyńskim? – mówi „Tygodnikowi" zwierzchnik Kościoła ewangelicko-augsburskiego w RP, bp Jerzy Samiec.

– W wielu wspólnotach katolickich, przede wszystkim w Niemczech, nie ma problemu ze świętowaniem Reformacji – zauważa ks. Andrzej Perzyński, profesor UKSW, inicjator Polskiego Forum Chrześcijańskiego. Przypomina on, że papież Franciszek dwa lata temu świętował 500-lecie Reformacji w szwedzkim Lund.

Zaproszenie do wygłoszenia homilii abp Ryś otrzymał od proboszcza parafii ewangelicko-augsburskiej w Łodzi, ks. Michała Makuli. – Niewielka odległość pomiędzy katolicką katedrą św. Stanisława Kostki a ewangelickim kościołem św. Mateusza sprawia, że jesteśmy skazani na sąsiedztwo – przyznaje ks. Makula.

Łódź jest obecnie wyjątkowym miejscem na mapie polskiej ekumenii. Miejscowy metropolita niedawno przypomniał, jak duża odpowiedzialność leży na katolikach tworzących w Polsce największą wspólnotę religijną. „Tyle będzie ekumenizmu, ile go będzie dawał Kościół katolicki" – powiedział abp Ryś.

Ks. Makula opowiada, jak po raz pierwszy spotkał nowego metropolitę Łodzi tuż po jego nominacji. – Byłem wtedy u proboszcza katedry katolickiej, ks. prał. Ireneusza Kuleszy, na spotkaniu Ekumenicznej Kapituły nagrody „Serce Łodzi" – wspomina ks. Makula (kapitułę tworzą przedstawiciele Kościołów rzymskokatolickiego, ewangelicko-augsburskiego, prawosławnego i gminy żydowskiej). – Nagle do gospodarza zadzwonił telefon, że przyjeżdża nominat, więc jest prośba, by zszedł pilnie do kurii. Ks. Kulesza odpowiedział, że niestety teraz nie może, bo u niego odbywa się ekumeniczne spotkanie i że przyjdzie, jak się zakończy – mówi ks. Makula.

– Nie minęło 5 minut i do drzwi proboszcza dzwoni dzwonek, a w drzwiach stanął abp Grzegorz Ryś i bp Marek Marczak. Abp Ryś powiedział, że skoro takie grono obraduje przy katedrze, to musiał przyjść się przedstawić – opowiada łódzki proboszcz luterański. Jak pokazują ostatnie dwa lata działania, nie skończyło się na wzajemnym zapoznaniu się.

Antyekumeniczne trendy

Niestety, nie wszyscy księża i biskupi są na tyle otwarci, by odwiedzać protestanckich sąsiadów, nie mówiąc już o wspólnym głoszeniu Słowa. Bp Samiec zauważa nowe „trendy antyekumeniczne", po tym jak w 2017 r. Sejm RP nie przyjął uchwały o upamiętnieniu 500-lecia Reformacji (co skrytykował abp Ryś).

Podczas ostatniego posiedzenia IX kadencji parlamentarzyści przyjęli uchwałę dotyczącą „aktów nienawiści i pogardy antykatolickiej". Nie wspomnieli o innych grupach wyznaniowych. Również ten akt Sejmu RP spotkał się z negatywną oceną bp. Samca: – Jestem przekonany, że wielu katolików z księżmi i biskupami na czele czuje się zażenowanych uchwałą o pogardzie antykatolickiej – twierdzi. – Dziwię się większości parlamentarnej, że nie poszerzyła tej uchwały o wystąpienie przeciw wszelkim aktom nienawiści i pogardy. Wtedy byłby to krok w dobrym kierunku.

Przypomina również słowa Jana Pawła II, które padły w luterańskim kościele Świętej Trójcy w 1991 r.: „Tolerancja to za mało". Podobnie uważa ks. Perzyński, który zwraca uwagę, że z aktami nienawiści spotykają się w Polsce wyznawcy wielu religii, np. Żydzi: – Dlaczego twórcy uchwały wyodrębnili tylko katolików?

Jak przyznaje zwierzchnik polskich luteran, boi się o przyszłość Polski i świata: – Do głosu dochodzą coraz częściej ekstremiści, którzy widzą tylko czubek własnego nosa. Twierdzenia, że posiada się monopol na prawdę, zawsze ma się rację, a wszyscy inni się mylą, doprowadzają w konsekwencji do twierdzeń, że jest się kimś lepszym. A skoro ktoś uzurpuje sobie, że jest lepszy, to musi być też ktoś, kto jest gorszy, głupszy itd. Wszyscy wiedzą, dokąd ta narracja prowadzi.

Nieodpowiedzialne słowa

Co wpłynęło na pogorszenie się klimatu ekumenicznego? Bp Samiec mówi o procesie podważania poprawności politycznej, za którą kryje się odpowiedzialność za słowo: – Dziś prym wiodą politycy, którzy zamiast dbać o odpowiedzialność i dobro wspólne, bardziej troszczą się o słupki sondażowe. Więcej: sankcjonują oni język antychrześcijański w pozornej trosce o państwo – mówi zwierzchnik polskich luteran, przypominając o koniunkturalnym przymykaniu oczu na przemoc różnych grup. – Nie mogę pojąć, że można palić kukły wyobrażające np. Żydów, że można wieszać na szubienicach portrety europosłów, że można wystawiać akty

TWITTER / TOGETHER IN HOPE

Podpisanie Wspólnej Deklaracji w Sprawie Nauki o Usprawiedliwieniu między Kościołem katolickim i Światową Federacją Luterańską, Augsburg w Niemczech, 31 października 1999 r.

zgonu przeciwnikom politycznym i właściwie nic się nie dzieje.

– Nie chciałbym, by Kościół katolicki dawał się tak łatwo rozgrywać na politycznym forum – podkreśla ks. Perzyński, wskazując, że wykorzystywanie religii większościowej przez nacjonalistycznych polityków to trend światowy.

Problem nie dotyczy jednak wyłącznie polityków, ale również ludzi Kościoła: – Niestety, niektórzy hierarchowie zamiast nawoływać do zgody, budowania mostów oraz miłości do bliźnich, wznoszą zasieki i podgrzewają agresję choćby ze względu na czyjeś preferencje seksualne. Nic nie usprawiedliwia takich wystąpień. Nawet jeżeli sami czują się atakowani, to przecież jedna z naczelnych zasad chrześcijaństwa głosi: zło dobrem zwyciężaj – wskazuje bp Samiec.

Kontakt to za mało

W mało sprzyjającym klimacie ważne okazują się kontakty oddolne. Ks. Makula przypomina inicjatywy ekumeniczne, które doprowadziły do spotkania wielu katolików i protestantów: Ekumeniczną Pielgrzymkę do Ziemi Świętej, Ekumeniczną Szkołę Biblijną czy wspólną inaugurację Wigilijnego Dzieła Pomocy Dzieciom. Ekumenizm oparty na bezpośrednim doświadczeniu i spotkaniu dotyczy również duszpasterzy. Jak przyznaje ks. Makula: – Często w trudnych momentach, a kilka ich było, dzwoniłem do mojego kolegi, księdza katolickiego. To był odruch. Wiem, że mnie wysłucha, da podpowiedź albo nawet konkretnie zadziała.

– Ważna, jeśli nie kluczowa, jest świadomość, że ekumenizm nie jest jakimś projektem, który sobie sprytnie i nabożnie wykoncypowaliśmy dla zebrania punktów – mówi bp Samiec.

Według niego ekumenizm to przede wszystkim „powołanie" i „wyzwanie": – Nie musimy być wszyscy tacy sami, wolno się nam różnić – twierdzi zwierzchnik luteran, przypominając jednocześnie, że Kościół pierwszych wieków też nie był jednorodny, jednokolorowy i jednomyślny. – Był nie mniej podzielony od dzisiejszych Kościołów.

Według ks. Perzyńskiego we współczesnych działaniach ekumenicznych musi chodzić już o coś więcej niż wzajemne poznanie: – Na poznanie się mieliśmy wiele czasu, dziś nadeszła chwila, by przejść do kolejnego etapu: konkretnych i systematycznych działań na różnych polach. Musimy zająć się wspólnie wychowaniem, kulturą, działalnością charytatywną i wyjść poza rozważania teologiczne – mówi inicjator Polskiego Forum Chrześcijańskiego. Dodaje jednocześnie, że wspólnych akcji czy instytucji jest nadal za mało. Odpowiedzialność za ten stan w Polsce ponosi przede wszystkim Kościół katolicki, który jest wspólnotą większościową.

Chrystus niezawłaszczany

Czy obecny kryzys Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce ma wpływ na sytuację Kościoła ewangelicko-augsburskiego? Choć luteranie nie prowadzą działań o charakterze prozelityzmu, to – jak przyznaje ks. Makula – w ostatnich latach dostrzega większą liczbę osób uczęszczających na nabożeństwa do kościoła św. Mateusza w Łodzi. Zarówno jednak on, jak i bp Samiec twierdzą, że trudno znaleźć tu związek z kryzysami.

– W ciągu ostatnich 18 lat wstąpiło do naszego Kościoła w skali całego kraju około 4 tysięcy osób. Nie jest to więc masowe poruszenie – mówi zwierzchnik luteran. Wskazuje zarazem, by nie traktować zmiany Kościoła jak transferu, zmiany barw klubowych. – Zmiana wyznania to nie jest przejście od „Chrystusa katolickiego" do „Chrystusa ewangelickiego". To żaden awans czy wyraz szczególnej dojrzałości duchowej. Kościół ewangelicki nie ma monopolu na prawdę, a tym bardziej nie ma monopolu na Chrystusa. Chrystus jest Kimś większym niż nasze wyobrażenia o idealnym Kościele – podkreśla bp Samiec.

Choć większość nowych luteran stanowią dawni katolicy, to ks. Makula twierdzi, że większość z nich była chrześcijanami „kulturowo": – Ich wiara ostygła, a w wielu przypadkach po prostu tej wiary nigdy wcześniej nie było. Gdy rozpoczęli poszukiwania jakiejś drogi duchowej, trafili do nas – mówi.

Łódzki proboszcz luterański dodaje jednocześnie, że coraz więcej osób nie chce formalizować swojej przynależności do konkretnej denominacji: – Uprawiają to, co zaobserwowałem swego czasu w Stanach Zjednoczonych, tzw. *churching*. Chcą posłuchać dobrego kazania, to idą do kościoła, gdzie jest dobry kaznodzieja. Chcą przeżyć liturgię na dobrym – również muzycznie – poziomie, to wybierają się tam, gdzie jest dobra muzyka, a ksiądz prawdziwie przeżywa sprawowaną liturgię. Potrzebują więcej mistyki, to idą tam, gdzie to mogą znaleźć, chociażby poprzez ikony, świece, kadzidła. Tacy ludzie nie stanowią większości, ale myślę, że mamy do czynienia z pewnym coraz szerszym trendem – mówi ks. Makula.

Z drugiej strony luteranie odradzają, by zmieniać wspólnotę ze względu na konflikt personalny: – Gdy pojawia się ktoś, kto jako powód podaje kłótnię ze swoim księdzem, proponujemy, aby poszukał ↦

sobie po prostu innej parafii rzymskokatolickiej – mówi bp Samiec. Zwierzchnik polskich luteran przypomina jednocześnie, że Kościół to narzędzie, a nie cel sam w sobie: – Kościół nie może zajmować się głównie sobą, ale winien być ukierunkowany na Chrystusa. Inaczej staje się stowarzyszeniem albo klubem dyskusyjnym o religii.

Nieustanna reforma

Po co zatem świętować Reformację? Kolejna rocznica wystąpienia Marcina Lutra przypomina członkom Kościoła ewangelicko-augsburskiego, że reformowanie musi być ciągłym procesem: – Oznacza to, że ciągle na nowo musimy dokonywać krytycznej oceny samych siebie. Żyjąc w zmieniającym się świecie mamy starać się zrozumieć te zmiany i w nowym kontekście głosić niezmienną Ewangelię o Jezusie Chrystusie – mówi bp Samiec.

Ks. Perzyński potwierdza tę opinię: – Od Soboru Watykańskiego II w Kościele katolickim cały czas akcentuje się potrzebę reformy naszej wspólnoty.

Podkreśla, że świętowanie Reformacji razem z protestantami może nam pomóc choćby w zrozumieniu współczesnych trendów sekularyzacyjnych: – Polska nie jest zieloną wyspą, nas też dotyka to, co dzieje się na Zachodzie. Protestanci lepiej od nas wiedzą, jak reformować wspólnotę w obliczu tych przemian – podkreśla ks. Perzyński.

Bp Samiec wskazuje zarazem, jak ważna w tym ciągłym reformowaniu jest osobista świętość: – Jeśli Kościół powinien się nieustannie reformować, to znaczy, że powinni czynić to święci, czyli wszyscy ochrzczeni.

I od razu wyjaśnia: – Świętość nie jest w naszym ujęciu wyższym stopniem doskonałości czy wtajemniczenia potwierdzonym cudem czy szczególnym heroizmem. Świętość to dar, który pochodzi od Boga. Jeśli jesteśmy świętymi, to jedynie z łaski Bożej – nie jest ona naszą własnością.

– Niebezpiecznym mitem byłoby uważać, że świętość i Reformacja to coś, co się wyklucza. Każdy z wielkich reformatorów, np. Luter czy Zwingli, bardzo dbali o świętość – mówi ks. Perzyński, przypominając, że z kolei w historii Kościoła katolickiego bardzo wielu świętych było reformatorami: – Nie zapominajmy o tym.

©℗ KAROL WILCZYŃSKI

Jestem lesbijką i wierzę w Boga

TEKST I ZDJĘCIA DARIUSZ KAŁAN Z BRATYSŁAWY I KOSZYC

„To w pewnym stopniu poprawiło nasze relacje" – tak 27-letnia Zuzka z Koszyc wspomina moment, w którym wyznała ojcu, że jest lesbijką. Ojciec Zuzki jest księdzem greckokatolickim.

Usłyszałam, że nigdy nie przestanie mnie kochać. Ale wbito mu do głowy tak wiele dogmatów i powiedziano, że są niezmienne, że tkwią w nim jak kamień – opowiada. – Nie potrafi zaakceptować, że pewne rzeczy naprawdę istnieją.

Kościół greckokatolicki to trzecie największe wyznanie na Słowacji po Kościołach rzymskokatolickim i protestanckim. Łącznie 66 proc. Słowaków deklaruje się jako katolicy.

Zuzka dorastała w domu pełnym ikon, starych zakurzonych książek i świętych relikwii. I, jak twierdzi, nigdy nie odwróciła się od Boga i religii. – To, kim jestem, w dużym stopniu zawdzięczam Kościołowi. Widziałam tam tak wiele dobrych rzeczy. Jedno z moich najlepszych wspomnień to, jak w małej wiosce stawialiśmy z mieszkańcami nowy kościół. Byliśmy jak wspólnota.

– Jednak nie czuję się tam akceptowana. Inaczej nie ukrywałabym swojej orientacji przez 25 lat – opowiada.

Nie chce podawać nazwiska, obawiając się, że zaszkodzi karierze ojca. Zuzka to nie jest jej prawdziwe imię.

Reakcje Kościołów

W 2016 r. 49 proc. przebadanych Słowaków uznało, że przeszkadzałaby im para homoseksualna żyjąca w sąsiedztwie. Co jest wprawdzie poprawą o 13 punktów procentowych w porównaniu z 1991 r., ale spadkiem o 14 od 2009 r. Tylko 21 proc. zaakceptowałoby geja albo lesbijkę jako kolegę w pracy (średnia unijna w 2015 r. wyniosła 63 proc.). Z kolei we wrześniowym badaniu AKO rekordowe 57 proc. opowiedziało się za związkami partnerskimi dla wszystkich.

Zuzka twierdzi, że to dlatego, iż coraz więcej osób ma kontakt z gejami i lesbijkami: – Ci, którzy nie są konfrontowani z homoseksualizmem, udają, że nie ma problemu, albo ukrywają się za dogmatami, jak mój ojciec – mówi. – Mamy ciotkę, która od 20 lat przyjeżdża do nas ze swoją partnerką. My zachowujemy się tak, jakby były tylko przyjaciółkami. Tak jest łatwiej.

Wykładnia stosunku Kościoła katolickiego do homoseksualizmu znajduje się w Katechizmie opublikowanym w 1992 r.

Stanowi ona podsumowanie toczącej się po soborze debaty na temat etyki seksualnej. W Katechizmie pisze się o „skłonności homoseksualnej, obiektywnie nieuporządkowanej". Nawołuje się do „szacunku, współczucia i delikatności" oraz do unikania „oznak niesłusznej dyskryminacji". Akty seksualne, „sprzeczne z prawem natury", są piętnowane. „Osoby homoseksualne są wezwane do czystości" – stwierdza się w Katechizmie.

Interpretacja Kościoła, którą można podsumować stwierdzeniem, że szacunek dla osób homoseksualnych nie może prowadzić do aprobowania zachowania homoseksualnego, a tym bardziej związków między takimi osobami, nie zmieni się nawet za czasów papieża Franciszka. Pamięta się jego słowa: „Kim jestem, żeby ich oceniać?". Ale w kwestii akceptacji czynów homoseksualnych papież prezentuje takie samo stanowisko, jak jego poprzednicy.

Jednak są tacy, którzy uważają, że homoseksualizm i chrześcijaństwo wzajemnie się nie wykluczają.

– Według Kościoła możesz być gejem, ale musisz zostać w szafie. Bez partnera, w samotności. Tak nie można żyć! – mówi Fero Kuminiak, 48-letni informatyk i członek stowarzyszenia Gay Christians z Bratysławy. W czasie spotkań czytają Biblię, modlą się, rozmawiają.

– Nie walczymy o nic i z nikim. Chcemy mieć normalne życie. Tak jak inni.

Kuminiak należy do osób, które odeszły z Kościoła katolickiego i przyłączyły się do słowackiej filii Kościoła starokatolickiego w Republice Czeskiej. Kościoła utrechckiego, który odrzuca dogmat o nieomylności papieża i charakteryzuje się otwartością wobec LGBT.

– Trwałych i odpowiedzialnych relacji między dwiema dorosłymi osobami tej samej płci nie możemy uznać za grzech – mówi mi Martin Kováč, ksiądz Kościoła starokatolickiego z Trnawy na zachodzie Słowacji. Twierdzi, że problemem jest nie tylko wykładnia Kościoła katolickiego, ale także wykorzystywanie problemu gejów i lesbijek do celów politycznych.

– Walka z LGBT stała się głównym tematem większości Kościołów na Słowacji. My chcemy pokazać, że chrześcijaństwo może wyglądać inaczej – opowiada Kováč. – Że walka z LGBT nie jest problemem ewangelii, ale częścią procesu polityzacji chrześcijaństwa i szukania wymyślonych wrogów.

Polityczne milczenie

Martinowi Koleničowi zajęło pięć lat, żeby zaakceptować, że jako katolik może być też gejem. Jak wspomina, bardzo mu pomogły modlitwy i rozmowy z Bogiem. – Bóg musiałby być wyjątkowo okrutny, gdyby stworzył mnie takim, jakim jestem, a potem nie chciał mnie zaakceptować, prawda? – pyta Kolenič, 27-letni nauczyciel i tłumacz z Bratysławy.

– W chrześcijaństwie, tak jak ja je rozumiem, chodzi o miłość. To absurdalne, gdyby Bóg stwierdził: OK, wszyscy możecie kochać; wszyscy oprócz ciebie – mówi. Potwierdza, że zdaje sobie sprawę, iż nauczanie Kościoła jest inne.

Kolenič waha się, czy sprowadzić partnera do Słowacji z bardziej liberalnych Czech. – Zmiany nie da się zatrzymać – uważa. – Większość społeczeństw europejskich idzie naprzód. My stoimy w miejscu. Nie chcę narażać partnera na nieprzyjemności.

FERO KUMINIAK: *Według Kościoła możesz być gejem, ale musisz zostać w szafie. Bez partnera, w samotności. Tak nie można żyć!*

MARTIN KOLENIČ: *Bóg musiałby być wyjątkowo okrutny, gdyby stworzył mnie takim, jakim jestem, a potem nie chciał mnie zaakceptować, prawda?*

Czego się boi? Że pewnego dnia do władzy dojdzie skrajna prawica, czyli neofaszystowska Partia Ludowa Nasza Słowacja (L'SNS), która od prawie czterech lat zasiada w parlamencie. W tegorocznych wyborach prezydenckich jej lider Marián Kotleba zdobył 10,4 proc. głosów. Otwarcie wspiera go wielu księży, którym podoba się retoryka obrony rodziny i sentyment do Pierwszej Republiki Słowackiej, faszystowskiego satelity III Rzeszy, rządzonej przez katolickiego księdza Józefa Tisę.

– Naprawdę uważam, że Kotleba został pobłogosławiony przez samego Boga – mówi mi Lucia Žužová, aktywistka pro-life, która bez sukcesu startowała w wyborach do Parlamentu Europejskiego z list L'SNS. Według niej tylko Kotleba może skutecznie walczyć z „pseudoprawami LGBT i totalizmem gender liberalizmu".

Prawda jest jednak taka, że hejt wobec LGBT nie rozlał się po całym kraju, tak jak w Polsce, gdzie geje i lesbijki zostali wyznaczeni na wroga narodu przez połączone siły partii rządzącej, jej mediów i niektórych przedstawicieli Kościoła. Na Słowacji ugrupowania głównego nurtu – nie licząc kilku indywidualnych przypadków – mają inną strategię: milczenie.

Dla społeczności LGBT to małe pocieszenie. Partia Kierunek–Socjalna Demokracja (SMER-SD), która utrzymuje się u władzy łącznie przez jedenaście lat (2006-10 i od 2012 r.), określa się mianem lewicowej. Mimo to od początku zachowuje się tak, jakby geje i lesbijki nie istnieli. ↦

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Brzesku, Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 70/19 prowadzi postępowanie z wniosku Małgorzaty Wiecha o stwierdzenie nabycia spadku po Joannie Mucha, zmarłej 15 grudnia 2013 r. w Brzesku i tam mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu. W skład majątku spadkowego wchodzą: lokal mieszkalny stanowiący odrębną nieruchomość położony w Brzesku (Kw TR1B/00089295/0), działka rolna położona w Jasienicy, gmina Brzesko (Kw TR1B/00074557/7) oraz akcje PZU i samochód seat Toledo.

Sąd wzywa spadkobierców Joanny Muchy (w szczególności następców prawnych zmarłego przed nią brata Antoniego Wdowiaka) do zgłoszenia się do tut. sądu i udowodnienia swych praw w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Boris Zala, były poseł do Parlamentu Europejskiego, współzałożyciel SMER-SD i członek jej progresywnego skrzydła, przyznaje, że w kierownictwie nigdy nie rozmawiano o prawach LGBT: – Odpowiedź zawsze była taka sama: to nie jest żaden problem. Priorytetem jest gospodarka – wspomina. – Nie było szansy, żeby przeforsować jakiekolwiek rozwiązania.

Na Słowacji wszystkie Kościoły są współfinansowane przez państwo. Odkąd SMER-SD po raz pierwszy przejęła władzę w 2006 r., wydatki państwowe wzrosły z 29,8 mln euro do 47,6 mln euro w 2019 r. Kościół rzymskokatolicki otrzymuje ponad połowę tej sumy.

Sojusz tronu z ołtarzem

SMER-SD zbliżyła się do Kościołów (katolickiego i ewangelickiego) w 2014 r., kiedy Róbert Fico, lider partii i ówczesny premier, przegrał niespodziewanie wybory prezydenckie. Zainspirowany sąsiadem zza miedzy, Viktorem Orbánem, zaczął szukać poparcia u hierarchów.

Najpierw wspólnie z chrześcijańskimi demokratami wpisał do konstytucji, że „małżeństwo to związek wyłącznie mężczyzny i kobiety". A rok później nie protestował, kiedy organizacja Sojusz na rzecz Rodziny zebrała 400 tys. podpisów pod wnioskiem o rozpisanie referendum, w którym pytano m.in. o związki partnerskie i adopcję dzieci przez gejów. Referendum upadło z powodu niskiej frekwencji. Przy okazji jednak rozpętała się ostra kampania anty-LGBT.

Kolenič uważa, że SMER-SD to „partia populistyczna, lewicowa tylko na papierze". Większe nadzieje wiąże z Zuzaną aputovą, nową prezydent Słowacji. W czasie tegorocznej kampanii Čaputová, liberalna prawniczka i aktywistka antykorupcyjna, naraziła się hierarchom – niektórzy stwierdzili, że głosowanie na nią to grzech – ogłaszając, że związki partnerskie powinny zostać wprowadzone, a adopcja dzieci przez osoby LGBT jest lepsza od sierocińca. Jednak zawsze dodawała, że to jej prywatna opinia. I że nie będzie naciskać na te zmiany, póki społeczeństwo nie będzie gotowe.

ONDREJ PROSTREDNÍK: *W przyszłości chcemy wprowadzić związki partnerskie. Ale to zależy od wielu czynników, w tym ile głosów zbierzemy w nowym parlamencie.*

– W przyszłości chcemy wprowadzić związki partnerskie – zapewnia Ondrej Prostredník, członek partii Progresywna Słowacja, która wsparła kandydaturę Čaputovej, a w maju niespodziewanie wygrała wybory do Parlamentu Europejskiego. I zaraz dodaje: – Ale to zależy od wielu czynników, w tym ile głosów zbierzemy w nowym parlamencie.

Prostredník jest teologiem ewangelickim, który od dawna domaga się otwarcia Kościoła na LGBT. Twierdzi, że teksty biblijne, które potępiają gejów i lesbijki, nie powinny być interpretowane dosłownie, bo nie odpowiadają współczesnemu stanowi nauki.

– Chrześcijańska antropologia musi zostać unowocześniona. W końcu z czasem, jak nauka się rozwinęła, przestaliśmy wierzyć w geocentryzm. A dzisiaj nawet chrześcijanie akceptują ewolucję, chociaż stoi w oczywistej sprzeczności z Biblią – opowiada.

Kiedy w 2017 r. wziął udział w Paradzie Równości w Bratysławie, Kongregacja Biskupów Kościoła Ewangelickiego odebrała mu pozwolenie na nauczanie teologii. – Wewnątrz Kościoła jest wiele osób, które popierają LGBT, ale milczą. Boją się izolacji, stygmatyzacji albo po prostu że się mylą. W Kościele nie możesz się mylić – mówi.

Zawsze będę jego córką

Zuzka nie oczekuje, że jej ojciec, ksiądz greckokatolicki, publicznie wstawi się za osobami LGBT. Ale ma nadzieję, że zaakceptuje ją taką, jaka jest: – Zawsze będę jego córką. Ale oprócz tego jestem i lesbijką i wierzę w Boga. Liczę, że w końcu to zrozumie.

– Ostatnio obejrzał „Modlitwy za Bobby'ego" – mówi Zuzka, nawiązując do filmu z 2009 r. o głęboko wierzącej matce, która próbuje pogodzić się z homoseksualizmem syna. – Dla niego, dla mojego ojca, to wielki krok naprzód. Bardzo to doceniam.

© DARIUSZ KAŁAN

Reportaż powstał w ramach projektu BIRN Reporting Democracy.

TP

Kluby „TP" zapraszają na spotkania

Kędzierzyn-Koźle, środa, 13 listopada, godz. 17
„Sklep z babciami i nie tylko". Gościem będzie Dominika Gałka.
Miejsce: Rynek 3.

Kraków, niedziela, 10 listopada, godz. 18
„Pękający Kościół". Gośćmi będą Ewelina Pytel, Janusz Poniewierski, Mateusz Burzyk.
Miejsce: sala konferencyjna Herbewa (ul. Lubelska 29).

Warszawa, sobota, 9 listopada, godz. 16
„Witkacy. Filozof i ekscentryk". Gościem będzie Przemysław Pawlak, prezes zarządu Instytutu Witkacego.
Miejsce: Stacja Muranów (ul. Gen. Andersa 13).

czwartek, 14 listopada, godz. 18
„Jaki Kościół? Dziedzictwo myśli prof. Stefana Swieżawskiego". Gośćmi będą Anna Karoń-Ostrowska, Tadeusz Bartoś.
Miejsce: sala KIK (ul. Freta 20/24A).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

SZYMON

Hołownia: *Konieczna pauza poznawcza*

Historia dziesięciu tygrysów przewożonych z Włoch do Dagestanu w koszmarnych warunkach, w małych klatkach, zamkniętych w skrzyniach, bez możliwości poruszania się, z niedostatecznym żywieniem, pojeniem (na skutek czego jeden z nich padł, a dziewięć na terminalu granicznym w Koroszczynie uratowała wezwana na pomoc bohaterska ekipa z poznańskiego zoo), poruszyła wielu Polaków, przebijając się na czołówki serwisów informacyjnych. I słusznie. Trudno sobie wyobrazić, co przeżywać musiały tak upodlone i umęczone zwierzęta. Trudno ocenić, czy gorsza była dla nich ta podróż, czy to, co czekało je prawdopodobnie u jej kresu. W Dagestanie, na co zwrócił uwagę Adam Wajrak, nie ma, zdaje się, ogrodów zoologicznych. Przedstawicielka przewoźnika twierdziła podobno, że drapieżniki miały trafić do cyrku. Wajrakowi bardziej prawdopodobne wydawało się jednak, że skończyłyby jako półprodukt do preparatów przepisywanych przez tradycyjną medycynę chińską. Odkąd Chiny zaczęły radykalnie ograniczać u siebie barbarzyńskie praktyki towarzyszące produkcji paraleków (robi się je również np. z żółci niedźwiedzi, więzionych na farmach i podłączonych do wysysających z ich wnętrzności żółć przewodów), wobec niemalejącego popytu, rynkową dziurę zaczął łatać nielegalny import, również od zachodniego sąsiada (Dagestan wchodzi w skład Federacji Rosyjskiej).

Obserwując śledzoną przez tysiące osób walkę o życie tygrysów, pełne empatii i oburzenia komentarze internautów, po raz kolejny zachodziłem w głowę, co musiałoby się stać, żeby na podobną, ludzką reakcję zasłużyło sobie jakieś 800 milionów kurczaków i 60 milionów krów czy świń, co roku zabijanych w polskich rzeźniach. Pokonując po polskich drogach dobrze ponad 50 tysięcy kilometrów rocznie, jadące na ubój transporty mijam prawie codziennie. Widać je już z daleka – charakterystyczne oświetlenie tyłu naczep, trapów, którymi zwierzęta wprowadzane są do wnętrza – nie do pomylenia z żadną inną ciężarówką.

Gdy się je mija, przez sekundę widzi się wyglądające po raz ostatni na świat umazane jeszcze nawozem świnie, próbujące utrzymać równowagę w balansującej przyczepie krowy. Dostatecznie dużo wiem o gospodarskim (i przemysłowym) chowie zwierząt w Polsce, by móc z dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że to, co czeka je, gdy ciężarówka się zatrzyma, może być dla nich rozwiązaniem, gdy idzie o bilans bólu, lepszym niż każdy dzień ich życia. Świnie, które jedząc nie wiedzą przecież, że każdy kolejny kęs to nie przyjemność, a wyrok śmierci, krowy, które przez całe ich krótkie życie zapładniano *non stop*, by *non stop* trwała laktacja (krowa nie produkuje mleka dla człowieka, ono w naturze przeznaczone jest dla jej potomstwa), a dzieci, cielęta, zabijane są najczęściej przed nimi. Wreszcie – kurczaki, w przemysłowych kurnikach żyjące ciut ponad 30 dni, następnie są wyłapywane, stłaczane w klatkach i zabijane w takim tempie, że nie da się przy tym uniknąć „błędów" takich jak zabijanie zwierzęcia, które nie zostało prawidłowo ogłuszone. Ilekroć zagłębiam się w wiejskie rejony Wielkopolski, wielkie przemysłowe fermy straszące cmentarną ciszą (choć przecież wiem, co dzieje się w ich środku) przy drogach utwierdzają mnie w przekonaniu, że to już nie jest żadne rolnictwo, to przemysł, to chciwość, to podcinanie gałęzi, na której samemu się siedzi.

Dobrze, że ludzie mają jakąś wrażliwość. Że żałują tygrysów, porzuconych psów, że coraz więcej sieci handlowych deklaruje, iż przed tym Bożym Narodzeniem nie znajdzie się u nich (ledwo) żywych karpi. Nie mam jednak wrażenia, że ten świat ma szansę rzeczywiście stać się jakościowo lepszym, głębiej wniknąć i zrozumieć zamysł, jaki towarzyszył Jego Stwórcy, jeśli człowiek, ten, który w imieniu Boga ma opiekować się tym Jego dziełem, nie nauczy się, że zanim dokona się ingerencji w los innego stworzenia, musi to poprzedzić „pauza poznawcza", zadanie sobie kontrolnego pytania: „Czy muszę?". Bo jeśli muszę, to oczywiście nie ma sprawy. Człowiek, który musi zabić zwierzę, by nie umrzeć z głodu, albo by z zimna nie umarło jego dziecko – niech zabija i w ogóle odpuści sobie rozkminianie.

Pytanie brzmi, ile znajdziemy dziś w Polsce, w XXI wieku, osób znajdujących się w takiej sytuacji. Oczywiście, że przemysłowo produkowane mięso jest tanie (i podłej, choć zgodnej z przepisami, odżywczej jakości), bywa więc jednym z niewielu produktów, na które mogą sobie pozwolić najbiedniejsi z nas. Ilu z nas jednak mając wybór, nie dokonuje go, bo zdogmatyzować zdążyło swoje smaki i przyzwyczajenia? Ileż to razy zdarzyło mi się (a mięso odstawiłem parę lat temu z najprostszej z możliwych przyczyny – właśnie dlatego, że jeść go nie muszę) toczyć na ten temat dyskusje z mięsożercami powołującymi się na argumenty aktualne może w V wieku czy we współczesnej Afryce, ale na pewno nie dziś i nie u nas. Stąd wiem, że przejście, wydawałoby się, naprawdę niewielkiego dystansu dzielącego „wiem" od „coś z tym robię" bywa podróżą, która – nie tylko w kwestii mięsa przecież – może zająć niektórym całe życie.

„Ale przecież Pan Bóg pozwolił jeść mięso". Pozwolił. Ale nigdzie nie nakazał. Nakazał za to mieć oczy otwarte na potrzeby bliźniego, w tym więc i tego, kogo moje rozpasane do trzech posiłków dziennie mięsożerstwo realnie zabija (bo zabiera mu wodę, ziemię, powietrze). To więc, co było w pełni moralne tysiąc czy nawet dwieście lat temu, w kontekście innych czasów moralnym już wcale być nie musi. Dziś naprawdę mamy do wyboru inne rozrywki niż tresura tygrysów, inne komponenty lecznicze niż ich sproszkowane kości.

Cechą najbardziej pożądaną, najbardziej ludzką (i ewangeliczną) staje się dziś uważność. Sięgaj po świat, gdy musisz. Sięgaj wiedząc, że po tobie sięgać będzie ktoś jeszcze. Nie zadawaj bólu, gdy możesz przeżyć, owego bólu nie zadając. Nie wierz tym, co przekonują cię, że jedzenie, ubrania, leki, że to wszystko bierze się ze sklepu. Jak wygląda na dziś mój bilans – życia/śmierci? Ile życia było dziś na świecie z mojego życia? Ile stworzeń musiało przestać żyć, żebym ja mógł żyć? ©

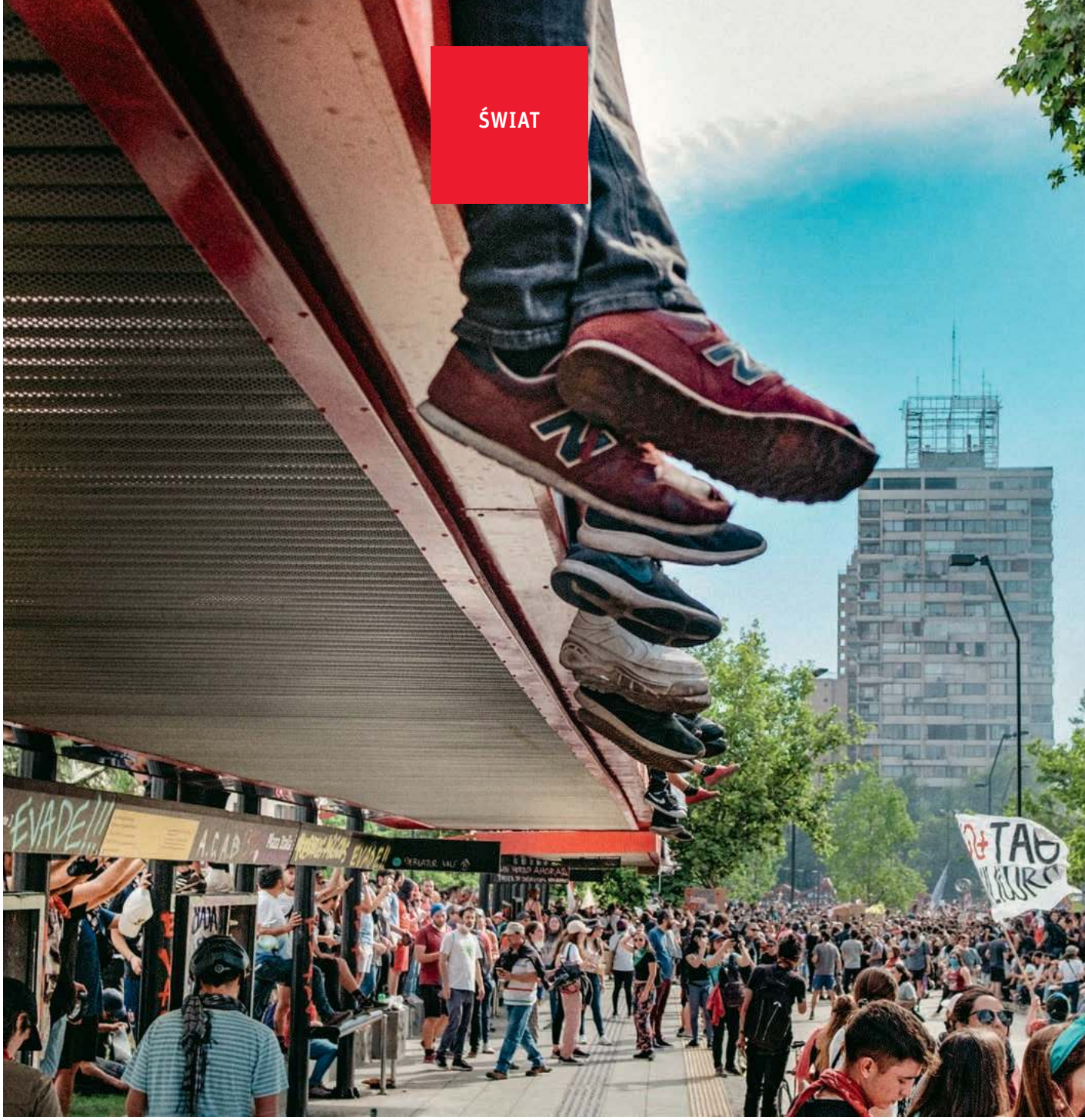

CHILIJSKA WIOSNA

Na pozór to paradoks: milionowe, gwałtowne demonstracje wybuchły w kraju, który dotąd był uważany za gospodarczego „tygrysa" Ameryki Południowej.

TEKST: MAGDALENA BARTCZAK Z SANTIAGO DE CHILE

ZDJĘCIA: SEBASTIÁN ARRIAGADA

Okupowany przystanek autobusowy w centrum chilijskiej stolicy, październik 2019 r.

Zaczęło się od protestów przeciw kolejnym podwyżkom cen biletów komunikacji miejskiej – i to, zdawałoby się, podwyżkom wcale nie tak wielkim – a przerodziło w bunt przeciwko rządowi, który zamiast rozmawiać ze społeczeństwem – wysłał przeciwko niemu żołnierzy.

Nie wiadomo, jaki będzie ostateczny finał tej rewolty. Ale na pewno nic już nie będzie w tym kraju takie, jak wcześniej: obywatele Chile – jednego z najbardziej rozwarstwionych ekonomicznie państw na świecie – zaczęli domagać się sprawiedliwości.

Rewolta ponadklasowa

Październik to czas, gdy do Chile – jak to na półkuli południowej – przychodzi wiosna. W tym roku ma ona zapach gazu pieprzowego i jest wyjątkowo gorąca. Stoi pod znakiem zamieszek, przemocy i chaosu. Krajobraz stolicy, 7-milionowego Santiago, w ostatnich dniach przypominał chwilami scenerię filmowej postapokalipsy: spalone autobusy, zdemolowane przystanki i stacje metra, zniszczone bankomaty, obrabowane sklepy i supermarkety.

Ostatnie dni stały też pod znakiem żołnierzy, patrolujących ulice miast w całym kraju, a także wprowadzonego przez rząd stanu wyjątkowego, który obowiązywał od 19 do 26 października (i oznaczał m.in. godzinę policyjną).

Z każdym dniem represje wobec demonstrantów zaostrzały się, ale mimo to – a może właśnie z tego powodu – protesty przybierały na sile. Ich ukoronowaniem była ogromna manifestacja w piątek, 25 października, w Santiago. Według oficjalnych szacunków, ulicami stolicy przemaszerowało tego dnia półtora miliona osób; nieoficjalnie mówi się o ponad dwóch milionach. W tym samym czasie masowe demonstracje odbyły się też w wielu innych miastach, m.in. Antofagaście, Valparaíso, Concepción, Temuco, Coyhaique czy Punta Arenas.

Zresztą już wcześniej protesty rozlały się po całym 18-milionowym kraju. I choć początkowo brali w nich udział głównie uczniowie i studenci, to rewolucja szybko stała się ponadpokoleniowa: na ulice zaczęli wychodzić również ludzie w bardziej dojrzałym, a często nawet podeszłym wieku; demonstrowały całe rodziny z dziećmi.

Protest stał się też ponadklasowy. Już trzeciego dnia manifestacje rozszerzyły się na barrios cuicos, czyli dzielnice zamieszkane przez zamożniejszą klasę średnią.

Choć najwięcej ludzi zbiera się zwykle na głównych placach i największych ulicach, to ta przedłużająca się rewolta – niczym karnawał, odwracający na chwilę oficjalny porządek świata – jest tak naprawdę celebrowana w wielu zakątkach chilijskich miast. Melodią ostatnich dni stało się wszechobecne *cacerolazo* (od cacerola – rondel): dźwięk protestu, którego uczestnicy uderzają z całej siły w garnki i patelnie. Mocny, metaliczny odgłos, sygnał sprzeciwu wobec władz, dobiega z chodników, okien i balkonów całego Chile.

Albo przynajmniej znaczącej jego większości, bo – wedle oficjalnych statystyk – demonstracje popiera dziś ponad 83 proc. społeczeństwa.

Prezydencka „kraina dobrobytu"

Jeśli prześledzimy sytuację od momentu wybuchu pierwszych protestów aż do ostatnich wydarzeń, to zauważymy, że początkowe zamieszki (połączone z plądrowaniem) szybko zostały zastąpione pokojowymi manifestacjami, w których Chilijczycy chcą pokazać, że pragną przede wszystkim dialogu oraz poważnych zmian.

Zaczęli domagać się więc nie tylko nowej konstytucji i reform, ale też dymisji prezydenta Sebastiána Piñery, który – nazywając konflikt społeczny „wojną z groźnym przeciwnikiem" – jeszcze bardziej naraził się społeczeństwu. I choć Piñera szybko wycofał zapowiedź podwyżki, przeprosił za słowa o wojnie i zaczął obiecywać zmiany, stoi już na straconej pozycji. Szacuje się, że jego poparcie spadło w ostatnich dniach do 14 proc. – i jest to najniższy poziom aprobaty społecznej dla jakiegokolwiek polityka od czasów upadku dyktatury Pinocheta w 1990 r.

Jeszcze kilka miesięcy temu Piñera mówił Chilijczykom, że ich kraj jest bezpieczną wyspą na tle wstrząsanego konwulsjami regionu. Przekonywał, że żyją w krainie dobrobytu, i przy każdej okazji zapewniał, że wraz z jego rządami nadeszły *los tiempos mejores* – lepsze, bardziej pomyślne czasy dla Chile.

Tymczasem gdy porównamy aktualną sytuację z tymi optymistycznymi słowami, to aż trudno uwierzyć, że mowa o tym samym państwie. Pejzaż dzisiejszego Chile to już nie „oaza spokoju", jak mówił niedawno Piñera, lecz krajobraz po bitwie. Albo raczej: krajobraz w czasie bitwy, która prędko nie ustanie.

Co zatem mogło pójść nie tak?

Kolos na kredyt

Gdyby szukać bezpośrednich przyczyn protestów, znajdziemy je w sekwencji ↦

wydarzeń z początku października. To wtedy rząd zapowiedział kolejne – piąte w ciągu trzech ostatnich lat – podniesienie cen biletów na komunikację miejską w stolicy.

Mowa była o podwyżce z 800 do 830 pesos, co w przeliczeniu oznacza wzrost z ok. 4,30 zł do 4,45 zł. Pozornie niewiele. Jednak w Chile płaci się osobno za każdy przejazd (nie ma biletów okresowych), więc łączny koszt okazuje się niemały. Mieszkaniec Santiago wydaje miesięcznie na metro co najmniej 50 tys. pesos (równowartość ponad 270 zł) – znacznie więcej niż mieszkaniec innych latynoskich stolic i mniej więcej tyle, co mieszkaniec Wiednia czy Berlina.

Jeśli zaś przyjrzymy się zarobkom Chilijczyków, trudno mówić o zachodnioeuropejskim standardzie. Szacuje się, że ponad 14 proc. ludności żyje poniżej progu ubóstwa, a pensja minimalna wynosi 300 tys. pesos (ok. 1500 zł). I choć średnie zarobki to mniej więcej 520 tys. pesos (ok. 2700 zł) na rękę, w istocie ową średnią windują zarobki wyższej klasy średniej, stanowiącej nie więcej niż 5 proc. ludności. Choć więc w statystykach Chile przoduje w gospodarczym rozwoju, to wysokie koszty życia dla wielu są tu trudne do udźwignięcia.

To z kolei sprawia, że Chilijczycy są jednym z najbardziej zadłużonych społeczeństw na świecie. Szacuje się, że ponad 45 proc. ludności ma spore długi i aż 68 proc. rodzin żyje od lat na kredyt. Pożyczki często są związane z chęcią zakupu mieszkania lub auta, lecz bywa też, że wynikają z codziennych wydatków, gdy ich koszt przekracza możliwości finansowe.

„*Con cuotas, o sin cuotas?*" („Na raty czy nie?") – to jedno z pytań, które usłyszymy na każdym kroku. Jest uzasadnione, bo wielu Chilijczyków kupuje na kredyt niemal wszystko: kawę w kawiarni, kolację w restauracji, zakupy spożywcze w supermarkecie. Chilijski socjolog Tomás Moulian na nazwanie tego fenomenu ukuł określenie *ciudadano credit-card*, „obywatel na kartę kredytową".

Teza o dobrobycie, o którym miałyby świadczyć sklepy pełne takich obywateli kupujących na kredyt, wydaje się złudna i życzeniowa. Zatem chociaż Chile od lat pielęgnuje swój wizerunek najstabilniejszego kraju w regionie Ameryki Łacińskiej, owa stabilność ma niepewny grunt – to stabilność kupiona na kredyt.

Melodią ostatnich dni stało się wszechobecne cacerolazo (od cacerola – rondel): dźwięk protestu, którego uczestnicy uderzają z całej siły w garnki i patelnie. Mocny, metaliczny odgłos, **sygnał sprzeciwu wobec władz, dobiega z chodników, okien i balkonów całego Chile.**

Albo taka, która jest udziałem niewielkiej garstki wybranych.

Metrem poprzez światy

Chile jest nie tylko jednym z najbardziej zadłużonych społeczeństw świata, ale także jednym z tych, gdzie nierówności ekonomiczne są największe. Te podziały i różnice przypominają o sobie często – zauważymy je choćby w tkance architektonicznej miast, w języku, ubiorze i przede wszystkim w relacjach społecznych. Odzwierciedlają się także w silnie ugruntowanej klasowości, wrośniętej w Chile od pokoleń.

Aby się o niej przekonać, wystarczy jedno popołudnie w Santiago i mały eksperyment: przejażdżka najpopularniejszą linią metra (czerwoną), z choćby krótkimi wypadami w okolice kolejnych stacji – od tych na zachodzie aż po te ostatnie na wschodzie.

Trasa wiedzie nie tylko przez różne dzielnice, ale przez zupełnie odmienne światy. Na pierwszym odcinku znajdziemy ubogie i niebezpieczne *poblaciones* (tak w Chile określa się slumsy), na ostatnim – zadbane i czyste ulice, pełne eleganckich willi i zamkniętych osiedli. Dwa końce jednej i tej samej linii metra – i dwa bieguny chilijskiej rzeczywistości: tej bardziej licznej i głęboko sfrustrowanej oraz tej, która w skrajnie neoliberalnym kraju, opisywanym jako „tygrys Ameryki Południowej", stanowi mniejszość, ale odnajduje się całkiem nieźle.

Pan minister dobrze radzi

W kontekście takiego rozwarstwienia ekonomicznego – i kosztów życia nieproporcjonalnie wysokich wobec zarobków – październikowa zapowiedź podwyżki cen biletów była więc kroplą, która przelała czarę goryczy.

Sytuację zaostrzyła reakcja rządu na pierwsze protesty. Minister gospodarki, Juan Andrés Fontaine, poradził Chilijczykom, że jeśli będą wstawać godzinę wcześniej i jeśli – zamiast jechać do pracy w godzinach szczytu (wtedy płaci się więcej) – wsiądą do metra już o szóstej rano, wówczas uda im się zaoszczędzić. Pamiętając, że pensja parlamentarzystów to nawet czterdziestokrotność pensji minimalnej, takie porady trudno było przyjąć ze spokojem.

Choć więc dla wielu obserwatorów – zwłaszcza z zagranicy – tak masowa i tak gwałtowna rewolta może być zaskoczeniem, można było się jej spodziewać od dawna. Stanowi wybuch tłumionej przez lata frustracji, gniewu i bezsilności, związanych z życiem w niesprawiedliwym pod wieloma względami społeczeństwie.

„Tak naprawdę nie chodzi o te trzydzieści pesos, lecz o całe trzydzieści lat" – powtarzają Chilijczycy. Trzydzieści ostatnich lat demokracji, podczas których nie zmieniło się tak wiele, jak mogłoby się zmienić.

Kraj zamrożony w przeszłości

Nowoczesna historia Chile zaczęła się w latach 1988-90, gdy – po przegranym przez Augusto Pinocheta plebiscycie (1988) – kraj wszedł na drogę stopniowej transformacji. W 1989 r. zorganizowano pierwsze od lat wolne wybory prezydenckie, które wygrał chadek Patricio Aylwin (Pinochet już w nich nie startował).

Aylwin objął urząd w 1990 r., a podczas słynnego orędzia powiedział: „Chcemy prawdy i sprawiedliwości na tyle, na ile to możliwe". Te słowa okazały się prorocze dla początków chilijskiej demokracji, które według wielu miały posmak konformizmu i były oparte na ugodzie między niedawnymi ofiarami a oprawcami.

Przekazanie władzy odbyło się bez rozlewu krwi, ale też bez głębszych rozrachunków. „To był rodzaj amnestii w zamian za amnezję" – powtarza wielu Chilijczyków, gdy pyta się ich o ten czas. Każdy etap transformacji był negocjowany między odchodzącą juntą i opozycją – zabrakło więc miejsca na lustrację, procesy (oddające sprawiedliwość ofiarom) i wprowadzenie głębszych zmian. To sprawia, że wielu określa ją mianem

Manifestanci w Santiago, 29 października 2019 r.

transformacji niebyłej lub niedokończonej – nie pozwoliła ani na należyte rozliczenie historii, ani na realną społeczną metamorfozę.

Przez minionych 30 lat demokracji nie udało się np. zmienić konstytucji – do dziś obowiązuje ta, którą napisano w latach reżimu, w 1980 r. W skromnym tylko stopniu udało się zreformować system wyższej edukacji, którą sprywatyzowano w ostatnich latach dyktatury. Od lat jest ona raczej przywilejem elit i należy do najbardziej kosztownych na kontynencie, co skazuje licznych studentów i ich rodziców na długoletnie kredyty, a wielu odcina od możliwości uzyskania wyższego wykształcenia. W niemal niezmienionej postaci funkcjonuje też sprywatyzowany system emerytalny (AFP), w pełni kapitałowy i administrowany przez prywatne instytucje.

Radykalnie neoliberalna rzeczywistość Chile to spadek jeszcze po reformach przeprowadzonych wkrótce po zamachu stanu z 1973 r., kiedy to Pinochet objął władzę. Ich autorami byli chilijscy ekonomiści, którzy przeszli do historii jako „Chicago Boys" – nazwano ich tak, bo byli absolwentami wydziału ekonomii Uniwersytetu w Chicago, gdzie studiowali m.in. u Miltona Friedmana i Arnolda Harbergera. Zwolennicy klasycznego liberalizmu gospodarczego, po powrocie do ojczyzny stworzyli program, którego radykalny charakter wstrzelił się w przełomowy moment historyczny. Junta chciała stworzyć nowe Chile, a jednym z naczelnych elementów jego założycielskiego mitu miała być uzdrowiona gospodarka. Tym samym w latach 70. i 80. kraj zmienił się w poligon doświadczalny, a skutki ówczesnych eksperymentów okazały się silnie odczuwalne do dziś.

„*Somos hijos de esperanza que nunca se cumplió*" – głosił napis na ogromnym transparencie niesionym w tych dniach przez demonstrantów w Santiago. „Jesteśmy dziećmi nadziei, która nigdy się nie spełniła". Choć dyktatura upadła ponad 30 lat temu, to właśnie tym stała się dla wielu chilijska demokracja: synonimem nadziei zawiedzionych, boleśnie niespełnionych.

Powrót traumy

Istotnym spadkiem po latach reżimu jest też nieprzepracowana trauma, która teraz wróciła wśród wielu Chilijczyków ze zdwojoną mocą. Wprowadzenie godziny policyjnej i widok żołnierzy na ulicach przypomniały o czasach, gdy junta okrutnie traktowała przeciwników politycznych. Przypomniały epokę wcale nie tak dawno minioną, której bilans to nie tylko gospodarcze „nowe Chile", lecz także ponad 3 tys. *desaparecidos* (zmarłych i zaginionych bez śladu), ponad 40 tys. więzionych (i często torturowanych) oraz ponad 200 tys. emigrantów, zmuszonych do opuszczenia kraju.

To dramatyczne wspomnienie stało się tak realne również z powodu brutalności policjantów i żołnierzy, których rząd rzucił przeciw protestującym. Przedstawicielom Narodowego Instytutu Praw Człowieka (IDH) udało się ustalić, że statystyki władz nie mają pokrycia w rzeczywistości. Według zebranych dotąd danych, w ostatnich dniach zginęło 19 osób, w tym pięć z bezpośredniej winy mundurowych. Ponad tysiąc ludzi zostało rannych, z czego ponad połowa ucierpiała od gumowych kul lub broni palnej.

Wiadomo, że aresztowano co najmniej 3 tys. osób – nie tylko tych biorących udział w demonstracjach, ale też będących świadkami. Szacuje się, że kilkudziesięciu zatrzymanych potraktowano z wielką brutalnością – byli bici, poniżani, w niektórych przypadkach poddawani przemocy seksualnej. Kilka komisariatów policji w Santiago zamieniło się ↦

w centra przesłuchań, przypominające te z ponurych czasów reżimu Pinocheta.

– Jedyna różnica między tym, co działo się w 1973 r., a tym, co dzieje się teraz, jest taka, że aktualnie mamy aparaty i kamerki w telefonach komórkowych – mówi jeden z moich chilijskich znajomych, komentując agresję mundurowych trudną, zdawałoby się, do wyobrażenia w demokratycznym państwie.

I rzeczywiście: wiele obrazów tej przemocy można znaleźć w internecie, w mediach społecznościowych. Chilijczycy zaczęli rejestrować wydarzenia na własną rękę, bo nie zawsze ufają tradycyjnym mediom, które w wielu przypadkach należą do osób lub rodzin mających duże wpływy w państwie, ekonomiczne i także polityczne.

Kumulacja z trzech dekad

Właśnie z powodu tej ogromnej skali przemocy i – jak się okazało – bezprawnego zarządzenia stanu wyjątkowego prezydent Piñera wyrósł na czołowego wroga publicznego w oczach znacznej części społeczeństwa.

Pomimo jego zapowiedzi reform (m.in. podwyżki emerytur i zmniejszenia pensji parlamentarzystów) oraz ogłoszenia zmian w rządzie (z posadą pożegnał się m.in. jego kuzyn i jeden z najbliższych współpracowników, minister spraw wewnętrznych Andrés Chadwick), nic nie zapowiada, aby bunt ucichł, a protesty miały się szybko zakończyć. Już teraz szacuje się, że stają się największym ruchem antyrządowego sprzeciwu w całej historii Chile (tj. od powstania niepodległej republiki w 1818 r.).

Jasne jest jednak, że frustracja i gniew, które skupiły się na postaci prezydenta, wynikają nie tylko z jego działań – to kumulacja z całych trzech dekad, gdy rządziła zarówno prawica, jak i centrolewica. Aktualny protest jest więc skierowany nie tylko przeciw konkretnym politykom, lecz przeciw całemu systemowi. Demonstracje, podczas których nie widać żadnych partyjnych sztandarów czy haseł, są wyjątkowym i niezwykle emocjonalnym przykładem społecznej wspólnoty, która wydawała się niemożliwa w tym podzielonym kraju.

▪▪▪

„Tak dużo czasu zajęło nam, żebyśmy się spotkali! Nie rozdzielajmy się teraz!" („*Nos costó tanto encontrarnos! No nos soltemos!*") – wołał wielki transparent, płynący nad tłumem w Santiago.

Trudno powiedzieć, jaka rzeczywistość czeka protestujących za rogiem. Ale jedno jest pewne: Chile brutalnie przebudziło się ze snu i nic już nie będzie takie jak wcześniej. Na gruzach starego, burzonego właśnie świata rodzi się jakiś nowy. © MAGDALENA BARTCZAK

Autorka, polska dziennikarka, mieszka na co dzień w Chile, o którym opowiada wydana niedawno jej książka reporterska „Chile południowe. Tysiąc niespokojnych wysp" (Muza 2019).

Żołnierze stacjonujący na placu Pedra de Valdivii, w centrum eleganckiej dzielnicy Provedencia w Santiago, 23 października 2019 r.

Libańska rewolucja

TEKST I ZDJĘCIA
AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA
Z BEJRUTU I TRYPOLISU

Nie sądziliśmy, że w naszym podzielonym kraju wszystkie społeczności mają takie same problemy, i że wszyscy boimy się naszych liderów – mówi Wael, libański szyita. – Teraz nagle odkryliśmy, że wszyscy mamy dość.

Śródmieście stolicy Libanu wypełniają w tych dniach tłumy. Opustoszałe dotąd place w centrum, które niewiele miały do zaoferowania mieszkańcom spoza elit finansowych, opanowali protestujący. Pojawiły się stoiska z tanią kawą, kukurydzą, popcornem i akcesoriami z libańską flagą. Plac Męczenników, rozciągający się przed meczetem Mohammad Al-Amin, pokrywają namioty i sceny – dochodzą z nich pełne goryczy przemówienia, przerywane muzyką.

W południowej części placu dominują pieśni patriotyczne. Libańczycy w różnym wieku, ludzie starsi, rodziny z dziećmi i młodzież, tańczą w rytm muzyki. Grupy nastolatków, wielu w maskach Anonymous – globalnej sieci internetowych aktywistów walczących przeciw ograniczaniu wolności obywatelskich i korupcji – tańczą *dabke*, tradycyjny arabski taniec. Wszędzie powiewają libańskie flagi.

Wieczorem północ placu zamienia się w wielki spontaniczny rave techno. Młodzi tańczą, bawią się, niektórzy piją alkohol. Potem, po nocnej imprezie, posprzątają wszystkie śmieci, bo to one stanowią jedną z największych zmór trawiących Liban od lat.

Za jakiś czas na placu pojawią się kontenery do segregacji śmieci, namioty z darmowym jedzeniem i po-

Demonstranci na placu Męczenników w Bejrucie, październik 2019 r.

lowa klinika z wolontariuszami (na co dzień pracującymi w stołecznych szpitalach). Medycy nie będą mieli jednak wiele do roboty. Atmosfera jest spokojna i przyjazna. Tylko co jakiś czas ktoś wrażliwy na obecność tłumów dostanie ataku paniki albo ktoś niefortunnie upadnie ze sceny.

Tymczasem Liban jest sparaliżowany.

Banki i szkoły są zamknięte. Protestujący blokują większość dróg w kraju. Wszędzie trwają dyskusje światopoglądowe i polityczne. Bo choć rewolucja trwa już kolejny dzień, mało kto potrafi odpowiedzieć na pytanie: co dalej? Jedno tylko jest pewne: nic już nie będzie takie samo. Po raz pierwszy Libańczycy stanęli ponad podziałami religijnymi i klasowymi, by domagać się swoich praw.

Tu nie chodzi o WhatsApp

Protesty w Bejrucie wybuchły w nocy 17 października, gdy grupa około setki aktywistów wyszła na ulice i rozpoczęła blokady najważniejszych dróg w mieście, w sprzeciwie wobec kolejnego planu oszczędnościowego rządu.

Chwilę wcześniej rząd Saada Haririego rozpoczął rozmowy nad podniesieniem podatku VAT, podatku od tytoniu i benzyny oraz wprowadzeniem podatku na internetowe połączenia głosowe przez WhatsApp i inne media społecznościowe. Choć decyzja zapaść miała dopiero 19 października, Libańczycy nie zamierzali czekać. Ulice w całym kraju zapełniały się protestującymi – i choć pomysł wprowadzenia podatku od internetowych połączeń głosowych szybko wycofano, protesty nie traciły na sile. Wedle szacunków, w niedzielę 20 października na ulicach było 1,3 mln ludzi, czyli jedna piąta populacji kraju.

Choć wydawało się, że Libańczycy przez lata przyzwyczaili się do kryzysu ekonomicznego, niskich zarobków i wysokiego bezrobocia – sięga 25 proc., a wśród osób poniżej 25. roku życia aż 37 proc. – to teraz arogancja władz i pogarszająca się sytuacja ekonomiczna wreszcie wyciągnęły tłumy na ulice.

Protesty poprzedził kryzys finansowy: w kraju zaczęło brakować dolarów, podczas gdy kurs libańskiego funta jest bezpośrednio związany z walutą USA. Stacje benzynowe w całym kraju ogłosiły strajk po tym, jak nie były w stanie zakupić surowca. Do tego 13 października w ponad stu miejscach w kraju wybuchły największe od dekady wyniszczające pożary lasów, których można było uniknąć, gdyby rząd podjął środki prewencyjne.

W połączeniu z ogromną korupcją, systemem politycznym bazującym na podziałach religijnych i politykami, którzy podsycają konflikty wewnętrzne dla osiągnięcia swoich celów – wszystko to przelało czarę goryczy.

Antykapitalizm bez ideologii

Dziś mało kto mówi już zresztą o zwykłych protestach. Rozpoczęła się rewolucja.

Ludzie domagają się ustąpienia rządu, zmiany systemu elektoralnego – tak aby kandydaci wybierani byli na podstawie poglądów i postulatów, a nie przynależności religijnej. Chcą wymiany całej klasy politycznej, która od końca wojny domowej w 1990 r. nieprzerwanie rządzi krajem. Co krok słychać postulaty dotyczące praw pracowników, polepszenia świadczeń socjalnych, dostępu do darmowej edukacji i służby zdrowia.

Choć poza kręgami bejruckiej lewicy i środowiskami anarchistycznymi mało kto nazywa tę rewolucję antykapitalistyczną, jej postulaty to wynik sprzeciwu wobec polityki zaciskania pasa, braku infrastruktury socjalnej i ubożenia społeczeństwa.

Protestujący blokują drogi i autostrady w całym kraju, by wywrzeć jak ↦

największą presję na rządzących. W wielu miejscach całe miasteczka stają na drogach międzymiastowych, a ludzie w różnym wieku i z różnych klas budują barykady. Tak radykalne metody oraz decentralizacja protestów, które szybko ogarnęły całe państwo, przywodzą na myśl niegdysiejszy ruch „Occupy" i taktyki anarchistyczne.

– Większość ludzi zwraca uwagę na problemy, bez uciekania się do ideologii. Mówi się jednak, że płacimy podatki i dlatego zasługujemy na darmową służbę zdrowia, na edukację, jest więc w tym element krytyki kapitalizmu – mówi mi Karim Chehayeb, libański dziennikarz i aktywista.

– Choć socjaliści oczywiście są widoczni w ruchu, to wszyscy zdali sobie sprawę, że mają siłę, gdy jednoczą się przeciw elicie, która kontroluje wszystko – tłumaczy Chehayeb. – Nastąpiła redefinicja relacji między jednostką a elitą polityczną, ludzie nie chcą czekać do następnych wyborów, chcą natychmiastowej rezygnacji rządu. Mówią: przestańcie opodatkowywać pracowników, opodatkujcie banki i tych najbogatszych, jeśli tak bardzo szukacie funduszy.

Jedność ponad podziałami

To właśnie jedność Libańczyków (albo, precyzyjniej, znacznej ich części) jest największą niespodzianką tej rewolucji.

Sektarianizm: takim pojęciem politolodzy nazwali libańską odmianę multikulturalizmu, w którym bardzo liczne tu grupy religijne i narodowe nie tylko przedkładały swój interes nad interes wspólnoty (państwa i społeczeństwa), ale utrwaliły takie podejście w specyficznym systemie politycznym. Rezerwuje on z góry odpowiednią proporcję miejsc w parlamencie dla przedstawicieli wszystkich religii i części mniejszości narodowych. W efekcie ludzie przyzwyczaili się głosować wedle takich sztywnych podziałów, nazwanych – od nazwy systemu – sektariańskimi.

Tymczasem dziś niemal wszystkie społeczności chcą pociągnąć swoich liderów do odpowiedzialności.

Taka sytuacja nie miała jeszcze miejsca w historii Libanu. Pamięć wojny domowej z lat 1975-90, podczas której przynależność religijna determinowała wszystko, na dobre wpisała się w życie Libańczyków. Wiele osób nadal żyje otoczonych jedynie przedstawicielami swojej grupy i traktuje liderów jako gwarantów ochrony praw swojej społeczności. Choć w przeszłości były podejmowane próby stworzenia demokratycznej opozycji złożonej z przedstawicieli różnych grup religijnych, ich sukcesy wyborcze okazały się mizerne.

Szczególnie społeczność szyicka – w dużej mierze reprezentowana przez Hezbollah, ruch polityczno-militarny wspierany przez Iran i zarazem jedyną organizację zbrojną, która nie została zdemilitaryzowana po wojnie domowej – pozostawała najbardziej oddana swoim liderom. Hezbollah przez lata wsławił się obroną terytorium Libanu przed agresją ze strony Izraela na południu kraju, a w ostatnich latach wspierał militarnie prezydenta Baszara al-Asada w wojnie w Syrii.

Protesty przeciw Hezbollahowi czy Amalowi (kolejnej szyickiej partii) do tej pory nie miały miejsca. Trwająca dziś rewolucja to pierwszy symptom niezadowolenia szyitów z polityki ich reprezentantów.

Szyici na placu

Przy miasteczku namiotowym na placu Męczenników impreza trwa w najlepsze.

Dźwięki techno, dochodzące z pobliskiej sceny, tłumią rozmowy. Część młodych tańczy w rytm muzyki, część debatuje, inni dzielą się arakiem, choć jego ilość w tłumie młodych wydaje się śladowa.

Mohammad Ali oraz Wael – obaj trzydziestolatkowie z południa kraju, pracujący w Bejrucie – leniwie przyglądają się zabawie. Tak jak wielu ich znajomych na placu, są szyitami, a ich rodziny tradycyjnie wspierały Hezbollah.

Dziś, jak twierdzą obaj, przynależność religijna nie ma znaczenia. Dla ludzi młodych i wykształconych, przywykłych do pracy poniżej kwalifikacji za kiepską wypłatę, którym udało się wyjść poza ciasne granice swych społeczności, teraz liczy się walka z całym systemem. Tutaj, dowodzą, nie ma miejsca na podziały religijne i klasowe. Choć protestujący nie stworzyli jeszcze zwartego politycznego frontu ani nie wybrali liderów, chęć zmiany, niekończące się debaty na temat możliwych rozwiązań oraz trwanie w rewolucji są tym, czego Liban potrzebuje dziś najbardziej.

– Od tego nie ma odwrotu. Jest takie powiedzenie, że przerwać rewolucję w połowie to jakby wykopać sobie grób. Tym razem się nie poddamy. Nasi rodzice nas zawiedli, teraz jest nasz czas. Mamy inną perspektywę i możemy wszystko zmienić – mówi Mohammad Ali.

– Większość ludzi z mojej społeczności jest przeciwko Hezbollahowi, ale boją się do tego przyznać. My się już nie boimy. Nie chcę żyć w kraju rządzonym przez religię. Religię powinno się zostawiać w domu. Można robić politykę bez niej – przekonuje.

Wtóruje mu Wael. Jest na protestach od początku, od tygodnia nie był w pracy. Jego pracodawca też przychodzi na plac, z całą rodziną i każdego dnia. Rewolucja jest teraz najważniejsza.

– Polityka kontroluje ludzi do tego stopnia, że często boją się wychodzić do innych dzielnic. Ale tu jesteśmy wszyscy, muzułmanie i niemuzułmanie piją, palą i bawią się razem. Politycy starają się wywołać konflikt religijny, ale my, wykształceni ludzie, czujemy się w obowiązku, by zmienić tę mentalność – mówi Wael.

– To, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dni, jest niesamowite – dodaje. – Ludzie nigdy nie sądzili, że wszystkie społeczności borykają się z tymi samymi problemami, że boimy się naszych własnych liderów. Wreszcie odkryliśmy, że my wszyscy mamy dość.

Hezbollah kontra reszta

Wael i Mohammad Ali zgodnie twierdzą, że najgłębsza rewolucja dzieje się jednak poza Bejrutem. Południe kraju i inne okolice – tradycyjnie kontrolowane przez Hezbollah oraz Amal – to miejsca, gdzie ma następować prawdziwe przetasowanie. Wael nazywa te miejsca „strefami strachu" – i chyba się nie myli.

Jednak choć zmiana nastrojów jest widoczna, a libańscy szyici w dużej mierze zaangażowali się w rewolucję, ciężko ocenić skalę sprzeciwu wobec Hezbollahu w jego tradycyjnych przyczółkach.

Zdobyć pozwolenie na fotografowanie i robienie wywiadów z mieszkańcami Dahieh – w większości szyickiej dzielnicy w południowym Bejrucie – graniczy z cudem i wymaga zgody władz Hezbollahu. W czasie rewolucji jest to jeszcze trudniejsze – mimo prób i kontaktów nie udaje mi się otrzymać takiej zgody.

Według tych, którzy zdołali dotrzeć do Dahieh w ostatnich dniach, nastroje są tam raczej kontrrewolucyjne. Tłumy młodych mężczyzn siedzą na ulicach przy motocyklach, opatrzonych żółto-zielonymi flagami Hezbollahu, w napiętym oczekiwaniu. W każdej chwili gotowi są ruszyć do centrum, by skonfrontować się z protestującymi.

Liderzy Hezbollahu szczególnie ostro odpowiedzieli na rewolucję. Oskarżają obce mocarstwa o wspieranie protestów – głównie Arabię Saudyjską, która tradycyjnie popiera lidera libańskich sunnitów, premiera Saada Haririego. W długo oczekiwanym telewizyjnym przemówieniu lider Hezbollahu Hassan Nasrallah ostrzegł, że protesty doprowadzą tylko do większego chaosu i próżni władzy, a przez to może nawet do wojny domowej.

Protesty w Trypolisie, portowym mieście nad Morzem Śródziemnym, październik 2019 r.

Zresztą „żołnierze" Hezbollahu na motocyklach już dali o sobie znać. Grupki mężczyzn, w liczbie kilkudziesięciu, dwukrotnie atakowały protestujących w Bejrucie, ciskając kamieniami. We wtorek, 29 października, setki bojowników Hezbollahu i Amalu szturmem zajęło plac Męczenników, niszcząc miasteczko namiotowe oraz atakując demonstrantów. Po chwili wahania libańska armia, która przez większość czasu stała ramię w ramię z protestującymi, rozgoniła bojówki.

W ten sposób, trzynastego dnia protestów, plac Męczenników zaczął przypominać strefę wojenną.

Co dalej z Libanem

Premier Hariri już w pierwszych dniach protestów ogłosił chęć reform. Obiecał obniżenie o połowę pensji obecnego i byłych prezydentów, parlamentarzystów oraz innych oficjeli. Zobowiązał też banki, by dołożyły 3,3 mld dolarów do budżetu na rok 2020, żeby zmniejszyć deficyt. To były tylko niektóre z obietnic premiera. Okazały się jednak niewystarczające, by uciszyć demonstrantów.

Trzynastego dnia protestów, chwilę po zniszczeniu miasteczka namiotowego, Hariri złożył dymisję. Decyzja spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem tłumów. Ale postulatem protestujących pozostaje odejście całego rządu i rozpisanie nowych wyborów na nowych zasadach. Prezydent Michel Aoun poprosił, by Hariri pełnił nadal funkcję, aż do powołania nowego gabinetu.

W minioną środę, 30 października, armia zaczęła negocjować z protestującymi usunięcie blokad na drogach. Choć część barykad zniknęła, niektóre po pewnym czasie przywrócono. Rewolucja więc trwa, choć nikt nie wie, co będzie dalej. Niepewność i wzburzenie mieszają się z obawą, co może się wydarzyć, jeśli protesty będą się przedłużać. Wojna domowa na razie nie wydaje się prawdopodobna, ale nie można jej też wykluczyć.

Jak wielu rodaków, Karim Chehayeb zdaje sobie sprawę, że sprawy mogą się wymknąć spod kontroli: – Jest tyle niewiadomych, sytuacja jest bez precedensu. Ludzie się boją, ja również.

– W dłuższej perspektywie – dodaje aktywista – główne pytanie brzmi, czy powstanie próżnia władzy, a jeśli tak, to kto ją wypełni.

© AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

BAZ RATNER / AFP / EAST NEWS

Benny Gantz oddaje honory zmarłemu premierowi Arielowi Szaronowi, styczeń 2014 r.

Generał na premiera

INGA ROGG Z JEROZOLIMY

Benny Gantz ma za sobą świetną karierę wojskową. Właśnie otrzymał szansę strącenia z tronu „Króla Bibiego" – wieloletniego premiera Benjamina Netanjahu. Zapowiada się polityczna rewolucja.

Przez długich 11 lat sprawy w Izraelu wyglądały tak: obywatele szli do wyborów, a na końcu premierem i tak zostawał Netanjahu. Dlatego, gdy prezydent Re'uwen Riwlin stanął przed kamerami i oznajmił, że misję tworzenia rządu otrzymuje Benny Gantz, dla wielu ludzi była to sensacja. Zapewne nieprzypadkowo prezydent nazwał Gantza „przyszłym premierem", jakby rzecz była przesądzona. Odebrano to jako sygnał tego, o czym za kulisami mówią dziś nawet zwolennicy Likudu, partii Benjamina Netanjahu: że czas najdłużej urzędującego izraelskiego premiera dobiegł końca.

Podobne nastroje widać w niedawnym sondażu Israel Democracy Institute: ponad 53 proc. pytanych opowiedziało się za natychmiastową dymisją Netanjahu, tylko 38 proc. było jej przeciwnych. Jeszcze gorzej rzecz wygląda dla „Króla Bibiego" (jak bywa nazywany), gdyby został oskarżony o korupcję: w takim przypadku prawie połowa jego własnych wyborców byłaby za dymisją.

Weteran wielu wojen

Wraz z desygnowaniem na premiera Gantz dostał więc szansę zdetronizowania „Króla". Jednak droga do tego jest kamienista, a porażka – niewykluczona. Choć koalicja Niebiesko-Biali, na czele której stoi Gantz, dostała najwięcej głosów we wrześniowych wyborach, jak dotąd miał on mniej potencjalnych partnerów koalicyjnych, niż posiadał ich Netanjahu – mimo to nie udało mu się stworzyć większości i po upływie ustawowego terminu musiał zrezygnować z misji tworzenia rządu. Jednak, przyznajmy: czy kilka miesięcy temu ktoś w ogóle prognozował temu emerytowanemu generałowi – w latach 2011-15 szefowi Sztabu Generalnego armii izraelskiej – aż tak błyskotliwą karierę polityczną?

Po otrzymaniu nominacji Gantz powtórzył swoje credo, że chce powołać liberalny rząd jedności. Powiedział jednak też, że uczyni wszystko, by utworzyć rząd narodowego pojednania – taki, który reprezentowałby wszystkich, „zarówno ultraortodoksów, jak też arabskich Izraelczyków, Druzów i wszystkich innych". Niczego bardziej nie potrzebuje dziś Izrael, kraj tak głęboko podzielony – mówił Gantz.

Na pierwszy rzut oka wydaje się nieprawdopodobne, aby taka właśnie sztuka udała się generałowi, który w swoich spotach wyborczych chlubił się tym, iż zabił „setki terrorystów" w Strefie Gazy. Jednak osoby, które znają osobiście „olbrzyma z niebieskimi oczami" (jak bywa nazywany), twierdzą, że podczas długiej kariery w armii ujawniał często cechy, które teraz mogłyby pomóc mu w odniesieniu sukcesu w polityce.

Syn Żydów z Europy Środkowej, którzy przeżyli Holokaust (ojciec pochodził z Rumunii, a matka – więźniarka kacetu Bergen-Belsen – z Węgier), przyszedł na świat w 1959 r. i dorastał w moszawie (spółdzielni rolniczej) na południu kraju. Mając 18 lat, trafił do słynnej Brygady Spadochronowej; jedną z pierwszych akcji, w których brał udział, była ochrona egipskiego prezydenta Anwara Sadata podczas jego wizyty w Izraelu w 1977 r.

Potem były kolejne wojny i kolejne awanse. W wieku 21 lat został oficerem; walczył w Libanie; w 1991 r. koordynował tajną operację, podczas której do Izraela sprowadzono z Etiopii 14 tys. tamtejszych Żydów. Już jako generał dowodził w obu wojnach w Strefie Gazy, podczas których zginęło ponad 2,5 tys. Palestyńczyków.

Otwarty wobec ortodoksów

O ile operacje w Gazie sprowadziły na niego ostrą krytykę z prawa i lewa – oraz zarzut popełnienia zbrodni wojennych – o tyle wśród podwładnych Gantz zyskał opinię dowódcy bliskiego żołnierzom, który umie słuchać i stara się o konsens. Sympatycy podkreślają ponadto jego humanitarne zaangażowanie, jak starania o zapewnienie edukacji Beduinom i Żydom z pustyni Negew. W przeciwieństwie do „Bibiego", omijał dotąd szerokim łukiem tutejsze „zapasy w błocie" – tak powszechne w izraelskiej polityce ataki personalne. Brak politycznej charyzmy, co zarzucają mu niektórzy, Gantz – prywatnie ojciec czworga dzieci – ma natomiast nadrabiać skromnością i otwartością.

Jego mocną stroną w realiach tutejszej polityki jest również i to, że nie obawia się kontaktów z partiami reprezentującymi religijnych Żydów. Podczas niedawnego zakończenia Święta Szałasów Gantz – który w młodości chodził do szkoły religijnej – pojawił się u boku ultraortodoksów, tańcząc wraz z nimi. Politycznie może mu to pomóc. Nie jest bowiem tak, że ortodoksi są raz na zawsze przypisani do obozu prawicowego. Udało się ich po-

zyskać dopiero „Bibiemu” – po tym, jak uczynił na ich rzecz szereg koncesji.

Nie ma żadnego powodu, dla którego partie religijne nie miałyby stać się częścią koalicji rządowej wraz z Niebiesko-Białymi, powiedział niedawno w wywiadzie były premier Ehud Olmert, który kiedyś stał na czele rządu złożonego z polityków religijnych i świeckich. Olmert przekonywał, że dopóki nie kwestionuje się ich stylu życia, środowiska religijne są gotowe do kompromisów.

Odnotujmy w tym miejscu, że duchowy przywódca partii Szas (reprezentuje ona głównie ortodoksów sefardyjskich) obiecał miejsce w niebie dwóm największym przeciwnikom takiej koalicji – są nimi Ja'ir Lapid z Niebiesko-Białych i Awigdor Lieberman (świecki prawicowiec) – jeśli tylko zrezygnują z dalszego sprzeciwiania się jej.

Decydujące dni

Wiele zależy od decyzji prokuratora generalnego: od tego, czy wniesie akt oskarżenia przeciw Netanjahu. Na znalezienie większości rządowej Gantz ma czas do 20 listopada. Jeśli przed upływem tego terminu prokurator da zielone światło dla oskarżenia „Bibiego” o korupcję, szeregi jego zwolenników mogą się szybko przerzedzić.

W takim wypadku wyobrażalne byłyby prawie wszystkie konstelacje koalicyjne, z udziałem prawicy, lewicy i centrum, religijnych i świeckich. Gantz mógłby też próbować stworzyć rząd mniejszościowy z partią Nasz Dom Izrael Liebermana, który miałby poparcie Zjednoczonej Listy izraelskich Arabów. Jeśli natomiast Gantz poniósłby porażkę, pałeczka mogłaby wrócić do „Bibiego”, który podjąłby ponowną próbę zbudowania większości w Knesecie.

Składając w ręce Gantza misję tworzenia większości, prezydent Riwlin mówił, że najbliższe dni zdecydują o losie kraju, który pilnie potrzebuje nowego rządu. Dodał, że nie będzie go, jak długo brakować będzie woli kompromisu. ©℗ Przełożył WP

Autorka jest reporterką szwajcarskiego dziennika „NZZ”, specjalizuje się w tematyce Bliskiego Wschodu. Przez wiele lat pracowała w Bagdadzie i Stambule, obecnie w Izraelu.

Lepiej im być nie może

MAREK RABIJ

Obozy Rohingów w Bangladeszu opuszczają kolejne organizacje humanitarne, którym władze odmówiły przedłużenia misji. Na mieszkańców spadają kolejne ograniczenia. Dhaka gra na destabilizację, która posłuży jej za paliwo w bieżącej polityce.

Nie rzucała się w oczy. Jeśli coś w ogóle wyróżniało ją spośród blisko 1,2 tys. studentów Cox's Bazaar International University – prywatnej uczelni, założonej przez prominentnego działacza rządzącej Bangladeszem partii Awami Leauge – była to powaga, z jaką traktowała naukę.

Jej koledzy piszą dziś w mediach społecznościowych, że Rahima Akter, znana także jako Rahi Khushi, chłonęła wiedzę z gorliwością charakterystyczną dla kogoś, kto rozumie, że może nie dostać drugiej takiej szansy od losu.

Krnąbrna studentka niczego nie żałuje

Jednak kilka tygodni temu Rahimę wezwano do gabinetu dziekana, gdzie czekało kilku urzędników i policjantów. Nie zaprzeczała. Przeciwnie, z dumą wyznała, że w 1999 r. przyszła na świat w obozie w Kutupalong, gdzie siedem lat wcześniej osiedlili się jej zbiegli z Birmy rodzice.

Przyznała się także do fałszowania dokumentów, niezbędnych do pobierania nauki w bangladeskich szkołach, do których nie miała wstępu jako Rohinka. Nie wyraziła skruchy. „Każdy powinien mieć prawo do nauki. Nie moja wina, że kraj moich przodków pozbawił mnie tej możliwości. Żałuję tylko, że nie mogłam tego robić legalnie także w kraju, w którym przyszłam na świat i który uważam za ojczyznę” – wyznała Rahima w rozmowie z dziennikarzami telewizji Al-Jazeera. Tłumacząc im przy okazji, że nawet dzieci Rohingów już urodzone w Bangladeszu mają ograniczony dostęp do tutejszych szkół.

Rząd w Dhace odmawia uciekinierom z Birmy formalnego statusu uchodźców, który w świetle prawa międzynarodowego dałby im szereg gwarancji, włącznie z prawem do edukacji.

Władze uniwersytetu na razie nie skreśliły Rahimy z listy studentów, ale zdają się czekać jedynie na decyzję ↦

Rahima Akter w obozie uchodźców w Bangladeszu, sierpień 2018 r.

ALTAF QADRI / AP / EAST NEWS

prokuratury, która chce postawić jej zarzuty fałszowania dokumentów i narażenia skarbu państwa na straty. Tymczasem kraj podzielił się na zwolenników deportacji krnąbrnej Rohinki do Birmy oraz tych, którzy uważają, że na wyrzuceniu tak ambitnej studentki najwięcej straci sam Bangladesz.

Tych ostatnich, sądząc po wynikach ostatniej ankiety, szybko ubywa.

Problemy mile widziane

Pracownik jednej z organizacji humanitarnych obecnych w Bangladeszu już na początku naszej rozmowy telefonicznej zastrzega, że i jego nazwisko, i nazwa jego pracodawcy muszą pozostać anonimowe.

Kilka zagranicznych i krajowych instytucji pomocowych w ostatnich tygodniach dostało nakaz opuszczenia terenu obozów, do tego wydany pod byle pretekstem, np. wspierania rohińskiego zbrojnego podziemia.

– W rzeczywistości oni rozdawali jedynie sierpy, żeby ułatwić Rohingom zbiory ryżu na poletkach, które próbują uprawiać w obozach – mówi mężczyzna i słychać, że się przy tym uśmiecha. Ale jego głos natychmiast poważnieje: – Atmosfera stężała. Kiedy kilkanaście miesięcy temu zaczynaliśmy pracę, traktowano nas z rezerwą, ale po partnersku. Biorąc poprawkę na słynną bangladeską biurokrację, projekty dało się realizować bez większych trudności. Tymczasem teraz wyszarpanie stosownych dokumentów graniczy z cudem, a każdy błąd może stać się pretekstem do cofnięcia pozwolenia na działalność. Władze już nawet nie próbują ukrywać, że ich celem jest pozbycie się wszystkich organizacji pozarządowych z terenu obozów. Zarządzanie nimi ma ponoć przejąć armia.

PRACOWNIK ORGANIZACJI HUMANITARNEJ:

O skali handlu ludźmi może świadczyć fakt, że podczas spotkań z nami władze Bangladeszu naciskają na prowadzenie programów oświatowych, które uzmysłowią młodym Rohingom, że oferta pracy za granicą może się skończyć w tajlandzkim burdelu.

Sprawa Rahimy, jak podejrzewa mój rozmówca, również nieprzypadkowo trafiła do krajowych mediów i rozgrzewa teraz tutejszy internet. Rząd, który dzięki powiązaniom personalnym kontroluje bangladeskie media, bez trudu mógłby zablokować publikacje o Rohince podającej się za obywatelkę Bangladeszu po to, aby chodzić do szkoły.

– Ale ta historia idealnie pasuje do coraz częściej pojawiającej się narracji o przybyszach z Birmy, którzy mają nadużywać tutejszej gościnności – podkreśla mężczyzna.

– To się zaczęło dosłownie kilkanaście tygodni temu – dodaje. – Wcześniej media konsekwentnie rysowały idylliczny obraz świetnie zarządzanych obozów, w których prześladowani w Birmie Rohingowie wreszcie mogą doświadczyć namiastki stabilizacji.

Pomoc z podtekstem politycznym

Inna sprawa, że skala problemów wywołanych obecnością ponad miliona birmańskich muzułmanów na południowym skrawku dystryktu Cox's Bazaar – zamieszkiwanego wcześniej przez ok. 300-400 tys. ludzi – stała się niemożliwa do ukrycia.

Przybyszów, którzy lądują na zapuszczonym krajowym lotnisku w Cox's Bazaar, prócz wraków kilku samolotów wita obecnie także widok slumsów, w których mieszka kilka tysięcy Rohingów, zbiegłych z obozów oddalonych stąd o niespełna 50 kilometrów. Policja systematycznie aresztuje i przewozi ich stąd ponownie do Kutupalong. Ale ich miejsce szybko zajmują kolejni, przeszmuglowani do stolicy dystryktu przez pośredników, którzy oferują firmom z Cox's Bazaar rohińską siłę roboczą za 40-50 proc. dotychczasowych stawek.

Łatwo zgadnąć, jak reaguje na to opinia publiczna w regionie, w którym odsetek mieszkańców zagrożonych skrajnym ubóstwem wzrósł od połowy 2017 r. z 31 proc. do aż 80 proc. (to oficjalne dane ministerstwa do spraw klęsk żywiołowych).

Z punktu widzenia Dhaki korzyści polityczne, jakie Bangladesz czerpał początkowo z opieki nad Rohingami, przestają być adekwatną zapłatą za napięcia wewnętrzne, które generuje sama ich obecność. Kraj bez wątpienia zyskał na arenie międzynarodowej na wiarygodności, sprawnie organizując jesienią 2017 r. tymczasowy pobyt ponad 740 tys. zbiegów z Birmy, którzy w okolicach Kutupalong dołączyli do ok. 150 tys. ofiar trzech wcześniejszych eksodusów z tego sąsiadującego z Bangladeszem kraju.

Konieczność udzielenia schronienia tak licznej społeczności i związane z tym napięcia dostarczyły też władzom wygodnych odpowiedzi na zarzuty o ograniczanie wolności słowa i tłamszenie opozycji demokratycznej. Kiedy pod koniec 2018 r., tuż przed wyborami parlamentarnymi, Dhaka wprowadziła przepisy penalizujące „szerzenie dezinformacji", zmianę tłumaczono właśnie koniecznością opanowania fali fake newsów o sytuacji w obozach Rohingów, jakimi rzekomo bombardowała opinię publiczną w kraju nieodpowiedzialna opozycja.

Łatwo zgadnąć, że w trakcie kampanii wyborczej definicję „dezinformacji" władze ochoczo rozciągnęły na wszelkie

POŻEGNANIE

Z żalem pragniemy powiadomić, że 14 X 2019 r. nastąpiło złożenie do rodzinnego grobowca na poznańskim Cmentarzu Junikowo prochów Matki mojej

Ś.† P.

Krystyny Twardowskiej

wdowy po Bernardzie

Jolanta Twardowska-Rajewska z rodziną
Poznań-Rogalin

Wszystkim, którzy okazali nam wsparcie, składamy podziękowanie.

doniesienia o nieprawidłowościach, na czele ze wzmiankami o wszechobecnej korupcji urzędników nadzorujących obozy i rosnącej przestępczości. Resortom siłowym Bangladeszu nie udało się zapobiec infiltracji Kutupalong przez przemytników, którzy uzależniają dziś rohińską młodzież od yaby – taniej metamfetaminy sprowadzanej z Indochin i Tajlandii – i coraz częściej także przez handlarzy ludźmi.

Pracownik organizacji humanitarnej: – O skali tego ostatniego procederu może świadczyć fakt, że podczas spotkań z nami władze naciskają teraz na prowadzenie programów oświatowych, które uzmysłowią młodym Rohingom, że atrakcyjna oferta pracy za granicą może się skończyć pobytem w tajlandzkim burdelu lub na stole operacyjnym chińskiego handlarza narządami do przeszczepów.

Nakaz z samej góry

Organizacjom pozarządowym, które chcą działać na terenie obozów, narzucono niedawno jeszcze jeden wymóg. Do budżetów na pomoc Rohingom mają obligatoryjnie dopisywać 20 procent – tym razem na pomoc udzielaną wyłącznie obywatelom Bangladeszu, którzy mieszkają w okolicy obozów. Podczas spotkań z wolontariuszami władze wyrażają wprost oczekiwanie, że poziom życia w obozach musi spaść poniżej tego, jakim „cieszą się" okoliczni mieszkańcy.

– Pokazują nawet jakieś badania, z których wynika, że na przeciętne dziecko w Bangladeszu przypada dziennie około tysiąca kilokalorii. Oczywiście próbujemy tłumaczyć, jak absurdalny jest pomysł, żeby głodzić nieletnich Rohingów tylko z tego powodu, że inne dzieci po sąsiedzku nie jedzą tyle, ile powinny – mówi pracownik organizacji humanitarnej. – Podkreślamy, że cięcie i tak skąpych racji żywnościowych może doprowadzić do rozruchów, bo w obozach życie toczy się wokół kwestii aprowizacyjnych. Urzędnicy wzruszają ramionami. Twierdzą, że zdają sobie z tego sprawę, ale nakaz przyszedł z samej góry – tłumaczy bangladeski rozmówca.

Na początku września władze wyłączyły Rohingom dostęp do mobilnego internetu i ogłosiły konfiskatę telefonów komórkowych. Kilka tygodni później gruchnęła wieść, że teren obozów zostanie ogrodzony. Płot na razie nie powstał i wątpliwe, aby udało się go zbudować, bo w północno-wschodniej części kraju obozy praktycznie już zrosły się z okolicznymi wioskami. Niewykluczone jednak, że w Kutupalong władze zrealizują niebawem inną zapowiedź i zbudują więzienie – areszt w Cox's Bazaar od dawna trzeszczy w szwach.

Tylu tajniaków nigdy wcześniej nie było na terenie obozów – mówią pracownicy organizacji humanitarnych. Godzinę, do której obozy muszą opuścić wszyscy cudzoziemcy, przesunięto z siedemnastej na szesnastą.

Granice wytrzymałości

Władze wyposażyły też młodych Rohingów w aparaty fotograficzne i poleciły fotografować obcych. Oficjalnie chodzi o względy bezpieczeństwa – przestępczość na terenie obozów rośnie w zastraszającym tempie. W 2018 r. zarejestrowano tu 22 przypadki zabójstw, natomiast w tym roku do końca sierpnia – już 32.

3 października późnym popołudniem w obozie Nayapara doszło do kolejnej zbrodni. Tym razem sprawcami byli jednak bangladescy żołnierze, którzy wedle relacji świadków zachowywali się agresywnie i wulgarnie, zwłaszcza wobec młodych kobiet. W pewnym momencie żołnierze włamali się do jednego z szałasów, pobili mężczyzn, następnie zaś wielokrotnie zgwałcili 12-letnią Moriam Khatum. Krwawiąca dziewczynka trafiła do szpitala w Cox's Bazaar, gdzie nazajutrz przesłuchali ją – jak twierdzi serwis Arakan News – bangladescy prokuratorzy. Od tej pory sprawa nie ruszyła z miejsca.

– Moim zdaniem rząd Bangladeszu ewidentnie gra na konfrontację z Rohingami, a to znaczy, że mu na niej z jakichś powodów zależy – zauważa pracownik fundacji. – Myślę, że chodzi o coś, co stanie się pretekstem dla zaostrzenia kursu wobec mieszkańców obozów.

– Dziś społeczność międzynarodowa nie chce słyszeć o przymusowej repatriacji uchodźców do Birmy, nie zgadza się też na ich obligatoryjną relokację na wyspę Bashan Char, gdzie rząd zbudował schronienia dla ok. 140 tys. Rohingów – spekuluje mój rozmówca. – Ale czy będzie potępiać podobne pomysły równie stanowczo także wtedy, kiedy w obozach zaczną ginąć bangladescy żołnierze lub urzędnicy?

©℗ MAREK RABIJ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wstrząsający reportaż o Rohingach – muzułmańskich uciekinierach z Birmy do Bangladeszu

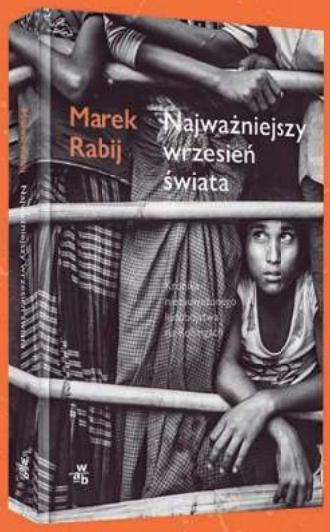

Wiedziałem już o obozach na tyle dużo, by zdawać sobie sprawę, jak wiele rzeczy i zjawisk nazywa się tutaj normalnymi, choć nie mają nic wspólnego ani z normalnością, którą znałem ze swojego życia, ani z tym, co jeszcze niedawno wydawało się normalne samym Rohingom. Normalny był widok dzieci licytujących się w zabawie na liczbę trupów, które widziały na własne oczy. Normalny był głód i niedożywienie oraz haracz pobierany przez mieszkańców okolicznych wsi za wejście do publicznego lasu, gdzie można znaleźć drewno na opał. Normalne było nawet to, że trzydziestokilogramowy worek ryżu przypadający miesięcznie na rodzinę ważył w najlepszym razie dwadzieścia sześć kilogramów. (...) „Normalne" w obozach Rohingów oznaczało miarę wspólnego doświadczenia, nic ponadto.

Reportaż Marka Rabija „Najważniejszy wrzesień świata" już w księgarniach

PARTNER

TYGODNIK POWSZECHNY

WOJCIECH

Bonowicz:
Pierwsza wstanie mama

Praga to są gotowe historie i nic nie trzeba wymyślać, bo wszystko od dawna jest już wymyślone. Wystarczy trafić w odpowiednie miejsce, usiąść i słuchać.

Na przykład na Smíchovie mieszka pani Eliška, która ma psa Albina, białego szwajcarskiego owczarka. Chodzi z nim na spacery do parku, który się nazywa Ogrody Kinskiego. I w tym parku na jednej z ławek bezdomny mężczyzna urządził sobie latem mieszkanie: starannie porozstawiał swoje rzeczy, żeby choć przez kilka dni poczuć się jak u siebie. No i pewnego razu, kiedy pani Eliška była na spacerze z Albinem, zrobiło jej się słabo. Niewiele brakowało, a osunęłaby się na ziemię, gdy nagle usłyszała wołanie: „Potrzebuje pani pomocy?!" – i ten głos ją ocucił. A to właśnie wołał ów bezdomny. „Nie, nie, dziękuję", powiedziała pani Eliška i ruszyła wystraszona w stronę domu. Jednak przez resztę dnia nie mogła przestać myśleć o nieznajomym mężczyźnie i miała wobec niego wyrzuty sumienia.

Na drugi dzień zabrała Albina i poszli w to samo miejsce. Mężczyzna znów tam był, ze śpiworem i wszystkimi swoimi rzeczami porozkładanymi wokół ławki. „Chciałam panu podziękować. To było bardzo miłe, że zaoferował mi pan pomoc – powiedziała. – A czy ja mogłabym jakoś pomóc panu?". Mężczyzna przyjrzał jej się uważnie. „Owszem – powiedział – proszę mi kupić sześć puszek pilsnera, »Sport« i najnowszy numer »Guardiana«. Może to pani zrobić?".

Do pani Eliški zaprowadził mnie mój przyjaciel Jiří Červenka, poeta i tłumacz. Gospodyni zrobiła nam mocnej kawy i podała kołacze z makiem, a wielki Albin lizał nas po rękach, bo jest młody i trochę się nas bał. Mojego przyjaciela coś w przeszłości z Elišką łączyło, ale o tym nie będę pisał, bo to nie powinno was obchodzić, chociaż to nie jest żadna tajemnica. W każdym razie oboje są już na emeryturze. Co ciekawe, choć Jurek jako emeryt może komunikacją miejską jeździć za darmo, to i tak wszędzie chodzi piechotą. Pewnie dlatego jest w tak dobrej formie. Szliśmy na Smíchov przez Kampę, bo chciał mi pokazać dom, w którym mieszkał z żoną i córką wielki poeta Vladimír Holan. Córka Holana Kateřina miała zespół Downa; ojciec kochał ją tak bardzo, że po jej śmierci nie miał już sił pisać i zamilkł jako poeta.

W drodze Jurek zwierzył mi się, że od przeszło dwudziestu lat notuje swoje sny: jak się tylko obudzi, natychmiast robi notatkę, żeby nie zapomnieć. Spytałem, co mu się śniło ostatniej nocy.

– Wyobraź sobie, że marszałek Tito. W fidelowskim uniformie. Chciał bronić czci pewnej damy, którą jakoby obraziłem. Ja na to, że o niczym nie wiem i że w tej sytuacji widzę dwa wyjścia: albo się weźmiemy za łby, albo podamy sobie ręce na zgodę. Kiedy się godziliśmy, z radia zaczęła płynąć muzyka, taka nostalgiczna, jakby z francuskiego albo rosyjskiego filmu. Objąłem marszałka, chwyciłem jego rękę w swoją i zaczęliśmy tańczyć. I powiem ci, że całkiem nieźle nam to wychodziło.

Tej nocy, kiedy Jurek Červenka tańcował z marszałkiem, ja, leżąc w łóżku, czytałem akurat Holana w przekładach Leszka Engelkinga. I był tam wiersz, chyba z lat 60. ubiegłego wieku, zatytułowany „Zmartwychwstanie", który Holan zadedykował Stanislavowi Zedníčkowi. W tamtym czasie katolicki poeta Zedníček był objęty zakazem druku; najpierw pracował w lesie, potem karmił zwierzęta w praskim zoo, a w końcu dostał pracę w drukarni i tam dotrwał do 1968 r. A wiersz „Zmartwychwstanie" idzie tak:

Więc po tym życiu miałyby nas kiedyś obudzić
przeraźliwe jęki trąb i rogów?
Odpuść mi, Boże, ale krzepię się wiarą,
że początek i wskrzeszenie wszystkich nas, nieboszczyków,
obwieści po prostu pianie koguta...

Potem przez chwilę zostaniemy jeszcze w łóżku...
Pierwsza wstanie
mama... Usłyszymy,
jak cichutko rozpala ogień,
jak cichutko stawia wodę na blasze
i troskliwie wyjmuje z szafy młynek do kawy.
Będziemy znowu w domu. ©

TP W NASTĘPNYM WYDANIU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" DODATEK POŚWIĘCONY TEGOROCZNEMU

open '19 eyes economy summit
Międzynarodowy Kongres Ekonomii Wartości
ICE Kraków 19–20 XI 2019

Open Eyes Economy Summit

a w nim m.in:

- rozmowa z prof. Jerzym Hausnerem o tym, czy wielkie korporacje mogą uratować świat przed katastrofą klimatyczną,
- przeciętnej polskiej rodziny siedem dni z zero waste,
- o tym, kto przekona ponad miliard Chińczyków, żeby robili rzadziej zakupy.

Program i szczegóły na oees.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 45/2019

Podczas Aksamitnej Rewolucji w Pradze, listopad 1989 r.

NAF DEMENTI

1989

JESIEŃ LUDÓW

30 lat później

BORIS YURCHENKO / AP / EAST NEWS

Powitanie Ericha Honeckera i Michaiła Gorbaczowa podczas jego wizyty w Berlinie Wschodnim, 6 października 1989 r. Miesiąc później upadnie mur berliński.

Jak Michaił Gorbaczow przegrał Europę Środkową

ŁUKASZ KAMIŃSKI

Jego celem nie był rozpad, lecz ocalenie Związku Sowieckiego. Ceną, jaką był gotów za to zapłacić, była „finlandyzacja" Europy Środkowej. Ale 30 lat temu sprawy wyrwały mu się spod kontroli.

Opowieść o polityce Michaiła Gorbaczowa – od 1985 r. sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, tj. najwyższego przywódcy – wobec sowieckiego „imperium zewnętrznego" rozpocząć należy... w grudniu 1981 r. Przyszły lider był wówczas sekretarzem Komitetu Centralnego i najmłodszym członkiem Politbiura. W kluczowym posiedzeniu sowieckiego kierownictwa nie wziął jednak udziału.

„Doktryna Andropowa"

Tego dnia, 10 grudnia 1981 r., tematem obrad stała się prośba Wojciecha Jaruzelskiego o wsparcie wojskowe, przekazana przez marszałka Wiktora Kulikowa, dowódcę wojsk Układu Warszawskiego. Niezależnie od intencji premiera PRL, odebrano ją jako wezwanie do wprowadzenia wojsk sowieckich do Polski. Kolejni mówcy przypominali, że już wcześniej zdecydowano, iż polscy komuniści muszą sobie radzić sami.

Najdalej posunął się Jurij Andropow, od blisko 15 lat kierujący KGB. „Nie możemy ryzykować. Nie zamierzamy wprowadzać wojsk do Polski. Jest to słuszne stanowisko i musimy się go trzymać do końca. Nie wiem, jak rozwinie się sprawa z Polską, ale jeśli nawet Polska będzie pod władzą »Solidarności«, to będzie to tylko tyle. Ale jeśli na Związek Sowiecki rzucą się kraje kapitalistyczne, a oni już mają odpowiednie uzgodnienia o różnego rodzaju sankcjach ekonomicznych i politycznych, to dla nas będzie to bardzo ciężkie. Powinniśmy przejawiać troskę o nasz kraj, o umacnianie Związku Sowieckiego" – mówił człowiek stojący na czele aparatu policyjno-represyjnego.

Na te słowa – zdawałoby się, zdumiewające – nikt nie zareagował. Ani Michaił Susłow (mianowany jeszcze przez Stalina), ani „żelazny" szef dyplomacji Andriej Gromyko, ani minister obrony marszałek Dmitrij Ustinow. Także schorowany Leonid Breżniew, sekretarz generalny, w milczeniu przyjął kres doktryny nazywanej jego imieniem od roku 1968, gdy wojska Układu Warszawskiego wkroczyły do niepokornej Czechosłowacji.

W ten sposób władcy Związku Sowieckiego przekroczyli ważną granicę: dopuścili do siebie i zaakceptowali myśl, że za cenę umocnienia własnego kraju można zrezygnować z pełnej kontroli nad Europą Środkową. Wtedy jednak, w grudniu 1981 r., „doktryny Andropowa" nie trzeba było wprowadzać w życie: w PRL trzy dni później Jaruzelski proklamował stan wojenny.

Przyspieszenie z kłopotami

Andropow wyciągnął jednak wnioski z polskiego kryzysu – i gdy w 1982 r. objął władzę po śmierci Breżniewa (jak się okazało, tylko na półtora roku), podjął próby reform, które miały zapobiec eksplozji społecznego niezadowolenia. Gorbaczow, który został „numerem jeden" wiosną 1985 r. – po tym, jak zniecierpliwiona szybką śmiercią także następcy Andropowa, Konstantina Czernienki, sowiecka wierchuszka postawiła na niego, wtedy dopiero 54-latka – kontynuował strategię Andropowa, swego mentora.

Ogłoszone przez niego programy „uskorienia" (przyspieszenia), „pierestrojki" (przebudowy) i „głasnosti" (jawności) miały rozwiązać problemy Związku Sowieckiego – od niewydolnej gospodarki i administracji po brak społecznego zaufania do władz. Oczywiście, miały one także wpływ na sytuację w Europie Środkowej, choćby przez ośmielanie poszczególnych społeczeństw do żądania podobnych zmian (prowadziło to niekiedy do niezwykłych sytuacji, jak wprowadzony jesienią 1988 r. przez władze NRD zakaz dystrybucji sowieckiego pisma „Sputnik").

Jednak podstawowe znaczenie miało stopniowe wprowadzanie w życie „doktryny Andropowa". Pierwszy sygnał przywódcy państw bloku otrzymali już w kwietniu 1985 r. Gorbaczow oświadczył wówczas, że „każda z bratnich partii samodzielnie określa swoją politykę i jest za nią odpowiedzialna przed swoim narodem".

Jak wspominał po latach, nie wszyscy wtedy „zdali sobie sprawę ze znaczenia tych słów". A sytuację dodatkowo skomplikowało opublikowanie w czerwcu przez dziennik „Prawda" (organ władz sowieckich) artykułu, którego autor – podpisany enigmatycznie „Władimirow" – krytykował zbyt niezależną politykę niektórych państw bloku. Autorem okazał się Oleg Rachmaninow, twardogłowy zastępca kierownika Wydziału Państw Socjalistycznych Komitetu Centralnego. Gorbaczow spacyfikował ten bunt, ale musiał odbyć serię rozmów z liderami niektórych państw, tłumacząc, że tekst ten nie był oficjalnym stanowiskiem Kremla.

Dalej tak nie można

Nowe podejście do relacji z państwami bloku Gorbaczow uzasadniał zarówno względami ekonomicznymi, jak i politycznymi. Podczas posiedzenia Biura Politycznego 3 lipca 1986 r. stwierdził: „Wszyscy zdaliśmy sobie sprawę, że relacje z państwami socjalistycznymi weszły w inny etap. Jak było – dalej nie można. Metody, które stosowano w odniesieniu do Czechosłowacji [w 1968 r.] i Węgier [w 1956 r.], są niedopuszczalne". Po chwili dodał: „Nie możemy naśladować przeżytków Kominternu... »administracyjne metody kierowania« przyjaciółmi. (...) niepotrzebne nam to – takie »kierownictwo«. To oznacza brać ich na swój kark. Przede wszystkim – gospodarka".

Słowa te padły tuż po powrocie sowieckiego kierownictwa z PRL, gdzie odbywał się pierwszy od 1981 r. zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wkrótce potem ekipa Jaruzelskiego podjęła pierwszą próbę kontrolowanych reform.

Wizytę w Polsce Gorbaczow relacjonował także na kolejnym spotkaniu Politbiura 11 lipca. Niestety, wciąż nie znamy kompletnych protokołów z tych spotkań, dysponujemy jedynie roboczymi notatkami. Nie jest więc w pełni jasne, w jakim kontekście padła uwaga: „Jeśli nie utrzymamy Polski, to nie zdołamy też utrzymać NRD". Bardziej jasne są słowa „będziemy musieli zmierzyć się z Katyniem", jak też komentarz na temat zadłużenia PRL, które wymusza współpracę z Międzynarodowym Funduszem Walutowym (co nie wszystkim się na Kremlu podobało). Co ciekawe, zdaniem Gorbaczowa wcześniejsze ogłoszenie pierestrojki mogło zapobiec wydarzeniom Sierpnia '80.

Wkrótce też, w listopadzie 1986 r., Gorbaczow przedstawił – po raz pierwszy na szerszą skalę – swoje założenia nowych relacji między Moskwą a jej satelitami; stało się to podczas narady przywódców państw Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. W zachowanym protokole z późniejszego posiedzenia władz sowieckiej partii widoczny jest entuzjazm, z jakim przyjęto efekty tego spotkania. Gorbaczow powiedział wręcz, że „osiągnęliśmy [tam] więcej, niż przez lata", a samo spotkanie oznaczało swoistą „ratyfikację" nowego kursu przez cały blok wschodni. ↦

Towarzysze się opierają

Wkrótce jednak okazało się, że sytuacja jest bardziej skomplikowana.

W styczniu 1987 r. na Kremlu z troską omawiano krytykę pierestrojki ze strony Ericha Honeckera, przywódcy Niemiec Wschodnich (NRD). Zarzucał reformom gospodarczym w Związku Sowieckim, iż przypominają rozwiązania z Jugosławii; nie spodobała mu się też rehabilitacja Andrieja Sacharowa (jednego z czołowych sowieckich dysydentów). Z kolei przywódca Bułgarii Todor Żiwkow pozwolił sobie na sugestię, że polityka Gorbaczowa może przynieść podobne skutki jak destalinizacja zapoczątkowana przez Chruszczowa, która zakończyła się rewolucją na Węgrzech. Lider Czechosłowacji Gustáv Husák niby chwalił Moskwę, ale nie robił nic, by wdrożyć u siebie jakiekolwiek reformy. Gorbaczow tłumaczył te reakcje z jednej strony niewystarczającą atrakcyjnością nowego projektu, a z drugiej zaawansowanym wiekiem wspomnianych towarzyszy i faktem zbyt długiego sprawowania przez nich władzy.

Najistotniejsze było jednak inne jego stwierdzenie: „W naszym interesie leży, aby nie obciążano nas odpowiedzialnością za to, co się u nich dzieje, i za to, co może się wydarzyć".

Te słowa, wypowiedziane w duchu „doktryny Andropowa", wymagają umieszczenia w szerszym kontekście polityki zagranicznej Gorbaczowa. Jej głównymi elementami były kolejne propozycje rozbrojeniowe, dążenie do wycofania wojsk sowieckich z Afganistanu (gdzie były od 1979 r.), ofensywa wizerunkowa na Zachodzie i dążenie do zacieśnienia więzów między krajami RWPG a Europejską Wspólnotą Gospodarczą (poprzedniczką obecnej Unii).

Wszystkie te elementy spajał podstawowy wątek: stan sowieckiej gospodarki. Jej uratowanie od całkowitego załamania wymagało z jednej strony odciążenia od ogromnych wydatków militarnych, a z drugiej wielkich inwestycji i nowych technologii, a te zaś dostarczyć mógł jedynie Zachód.

Wizja „finlandyzacji"

Jaką rolę odgrywała w tym wszystkim nasza część kontynentu? Gorbaczow liczył, że może ona stać się pomostem do krajów jednoczącej się Europy, i że reformy w krajach bloku uwiarygodnią jego politykę w oczach Zachodu. Jednocześnie pragnął zabezpieczyć się przed ryzykiem, że kolejny kryzys na miarę tych z lat 1956, 1968 czy 1980-81 zniweczy jego wysiłki i zrujnuje relacje z Zachodem. Już w 1987 r. na Kremlu rozważano częściowe wycofanie Armii Sowieckiej z regionu. Stopniowo rysował się model jego „finlandyzacji": zamiany bezpośredniej dominacji Kremla na subtelniejsze narzędzia wpływu (nazwa nawiązuje do modelu fińskiego po 1945 r., gdy Finlandia ocaliła niepodległość w polityce wewnętrznej, ale za cenę ograniczeń w polityce zagranicznej).

W kolejnych miesiącach wszystko wydawało się podążać we właściwą stronę. Prezydent USA Ronald Reagan, po początkowych wahaniach (i publicznym wezwaniu sowieckiego lidera do zburzenia muru berlińskiego), godził się na politykę rozbrojenia. W grudniu 1987 r. podpisano traktat o likwidacji rakiet średniego i krótkiego zasięgu, a w czerwcu 1988 r. porozumienie między RWPG i EWG, które otwierało drogę do bliższej współpracy. Kreml zaczął wycofywać wojska z Afganistanu. Zachodni politycy coraz chętniej odwiedzali Moskwę. Na Zachodzie narastała prawdziwa „gorbimania": Gorbaczow stał się tam ulubieńcem mediów i obiektem sympatii dużej części społeczeństw. Popularność zyskiwało jego hasło „wspólnego europejskiego domu".

Satelici nie nadążają

Tymczasem narastającym problemem był brak wystarczającej reakcji w państwach bloku na wezwanie do reform. Lokalne wersje „pierestrojki" ograniczały się do czczych deklaracji lub nic nieznaczących zmian personalnych. Nawet dotychczasowego prymusa – Wojciecha Jaruzelskiego – Gorbaczow musiał motywować do dalszych reform podczas swej wizyty w PRL w lipcu 1988 r.

Paradoks sytuacji polegał na tym, że ogłoszony wcześniej koniec mieszania się w wewnętrzne sprawy państw bloku wiązał sowieckiemu liderowi ręce. Nawet tam, gdzie widziano kandydatów na potencjalnych reformatorów (jak Lubomír Štrougal w Czechosłowacji), nie zdecydowano się na ingerencję. W tym ostatnim przypadku Gorbaczow odwoływał się do zgoła nieortodoksyjnego słownictwa: „Boże broń, abyśmy szli do nich z naszymi przemyśleniami na temat ich pierestrojki".

W dodatku narastające problemy gospodarki sowieckiej prowokowały do

zmian w relacjach z krajami Europy Środkowej także w tym obszarze. Sowieckie kierownictwo było przekonane, że wspiera kraje bloku (zwłaszcza przez dostawy surowców), które jednocześnie zadłużają się na Zachodzie i żyją na kredyt. W marcu 1988 r. Gorbaczow stwierdził wprost: „W relacjach z RWPG musimy się przede wszystkim troszczyć o nasz naród". Nie sposób nie usłyszeć w tym zdaniu echa cytowanych na wstępie słów Andropowa.

W połowie 1988 r. Gorbaczow musiał się już mierzyć także z innymi problemami. Wewnątrz sowieckiej partii narastał opór przeciw jego działaniom; liderem konserwatystów stał się Jegor Ligaczow, jego dotychczasowy sojusznik. Narastało wrzenie w republikach, obok dążeń do większej autonomii pojawiały się napięcia narodowościowe.

Publiczny kres „doktryny Breżniewa"

Odpowiedzią Gorbaczowa stała się „ucieczka do przodu". W wymiarze wewnętrznym były to kolejne reformy ekonomiczne i zapowiedź wyborów na Zjazd Deputowanych Ludowych (zaplanowano je na marzec 1989 r.). W polityce zagranicznej początek nowej ofensywy dyplomatycznej wyznaczyła wizyta Gorbaczowa w Nowym Jorku. Entuzjastycznie przyjęty, na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ niespodziewanie ogłosił jednostronną redukcję sił sowieckich w Europie o 500 tys. żołnierzy, w tym wycofanie z Czechosłowacji, NRD i Węgier 5 tys. czołgów (tj. głównej siły uderzeniowej).

LIBOR HAJSKY / CTK / PAP

Praga, listopad 1989 r.: demontaż jednego z wszechobecnych dotąd haseł.

Zapowiedział też reorganizację sił sowieckich w krajach sojuszniczych i przekształcenie ich w jednostki obronne.

Gorbaczow wiązał z tym wystąpieniem ogromne nadzieje. W gronie współpracowników określał je jako „Nowe Fulton". Było to nawiązanie do słynnej mowy Winstona Churchilla z marca 1946 r., traktowanej jako symboliczny początek zimnej wojny. Gospodarz Kremla uważał, że w Nowym Jorku ją zakończył. Był przekonany, że w ten sposób zapewni sukces dla swojego planu ratowania Związku Sowieckiego.

Jednak przykrą niespodzianką stała się polityka George'a Busha, nowego prezydenta USA. Wychowany w starej szkole George'a F. Kennana (w latach 40. i 50. architekta amerykańskiej „polityki powstrzymywania" Sowietów), Bush nie wierzył w szczerość intencji Gorbaczowa i uważał, że Reagan był zbyt łatwowierny. Kilka dni przed zaprzysiężeniem wystosował do sowieckiego lidera list z zapowiedzią, że będzie potrzebował „trochę czasu" dla przemyślenia wzajemnych relacji i wypracowania stanowiska. Sprawę postawił jasno podczas pierwszej rozmowy telefonicznej z Gorbaczowem po objęciu urzędu w styczniu 1989 r.: językiem sportowym poprosił o „czas" (time out), czyli realnie o zawieszenie rozmów sowiecko-amerykańskich.

Problem polegał na tym, że czego jak czego, ale czasu Gorbaczow nie miał. Nie mogąc kontynuować negocjacji z USA, wiosną 1989 r. skupił się na ofensywie dyplomatycznej w Europie. Jej ukoronowaniem było przemówienie w Radzie Europy w Strasburgu, wygłoszone 6 czerwca. Gorbaczow promował w nim wizję „wspólnego europejskiego domu", zapowiadał dalsze rozbrojenie i przede wszystkim deklarował, że każdy kraj może wybrać odpowiadający mu ustrój polityczny i ekonomiczny.

W ten sposób ogłosił publicznie kres „doktryny Breżniewa".

Niemiecki przełom

Zmiany, które w pierwszej połowie roku 1989 zachodziły w Europie Środkowej, Gorbaczow przyjmował początkowo ze spokojem. W styczniu 1989 r. na posiedzeniu Politbiura bez emocji rozważał możliwość, że któregoś dnia Węgry mogą zechcieć przystąpić do wspólnot europejskich. Wprost odmawiał wsparcia dla pierwszego sekretarza tamtejszej partii Károlya Grósza, przeciwnego reformom (Grósz odejdzie w październiku).

Początek obrad Okrągłego Stołu w Polsce przyjęto na Kremlu publikacją w „Nowych Wremiach" wywiadu z Lechem Wałęsą. Nadano mu charakterystyczny tytuł: „Elastyczny człowiek z żelaza". Po czerwcowych wyborach w PRL sowieccy dyplomaci gratulowali liderom polskiej opozycji, w lipcu Adama Michnika zaproszono do Moskwy, a kilka tygodni po powstaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego szef sowieckiej dyplomacji Eduard Szewardnadze stwierdził publicznie, że „nie ma też granicy tolerancji dla zachodzących w Polsce przemian", gdyż Związek Sowiecki „nie ustanawia porządku dla innych państw".

Jak się wydaje, taka granica jednak wówczas istniała: było nią pozostanie NRD w sowieckiej strefie wpływów. Stąd tak dużą uwagę Gorbaczow przywiązywał do przygotowania swojej wizyty w NRD, zaplanowanej na październik – 40. rocznicę powstania państwa wschodnioniemieckiego. Z jednej strony nie chciał wspierać chwiejącego się już reżimu Honeckera, ale z drugiej nie chciał dystansować się od NRD jako osobnego niemieckiego państwa.

Ostatecznie wydarzenia w Dreźnie, Lipsku, Berlinie i innych miastach NRD – gdzie na ulice zaczęły wychodzić dziesiątki, a potem setki tysięcy ludzi – skłoniły Kreml do stopniowej rezygnacji z jakichkolwiek ograniczeń. 3 listopada podczas posiedzenia Politbiura Szewardnadze stwierdził, iż „lepiej byłoby, żeby sami [działacze partii w NRD] pozbyli się muru". Gorbaczow zaś uznał, że „jeśli stracimy NRD, nie wytłumaczymy tego narodowi. Ale bez pomocy RFN nie utrzymamy jej na powierzchni".

9 listopada mur berliński został otwarty. Mało kto zdawał sobie sprawę, że wydarzenie to – w połączeniu z zapowiedzią wolnych wyborów w NRD – uruchomi dynamikę, w której zjednoczenie Niemiec będzie jawić się już jako czynnik stabilizujący sytuację w Niemczech Wschodnich.

Do upragnionego przez Gorbaczowa kolejnego szczytu sowiecko-amerykańskiego doszło dopiero w początkach grudnia 1989 r. Oficjalne rozmowy w niewielkim stopniu dotyczyły Europy Środkowej. W kuluarach szepnął jeszcze Bushowi, iż kanclerz Helmut Kohl „za bardzo się spieszy z kwestią zjednoczenia Niemiec". Więcej nie mógł zrobić – nie tymi narzędziami politycznymi, jakie mu pozostały.

Nieudany „Brześć nr 2"

Mimo coraz wyraźniejszej klęski swojej polityki, Gorbaczow próbował jeszcze znaleźć uzasadnienie dla utraty kontroli nad blokiem wschodnim. Podczas spotkania z najbliższymi współpracownikami 26 stycznia 1990 r., poświęconego kwestii Niemiec, użył wymownej analogii: „Był pokój brzeski nr 1 [zawarty w 1918 r. przez bolszewików z Niemcami i Austrią, kończący I wojnę światową na froncie wschodnim – red.], teraz jesteśmy w sytuacji »pokoju brzeskiego« nr 2".

Warto przypomnieć, że podpisując w 1918 r. niezwykle niekorzystny traktat w Brześciu – oznaczający ogromne straty terytorialne – Lenin uratował władzę bolszewików w Rosji. Gorbaczow, który nie tylko w tej sytuacji postrzegał siebie jako nowego Lenina, sądził jeszcze, że rezygnując z prób odzyskania kontroli nad Europą Środkową, uratuje upadający Związek Sowiecki.

Nie wiedział, że procesów jego dezintegracji – po części zainicjowanych wszak przez niego samego, choć z inną intencją – nie był już w stanie powstrzymać.

© ŁUKASZ KAMIŃSKI

Autor jest historykiem, specjalizuje się w dziejach Polski i Europy Środkowej w drugiej połowie XX wieku. W latach 2011-16 był prezesem IPN.

Pozjednoczeniowy kac trwa

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

Gdy w listopadzie 1989 r. upadł mur berliński, już tylko garstka obywateli NRD chciała dalej żyć w tym kraju i go reformować. Obrano kurs na zjednoczenie Niemiec. Dziś wyniki tego procesu poddaje się coraz ostrzejszej krytyce.

PETER DEJONG / AP / EAST NEWS

Scheiße, wszystko stracone! – Michael Raschke wspomina słowa, które wypowiedział 9 listopada 1989 r. Wieczorem tego dnia władze Niemieckiej Republiki Demokratycznej zapowiedziały otwarcie przejść granicznych. Już kilka godzin później, pod naporem tłumu, strażnicy zaczęli przepuszczać wszystkich chętnych. Najpierw otwarto przejścia do Berlina Zachodniego, a następnie kolejne, na granicy z RFN.

Fizycznie rozbiórka muru berlińskiego ciągnęła się jeszcze miesiącami. Psychologiczna granica, dzieląca Niemcy na dwie ideologie, dwa systemy gospodarcze i dwa globalne obozy polityczne, runęła tego wieczoru. Raschke siedział w swoim mieszkaniu w Lipsku i wcale nie był zadowolony z niespodziewanego obrotu sytuacji.

Począwszy od 9 listopada 1989 r. kamery telewizyjne zarejestrowały wiele wybuchów euforii przy murze berlińskim. Przeciętnie zbudowani mężczyźni chwytają za młoty, aby uderzać nimi w bloki składające się na 154 kilometry muru. Albo tłumy świętujące sylwestra, stojące po obu stronach muru lub siedzące bezpośrednio na nim i słuchające Davida Hasselhoffa, który – stojąc na platformie – śpiewa „I've been looking for freedom". Albo nieznajomi z zachodu i wschodu, którzy padają sobie w ramiona. Oczy uczestników tamtejszych wydarzeń błyszczą i nawet ich śmieszne fryzury („krótko z przodu, długo z tyłu") nie mącą wrażenia, że dzieje się coś wyjątkowego.

Dlaczego więc trzy dekady po przemianach tak trudno w Niemczech o dyskusję, w której nie krytykowano by tego, co nastąpiło po tym, gdy demonstrujący dopięli swego i upadł mur?

Michael Raschke ma 56 lat. Pracuje w poradni psychologicznej. Z okresu, gdy wokół niego padały polityczne mury, pozostały mu długie włosy, które wtedy nosił niemal każdy szanujący się NRD-owski opozycjonista. Rozmawiamy z okazji 30-lecia wydarzeń, w których brał czynny udział. Jak sam podkreśla, chce poddać je krytycznej ocenie.

Jesienny Augustusplatz

Ponad półmilionowy Lipsk uchodzi dziś za najatrakcyjniejsze miasto wschodnich Niemiec. Przypomina nieco osadę Asteriksa i Obeliksa. We francuskim komiksie wioska była punkcikiem oporu w podbitej przez Rzymian Galii. Lipsk jest natomiast zieloną plamą na coraz bardziej niebieskiej mapie politycznej wschodnich Niemiec.

Liberalny, pełen studentów i artystów, coraz chętniej wybiera Zielonych, podczas gdy większość w regionie woli głosować na populistyczną i nacjonalistyczną Alternatywę dla Niemiec (jej barwa partyjna to niebieski). Dla ludzi, którzy ściągają do „małego Berlina", liczy się właśnie ten liberalny duch i niższe czynsze. Dla większości nie ma znaczenia, że 30 lat temu mieszkańcy Lipska odegrali kluczową rolę w rozchwianiu żelaznej kurtyny.

Lipsk był pierwszy. To w tym mieście – gdy reszta NRD była jeszcze w uśpieniu – już we wrześniu 1989 r. ludzie zaczęli coraz tłumniej wychodzić na ulice; na początku października było ich już kilkadziesiąt tysięcy. W uproszczonej narracji dominuje następująca chronologia: demonstracje w Lipsku – upadek muru berlińskiego – zjednoczenie Niemiec. Miasto dorobiło się dzięki temu marki centrum Pokojowej Rewolucji.

W tym roku, 9 października, w Lipsku jak co roku odbywa się z tej okazji Lichtfest, festiwal światła. Tegoroczne obchody gromadzą kilka tysięcy osób. Jest zimno i pada. – Tak jest zawsze – przekonuje jeden ze zgromadzonych na Augustusplatz, centralnym punkcie miasta.

Gasnące światła

Z obchodami najważniejszych krajowych rocznic Niemcy mają podobny problem co Polacy. Podobnie jak listopadowy Dzień Niepodległości w Polsce, imprezy w Niemczech przypadają na pochmurną i deszczową jesień. Entuzjazm i radość już na wstępie tonuje katar i chłodny wiatr.

Jak nazwa wskazuje, znakiem rozpoznawczym obchodów w Lipsku jest światło. 30 lat temu część demonstrantów niosła w rękach świece i latarki. Teraz ochotnicy rozdają zgromadzonemu tłumowi małe świeczki i duże plastikowe kubki, żeby wątły płomień nie uległ po kilku sekundach podmuchom wiatru.

Demonstranci niosą symboliczną trumnę z napisem „STASINISMUS": to połączenie słów „Stasi" (NRD-owska bezpieka) i „Stalinismus" (stalinizm). Lipsk, 18 listopada 1989 r.

Chyba biorąc pod uwagę niesprzyjającą pogodę, prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier wygłasza krótkie przemówienie. Jego treść zmieniono w ostatniej chwili. Kilka godzin wcześniej 27-letni Stephan Balliet próbował w Halle, oddalonym o 30 minut jazdy autem od Lipska, sforsować wejście do synagogi, by dokonać masakry wiernych świętujących Jom Kipur. Choć mocne drzwi zapobiegły najstraszniejszemu scenariuszowi, fanatyk zastrzelił na ulicy dwie przypadkowe osoby.

W mediach społecznościowych kursują plotki, że sprawca nie działał sam i inni zmierzają w kierunku Lipska. Potem okaże się to nieprawdą. Ale teraz wystarcza, by zasiać niepokój i odwrócić uwagę od głównego przesłania rocznicy pokojowych demonstracji.

Prezydent mówi więc więcej o antysemityzmie niż o odwadze mieszkańców NRD sprzed 30 lat. Przemówienia wszystkich notabli trwają nie dłużej niż pół godziny. W tym czasie większość świeczek już gaśnie. Ponieważ nie przestaje padać, ludzie w pośpiechu udają się w kierunku swoich domów. Tysiące kubków chroniących symboliczny płomień rewolucji przed wiatrem lądują najpierw w koszach, a później także i obok nich. Na ulicach nie widać radości.

Poczuli siłę i czas

W ostatnich tygodniach słowa uznania dla aktywistów z NRD padają regularnie z ust wysoko postawionych przedstawicieli władz. Szablonowo tworzone treści są do siebie łudząco podobne. Łączy je też to, że wypowiadający je politycy pochodzą z zachodniej części kraju. Na blisko 150 ministrów, którzy pracowali w rządach od 1991 r., tylko 12 pochodziło ze wschodniej części Niemiec. Najczęściej obejmowali resorty „miękkie", rodziny lub nauki. Gospodarka i finanse nigdy nie trafiły w ręce *Ossis*, mieszkańców wschodu. Kanclerz Angela Merkel to wyjątek potwierdzający regułę.

Michael Raschke uważa, że cała narracja Pokojowej Rewolucji została narzucona przez zachodni polityczny establishment.

Jeszcze w pierwszej połowie 1989 r. 26-letni wówczas Raschke pozostaje sceptyczny wobec opozycyjnych grupek, które skupiały się wtedy w kościołach. – To było dla mnie zbyt dziecinne – wspomina dziś.

Pod koniec sierpnia odwiedza go Michael Arnold, kolega z dużym opozycyjnym doświadczeniem. Arnold wyciąga z plecaka dwie kartki zapisane gęsto maszynowym tekstem. Zaczyna się od słów „W naszym kraju komunikacja między państwem a społeczeństwem została przerwana". Następnie sformułowana jest krótka analiza fatalnej sytuacji społecznej i gospodarczej w NRD: kryzys gospodarczy, apatia, lęk przed wyrażaniem własnych opinii. Tekst kończy apel „Wzywamy wszystkich obywateli NRD, którzy chcą przyczynić się do transformacji naszego społeczeństwa, aby zostali członkami Nowego Forum. To już najwyższy czas".

– Po przeczytaniu tej odezwy miałem naprawdę pierwszy raz w życiu wrażenie, że jakiś tekst, jakaś polityczna idea mnie w pełni przekonuje – mówi Raschke.

Na początku września 1989 r. Nowe Forum powołała grupa obrońców praw człowieka i działaczy demokratycznych rozsianych po całej NRD. Pod tekstem swoje nazwisko zostawiło w sumie kilkadziesiąt osób. Raschke decyduje się, żeby pod jego adresem w zachodniej części Lipska mogli się zgłaszać ludzie, którzy zechcą podpisać się pod apelem i dołączyć do nowego ruchu sprzeciwu.

To nie była dobra wiadomość dla jego żony (dziś są rozwiedzeni). Była w ciąży i oczekiwała spokoju. Tymczasem drzwi ich mieszkania przy Hahnemannstraße 8 rzadko się zamykały, kolejne osoby wchodziły, by dyskutować o reformach.

– Zaczęło się szaleństwo organizowania okrągłych stołów – Raschke zwraca uwagę, że na przebieg jesiennych wydarzeń w NRD wpływał wynik obrad Okrągłego Stołu w Polsce. Każda grupka brała pod dyskusję wybrany przez siebie temat polityczny lub społeczny. Zastanawiano się, jak zmienić państwo na lepsze.

– Chodziło nam głównie o wolność podróżowania i wolne wybory – Raschke uwierzył, że w jego kraju może się coś zmienić. Ferment społeczny stawał się z kolejnymi dniami coraz większy. Aktywność osób związanych z Nowym ↦

Forum łączyła się z grupami działającymi dotąd pod auspicjami Kościoła, głównie ewangelickiego. Tradycyjne modlitwy pokojowe, które od lat odbywały się w każdy poniedziałek o godz. 17 w kościele św. Mikołaja na Starym Rynku w Lipsku, zaczęły mieć swój ciąg dalszy. Już we wrześniu ludzie opuszczający kościół nie wracali jak zwykle do domów, tylko wychodzili na Ring, obwodnicę, która okala Stare Miasto.

Cicha demonstracja

Jesienią 2019 r. jesteśmy regularnie atakowani informacjami o gigantycznych tłumach, demonstrujących w różnych częściach świata. W Chile trwają milionowe demonstracje antyrządowe, w Barcelonie ponad pół miliona mieszkańców demonstruje na rzecz niepodległości Katalonii, ekologiczne protesty Fridays For Future w Niemczech mobilizują setki tysięcy ludzi.

Rewolucja w Lipsku zaczęła się od znacznie mniejszych liczb. Ale też NRD nie była normalnym państwem.

Rainer Müller wspomina, że demonstracja ekologiczna, którą organizował w 1988 r., czyli na rok przed upadkiem muru, zgromadziła 230 osób. – I była to największa demonstracja opozycji w NRD od lat – dodaje.

Nie głoszono wtedy żadnych antysystemowych haseł. Po prostu odczytano mowę ówczesnego ministra odpowiedzialnego za ekologię, która nie miała nic wspólnego z rzeczywistością. – Umówiliśmy się, że nie będziemy nikomu mówili o tej demonstracji – wspomina Müller.

Dziś to może wydać się absurdalne i nielogiczne, ale wtedy organizatorom chodziło przede wszystkim o to, żeby ludzie, którzy pierwszy raz w życiu wzięli udział w demonstracji, nie wystraszyli się i także następnym razem wyszli na ulicę.

Obecnie Müller, podobnie jak Raschke, samym wyglądem zdradza swoją opozycyjną przeszłość. Długie włosy, broda i znoszona jeansowa kurtka. Jest zabiegany, bo z okazji rocznicowych obchodów ciągle stawia się na kolejne spotkania, na których odpowiada na pytania ciekawych, jak się żyło w dyktaturze. Przykładowo: czy czuł strach, niosąc w walizce antysystemowe ulotki, za które mógł trafić do aresztu – i na koniec trafił.

Stasi, NRD-owska bezpieka, miała w całym kraju 91 tys. etatowych pracowników i wielką sieć tajnych współpracowników, którzy często donosili na przyjaciół, a nawet, bywało, na własne dzieci i żony. W samym Lipsku Stasi miała około tysiąca „tajnych mieszkań", w których szpiegowano, spotykano się z konfidentami, podsłuchiwano przez ściany. Każda grupa organizująca demonstracje musiała być infiltrowana – takie było powszechne przekonanie.

– Ja się nie bałem – twierdzi Müller. – Nawet jeśli pół miliona osób było tajnymi współpracownikami, to było to tylko trzy procent wszystkich mieszkańców – tłumaczy.

Efekt kuli śnieżnej

Jednak w tamten poniedziałek, 9 października 1989 r., większość ludzi, którzy wyszli na ulice Lipska, bała się o dalszy rozwój wydarzeń.

– W mieście panowała cisza. Wieczorem ludzie zgromadzili się we wszystkich otwartych kościołach na terenie miasta. Po modlitwach zaczęliśmy gromadzić się na ulicach – wspomina Raschke. Na demonstrantów czekało już ponad 8 tys. milicjantów. Istniało powszechne przekonanie, że mogą paść strzały, aby tylko uciszyć rebelię. Komunistyczne władze były zdesperowane, by utrzymać walący się ład.

Dwa dni wcześniej, 7 października, władze NRD świętowały 40-lecie istnienia państwa. W Berlinie Wschodnim jego lider Erich Honecker podejmował Michaiła Gorbaczowa, na ulicach stolicy odbyła się parada wojskowa. Aparat państwowy próbował jeszcze prężyć muskuły. Jak oceniał wtedy korespondent zachodnioniemieckiej telewizji ZDF: „Robiono wszystko, aby nie było wrażenia, że po Polsce i Węgrzech kolejny kraj Układu Warszawskiego kwestionuje socjalizm".

Takiego wrażenia chciano uniknąć także dwa dni później, 9 października. Z punktu widzenia władz pytanie brzmiało, co im bardziej zaszkodzi. Demonstracja siły, rozpędzenie demonstrantów i depesze o rozlewie krwi na pierwszych stronach światowych gazet? Czy też pozwolenie demonstrantom na przemarsz przez Lipsk? Strach panował po obu stronach, ale okazało się, że to władze boją się bardziej.

Ostatecznie ponad 70 tys. demonstrantów przeszło ulicami miasta z hasłem „Keine Gewalt!" („Bez przemocy") na ustach i ze świecami w dłoniach.

Brak interwencji policji spowodował efekt kuli śnieżnej. Potem w każdy kolejny poniedziałek coraz więcej osób wychodziło tu na ulice: 120 tys., 200 tys., 300 tys. demonstrantów... 6 listopada (na trzy dni przed otwarciem muru berlińskiego, czego wtedy nikt nie mógł przewidzieć) w Lipsku zgromadziło się pół miliona osób. Tyle samo z początkiem listopada wyszło na ulice w Berlinie Wschodnim.

– Wtedy jeszcze nikt nie mówił o upadku muru, a tym bardziej o zjednoczeniu. Dla nas było jasne, że nie chcemy uciekać na Zachód, że chcemy zostać w tym kraju i działać na rzecz reform – Raschke i osoby działające w Nowym Forum krytykowali tych, którzy decydowali się na wyjazd z NRD przez coraz bardziej dziurawe granice państw bloku wschodniego. A tych pod koniec roku liczono już w setkach tysięcy.

Ulica zmienia hasła

Decyzja o otwarciu granic nastąpiła parę dni później i zaskoczyła wszystkich. Zamiast reformować kraj, partyjny beton – który stał nad gospodarczą i polityczną przepaścią – godził się oddać losy kraju w ręce innych.

– Gdy pod koniec listopada zaprezentowano „Plan 10-punktowy", to był sygnał, że już nic od nas nie zależy – tłumaczy Raschke.

Plan, mający uspokoić nastroje i ustabilizować rozchwianą sytuację polityczną, stworzył i ogłosił 28 listopada 1989 r. w Bundestagu kanclerz RFN Helmut Kohl. Ku zaskoczeniu wielu (nie tylko władz i opozycji w NRD, ale także zachodnich sojuszników RFN), dziesiąty punkt planu brzmiał: „Zjednoczone Niemcy w wolnej i zjednoczonej Europie".

Zachód był wtedy krainą dobrobytu i wzrostu gospodarczego. Zdecydowana większość Niemców ze zrujnowanej gospodarczo NRD, niewiele się zastanawiając, podchwyciła hasła zjednoczeniowe.

Raschke zwraca uwagę, że w kolejnych tygodniach po upadku muru podczas demonstracji w NRD nastąpiła znacząca zmiana głównych haseł, które skandowano na ulicach Berlina, Lipska i innych miast. Jeszcze w październiku krzyczano „Wir sind das Volk!" („To my jesteśmy narodem!"). Wkrótce po 9 listopada demonstranci zaczęli krzyczeć: „Wir sind ein Volk!" („Jesteśmy jednym narodem!").

Opozycjoniści, pragnący reform w NRD, a nie likwidacji państwa, nie dawali jeszcze za wygraną. Kilka organiza-

ŁUKASZ GRAJEWSKI

MICHAEL RASCHKE:

Wtedy jeszcze nikt nie mówił o upadku muru, a tym bardziej o zjednoczeniu. Dla nas było jasne, że nie chcemy uciekać na Zachód, że chcemy zostać w tym kraju i działać na rzecz reform

Dawny opozycjonista Raschke przed domem przy Hahnemannstraße 8, gdzie mieszkał w 1989 r. i gdzie udostępnił swoje mieszkanie na punkt spotkań Nowego Forum.

cji, w tym Nowe Forum, zawiązało komitet wyborczy Bündnis 90 (Związek 90). Ruszyły przygotowania do pierwszych wolnych wyborów w NRD, zaplanowanych na marzec. Również Raschke brał udział w kampanii.

Wybory w marcu 1990 r. (były to pierwsze i ostatnie wolne wybory w dziejach NRD) wygrała opcja zjednoczeniowa: zdecydowaną większość zdobyły ugrupowania opowiadające się za szybkim zjednoczeniem Niemiec (w kampanii otrzymały one wsparcie Helmuta Kohla). Taka była wola większości Niemców z NRD. Natomiast ludzie, którzy we wrześniu 1989 r. zaczęli tę rewolucję i którzy jeśli myśleli o zjednoczeniu, to o stopniowym i na innych warunkach (z ich punktu widzenia: bardziej partnerskich), ponieśli klęskę: ich Związek 90 uzyskał fatalny wynik, zaledwie 2,9 proc. głosów. Dla wszystkich był to czytelny sygnał, że nie da się zmienić biegu historii.

W sierpniu 1990 r. parlament NRD wyznaczył termin zjednoczenia; formalnie miało polegać nie na połączeniu się obu państw, lecz na przyłączeniu się wschodnich landów do Republiki Federalnej.

3 października 1990 r., niemal dokładnie w rok od tamtej decydującej demonstracji w Lipsku, NRD stała się częścią Republiki Federalnej. W oczach takich ludzi jak Michael Raschke – została wcielona do RFN.

30 lat później

Przez kolejne lata za naturalną dla nowego tworu państwowego uznawano dyskusję o różnicach gospodarczych, społecznych i kulturowych, które dzielą wschód i zachód kraju. Tych, którzy wyjechali ze wschodu w poszukiwaniu lepszych zarobków, z czasem dopadała *Ostalgie*: uczucie, którego nazwa jest połączeniem słów *Ost* (wschód) i *Nostalgie* (nostalgia).

Jednak mało kto się spodziewał, że po trzech dekadach te dyskusje nie tyle nie znikną, co wręcz się nasilą.

W ostatnią niedzielę października 2019 r. regionalne wybory w Turyngii, jednym ze wschodnim landów, wygrała zdecydowanie Die Linke: ugrupowanie, w którego skład wchodzą dawni komuniści z partii rządzącej w NRD (Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec, SED), dostało jedną trzecią głosów. Na drugim miejscu uplasowała się populistyczna Alternatywa dla Niemiec (AfD): partia, która podważa liberalny ład w kraju i sprzeciwia się proimigranckiemu kursowi kanclerz Angeli Merkel (łącznie Die Linke i AfD uzyskały ok. 55 proc. głosów).

AfD walczy o głosy we wschodnich landach pod hasłem „Wende 2.0" („Zmiana 2.0"; w języku niemieckim pojęciem „Wende" określa się także tamtą zmianę z lat 1989-90). Politycy AfD argumentują, że nie po to w NRD walczono o wolność, żeby wpaść w ramiona kolejnej dyktatury, tym razem liberalno-lewicowej, która m.in. narzuca obywatelom konieczność przyjmowania uchodźców. Zwolennicy tej partii nazywają publiczne media „Honecker-TV".

W wyborach do landtagu Turyngii chadecja (CDU) zajęła dopiero trzecie miejsce, uzyskując jedną piątą głosów, a socjaldemokraci (SPD) – którzy wraz z chadekami rządzą krajem – spadli do poziomu jednocyfrowego (8 proc.). Partie, które od lat rządzą Republiką Federalną, w tej części byłej NRD nie zdołały więc przekonać do siebie nawet jednej trzeciej głosujących.

Integracja potrwa dłużej

Michael Raschke jest bardzo daleki od popierania AfD. Ale rozumie, skąd takie, a nie inne wybory polityczne podejmują akurat mieszkańcy wschodnich Niemiec. Wskazuje na pierwsze słowa odezwy Nowego Forum sprzed 30 lat: „W naszym kraju komunikacja między państwem a społeczeństwem została przerwana".

– Do podobnych wniosków doszli ludzie po tym, jak Angela Merkel otworzyła granicę dla uchodźców – uważa Raschke. – Tę decyzję podjęto ponad ich głowami, w sposób, jaki mieszkańcy wschodu doskonale znają z poprzedniego systemu.

NRD istniała 40 lat. Czy tyle samo czasu potrzeba, by jej dawni mieszkańcy i ich potomkowie poczuli się pełnoprawnymi obywatelami zjednoczonych Niemiec? Trzy dekady po Pokojowej Rewolucji i upadku muru, wydaje się, że ten proces będzie trwał jeszcze długo.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

Autor jest korespondentem „Dziennika Gazety Prawnej" w Niemczech.

Havlowe dzieci, Havlowe wnuki

PATRYCJA BUKALSKA

– Idąc na spotkania do szkół, czuję się jak stary partyzant. Ale to trzeba robić – mówi 72-letnia Petruška Šustrova, przed 1989 r. opozycjonistka, potem wiceszefowa MSW. – Przywykliśmy, że wolność jest oczywista. Ale można ją stracić.

Aksamitna Rewolucja. Aksamitna, bo dokonana pokojowo, bez ofiar. Tak ją nazwano, już wtedy. Nazwa budziła skojarzenia jednoznacznie pozytywne, aksamit kojarzy się wszak ze szlachetnością i pięknem.

Tymczasem dziś tylko 36 proc. ankietowanych Czechów powyżej 40. roku życia – a zatem takich, którzy choć trochę mogą pamiętać czasy przed rokiem 1989 – ocenia Aksamitną Rewolucję jednoznacznie pozytywnie. Ponad jedna trzecia uważa, iż wcześniej, za socjalizmu, żyło im się lepiej.

Poglądy na wydarzenia sprzed 30 lat różnią się znacząco w zależności od wieku i wykształcenia – tak wynika z sondażu przeprowadzonego przez agencję NMS Market Research. Generalnie: im wyższe wykształcenie wśród 40-latków i ludzi starszych, tym częściej ocena Aksamitnej Rewolucji jest pozytywna. Natomiast tylko 22 proc. osób z wykształceniem podstawowym ma o niej dobre zdanie. Jednocześnie – co być może najbardziej zaskakujące – aż jedna czwarta ankietowanych w tej grupie wiekowej uznała, że Aksamitna Rewolucja nie miała na ich życie wpływu. A jedna szósta, że jest ono teraz gorsze. Dlaczego uważają, że przed rokiem 1989 było lepiej? Bo wszyscy mogli pracować, mieli zabezpieczenie socjalne, a ludzie byli wobec siebie życzliwsi – odpowiadają.

Połowa wszystkich ankietowanych – nie tylko ludzi w średnim wieku – deklaruje, że ich poziom życia jest teraz wyższy. 38 proc. uważa, że sądownictwo w Czechach jest niezawisłe tak jak na Zachodzie. Jedna trzecia, że media są niezależne. A reszta? Podobnie jak w innych krajach Europy Środkowej – obraz przemian nie jest jednoznaczny.

Choć więc wydarzenia, które doprowadziły w Czechosłowacji do upadku komunizmu, są dziś przez Czechów i Słowaków pamiętane, to ich oceny potrafią być czasem zaskakujące.

Zryw jak zakochanie

– Czego się wtedy spodziewaliśmy? – Petruška Šustrova, dziś 72-letnia publicystka i tłumaczka, kiedyś opozycjonistka, a po 1989 r. wiceszefowa MSW w czechosłowackim rządzie, chwilę się zastanawia. – Odpowiem tak: w życiu doświadczyłam dwóch takich chwil. W roku 1968, podczas Praskiej Wiosny, oraz w roku 1989. Chwil entuzjazmu, wspólnoty, radości.

– Najlepiej to określiła moja znajoma Francuzka: to ten moment, gdy ludzie na ulicy już nie patrzą w ziemię, lecz patrzą przed siebie i uśmiechają się do siebie nawzajem – wspomina Šustrova w rozmowie z „Tygodnikiem". – To było jak stan zakochania. A gdy się człowiek zakocha, to myśli, że tak już będzie zawsze, że zawsze będzie ta radość, szczęście, uniesienie. A przecież dobrze wiemy, że to mija. Tak samo jest ze zrywem narodowym: najpierw poczucie wspólnoty i entuzjazmu, a na końcu zawsze przychodzi frustracja.

Šustrova przyznaje, że na ludzkie rozczarowanie miały wpływ błędy popełniane i przez społeczeństwo, i przez polityków. Podkreśla jednak, że te błędy trzeba analizować, wyciągać wnioski, ale nie przekreślać wszystkiego: – Nie jest tak, jak się spodziewaliśmy, ale przecież to od nas zależało, a my jesteśmy tylko ludźmi. Popełniamy błędy, nie jesteśmy doskonali, nie wszystko nam wychodzi.

– Trochę się nam jednak udało... – dodaje. – Różnica jest przecież ogromna! Chcę to mocno podkreślić: żyjemy w innym państwie! Jeśli ktoś uważa, że za komuny było lepiej, to szkoda, że rzeczywiście nie może się tam choćby na dwa dni przenieść i zobaczyć, jak się żyło, gdy nie można było cebuli kupić. Nie wspominając już o sprawach fundamentalnych, jak brak wolności.

O braku wolności Petruška Šustrova może wiele powiedzieć, bo go doświadczyła. Miała 22 lata, gdy w 1969 r., na fali represji po zduszeniu Praskiej Wiosny, została skazana na dwa lata więzienia. Odsiedziała cały wyrok. Gdy wyszła, nie pozwolono jej dokończyć studiów. Pracowała na poczcie, potem jako sprzątaczka.

Represje nie zmieniły jednak jej poglądów. Była wśród pierwszych sygnatariuszy Karty 77 (manifestu opozycjonistów, jeszcze nielicznych i izolowanych), działała w Komitecie Obrony Niesprawiedliwie Prześladowanych. Nic dziwnego, że władze dokręciły śrubę: od 1982 r. aż do Aksamitnej Rewolucji nie mogła znaleźć już żadnej pracy, nawet fizycznej.

Gdy komunizm upadł, miała 42 lata. A potem... Potem została wiceszefową resortu spraw wewnętrznych, czyli tego, który wcześniej odpowiadał za represje.

– Nie bałam się – wspomina. – Myślałam: nawet jeśli coś zrobię źle, to poprawię. Byłam młoda, miałam dużo energii. Prawie wtedy nie spaliśmy.

– Myślę, że kilka rzeczy się nam w MSW udało – wspomina. – Na przykład ustawa lustracyjna. Teraz już nie ma to takiego znaczenia jak wtedy, bo ci, co „umoczyli" się w komunizmie, są starzy, już nie pracują. Ale wtedy to było bardzo istotne, aby ustalić, że nie każdy może zajmować dane stanowisko. To się udało, tak myślę.

– Wszyscy się spodziewaliśmy, że będzie inaczej – mówi Petruška Šustrova. – Ale jak upadł komunizm, to nie trafiliśmy do raju. Choć wszyscy chcieliśmy.

Komiks dla pamięci

– Miałem wtedy 13 lat i chodziłem do gimnazjum, które stało się centrum młodzieżowych protestów – opowiada „Ty-

KHOL PAVEL / CTK / PAP

Demonstracja w Pradze 11 grudnia 1989 r. pod hasłem „Havel na prezydenta!". Osiemnaście dni później przywódca opozycji faktycznie został prezydentem Czechosłowacji.

godnikowi" Michal Hvorecký, dziś znany słowacki pisarz.

Bratysławskie eksperymentalne gimnazjum przy ul. Armii Czerwonej (dziś Grösslingovej) było rzeczywiście szczególnym miejscem: panowała tam dość swobodna atmosfera, część nauczycieli nie kryła swoich poglądów. Potem, w czasie Aksamitnej Rewolucji (lub Delikatnej: „Nežna", jak mówią na nią Słowacy), uczniowie założyli swoje stowarzyszenie. – To były najpiękniejsze dni mojego życia! Tej atmosfery nie da się zapomnieć – podkreśla Hvorecký. – Wyrosłem dosłownie przy żelaznej kurtynie [przy granicy czechosłowacko-austriackiej – red.], widziałem druty kolczaste. Rewolucja zmieniła moje życie na lepsze.

Niedawno Hvorecký wydał – we współpracy z rysowniczką Klárą Štefanovičovą – komiks pt. „Čierna oslava" (tytuł nawiązuje do albumu „Black Celebration" Depeche Mode). Akcja dzieje się 16 listopada 1989 r., podczas studenckiej demonstracji w Bratysławie, a zatem na dzień przed protestami w Pradze, które zostały zapamiętane jako początek Aksamitnej Rewolucji. Razem z trzema komiksami innych autorów zeszyt ten tworzy serię „Něžný komiks", mającą upamiętnić listopad 1989 r.

Komiksy nie tyle zastępują podręcznik, co mają skłonić młodych ludzi do dyskusji o najnowszej historii: – Uważam, że należy walczyć z mitem, że w czasach komunizmu życie było lepsze – mówi pisarz. – Pilnie potrzebujemy historycznej pamięci, by zrozumieć współczesność.

Również Petruška Šustrova zwraca uwagę, że o przeszłości trzeba opowiadać, ciągle i na nowo: – Osobiście nie lubię chodzić na pogadanki do szkół, bo czuję się jak stary partyzant, ale to trzeba robić – przekonuje. – Dla ludzi, którzy urodzili się lub wychowali już po upadku komunizmu, takie rzeczy jak np. wolność podróżowania to coś naturalnego. Oni nawet nie wyobrażają sobie, jak to było możliwe, że kiedyś nawet do Budapesztu nie można było pojechać. Przywykliśmy, że wolność jest oczywista, ale tak nie jest. Wolność można stracić. Trzeba doceniać to, co mamy, trzeba o to dbać.

Historia, jak chyba wszystkie dziedziny życia, jest dziś zagrożona szerzącym się w mediach społecznościowych fałszem i przekłamaniami.

– Listopad '89 staje się coraz bardziej kontrowersyjny w świadomości Słowaków. Istnieje wiele teorii spiskowych związanych z tym czasem, w tym również i takie podsycane przez rosyjską propagandę – mówi Michal Hvorecký. – Jest na przykład taka teoria, że to USA zorganizowały przewrót, by ustalić nowy porządek w Europie Wschodniej, i że od 1989 r. mamy niby coraz mniej wolności...

– To nonsens, ale dość rozpowszechniony w podzielonym słowackim społeczeństwie – dodaje pisarz. – Teorie spiskowe dochodzą do głosu, gdy zdarza się coś niewyobrażalnego. A taka właśnie była Aksamitna Rewolucja. ↦

Głosy ulicy

↦ Rewolucja w Czechosłowacji była, jak na rewolucję, istotnie delikatna. Natomiast kolejne lata przyniosły wiele wstrząsów.

Przede wszystkim rozeszły się drogi Czechów i Słowaków: rozpadła się federacja i w 1993 r. powstały dwa państwa. Oba zmagały się z gospodarczą transformacją. Słowacja, z powodu ciągot autorytarnych swych pierwszych rządów, później niż inne kraje regionu weszła do NATO (potem szybko nadrobiła straty w integracji z Zachodem i jako jedyna z wyszehradzkiej czwórki przyjęła euro). W obu krajach dochodziło do protestów jako wyrazu społecznego niezadowolenia. Jednak naprawdę masowy charakter przybrały one ostatnio: na ulice znów zaczęło wychodzić tylu obywateli, że media sięgają po porównania z demonstracjami z 1989 r.

O ile w Czechach wiosną i latem tłumy domagały się dymisji premiera Andreja Babiša (w związku z podejrzeniami o defraudację i konflikt interesów), to na Słowacji ludzi na ulice wyprowadził w lutym 2018 r. gniew po zabójstwie dziennikarza Jána Kuciaka i jego narzeczonej Martiny Kušnírovej. Domagano się sprawiedliwości i uczciwego śledztwa. Teraz, gdy na światło dziennie wychodzi siatka powiązań między wysokimi urzędnikami państwowymi, politykami i skorumpowanymi przedsiębiorcami na niewyobrażalną wręcz skalę, znów zwoływane są manifestacje, choć nie tak liczne jak w ubiegłym roku.

– Śmierć Jána i Martiny to dla Słowaków również doświadczenie pokoleniowe. Bo rok 1989 jest dziś dla wielu młodych ludzi historią. Taką, jak dla mnie był rok 1968: jako coś, co stało się dawno, dawno temu. Widziałem filmy, zdjęcia, ale mnie tam nie było – mówi Michal Hvorecký, urodzony w 1976 r. – Natomiast po brutalnym morderstwie Kuciaka i jego narzeczonej młodzi znów zainteresowali się polityką. W 2018 r. demonstrowaliśmy w ponad 50 słowackich miastach i miasteczkach. W tej nowej generacji, bardziej wyczulonej na korupcję i fałsz polityków, widzę nadzieję – dodaje pisarz.

Prócz polityki jest dziś jeszcze jedna kwestia, która aktywizuje młodych Słowaków i Czechów: katastrofa klimatyczna: – Są bardzo radykalni, ale to dobrze, że potrafią się odzywać i wiedzą, że trzeba reagować – mówi Petruška Šustrova. – Przecież chodzi o przyszłość naszych dzieci i wnuków!

DANIEL MIHAILESCU / AFP / EAST NEWS

PETRUŠKA ŠUSTROVA:
To było jak stan zakochania. A gdy się człowiek zakocha, to myśli, że tak już będzie zawsze, że zawsze będzie ta radość, szczęście, uniesienie.

Koncerty dla Havla

– Pamiętam euforię rodziców. Pamiętam, jak na zaparowanym oknie piszemy z tatą i siostrą „OF" – Honza Unger wspomina, jakie nadzieje budziło wtedy Forum Obywatelskie (Občanské Forum): ruch, który uformował się w listopadzie i stanął na czele protestów.

Dziś Unger jest frontmanem czeskiego zespołu Zrní. On i jego koledzy, z którymi gra, mieli w 1989 r. po sześć-siedem lat. Niewiele rozumieli z tego, co się dzieje. Rodzice tłumaczyli im, że kończy się coś złego, a zaczyna wolność.

– Kilka lat później zapytałem tatę, co to był ten komunizm. Powiedział: „Widziałeś, że stół jest biały. Wszyscy widzieli, że jest biały. Ale komuniści mówili, że jest czarny i był czarny" – wspomina Unger. Po czym dodaje: – Dziś znów widzę to zjawisko, znów wydobywa się ono na powierzchnię. Kłamstwo staje się normą, legitymizowaną przez wielu polityków.

To jednak nie rozczarowanie polityką stało się przyczyną projektu, który dziś prowadzą muzycy ze Zrní. Nazywa się on „Havlowe dzieci Havlowi": to seria kameralnych koncertów, granych od wiosny tego roku w miejscach ważnych dla zmarłego w 2011 r. Václava Havla. Był on nie tylko niekwestionowaną ikoną opozycji. Prezydent Czechosłowacji, wybrany na tę funkcję już w grudniu 1989 r., postrzegany jest jak niemal archetyp polityka uczciwego.

– W ubiegłym roku, w rocznicę śmierci Havla, spontanicznie pojechaliśmy na Hrádeček, do górskiej chaty, gdzie on często jeździł – opowiada „Tygodnikowi" Unger. – Chcieliśmy mu zagrać parę piosenek. Kilka tygodni później zwrócił się do nas kapelan więzienia na Borach w Pilźnie, gdzie kiedyś siedział Havel, czy byśmy tam nie zagrali dla więźniów. I tak się zaczęło. W ten sposób postanowiliśmy uczcić 30 lat wolności.

Patronem projektu jest Biblioteka Václava Havla (Knihovna Václava Havla), a wspólnie z Fundacją Olgi Havlowej (nosi imię jego pierwszej żony, zmarłej w 1996 r.) Zrní prowadzą zbiórkę funduszy dla ubogich studentów. Wierzą, że dzięki wykształceniu ludzie nie będą się bać tego, co nieznane i obce, będą łatwiej radzić sobie z kłamstwami, manipulacją i propagandą.

Kilka koncertów mają za sobą i każdy był innym doświadczeniem. Najmocniejszym okazał się ten w więzieniu. Unger: – Graliśmy dla 80 więźniów. Siedzieli przed nami w więziennych ubraniach, czuło się wręcz ten fizyczny brak swobody i ogromną przepaść między nami. Ale pod koniec koncertu stało się coś niezwykłego i poczuliśmy, że wolność to stan umysłu, na głębszym poziomie. Było to niemal euforyczne doznanie i mieliśmy wrażenie, że więźniowie też tak to czuli, że na chwilę zapomnieli o fizycznym ograniczeniu wolności.

W rocznicę wybuchu rewolucji w Czechach, 17 listopada, Zrní zagrają koncert w Pradze, na prestiżowej Alei Narodowej.

MICHAL HVORECKÝ:

Należy walczyć z mitem, że w czasach komunizmu życie było lepsze. Potrzebujemy historycznej pamięci, aby zrozumieć współczesność.

NORA A JAKUB PRINT

Co nam zostało

„Na pewno nie myślę, że znam całe pokolenie albo że je znam dobrze. Niemniej chodzę na debaty do szkół średnich lub wyższych, czasem spotykam się z młodymi ludźmi (...), np. na festiwalach czy koncertach, i mam wrażenie, że ci ludzie mnie szanują, a moje poglądy ich interesują, są dla nich zrozumiałe, ba, często je podzielają. Ale nie to jest decydujące. Decydujące jest, by kierowali się własnym rozumem" – tak Václav Havel mówił w 2005 r. Karelowi Hvížďale (rozmowa została opublikowana w książce „Prosím stručně").

Dziś, kilkanaście lat później, filozofia życiowa Havla, jego przesłanie o przyzwoitości, wciąż jest dla wielu młodych Czechów istotne. A dla wielu – nie.

Honza Unger należy do pierwszej grupy. Wyjaśnia: – Havel jest dla nas symbolem tego, że za niektóre wartości warto cierpieć, poświęcić karierę, korzyści. Taką wartością jest coś głębszego, nieuchwytnego, coś, na czym się nie da zarabiać: to próba życia w prawdzie, miłość bliźniego, empatia, tolerancja, uczciwość. To jest dla nas główne przesłanie Havla. Główne, bo jest tego więcej, jak apel o ochronę praw człowieka, ekologia, znaczenie kultury... Niestety, dziś sytuacja w Czechach jest taka, że to przesłanie się dewaluuje – dodaje muzyk.

– Czy coś zostało w nas po roku 1989? – Petruška Šustrova powtarza pytanie i nie ma wątpliwości: – Myślę, że tak. Przede wszystkim to wolność: wolność słowa, osobista, wyznania, podróżowania. Wolność to podstawa, bez niej trudno mówić o innych swobodach.

– Wolność jest skarbem. Już jej nie oddam – zgadza się Michal Hvorecký.

– Wolność to ogromny dar, a zawdzięczamy go wszystkim, którzy o niego walczyli i którym się to przed 30 laty udało. Rzadko zdajemy sobie sprawę, jakie mamy szczęście, żyjąc jako ludzie wolni – mówi Honza Unger. – Ale, jednocześnie, wolność to tylko możliwość. To przestrzeń, którą musimy wypełnić. Czym ją wypełnimy, zależy od nas. Bo może to być też coś paskudnego. Dlatego wielu ludzi uważa teraz, że wolność nie przyniosła nic dobrego. A wolność to przecież wielka odpowiedzialność. Za siebie, za społeczeństwo.

Wystawa na Letnej

Na praskim wzgórzu Letná otworzono niedawno audiowizualną wystawę „Komunikacja '89". Pokazuje, jak 30 lat temu, w listopadzie 1989 r., ludzie przekazywali sobie informacje – gdy nie było komórek, internetu ani komunikatorów społecznościowych. Jak radzono sobie z cenzurą, jak ważne były osobiste kontakty. Słowem – jak „zrobić rewolucję" bez internetu.

To tylko jedno z wielu wydarzeń rocznicowych. Są też dyskusje, książki – mają Aksamitną Rewolucję upamiętnić, opowiedzieć, wyjaśnić. Na tyle, na ile się da.

Są też sondaże. Np. ośrodek Pew Research Center zapytał o ocenę przeszłości w dziewięciu krajach postkomunistycznych. Ogólny obraz jest taki, że niewielu ludzi żałuje transformacji, ale nie są oni całkowicie zadowoleni z sytuacji politycznej i ekonomicznej. W całym regionie można zauważyć wspólne przekonanie, że elity (w tym politycy) bardziej skorzystały na przemianach niż zwykli ludzie.

Wtedy, w 1989 r., protestujący chcieli po prostu wolności. Dziś – ludzie chcą całej reszty. Lista spraw jest długa i wszędzie chyba podobna: przejrzystość życia publicznego, lepsza edukacja i służba zdrowia, walka z wykluczeniem społecznym.

– Mniej nierówności między zachodnią a wschodnią Słowacją – dorzuca Hvorecký. – Jest tyle spraw...

– Wierzę, że zmierzamy w stronę społeczeństwa bardziej otwartego, empatycznego. Idzie to powoli, wolniej, niż się spodziewano, ale idzie – mówi Honza Unger. – Przez tych 30 lat przede wszystkim nauczyliśmy się, że wolność i demokracja nie są za darmo, że musimy o nie nieustannie dbać. I że musimy nad sobą pracować, bo sama wolność nie uczyni naszego życia szczęśliwszym.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 45/2019

REDAKCJA: Wojciech Pięciak | PROJ. GRAF: Marek Zalejski | TYPOGRAFIA: Marta Bogucka | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Edward Augustyn

Na okładce: transparent podczas Aksamitnej Rewolucji w Pradze pokazywał emocje demonstrujących i to, jak oceniali, ile czasu trzeba było na obalenie komunizmu: „Polska: 10 lat, Węgry: 10 miesięcy, NRD: 10 tygodni, Czechosłowacja: 10 dni". | FOT. NAF DEMENTI

WSPÓŁWYDAWCA:

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY:

KONRAD ADENAUER STIFTUNG

FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT

Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.
Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit

Ucieczka przed przeszłością

KAMIL CAŁUS Z BUKARESZTU

30 lat po egzekucji Nicolae Ceaușescu wiele tajemnic związanych z wydarzeniami roku 1989 w Rumunii czeka na wyjaśnienie. Większość obywateli nie ma już nadziei na poznanie prawdy.

Lista zaniechań jest długa. Niesławna tajna policja Securitate, której praktykom socjalistyczna Rumunia zawdzięczała miano najbardziej opresyjnego kraju Europy Środkowej, pozostaje nierozliczona. Jej byli pracownicy dożywają swych lat, pełniąc wciąż służbę w strukturach bezpieczeństwa demokratycznego państwa. Procesy lustracyjne są sporadyczne i ciągną się latami. Odpowiedzialni za śmierć ponad tysiąca osób w krwawej rewolucji, która w grudniu 1989 r. towarzyszyła obalaniu Ceaușescu, w zdecydowanej większości pozostają na wolności. Tymczasem nieżyjący dyktator, którego upadek 30 lat temu świętował właściwie cały naród, dziś... cieszy się rekordową popularnością.

Rewolucja, której nie było?

Stosunek władz i kluczowych partii do wydarzeń z grudnia 1989 r. jest dziś jednoznaczny i wyjątkowo – jak na specyfikę tutejszej polityki – zgodny. Rewolucja stanowi, wedle oficjalnej narracji, mit założycielski demokratycznej Rumunii. Jest powodem do dumy, jako demonstracja siły narodu, który po latach upokorzeń samodzielnie wyzwolił się spod dyktatury. Ci, którzy wtedy zginęli, są traktowani jako polegli za ojczyznę bohaterowie.

Ta oficjalna wersja jest jednak powszechnie podawana w wątpliwość – przez historyków i wielu obywateli. W kraju ściśle kontrolowanym przez Securitate nie istniały przecież żadne istotne ruchy dysydenckie. Trudno się dziwić, skoro – jak się dziś szacuje – liczba informatorów tajnych służb była tak duża, że każdy z nich mógł obserwować na bieżąco ok. 30 osób.

Paradoksalnie, najlepiej zorganizowana komórka oporu wobec reżimu Ceaușescu wykształciła się więc... w samej Rumuńskiej Partii Komunistycznej. To ci ludzie, często ideowi komuniści, na czele z Ionem Iliescu, przejęli władzę po obaleniu dyktatora.

Dlatego wielu Rumunów zadaje pytanie, czy wydarzenia z końca 1989 r. można w ogóle nazywać rewolucją? Powszechny jest pogląd, że usunięcie Ceaușescu było raczej partyjnym puczem – starannie wyreżyserowanym spektaklem, dzięki któremu skonfliktowani z dyktatorem członkowie aparatu i służb mieli przejąć kontrolę nad krajem. Transformacja ustrojowa byłaby celem drugorzędnym, a nawet nieco przypadkowym. Jedna z hipotez głosi, że Iliescu i jego współpracownicy wierzyli wręcz, iż zmiana kierownictwa i liberalizacja systemu pozwolą uratować rumuński socjalizm.

Egzekucja założycielska

Choć więc władze próbują na każdym kroku podkreślać oddolny charakter Rewolucji (oficjalnie pisanej wielką literą), wielu ludziom trudno w to uwierzyć. Nawet sami uczestnicy walk z grudnia 1989 r. są tu podzieleni. Niektórzy czują się oszukani i wykorzystani przez postkomunistów, którzy dzięki ich poświęceniu przejęli władzę. Z ich punktu widzenia zamordowanie dyktatora i jego żony – bo trudno inaczej nazwać egzekucję, przeprowadzoną 25 grudnia 1989 r. po błyskawicznym procesie, który nie zasługuje nawet na tę nazwę – nie było aktem sprawiedliwości, lecz miało legitymizować nową elitę. Albo raczej: tyleż nową, co starą, bo wywodzącą się przecież ze starego establishmentu.

– Śmierć Conducătora [rum. wodza; tak tytułował się Ceaușescu – red.] miała zmyć i odkupić winy tych, którzy przyszli rządzić po nim. W spektakularny sposób rozładowała społeczne napięcia i zamknęła usta tym, którzy chcieliby rozliczać pozostałych członków aparatu partyjnego – tłumaczy mi pewien bukareszteński politolog.

Podobnie ujmuje to Tom Gallagher, brytyjski profesor specjalizujący się w dziejach nowożytnych Rumunii. Gallager wskazuje na potrzebę zachowania wizerunku przez tych, którzy wypełnili polityczną pustkę powstałą w 1989 r. I tłumaczy, dlaczego imperatywem było szybkie rozstrzelanie Ceaușescu: długotrwały, poprawnie przeprowadzony proces byłby dla nich zwyczajnie niebezpieczny.

Przekleństwo dla narodu

Nie będzie przesadą teza, że główne partie polityczne dzisiejszej Rumunii są – w mniejszym lub większym stopniu – spadkobiercami tamtej Partii Komunistycznej.

Sztandarowy przykład to Partia Socjaldemokratyczna (PSD), której członkiem był też Iliescu. Zarówno PSD, jak też Narodowi Liberałowie (PNL; drugie co do wielkości ugrupowanie w parlamencie) są powiązani z przedrewolucyjną elitą. Siły te rządzą niemal nieprzerwanie od 1989 r. – w różnych konfiguracjach, a niekiedy pod różnymi nazwami.

Celnie i z pewną autoironią zwrócił na to uwagę podczas debaty wyborczej w 2004 r. Traian Băsescu, ówczesny kandydat na prezydenta. Zapytał wówczas retorycznie swego kontrkandydata, Adriana Năstasego: „Cóż za przekleństwem dla tego narodu jest fakt, że zmuszony on jest wybierać [prezydenta] spośród dwóch byłych komunistów?”.

Właśnie komunistycznym rodowodem obecnych elit tłumaczy się niezwykłą wręcz opieszałość władz w rozliczaniu przeszłości. Najbardziej spektakularnym tego przykładem było do niedawna postępowanie w sprawie śmierci około tysiąca osób w grudniu 1989 r., toczące się... od początku lat 90. XX w. Chodziło w nim zwłaszcza o wyjaśnienie, co działo się w Bukareszcie zaraz po ucieczce dyktatorskiej pary ze stolicy.

CHRISTOPHE SIMON / EAST NEWS

W kwietniu br. prokuratura postawiła w stan oskarżenia Iona Iliescu, który w 1989 r. stał na czele partyjnego puczu przeciw Ceaușescu. Jest oskarżony o przyczynienie się do śmierci tysiąca ludzi, którzy wtedy zginęli. Na zdjęciu: walki w Bukareszcie, 24 grudnia 1989 r.

Oficjalnie powtarza się, że to wierni Ceaușescu funkcjonariusze służb wraz z tzw. „terrorystami" otworzyli ogień do demonstrantów. Nikt nie wie jednak, kim mieliby być owi „terroryści" i czy ktokolwiek chciał wówczas jeszcze bronić Conducătora. Jedna z popularnych teorii krążących w społeczeństwie głosi, że tłum ostrzelali ludzie związani już z nową ekipą, a może nawet na jej rozkaz. Wedle innej, ogarnięci strachem przed rzekomym zagrożeniem – które podsycały wystąpienia Iliescu – ludzie w panice zaczęli strzelać do siebie nawzajem.

W 2015 r., po ponad ćwierćwieczu, prokuratura umorzyła tę sprawę – bez wskazania winnych grudniowego dramatu. Media i społeczeństwo przyjęły tę decyzję z rezygnacją, ale i bez zaskoczenia. Było jasne, że elita polityczna bała się obciążającej jej członków prawdy.

Przeszłość pod kontrolą

Do tego, że ich władze robią wszystko, aby uchronić się przed przeszłością, Rumuni zdążyli już zresztą przywyknąć.

Dość wspomnieć, że ustawy lustracyjne – w Europie Środkowej od dawna standard – przyjęto tu dopiero po 20 latach od upadku komunizmu. A więc w czasie, gdy większość osób pełniących ważne funkcje przed 1989 r. była już na emeryturze lub kończyła swoje życie zawodowe. Siedemnastu lat potrzebowały zaś kolejne rumuńskie rządy, by przekazać archiwa dawnych służb pod kontrolę niezależnej od nich instytucji. Ale i to marna pociecha dla społeczeństwa. Rzecz bowiem w tym, że w jej kapitule (gremium kontrolnym) zasiadają przedstawiciele sprawujących władzę partii.

Zresztą, sama jakość zgromadzonych materiałów podawana jest w wątpliwość. Komentując wprowadzenie pierwszych ustaw lustracyjnych w 2010 r., politolożka Alina Mungiu-Pippidi argumentowała: „Cały system jest zbyt przesiąknięty [ludźmi związanymi z reżimem – red.], aby archiwa te mogły być użyteczne". Sugerowała też, że służby miały dość czasu, by z łatwością zniszczyć najbardziej niewygodne materiały.

Tezę taką podziela wielu komentatorów, dodając, że akta przez długie lata znajdowały się wciąż pod kontrolą ludzi związanych z Securitate. Herta Müller, pochodząca z Rumunii niemiecka pisarka i laureatka Nobla, która sama doświadczyła działań Securitate, mówiła: „Tajna policja Ceaușescu nie została rozwiązana, ona tylko zmieniła nazwę". W istocie szacuje się, że aż jedna trzecia funkcjonariuszy komunistycznych służb wstąpiła w szeregi powstałych na jej gruzach organizacji, takich jak Rumuńska Służba Informacji (SRI).

– Politycy, którzy doszli do władzy po 1989 r., wraz z nigdy niezreformowanymi służbami uwłaszczyli się na transformacji – mówi mi Oktawian Milewski, analityk ds. rumuńskich. Milewski uważa, że w ten sposób doszło do powstania rumuńskiej oligarchii.

Tęsknię za tobą, Nicolae!

W grudniu 2018 r. dziennik „Adevărul" opublikował wyniki sondażu, mającego zbadać opinie Rumunów o ich dotychczasowych prezydentach. Zdecydowanym liderem ankiety okazał się Nicolae Ceaușescu – pierwszy polityk pełniący tę utworzoną w 1974 r. funkcję. Pozytywne zdanie na jego temat wyraziło ponad 64 proc. pytanych. Powszechnie szanowany i popularny prezydent Klaus Iohannis, sprawujący ten urząd od 2014 r., zajął dopiero drugie miejsce z wynikiem w okolicy 50 proc. Jednocześnie, co ciekawe, Ceaușescu zebrał kilkukrotnie większą od swoich oponentów liczbę ocen „doskonałych". Taką opinię na temat jego osoby wyraził co piąty obywatel.

Sympatia wobec Conducătora nie jest zjawiskiem nowym. Już w sondażu z 2014 r. prawie połowa pytanych uznała, że bez wahania oddałaby na niego głos, ↦

gdyby kandydował dziś na stanowisko szefa państwa.

Przyczyn tak wielkiej popularności człowieka odpowiedzialnego za masowe represje i kryzys gospodarczy lat 80. jest wiele. Pozytywne opinie o Ceaușescu są, rzecz jasna, dość powszechne wśród osób starszych, którym nostalgia każe w jasnych barwach spoglądać na czasy młodości. Podobnie jak mieszkańcy wielu krajów dawnego bloku wschodniego, podkreślają oni bezpieczeństwo socjalne, bezpłatną opiekę zdrowotną, brak bezrobocia czy bezdomności, które miał zapewniać (przynajmniej w pewnym stopniu) tamten ustrój.

Ale państwo Ceaușescu dawało im coś jeszcze: dumę. Powszechną biedę i bylejakość skutecznie przykrywało wtedy poczucie samodzielności i niezależności. Rumunia, choć stanowiła część Układu Warszawskiego i była związana politycznie z Moskwą, zachowywała sporą dozę niezależności. Od końca lat 50. na jej terytorium nie stacjonowały sowieckie wojska. Sam Ceaușescu zaś wielokrotnie i nierzadko w pojedynkę sprzeciwiał się polityce Kremla – jak w 1968 r., gdy potępił inwazję na Czechosłowację, albo w 1984 r., gdy zdecydował, że Rumunia jako jedyne państwo bloku wschodniego nie przyłączy się do sowieckiego bojkotu olimpiady w Los Angeles.

Zręcznie eksploatując takie gesty i nacjonalistyczną retorykę, Ceaușescu budował poczucie suwerenności. To się podobało. Nawet ostra polityka oszczędności, którą wprowadził na początku lat 80., jest dziś przez część społeczeństwa oceniana pozytywnie – choć doprowadziła kraj do ruiny.

– Przynajmniej nie byliśmy nikomu nic dłużni, nie tak jak dziś – mówi mi Victoria, 72-letnia emerytowana pielęgniarka z Bukaresztu. – Mów, co chcesz, ale w dniu, gdy rozstrzelano Ceaușescu, Rumunia nie miała długów. Kto w Europie Wschodniej mógł się tym pochwalić?

Liliana wzrusza ramionami

To właśnie tęsknota za dumą i poczuciem wyjątkowości, jakie oferował Ceaușescu, wydaje się jednym z głównych powodów jego obecnej popularności. I jest ważną przyczyną, dla której Rumuni niejednoznacznie oceniają dziś transformację, rozpoczętą 30 lat temu. Ponad 70 proc. obywateli nie jest zadowolonych z tego, jak wygląda sytuacja w ich kraju. Niewiele mniej skłonnych jest przyznać, że przed rewolucją żyło im się lepiej.

> Symboliczny głos poparcia dla byłego dyktatora – zabitego w 1989 r. przez tych, którzy dali początek nowej władzy – to głos sprzeciwu wobec elit, rządzących od 30 lat.

Co ciekawe, nawet młodzi ludzie – nie mogąc odnaleźć zbyt wielu powodów do dumy ze swego kraju – chętnie odwołują się do komunistycznej przeszłości. Przechadzając się po Pałacu Parlamentu – przed rokiem 1989 zwano go Domem Republiki lub Domem Ludu – można usłyszeć od niespełna trzydziestoletniej przewodniczki, że choć budowa gmachu pochłonęła równowartość obecnych 3 mld euro i doprowadziła do dewastacji historycznego centrum Bukaresztu, to budynek stanowi osiągnięcie, którym Rumuni mogą chwalić się przed światem. Nie tylko jest to bowiem drugi co do wielkości (i najdroższy) biurowiec świata, ale – co ważniejsze – został zaprojektowany i zbudowany przez rumuńskich architektów, artystów i robotników, wyłącznie przy użyciu pochodzących z kraju materiałów.

W rozmowach z młodymi ludźmi można natknąć się na podobne argumenty. Mieszkająca w stolicy 22-letnia Liliana, pytana o opinię na temat wydarzeń z 1989 r., przyznaje, że szczególnie się nad tym nie zastanawiała: – A co do Ceaușescu, to cóż, chciał dobrze... No i metro mamy dzięki niemu – wzrusza ramionami. – Choć przesadził z zakazem antykoncepcji i aborcji. Tak, teraz jest chyba lepiej niż przed rewolucją. Ale, z drugiej strony, skoro jest tak dobrze, to dlaczego tak wielu z nas wyjechało za granicę? – dodaje retorycznie.

Rumunia jako escape room

Rzeczywiście, choć młodzi w zdecydowanej większości nie mają wyrobionego zdania – bądź po prostu nie interesują się tym, co działo się 30 lat temu – to statystyki migracji zarobkowej stanowią poświadczną ocenę transformacji. Tylko między 2007 a 2015 rokiem Rumunię opuściło 3,5 mln osób, głównie młodych i wykształconych. Żaden inny kraj, poza Syrią, nie odnotował w tym okresie większego odpływu ludności. A to było niemal pięć lat temu – dziś szacuje się, że liczba Rumunów przebywających na emigracji sięga nawet 5 mln.

– Jesteśmy największym escape roomem świata – kwituje Liliana, nawiązując do popularnej zabawy polegającej na ucieczce z zamkniętego pomieszczenia dzięki rozwiązaniu szeregu zagadek.

Sentyment do Ceaușescu nie jest jednak tylko przejawem tęsknoty za socjalistyczną stabilnością i narodową dumą. Wydaje się, że jest on też sposobem na wyrażenie sprzeciwu wobec establishmentu, rządzącego od trzech dekad. Rumuni nie mają dobrego zdania o swej klasie politycznej. Parlamentowi, partiom i rządowi ufa statystycznie zaledwie co dziesiąty obywatel. Tymczasem w oczach pewnej części społeczeństwa Ceaușescu uosabia przywódcę, który – trzymając twardą ręką aparat państwa – z łatwością mógłby zrobić porządek z pogrążonymi w skandalach korupcyjnych i podejrzanie majętnymi elitami, trzymającymi stery współczesnej Rumunii.

Symboliczny głos poparcia dla byłego dyktatora – zabitego przez tych, którzy dali początek nowej władzy – byłby więc niczym innym jak głosem sprzeciwu wobec niej samej.

Nikt nie czeka

W 2016 r. śledztwo w sprawie wydarzeń z grudnia 1989 r. otwarto na nowo. Trzy lata później, w kwietniu tego roku, 89-letni Ion Iliescu i dwaj jego współpracownicy zostali postawieni w stan oskarżenia – za podsycanie i rozsiewanie atmosfery strachu i psychozy, która doprowadziła do śmierci tysiąca ludzi.

Wiadomość ta – wydawałoby się, historyczna – odbiła się większym echem poza granicami Rumunii niż w kraju. Tu nikt już nie czeka na sprawiedliwość. Wielu jest przekonanych, że Iliescu nie dożyje procesu, a jeśli nawet, to na pewno nie odbędzie kary, na którą zostanie skazany.

Zarówno on, jak też inni odpowiedzialni za śmierć, cierpienie i upokorzenie tylu tysięcy ludzi w czasach komunistycznej Rumunii unikną więc konsekwencji swoich czynów.

© KAMIL CAŁUS

Prześniona transformacja

ANDRZEJ SADECKI Z BUDAPESZTU

Węgrzy unikają dyskusji o tym, czym był „gulaszowy komunizm". Tymczasem od odpowiedzi na pytanie, czy w imię względnego dobrobytu warto rezygnować z wolności, zależy dziś także przyszłość węgierskiej demokracji.

Na Węgrzech rok 1989 jest cezurą nieoczywistą. Owszem, doszło wówczas do historycznego przełomu – inspirując się wydarzeniami w Polsce, władza i opozycja uzgodniły w toku rozmów, przy tutejszym okrągłym stole, zmianę ustroju i przeprowadzenie wolnych wyborów. Symbolicznym odcięciem się od przeszłości był wtedy uroczysty pogrzeb – i pośmiertna rehabilitacja – Imre Nagya, premiera rewolucyjnego rządu z 1956 r., straconego, pochowanego anonimowo i obłożonego klątwą niepamięci przez komunistyczne władze. Tego dnia, 16 czerwca 1989 r., Nagya żegnało w Budapeszcie – na placu Bohaterów, gdzie urządzono uroczyste pożegnanie – ćwierć miliona ludzi (potem na cmentarz trumnę odprowadzała już tylko rodzina i przyjaciele).

Węgry wniosły też swój wkład w rozpad bloku wschodniego, przepuszczając latem 1989 r. tysiące obywateli NRD na Zachód – i przyczyniając się tym do uruchomienia dynamiki, która doprowadziła do upadku muru berlińskiego.

Jednak dość łagodny charakter reżimu w dekadach poprzedzających zmianę ustroju, ewolucyjna natura zmian i rozbieżne oceny dorobku ostatniego 30-lecia sprawiły, że rok 1989 rzadko jest postrzegany na Węgrzech jako data przełomowa – i daleko jest do jego jednoznacznej oceny.

JÓZSEF BALATON / MTI / PAP

23 października 1989 r. przed parlamentem w Budapeszcie: tego dnia, w 33. rocznicę rewolucji 1956 r., Węgierska Republika Ludowa stała się Republiką Węgierską.

Oswojona dyktatura

Bodaj żadna z dyktatur bloku wschodniego nie osiągnęła takiego poziomu społecznej akceptacji – czy wręcz popularności – co reżim Jánosa Kádára, pierwszego sekretarza Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej w latach 1956-88. Choć Kádár zaczął od krwawej rozprawy z przywódcami i uczestnikami rewolucji z jesieni 1956 r., to od lat 60. jego władza skupiła się na podnoszeniu poziomu życia – pozostawiając pewne swobody w sferze prywatnej, ale oczekując w zamian rezygnacji z kwestionowania reżimu. Nostalgia do tej epoki widoczna jest do dziś. W badaniu ośrodka Závecz z 2017 r. najwięcej, bo 42 proc. pytanych uznało rządy Kádára za okres, gdy Węgrom żyło się najlepiej w ostatnich 100 latach. Wśród osób w wieku powyżej 60 lat takiej odpowiedzi udzieliło aż 63 proc. respondentów.

Na Węgrzech nie było masowej mobilizacji społecznej przeciw reżimowi. Zniechęcała do tego pamięć o stłumionej przez wojska sowieckie rewolucji 1956 r., a z drugiej strony względny dobrobyt, nazwany „gulaszowym komunizmem".

Wprawdzie od końca lat 70. zaczęły organizować się środowiska niezależne i powstały wydawnictwa drugiego obiegu, ale na niewielką skalę. Nie doszło do strajków, a największe demonstracje pod koniec lat 80. nie były wymierzone ↦

↦ bezpośrednio w socjalistyczną władzę, lecz dotyczyły takich problemów, jak sprzeciw wobec budowy zapory wodnej na Dunaju czy prześladowania mniejszości węgierskiej przez reżim Ceaușescu w sąsiedniej Rumunii.

Partia porzuca dogmaty

Takiej pozycji jak na Węgrzech nie zdobyło reformatorskie skrzydło partii w żadnym z państw bloku wschodniego (być może za wyjątkiem Czechosłowacji w okresie Praskiej Wiosny). Problemy gospodarcze – kiedy to kádárowskie państwo (względnego) dobrobytu wpadło w zadyszkę, m.in. za sprawą kryzysów naftowych lat 70., i kiedy pojawiły się kłopoty z obsługą zadłużenia – skłoniły wręcz partię do większego otwarcia na Zachód. Już w 1981 r. Węgry przystąpiły do Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

Dojście do władzy Michaiła Gorbaczowa w Związku Sowieckim było kolejnym impulsem dla reformatorów, którzy w maju 1988 r. odsunęli Kádára z funkcji pierwszego sekretarza.

Zarówno reformatorzy partyjni, jak i umiarkowana opozycja demokratyczna szukały ze sobą porozumienia. Na zjeździe intelektualistów opozycyjnych w 1987 r., który dał początek Węgierskiemu Forum Demokratycznemu (później zwycięzcy pierwszych wolnych wyborów), do wygłoszenia referatu zaproszony został Imre Pozsgay – ówczesny członek komitetu centralnego partii komunistycznej, lider jej frakcji reformatorskiej i jeden z późniejszych architektów transformacji ustrojowej.

Już na początku 1989 r. partia odchodzi od jednego ze swych dogmatów: wydarzenia z jesieni 1956 r. przestają być z dnia na dzień „kontrrewolucją" zagrażającą zdobyczom socjalizmu, a stają się „ludowym powstaniem" przeciw oligarchicznej władzy. Toruje to drogę do rozmów okrągłostołowych, które po trzymiesięcznych obradach (czerwiec-wrzesień 1989 r.) kończą się porozumieniem. W październiku przyjęty zostaje pakiet ustaw wprowadzających ustrój demokratyczny, a wiosną 1990 r. odbywają się wolne wybory, które wygrywa opozycja.

Przekreślona obietnica

Tak przeprowadzona transformacja od początku wywoływała gorące dyskusje. Kompromisowy i odgórny tryb zmiany ustroju rodził podejrzenia o spisek elit. Pierwszemu demokratycznemu rządowi zarzucano wolne tempo reform i brak rozliczenia dyktatury, na co premier József Antall z przekąsem odpowiadał: „To trzeba było zrobić rewolucję!".

Dyskusja o przemianach roku 1989 zaostrzyła się w połowie pierwszej dekady XXI stulecia. W bezpardonowej walce z rządzącą w latach 2002-10 lewicą, narodowo-konserwatywny Fidesz coraz bardziej kwestionował posttransformacyjny ład. Partia Viktora Orbána starała się delegitymizować władzę postkomunistycznej Węgierskiej Partii Socjalistycznej poprzez wytykanie jej ciągłości z autorytarnymi protoplastami.

W tego rodzaju hasłach Fidesz prześcigał się z rosnącym wówczas w siłę skrajnie prawicowym Jobbikiem – partią antysystemową, radykalnie podważającą cały porządek polityczny po 1989 r. Lewica, pogrążana przez kolejne afery, nie potrafiła już na to przekonująco i wiarygodnie odpowiedzieć. 50-lecie rewolucji 1956 roku stało się demonstracją sprzeciwu wobec władzy socjalistów, a 20. rocznica transformacji przeszła bez echa.

Zbiegło się to z rosnącymi problemami gospodarczymi kraju. Ponownie zmagające się z zadłużeniem Węgry stały się w 2008 r. pierwszą europejską ofiarą międzynarodowego kryzysu finansowego – i państwo o mało co nie zbankrutowało. Przekreślona została tym samym główna obietnica transformacji, czyli zaspokojenie rozbudzonych jeszcze za Kádára aspiracji konsumpcyjnych społeczeństwa – i zapowiadane po 1989 r. doścignięcie poziomu życia sąsiedniej Austrii, z którą – jeszcze od czasów wspólnej monarchii habsburskiej – Węgrzy tradycyjnie się porównują.

Hasła o niedokończonej transformacji i potrzebie głębokich zmian utorowały drogę do miażdżącego zwycięstwa Fideszu w wyborach w 2010 r., które partia Orbána określiła mianem „rewolucji przy urnach". W powyborczej deklaracji ogłosiła, że „po 46 latach okupacji i dyktatury oraz chaotycznych dwóch dekadach przejściowych Węgry odzyskały prawo i zdolność do samostanowienia". Kontrowersyjne zmiany w państwie, które wprowadzano w kolejnych latach, premier Orbán uzasadniał koniecznością dokończenia transformacji.

Przebudowa polityki pamięci

Obok głębokich zmian dotyczących instytucji państwowych, mediów czy prawa wyborczego, w 2010 r. rozpoczęła się także przebudowa polityki pamięci. Prawicowa narracja o przeszłości została utrwalona w oficjalnych dokumentach, pomnikach czy programach nauczania. Postaci i wydarzenia tradycyjnie istotne dla tożsamości środowisk liberalnych czy lewicowych zostały albo usunięte z narodowego kanonu, albo zredefiniowane.

Dotyczy to także pamięci o transformacji. Rok 1989 stał się datą niewygodną.

REUTERS PHOTOGRAPHER / REUTERS / FORUM

23 października, w rocznicę rewolucji 1956 r., Węgrzy kładą kwiaty pod pomnikiem Imre Nagya.

Z jednej strony to właśnie wtedy Fidesz – założony rok wcześniej jako organizacja młodzieżowa – wszedł do polityki, jego działacze wzięli udział w okrągłym stole, a 26-letni Viktor Orbán zadebiutował słynnym przemówieniem na powtórnym pogrzebie Nagya.

Z drugiej jednak strony wiodącą rolę w tamtych przemianach odegrali komuniści reformatorzy, a ustawy wprowadzające ustrój demokratyczny – choć ustalone przy okrągłym stole z udziałem opozycji – wprowadził jesienią 1989 r. jeszcze stary parlament, niepochodzący z wolnych wyborów. I to w końcu ostatni rząd Węgierskiej Republiki Ludowej otworzył granicę przed uciekinierami z NRD, czego symbolem stało się zdjęcie ówczesnego ministra spraw zagranicznych Gyuli Horna, przecinającego wspólnie ze swoim austriackim odpowiednikiem graniczne zasieki.

Jedną z odpowiedzi Fideszu na ten dylemat jest próba ustawienia „czasomierza demokracji" od 1990 r., kiedy odbyły się pierwsze demokratyczne wybory. Tak ujęto to w preambule do konstytucji, uchwalonej w 2011 r.: „Przywrócenie państwowej suwerenności (...) datujemy od 2 maja 1990 r., od ukształtowania się pierwszego wyłonionego w wolnych wyborach przedstawicielstwa narodu. Dzień ten uważamy za początek nowej demokracji i nowego ładu konstytucyjnego". W ten sposób próbuje się uciec od kłopotliwego roku 1989.

Nagy trafia na skwerek

W preambule zadeklarowano też, że korzenie wolnego państwa węgierskiego sięgają rewolucji 1956 roku. Sama rewolucja i jej symbol, czyli Imre Nagy, odczytywane są jednak przez Fidesz na nowo. Historycy i publicyści związani z prawicą argumentują, że dla Nagya nie ma miejsca w poczcie narodowych bohaterów, gdyż zajmował wysokie stanowiska w okresie stalinizmu i do końca pozostał zdeklarowanym komunistą.

Co ciekawe, w tej kwestii Nagya bierze w obronę sam Orbán, który powtarza to, co mówił w 1989 r. na jego pogrzebie: że wprawdzie był on komunistą, ale w chwili próby stanął po stronie narodu i zapłacił za to najwyższą cenę.

Mimo to jego pomnik w stolicy – przedstawiający Nagya stojącego na mostku i melancholijnie spoglądającego na majestatyczny parlament – pod koniec 2018 r. przeniesiono na naddunajski skwerek, w sąsiedztwo dawnej siedziby komunistycznego MSW, a następnie Komitetu Centralnego Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej. Na zwolnione miejsce koło parlamentu wrócił pomnik ofiar rewolucji bolszewickiej z 1919 r. (przez kilka miesięcy istniała wtedy Węgierska Republika Rad), który stał tam do 1945 r. i został usunięty po zajęciu Węgier przez Armię Czerwoną.

> Czy rozliczenie „gulaszowego komunizmu" może liczyć dziś na szerokie poparcie społeczne? Wymagałoby to zmierzenia się z faktem, że miliony Węgrów wyrzekły się wtedy wolności w zamian za podnoszenie poziomu życia.

Podczas obchodzonej trzy lata temu 60. rocznicy węgierskiej rewolucji postać Nagya została praktycznie pominięta.

Hasła i uniki

W tegoroczną, 30. rocznicę pogrzebu Nagya – wydarzenia, które w 1989 r. zgromadziło tłumy na placu Bohaterów, a miliony przed telewizorami – dzisiejsze władze zorganizowały bezpłatny „koncert wolności". W spocie reklamującym to wydarzenie pokazany został fragment ówczesnego przemówienia młodego Orbána, a o Nagyu nawet nie wspomniano.

Jedynym wydarzeniem z 1989 r., które doczekało się po trzech dekadach oficjalnego upamiętnienia, był tzw. Piknik Paneuropejski, podczas którego przebywający na Węgrzech obywatele NRD mogli przedostać się na Zachód. Jest ono fundamentem bliskich stosunków węgiersko-niemieckich. Kanclerz Helmut Kohl określił kiedyś działania Węgier jako pierwszą cegiełkę wybitą w murze berlińskim.

W tegorocznych obchodach wzięła udział Angela Merkel, co pozwoliło Orbánowi na bezpośrednią rozmowę z panią kanclerz, z którą od kilku lat łączą go napięte relacje. Przywódcy ostatniego komunistycznego rządu, którzy po konsultacjach z Gorbaczowem i tajnych rozmowach z Kohlem doprowadzili do tamtego wyłomu w żelaznej kurtynie, nie zostali zaproszeni na obchody.

Krytycy wytykają rządowi Orbána, że chętnie szermuje hasłami antykomunistycznymi w debacie publicznej, ale unika realnego rozliczenia dyktatury. Fidesz jest bowiem partią niechętną lustracji. Wynika to m.in. z tego, że z założonej przez młodych antykomunistów partii stał się ugrupowaniem masowym i przyciągnął wiele osób o niejasnej przeszłości.

Mimo wyjątkowych – na tle pozostałych państw postkomunistycznych – restrykcji w dostępie do archiwów bezpieki, co jakiś czas prasa ujawnia agenturalną przeszłość wysokich urzędników rządowych, polityków Fideszu czy publicystów obozu prawicy. Temat ten podchwytuje opozycja, choć oczywiście nie ta postkomunistyczna. Aż osiemnaście razy w ostatnich kilku latach partia Lehet Más a Politika (Polityka Może Być Inna) składała projekt ustawy lustracyjnej, jednak dysponujący większością Fidesz za każdym razem ją odrzucał.

W dyskusjach w parlamencie opozycja często przywołuje przy tym Polskę jako wzór rozliczenia komunizmu i skutecznej lustracji oraz apeluje o powołanie instytucji na kształt polskiego Instytutu Pamięci Narodowej.

Pytania powiązane

Pytanie tylko: czy lustracja i rozliczenie epoki „gulaszowego komunizmu" – gdyby do nich realnie doszło – mogłyby liczyć dzisiaj na szerokie poparcie społeczeństwa? Wymagałoby to wszak zmierzenia się z moralnymi kompromisami epoki Kádára, gdy miliony Węgrów wyrzekły się wolności politycznej i „zapomniały" o rewolucji 1956 roku, w zamian za podnoszenie stopy życiowej i możliwość spełnienia w sferze prywatnej. Czego kosztem była także *de facto* akceptacja dla rozrośniętego aparatu inwigilacji, dla kontroli wszystkich instytucji państwowych i społecznych przez partię oraz dla obecności w kraju wojsk sowieckich.

Jednak bez dyskusji o tym, czym w istocie był reżim obalony w 1989 r., trudno o ocenę samej transformacji. A od odpowiedzi na pytanie, czy w imię stabilizacji i względnego dobrobytu warto rezygnować z wolności, zależeć dziś będzie także przyszłość węgierskiej demokracji.

© ANDRZEJ SADECKI

„TP" 42 / 2019

Takich księży nam trzeba

Jestem waszą wierną czytelniczką, od kilku lat prenumeruję „Tygodnik". Przeczytałam w jednym z najnowszych wydań wzmiankę o ks. Damianie Wyżkiewiczu, wyróżnionym w konkursie „Nauczyciel Roku 2019". Wybór czołówki najlepszych z najlepszych nie leży w gestii organizatora, czyli „Głosu Nauczycielskiego" – laureatów wybiera kapituła, której trzon stanowią Nauczyciele Roku z poprzednich edycji. Tym bardziej miło, że docenili ks. Damiana. W tym tygodniu miałam przyjemność gościć u siebie tego duchownego – był na Podhalu na rekolekcjach. Poznaliśmy się na gali wręczenia nagród na Zamku Królewskim, ponieważ też byłam nominowana do Złotej Trzynastki, czyli ścisłego finału konkursu. Nie wiem, jaki jest ks. Damian jako duchowny, i pozwólcie, że w tej kwestii nie będę się wypowiadała, choć mogę się domyślać. Wiem jedno: to bardzo ciepły, serdeczny i otwarty na wszystkich człowiek, bez względu na pochodzenie, wyznanie, poglądy. To nauczyciel z powołania, który łamie stereotypy. A przy tym straszny gaduła. Bardzo dobrze, że kapituła go doceniła, bo dzięki temu może wiele zrobić dla nas, zwykłych katolików, którzy stracili wiarę w instytucję kościelną i często mylą wiarę w Boga z wiarą w księży („Nie pójdę do kościoła, bo ksiądz XYZ..."). „Tygodnik" czytają zwykli ludzie, którym Wasze myślenie jest bliskie tak jak mnie. I właśnie nam potrzeba takich świadectw. Dlatego proszę: nie zapominajcie o nim, bo może wiele zrobić dla polskiego Kościoła, ocieplając jego wizerunek.

EWA KEMPSKA

OD REDAKCJI:
Obszerny wywiad z ks. Wyżkiewiczem publikujemy w dziale Wiara.

„TP" 43 / 2019

Znam inną prowincję

Diagnoza Szymona Hołowni na temat polskiej prowincji wydaje mi się mylna przede wszystkim z tego względu, że – jak autor sam przyznaje – kreślona jest w drodze i w pośpiechu. Hołownia nie zauważa, że na spotkania autorskie przychodzi tam głównie miejscowa inteligencja, która, tu racja, niczym nie różni się od tej miejskiej. Oczywiście, że polska wieś czy małe miasteczko nie wygląda tak, jak w XIX-wiecznej noweli czy malarstwie. Mentalnie to jednak często wciąż realia „Konopielki" przeniesione w XXI wiek, co widać dopiero, gdy podróżny zatrzyma się, zżyje z ludźmi i przyrodą. Rząd Prawa i Sprawiedliwości, chyba wbrew zamiarom, inicjuje doniosły kulturowy przełom: ograbia z mitu sielskości prowincję oraz tych, którzy tym mitem się żywili i pozwalali mu istnieć, a więc inteligencję. Poza tym Zamość to żadna prowincja. To duże miasto.

ANDRZEJ MUSZYŃSKI

Polska: kraj imigrantów

Po lekturze felietonu „Mamy wspólne marzenia" chciałbym zaprosić Szymona Hołownię do odwiedzenia Oławy, miasta powiatowego leżącego niedaleko Wrocławia. Odnoszę bowiem wrażenie, czytając czasopisma z mojego kręgu informacyjnego, że takie gorzkie wypowiedzi, jak ta z książki Magdaleny Okraski zacytowana w felietonie, nie są wystarczająco wyraźnie skonfrontowane z informacjami odnoszącymi się do takich miast, jak właśnie Oława. Jest to bowiem miasto, które przeżywa boom przemysłowy i migracyjny. Nigdy nie było tu tylu fabryk co dzisiaj. Ludność Oławy to 32-34 tys. mieszkańców, a w samym mieście i okolicznych wsiach mieszka – jak się mówi – około 16 tys. Ukraińców. Tyle jest bowiem miejsc pracy i tak wielkie jest zapotrzebowanie na pracowników. To wielki temat, czekający na swojego Wańkowicza czy Kapuścińskiego: jak Polska z kraju emigrantów zarobkowych staje się krajem ściągającym ludzi z całego świata do pracy.

JACEK PILAWA

Co się kryje za czarnym kwadratem

W imieniu uczniów i swoim własnym chciałabym podziękować za niezwykłe doświadczenie, jakim była „Lekcja czytania obrazów" z Jakubem Woynarowskim [wydarzenie miało miejsce podczas Festiwalu Conrada, w ramach prowadzonej od lat przez Fundację Tygodnika Powszechnego akcji „Lekcje czytania" – red.]. Swoimi opiniami podzielili się też moi uczniowie. Oto dwa głosy. Karina: „Tym razem nie omawialiśmy tekstu literackiego, a skupiliśmy się na obrazach przedstawiających np. czarny kwadrat, okno, części koła, tekst graficzny. Zabawa polegała na tym, że opowiadaliśmy, co widzimy na ekranie. Każdemu z nas przychodziły do głowy różne pomysły i interpretacje, którymi dzieliliśmy się na forum. To doświadczenie zainspirowało mnie do zwrócenia większej uwagi na obrazy, kształty i wszelkie inne elementy graficzne". Zuzia: „Udział w lekcji był doświadczeniem niezwykle ciekawym i inspirującym. Pan Woynarowski w fantastycznie przystępny sposób przedstawił nam informacje o sposobach przekazywania i odczytywania treści zawartych w nawet najprostszych formach graficznych. Mogliśmy przekonać się, jak różnorodne może być postrzeganie barw i kształtów zawierających w sobie niezwykłe historie, które to każdy z nas może opowiedzieć na swój sposób. Lekcja pokazała, jak można bawić się interpretacjami całkowicie abstrakcyjnych kształtów i jak wiele potrafi kryć się nawet za zwykłym czarnym kwadratem".

ANNA MIŚKOWIEC,
II LO w Nowym Targu

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 45/2019

XXVIII FESTIWAL ARS CAMERALIS

KRZYK

9–24 listopada 2019
www.arscameralisfestiwal.pl

XXVIII FESTIWAL ARS CAMERALIS

9–24 XI 2019

REKLAMA

9 LISTOPADA (SOBOTA)

g. 19:00
ZDERZENIA LITERACKIE STŁUMIĆ KRZYK KAMIENIA
Spotkanie: Michael Krüger (DE), Tomasz Różycki
Prowadzenie: Szymon Kloska
Muzyka: Henryk Gembalski
Performance multimedialny: Tomasz Strojecki, Krzysztof Zygalski
Miejsce: Laboratorium Obrazu Ruchomego i Interakcji (LORI, sala 112). Akademia Sztuk Pięknych, Katowice
Wstęp wolny

11 LISTOPADA (PONIEDZIAŁEK)

g. 18:00
DZISIEJSZE CZASY
reż. Charles Chaplin
Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice
Bilety: 15 zł

12 LISTOPADA (WTOREK)

g. 19:00
ZDERZENIA LITERACKIE USZY DUSZY 4. KRZYK PROFESORÓW
Spotkanie: Ryszard Koziołek, Tadeusz Sławek
Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice
Bilety: 5 zł

13 LISTOPADA (ŚRODA)

g. 19:00
KONCERT: DILLON (BR/DE)
Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice
Bilety: 20 zł (ulgowe), 25 zł

14 LISTOPADA (CZWARTEK)

g. 18:00
ROMAN CIEŚLEWICZ I CHANTALPETIT. EN TÊTE À TÊTE / TWARZĄ W TWARZ
Wernisaż wystawy: Roman Cieślewicz, chantalpetit (FR)
Kurator: Alexandre Devaux, współpraca kuratorska: Marek Zieliński
Oprawa muzyczna: Fabrice de Feo (FR)
Miejsce: Galeria ASP Rondo Sztuki, Katowice
Wstęp wolny, wystawa potrwa do 19 grudnia

g. 20:00
KONCERT: JESSICA PRATT (US)
Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice
Bilety: 20 zł (ulgowe), 25 zł

15 LISTOPADA (PIĄTEK)

g. 18:00
WIĘCEJ ŚWIATŁA W PSZCZYNIE!
Wernisaż instalacji: Mischa Kuball (DE),
Karolina Hałatek, Agnieszka Jaworek
Miejsce: Muzeum Zamkowe w Pszczynie
Wystawa potrwa do 30 listopada

g. 19:00 / 20:00
ZDERZENIA LITERACKIE
KONCERT I SPOTKANIE LITERACKIE: LAURA GIBSON (US)
Support: Luke De-Sciscio (UK)
Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice
Bilety: 20 zł (ulgowe), 25 zł

16 LISTOPADA (SOBOTA)

g. 18:00
WIĘCEJ ŚWIATŁA W PSZCZYNIE!
Widowisko świetlno-muzyczne:
Sofie Birch (DK) + Pernille Kjær (DK)
Reżyseria światła: Jan Dybała
Miejsce: Stajnie Książęce.
Muzeum Zamkowe w Pszczynie
Wstęp wolny

g. 19:00
ZDERZENIA LITERACKIE
ZBIEG POETYCKI NADZIKO
Prezentacje poetyckie: Gábor Lanczkor (HU),
Chulud Szaraf (SY), Piotr Jasek, Adrian Tujek, Trupa NaDziko: Kobierski/Majzel/Melecki/Siwczyk oraz goście: Brzoska, Kremza, Lekszycki, Olszański, Sarna
Goście specjalni: Grzegorz Jankowicz, Dariusz Pawelec
Koncert: Tryp
Miejsce: Jazz Club Hipnoza, Katowice
Bilety: 10 zł (ulgowe), 15 zł

17 LISTOPADA (NIEDZIELA)

g. 17:00
ZDERZENIA LITERACKIE
KRZYK – RÓŻNE DROGI CISZY
Spotkanie: Dominika „Nika" Domczyk,
Jerzy Jarniewicz, Daniel Wyszogrodzki
Prowadzenie: Szymon Kloska
Miejsce: Miejscownik. Tygiel Kulturalny, Katowice
Wstęp wolny

g. 19:00 / 20:00
KONCERT: DONNY MCCASLIN (US)
Support: RASP LOVERS (PL)
Miejsce: Jazz Club Hipnoza, Katowice
Bilety: 20 zł (ulgowe), 30 zł

18 LISTOPADA (PONIEDZIAŁEK)

g. 19:00
ZDERZENIA LITERACKIE KRZYK PAMIĘCI
Spotkanie: Leszek Libera, Sława Lisiecka
Prowadzenie: Szymon Kloska
Miejsce: Teatr Śląski – Scena w Malarni, Katowice
Bilety: 5 zł

19 LISTOPADA (WTOREK)

g. 20:00
KONCERT: WEYES BLOOD (US)
Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice
Bilety: 25 zł (ulgowe), 30 zł

20 LISTOPADA (ŚRODA)

g. 19:00
ZDERZENIA LITERACKIE KONTENT – KRZYK Z KRAKOWA
Prezentacje literackie: Piotr Jemioło, Paulina Pidzik
Dyskusja: Weronika Janeczko, Zuzanna Sala, Marcin Świątkowski
Prowadzenie: Michał Koza
Koncert: Kirszenbaum
Miejsce: Miejscownik. Tygiel Kulturalny, Katowice
Bilety: 5 zł

21 LISTOPADA (CZWARTEK)

g. 18:00
DYKTATOR, reż. Charles Chaplin
Miejsce: Kinoteatr Rialto, Katowice
Bilety: 15 zł

22 LISTOPADA (PIĄTEK)

g. 19:00
ZDERZENIA LITERACKIE SPOTKANIE: JENNY HVAL (NO)
Prowadzenie: Szymon Kloska
Miejsce: Miejscownik. Tygiel Kulturalny, Katowice
Wstęp wolny

23 LISTOPADA (SOBOTA)

g. 19:00
ZDERZENIA LITERACKIE THE PRACTICE OF LOVE PERFORMANCE: JENNY HVAL (NO)
Miejsce: Teatr Śląski – Scena w Galerii, Katowice
Bilety: 20 (ulgowe), 25 zł

24 LISTOPADA (NIEDZIELA)

g. 17:00
ZDERZENIA LITERACKIE PODRÓŻUJĄC PRZEZ RAJ POPIOŁÓW
Spotkanie: Adonis (SY), Hatif Janabi (IQ)
Prowadzenie: Marek M. Dziekan
Miejsce: Teatr Śląski – Scena w Malarni, Katowice
Bilety: 5 zł

DO 8 GRUDNIA
MONIKA GRZYMALA / DAMIEN DEROUBAIX. O NATURZE ŚWIATA
Wystawa: Damien Deroubaix (FR),
Monika Grzymala (PL/DE)
Kurator: Marek Zieliński
Miejsce: Galeria Sztuki Współczesnej BWA, Katowice
Wstęp zgodnie z ofertą Galerii

ARSCAMERALISFESTIWAL.PL

ORGANIZATORZY:

Ars Cameralis Silesiae Superioris

ARS CAMERALIS JEST INSTYTUCJĄ KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

Śląskie.

PARTNERZY:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

TYGODNIK POWSZECHNY

HOTEL MONOPOL KATOWICE

PATRONI MEDIALNI:

Trójka POLSKIE RADIO

BILETY DOSTĘPNE NA:

dwójka POLSKIE RADIO

POLSKIE RADIO KATOWICE

ams

Ultramaryna

onet

SZYBKIE BILETY ONLINE BILETOMAT.PL

ticketmaster

ticketportal BILETY W ZASIĘGU RĘKI

Trudno mówić o krzyku

TADEUSZ SŁAWEK

Dobry krzyk jest krzykiem niezgody na to-co-jest. To głos tych, którym nie jest obojętne. Którzy się angażują, by stan spraw ludzkich był bardziej, a nie mniej ludzki.

Krzyk jest poniekąd zaprzeczeniem mówienia. W każdym razie mówienia, w którym słowa są karnie uporządkowane w jednostajnie i miarowo kroczące szeregi.

Nawet wtedy, gdy wciąż jesteśmy w stanie rozpoznać i rozróżnić słowa, krzyk wprowadza między nie jakąś szczególną aurę, zasnuwa je ciemną, poszarpaną, jakby burzową chmurą. Pogoda krzyku daleko odbiega od niezmąconego błękitu; nawet bezchmurne greckie niebo, które opiewali poeci, jak Hölderlin, i filozofowie, jak Nietzsche, mroczy się, gdy rozlega się krzyk. Krzyk Edypa, Niobe patrzącej na śmierć dzieci albo porzuconej Ariadny przybliża nas do mroków nocy, o których chętnie zapominamy.

Już gdy mówimy podniesionym głosem, nasze słowa tracą kontakt z ziemią i zaczynają wirować, unoszone niecodzienną energią daleką od spokojnego rytmu zwykłych wypowiedzi. Jakieś uniesienie pojawia się wraz z krzykiem. Uroczyście podniesiony głos celebransa zapowiada bliskość sfery świętej, przekroczenie ograniczeń właściwych temu, co świeckie. Gdy narasta spór, niezależnie od tego, jak błahy lub jak poważny był jego powód, wcześniej czy później ktoś podniesie głos, zacznie krzyczeć. Przekroczy granicę poziomu głosu właściwego rozmowie. Wtedy mówimy mu: „niech się pan/pani nie unosi". Niewątpliwie, gdy myślimy o krzyku, gdy staramy się dociec, czym jest krzyk, niedaleko są wszystkie problemy związane z granicą, ograniczeniami, tym, co uważamy za normalne, a co już w granicach normalności się nie mieści. Przecież nawet barwy, o ile nie odpowiadają oczekiwaniom i nie dostosowują się do norm i granic, bywają krzykliwe.

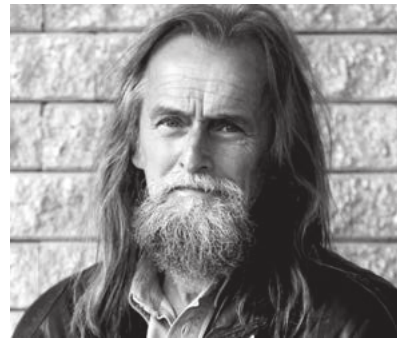

DAWID CHALIMONIUK / MATERIAŁY PRASOWE

TADEUSZ SŁAWEK (ur. 1946) jest literaturoznawcą, eseistą, poetą i tłumaczem. Były rektor Uniwersytetu Śląskiego, członek Komitetu Nauk o Literaturze PAN.

Trudno jest mówić o krzyku.

Ambicją języka w jego codziennej praktyce jest dopasować się do przedmiotów i sytuacji, które nazywa. Przywrzeć do nich, by stworzyć z nimi jedność. Ale także nie zdradzić ich, zachować wobec nich wierność. Krzyk zawsze zdradza.

Może to być zdrada popełniona wobec samego krzyczącego. Dzieje się tak wówczas, kiedy krzyk jest krzykiem na kogoś. Rodzic krzyczy na dziecko, szef na podwładnego. Całe struktury, na przykład wojsko, opierają się na krzyku, osobliwie akcentując krzyczenie na kogoś niżej postawionego w hierarchii. Tak krzycząc, wyobrażam sobie, że nabieram specjalnych uprawnień; więcej, myślę, że już zostały mi dane, że są podstawą i racją mojego bycia. Zdradzam siebie jako człowieka żądnego panowania (choć nie nad sobą, lecz nad innymi) i nadzwyczajnych uprawnień. Zdradzam siebie jako krzykacza władzy, jej krzykliwego reprezentanta. Tak jak jest zły dotyk, tak jest i zły krzyk. Każe nam zapomnieć, kim jesteśmy, i żąda jedynie posłuchu. Wymaga posłuchu, sam nie słuchając. Domaga się więcej niż ma, bowiem uważa, że mu się należy. Taki krzyk pojawia się wtedy, gdy ktoś opętany pragnieniem rządów przejmuje słowa z bezwzględnością kolonizatora, rujnuje ich bogactwo i wieloznaczność, omija ich zawiłe ścieżki, depcze drogą na skróty, która zawsze oznacza lekceważenie prawa i kończy się krzykiem, który staje się formą przemocy.

Trudno jest mówić o krzyku.

Dlatego, że jest też inny krzyk od tego, który zdradza i jest instrumentem służącym żądzy władzy – niezależnie od tego, czy mówimy o władzy ojca, sierżanta czy polityka. Krzyk, który zdradza, krzyk wściekły, nie jest zaproszeniem do tego, by mówić. Przeciwnie – nakazuje, a pierwszym jego zadaniem jest ustanowić nakaz milczenia. Taki krzyk jest zły, bowiem dąży do tego, by wszystkich zakrzyczeć. Nie mówi, lecz zakrzykuje.

„Jesteś bezkrytycznie posłuszny, więc jesteś" – to filozoficzne credo tego krzyku.

Ale jest też, jak powiedzieliśmy, krzyk innego rodzaju.

Rozlega się wtedy, gdy to-co-jest, nasz sposób urządzenia świata i życia, budzi wątpliwości, ale nasz głos zgłaszający owe wątpliwości niknie w powszechnym hałasie sloganów i frazesów.

Wątpliwości te mogą przybrać kształt pytania o to, jak radzimy sobie z naszym ludzkim losem, dla którego niewystarczające są już gładkie formuły społecznych i religijnych ortodoksji; to „Krzyk" Edvarda Muncha, o którym mówi się, że jest początkiem nowego myślenia w sztuce.

Taki krzyk, nazwijmy go dobrym, choć często jego tonacją jest rozpacz, dochodzi nas z miejsc, w których nikt nie chce nas słuchać, bowiem uważa nas ↦

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 45/2019
REDAKCJA: Michał Sowiński | SKŁAD: Zuzanna Kardyś
OKŁADKA: Aleksandra Grunholz / Ars Cameralis
Materiały dzięki uprzejmości organizatorów festiwalu Ars Cameralis

↦ za niebezpieczny, wrogi element, mówiący w zasadzie innym językiem.

Kiedy słowa i argumenty wyczerpały swoje możliwości wobec tych, którzy nie chcą ich wysłuchać, wtedy krzykiem dobijamy się do drzwi rozumnie zorganizowanej wspólnoty zbudowanej na prawdziwie ludzkich wartościach, nie tylko deklarowanych, ale i praktykowanych. Takim krzykiem przesterowanej gitary Hendrix domagał się końca wojny w Wietnamie; przejmujący wrzask (niedobre to słowo, ale trudno oddać po polsku szorstkość i wieloznaczność angielskiego *scream*) Morrisona w „Alabama Song" rozdzierał gładką materię samozadowolenia zasobnych amerykańskich przedmieść, przypominając o społecznym krytycyzmie Brechta i Weilla. The Beatles wychowali się na krzykach Little Richarda. To im zawdzięczają swoją przewrotną energię.

W sytuacji politycznej i społecznej głuchoty maskowanej szumem medialnych przekazów krzyk winien rozerwać powietrze. Nie bez powodu grupa Duldung śpiewa: „Zapraszam wszystkie panie na ulicę, / Bo jestem wtedy, jestem wtedy kiedy krzyczę".

Gdy logiczne argumenty i prawne opinie na rzecz stanu praworządności nie są wysłuchane, pozostaje jedynie krzyk. „Tu trzeba krzyczeć, trzeba się drzeć" – wzywają Grabaż i Pidżama Porno.

To również krzyk tych, którzy długo prosili, by nie nazywano ich „zarazą", a teraz, wobec głuchoty władzy, kamieni i wyzwisk, został im już tylko krzyk. To także krzyk uchodźców, kimkolwiek by byli, którzy stanęli u granicy dumnej ze swych chrześcijańskich korzeni Europy, a chrześcijańska Europa zamyka przed nimi porty i skazuje na dryfowanie po morzu.

Dobry krzyk jest krzykiem niezgody na to-co-jest. To głos tych, którym nie jest obojętne. Którzy się angażują. Nie po to, by przysłużyć się czyimś politycznym interesom. Po to, by stan spraw ludzkich był bardziej, a nie mniej ludzki.

„Krzyczę, więc krytycznie jestem" – oto filozofia dobrego, koniecznego krzyku.

© TADEUSZ SŁAWEK

MONIKA GRZYMALA

„O naturze świata", instalacja z wystawy Moniki Grzymaly i Damiena Deroubaix

Cisza ściśniętego gardła

MAREK ZIELIŃSKI I BARTŁOMIEJ MAJZEL, ORGANIZATORZY:

W tym roku pozwalamy sztuce krzyczeć, prowokować, zmuszać do myślenia, stawiać nieoczywiste pytania. To szansa, żeby oczyścić się ze zgiełku i zacząć poważnie rozmawiać.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Tym razem postanowiliście opowiedzieć o krzyku.

MAREK ZIELIŃSKI: Jeden z wątków ubiegłorocznej edycji Festiwalu Ars Cameralis dedykowany był tradycji punka w światowej popkulturze, być może dlatego w tym roku postanowiliśmy pogłębić ten wątek. Dodatkowym pretekstem jest rocznica śmierci Edvarda Muncha, którego „Krzyk" można uznać za symboliczny początek nowej epoki w sztuce. Przeniknął do popkultury – żeby wspomnieć tylko filmy Wesa Cravena i jego maski, które przecież są żywcem przeniesione z obrazów norweskiego artysty. Twarz wykrzywiona w krzyku, prawie pozbawiona ludzkich rysów do dziś wyraża coś ważnego i stała się dramatycznym symbolem minionego wieku. Munch malując swój słynny obraz pod koniec XIX wieku dał początek nie tylko ekspresjonizmowi, ale przede wszystkim uchwycił istotę rodzącej się nowoczesności i pozycję człowieka – w wirze i chaosie świata, który opisywał Nietzsche. Wydawałoby się, że krzyk jest czymś oczywistym, naturalnym dla każdego, a jednak w kulturze zachodniej bardzo powoli się przebijał.

Żyjemy w rozkrzyczanych czasach. To też był punkt odniesienia dla Was?

BARTŁOMIEJ MAJZEL: Munch był istotny dla naszego myślenia o krzyku jedynie w szerszej perspektywie – społecznej, artystycznej czy egzystencjalnej. Gdy tworzyliśmy program Festiwalu, w mniejszym stopniu interesował nas zgiełk współczesności – owa ściana wrzasku, od której odbijamy się na co dzień w mediach, na ulicy, w przestrzeni społecznej. Ten ciągły krzyk sprawia, że świat staje się nie do zniesienia. Nas interesował krzyk jako unikatowe narzędzie w rękach artysty. Taki krzyk obarczony jest znaczeniem, staje się komunikatem, może być formą buntu lub wyrazem wściekłości, ale również ekspresją radości czy ekstazy. Spójrz, jak wiele wyrazić może niemy krzyk, krzyk historii lub pamięci. To pojęcie daje nieograniczone pole do dyskusji, staje się uniwersalnym gestem, aktem odwagi, elementem gry. Także za sprawą najróżniejszych artystów, którzy nadawali mu własne, indywidualne znaczenia.

Ale krzyk ma sens jedynie, jeżeli towarzyszy mu cisza.

BM: Istotnie, krzyk i cisza związane są ze sobą tajemniczym węzłem. Są niczym bracia syjamscy. Krzyk wybrzmiewa najpełniej w ciszy, która pojawia się tuż po nim. Jest rodzajem ukrytego smutku, który poszukuje notorycznie swojego milczenia, niczym przestrzeni, bez której straciłby swe znaczenie. To trochę jak konieczne przerwy między dźwiękami, bez których nie byłoby muzyki. Dlatego zaproszeni w tym roku przez nas muzycy tworzą niezwykle kameralne przestrzenie dźwięków, wyciszone, wręcz intymne. To taki prowokacyjny, ale bardzo znaczący gest – mówimy o krzyku językiem subtelnego piękna. Zresztą nasza tegoroczna festiwalowa opowieść skonstruowana została w ten sposób, iż przebiega od krzyku do ciszy, bo właśnie w owej ciszy skondensowany sens krzyku wybrzmi najdonośniej.

MZ: Krzyk, przynajmniej stereotypowo, nie mieścił się w harmonijnej kulturze śródziemnomorskiej. Często podkreśla się, iż ten rodzaj ekspresji przynależy do innego kręgu kulturowego. Dopiero „inwazja" barbarzyńskiej Północy spowodowała, że odnalazł swe miejsce. Przez wieki pełnił też bardzo różne funkcje – weźmy choćby rzeźby krzyczących demonów na portalach średniowiecznych katedr, gdzie miały pełnić role egzorcyzmowania złych sił. Być może ten trop odnajdujemy w „Guernice" Pablo Picassa, u którego wszystkie zdeformowane postaci wyrażają niemy krzyk, wręcz wrzask. Krzyk ma trudną do oszacowania wartość. Nie jest ani złotem, jak milczenie, ani srebrem, jak mowa. Może jest innym szlachetnym metalem?

BM: Zwróćcie uwagę na pewną prawidłowość. Krzyk jest fundamentalnie istotny, ale w pewnym momencie staje się niewystarczalny. Nie można eskalować krzyku w nieskończoność. Wówczas stałby się rykiem. W sytuacji krańcowych racji moralnych i etycznych jedynym wyjściem okazuje się cisza. Dumne milczenie zakrzyczanych, krzywdzonych, lecz w doskonały sposób wiernych sobie, odwracających się plecami do pozostałych.

MZ: Dlatego cisza okazuje się bardziej znacząca od wrzasku – potrafi być przerażająca i porażająca. Często w relacjach osób odwiedzających obóz w Auschwitz pojawia się wspomnienie przejmującej ciszy tego miejsca.

Profesor Sławek powtarza kilkukrotnie w swoim eseju, że o krzyku trudno rozmawiać. Albo krzyczymy, albo mówimy. Dlatego wydaje mi się, że krzyk jest szczególnie trudnym wyzwaniem dla poezji.

BM: W poezji najciekawszy jest krzyk będący efektem wiersza. Tekst napisany z odpowiednią wirtuozerią rezonuje w naszych uszach jeszcze długo po tym, gdy wybrzmi ostatni wers. Wiersz, który krzyczy wprost, jest kaleki. Jego maestria polega na tym, aby tkwiąca w nim melodia wzbudziła w nas krzyk nieco później. To zresztą dotyczy całej literatury. Ale nie tylko – weźmy choćby Nicka Cave'a, który przed laty z grupami The Birthday Party czy Grinderman genialnie testował możliwości krzyku, ale te próby nie były tak dramatyczne, jak cichy lament jego dwóch ostatnich płyt nagranych już po śmierci syna.

A co z krzykiem świata? Krzykiem ostrzegającym przed naciągającą katastrofą, krzykiem uciśnionych, ofiar wojny?

PARKER FITZGERALD / MATERIAŁY PRASOWE

Laura Gibson

MZ: Podczas Festiwalu odwołujemy się do twórczości Charliego Chaplina, którą bardzo często sytuujemy w przestrzeni komedii, burleski i śmiechu. Jednakże cała jego twórczość pokazuje dramat człowieka uwikłanego w przerażającą historię. Wyświetlimy „Dyktatora", film będący zwieńczeniem tej wnikliwej opowieści, która mówi o kondycji człowieka w trybach nowoczesności – to próba zrozumienia nowego kształtu świata. Wszystkie kreacje Chaplina opowiadają o wykluczonych tego świata oraz zderzeniu z brutalnie narzuconymi regułami życia.

BM: Na Festiwalu będą także artyści współcześni, którzy zabierają ważny głos w kwestiach, o które pytasz. Choćby Chulud Szaraf, syryjska poetka, która swoimi wierszami opowiada o niewyobrażalnej tragedii swoich rodaków. Krzyk bezradności przenikający się z krzykiem pamięci. Będziemy także gościć Adonisa, niemalże 90-letniego Mistrza, który od dekad opisuje dramat pękniętego świata, narastający krzyk historii, której nie sposób zatrzymać ani zawrócić. Będzie też Michael Krüger czy Leszek Libera: każdy z nich ma do wykrzyczenia inny rodzaj dramatu, inną stronę piękna.

Krzyk, o ile pozwolimy mu wybrzmieć, jest czymś, co wymyka się uładzonemu przekazowi. Czymś, co nie daje się łatwo skonsumować.

BM: Wybudza nas z komfortu i przyzwyczajeń. Wybudza z letargu. Ale także daje nadzieję, że nie wszystko jest na sprzedaż, nie wszystko musi być wyrównane i wygładzone, że warto iść swoją drogą. Należy podążać za swoim krzykiem, nawet jeśli prowadzić może na manowce tego świata.

W tym kontekście ciekawie wygląda Wasz program muzyczny.

BM: Muzycznie to chyba jedna z najpiękniejszych edycji Ars Cameralis. Jak już wspominałem, postawiliśmy na twórców, dla których ważna jest przestrzeń kameralnego piękna i intymnej rozmowy. W programie Festiwalu odnaleźć można cykl niezwykle kameralnych koncertów śpiewających pań. Ale cóż to za artystki! Jeśli spojrzysz na najważniejsze tegoroczne kobiece płyty, w ścisłej czołówce musisz umieścić nowe krążki Weyes Blood, Jenny Hval czy Jessiki Pratt. One w komplecie zameldują się u nas! Tę muzyczną wędrówkę rozpoczynamy 13 listopada koncertem brazylijskiej artystki Dillon, która na co dzień tworzy kameralną muzykę elektroniczną, ale do nas przyjeżdża z zupełnie nowym projektem – na scenie będzie tylko ona i fortepian. No i jej absolutnie niezwykły głos. Będzie także wspomniana Jessica Pratt. U niej cisza wybrzmiewa szczególnie mocno i... głośno. To cisza ściśniętego gardła, balansująca na krawędzi niewymownej tajemnicy. W drugiej połowie Festiwalu wystąpi Weyes Blood, która tegorocznym albumem „Titanic Rising" ↦

ustaliła reguły gry dla całej muzycznej konkurencji. Nieco staroświeckie, barokowo zaaranżowane piosenki, do których artystka podchodzi z dystansem, bawi się konwencjami, rozmawia z tradycją. Inteligentne to bardzo i piękne. Na świecie zapełnia bez problemu największe sale koncertowe, u nas zagra w kameralnym Kinoteatrze Rialto, co też dobrze pokazuje specyfikę naszego Festiwalu.

Co roku na Ars Cameralis muzyka spotyka się z literaturą.

BM: W tym roku również tradycji stanie się zadość, bo zaprosiliśmy Laurę Gibson. Amerykanka wystąpi w podwójnej roli – piosenkarki i pisarki – koncert będzie przeplatany fragmentami jej tekstów, a także rozmową. Wszystko zaplanowane jako dynamiczne przeplatanie się języków sztuki. Co roku zapraszamy wybitnych songwriterów, którzy potrafią opowiadać o świecie w niezwykły sposób, operując na styku różnych sposobów ekspresji. Albo inny przykład – Jenny Hval, norweska, brawurowa artystka. Nagrała osiem płyt, wydała trzy książki i u nas też wystąpi w podwójnej roli. Najpierw podczas spotkania literackiego, gdzie będziemy rozmawiać m.in o jej ostatniej głośnej, książce „The Paradise Rot", o kobiecości, niepokoju i o krzyku świata. Dzień później odbędzie się jej muzyczny performance „The Practice of Love", w którym teksty literackie płynnie przechodzą w muzykę i na odwrót.

A literatura w bardziej klasycznej formie?

BM: Oczywiście! Po raz kolejny wracamy z cyklem „Zderzenia literackie". Mocnym uderzeniem na koniec tej edycji będzie spotkanie z Adonisem i Hatifem Janabim, czyli poetyckim duetem syryjsko-irańskim. Przedstawiciele różnych pokoleń, zupełnie inaczej patrzący na świat, ale wyrastający z podobnych tradycji. Z kolei na inaugurację pojawi się Michael Krüger, jeden z najważniejszych żyjących poetów niemieckich, który wystąpi wspólnie z Tomaszem Różyckim, czyli znowu ciekawe zderzenie różnych języków, pokoleń i przestrzeni. Obaj jednak precyzyjnie wskazują na miejsce, w którym nasza rzeczywistość pęka, kruszy się. Oprócz tego tradycyjne już „Uszy duszy", czyli unikalna audycja radiowa bez radia, swoisty performance dwóch profesorów – Tadeusza Sławka i Ryszarda Koziołka. W tym roku w wersji *sauté*, bez instrumentów, rozmawiać będą oczywiście o krzyku. Do tego zachwycający Leszek Libera ze Sławą Lisiecką, prezentacja krakowskiego Kontentu oraz frapująca dyskusja – a jakże – o krzyku z Dominiką „Niką" Domczyk, Jerzym Jarniewiczem i Danielem Wyszogrodzkim. No i oczywiście Zbieg Poetycki NaDziko, tym razem m.in. ze wspominaną już Chulud Szaraf i węgierskim twórcą Gáborem Lanczkorem. W tym roku dodatkowym elementem będzie premiera publikacji „Tropy Na Dziko – postantologia", w której sumujemy przygody poezji na Górnym Śląsku przez ostatnie 15 lat.

Ciekawie wygląda też wątek kolarski.

MZ: Zapowiedzią Festiwalu, jego specyficznym prologiem, była wystawa Bartka Buczka. To nie tylko niezwykle interesujący artysta, lecz również miłośnik kolarstwa, czego efektem była wystawa „Kolarz", prezentowana w Rondzie Sztuki. To opowieść o chwilowej ucieczce ze świata, którą umożliwia sport. Równocześnie to refleksja nad otaczającym nas światem. Jednym z eksponatów była rzeźba kolarskich butów – trudno tu uciec od skojarzeń z butami van Gogha, które stały się przyczynkiem do poważnych dyskusji filozoficznych z udziałem Heideggera, Derridy i wielu innych. Z drugiej strony ważna jest w tym kontekście postać Alfreda Jarry'ego i jego filozofia cyklizmu, z której potem powstała patafizyka świata. Zapraszamy też na wystawę Romana Cieślewicza i chantalpetit, jego życiowej partnerki, a zarazem cenionej artystki.

A na zamku w Pszczynie, pojawią się instalacje wizualno-świetlne.

MZ: To jedno z miejsc, do którego często powracamy, miejsce ważne dla naszej instytucji. Historia tego obiektu to świetna metafora nie tylko skomplikowanych dziejów Śląska, ale również przemian historycznych świata w XX wieku. Dlatego wybraliśmy go do prezentacji działań Karoliny Hałatek i Agnieszki Jaworek w zderzeniu z dziełem Mischy Kuballa, czyli instalacją-napisem „DYS(U)TOPIA & UNFINISHED". Te hasła chyba wyjątkowo trafnie opisują to pęknięcie świata, o którym wcześniej mówiliśmy.

To co dokładnie chcielibyście wykrzyczeć w tym roku?

MZ: Postawiliśmy przed sobą zadanie, by sięgając po krzyk, jednocześnie go tonować. Jak chociażby w przypadku naszej tegorocznej, bardzo pastelowej oprawy graficznej...

BM: ...i znów powracamy do owej dychotomii wrzasku i ukojenia, krzyku i ciszy. Mamy nadzieję, że podkreślając istotność krzyku jako narzędzia w rękach artystów, jednocześnie kładziemy nacisk na znaczenie spokoju i wyciszenia w przestrzeni społecznej. W sztuce krzyk staje się wartością, doskonale spełniając swoje funkcje. Między ludźmi chodzi nade wszystko o spotkanie, słuchanie i pełne otwarcie się na drugiego.

MZ: Sztuka potrafi stworzyć niezwykłą szczelinę w naszej szarej i banalnej codzienności. Przez nią przesączają się rzeczy na co dzień niewidoczne.

BM: Dlatego pozwalamy sztuce krzyczeć, prowokować, zmuszać do myślenia, stawiać nieoczywiste pytania. Być może, paradoksalnie, w ten sposób oczyścimy się z całego zgiełku tego świata i zaczniemy poważnie rozmawiać – bez wrzasku i złych emocji, szukając wspólnych wartości. Przecież nawet o krzyku można rozmawiać szeptem, ściszonym i serdecznym głosem. Rozmowa powinna przypominać delikatne i uważne stąpanie po łące, tak aby nie zdeptać niczego, co żyje. Czasem potrzeba krzyku, aby o tym przypomnieć.

©℗Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

MAREK ZIELIŃSKI (ur. 1960) jest dyrektorem Instytucji Kultury Ars Cameralis, autorem koncepcji „Katowice – Miasto Ogrodów", dzięki której Katowice znalazły się w ścisłym finale starań o Europejską Stolicę Kultury 2016. Kreator wielu projektów i programów kulturalnych województwa śląskiego za granicą, m.in. w Nadrenii Północnej-Westfalii, Bratysławie, Moskwie oraz na Expo w Hanowerze i Saragossie.

BARTŁOMIEJ MAJZEL (ur. 1974) jest poetą, podróżnikiem, dziennikarzem radiowym, reportażystą. Opublikował książki „Robaczywość" (1997), „Bieg zjazdowy" (2001), „Biała Afryka" (2005), „Doba hotelowa" (2009), „Terror" (2015). Nominowany do Paszportu „Polityki" (2002). Najmłodszy laureat Nagrody Literackiej IV Kolumn. Współtwórca grupy poetyckiej NaDziko.

REKLAMA

MANTA
Polska firma rodzinna

20 lat
Manta 1998-2018

TELEWIZORY Z FABRYKI W POLSCE

www.manta.com.pl

NAUKA

WIATR NIESIE SAMOGŁOSKI

Związki między warunkami środowiska a ludzką cywilizacją mogą być bardzo subtelne. Nie tylko my konsekwentnie zmieniamy przyrodę – ona sama nie pozostaje nam dłużna.

SZYMON DROBNIAK, TOMASZ KOWALCZYK

Umarli mają swoją florę. To stwierdzenie nabiera zupełnie innego znaczenie, gdy wędruje się po Bieszczadach czy Beskidzie Niskim – wszędzie tam, gdzie wysiedlenia ludności po II wojnie światowej doprowadziły do powstania osad-duchów. Szczątków ludzkich osiedli, przejętych przez przyrodę pozostałości po wytworach ludzkiej tradycji i kultury. Najłatwiej nawiguje się po tych terenach botanicznie: ludzka tendencja do zmieniania środowiska przyrodniczego na własny użytek sprawia, że nawet odzyskując zabrane sobie tereny, natura nie jest w stanie człowieka z nich zupełnie wymazać.

W lasach wpełzających do rzecznych dolin wciąż roi się od owocowych drzew z niegdysiejszych sadów – nigdzie indziej nie znajduje się tyle starych, potężnych jabłoni czy śliw. Wapienne podbudówki chat to teraz epicentra zasadolubnej roślinności. Najbardziej jednak niesamowite są pozostałości cmentarzy. Wędrując po dolinach Beskidu Niskiego, natknąć można się na miejsca zarośnięte barwinkiem pospolitym, piękną rośliną tworzącą każdej wiosny kobierce błękitnych kwiatów.

Złowieszcza to flora – zwłaszcza, kiedy się pomyśli, że barwinek, tak chętnie sadzony na grobach zmarłych, jest jednocześnie rośliną toksyczną, przepojoną glikozydami i alkaloidami, które w odpowiedniej dawce mogą zatrzymać serce. Czy błękitna złowieszczość barwinka przyczyniła się do jego wykorzystania jako popularnej rośliny cmentarnej? Czy bez tego barwinek przetrwałby w ogóle na tak wielu stanowiskach?

To oczywiście tylko jeden z niezliczonych przykładów na to, jak działalność człowieka kształtuje nasze środowisko. Zresztą wcale nie najbardziej drastyczny – wystarczy wspomnieć budzące coraz większą grozę hasło „katastrofa klimatyczna". Środowisko i otaczająca nas biologia nie są jednak człowiekowi dłużne. W przypadku barwinka odtworzenie przyczynowo-skutkowej ścieżki – prowadzącej od biologii barwinka, poprzez jego zaplątanie się w okołocmentarne praktyki i wierzenia, do śladu, jaki cały ten proces odcisnął na strukturze populacji tej rośliny – jest dość karkołomne. Znamy jednak wiele innych, bardzo sugestywnych przykładów na to, jak środowisko przyrodnicze i ekologia gatunków otaczających człowieka wpływały na ewolucję jego kultury i cywilizacji.

Zębate nisze

To, co odróżnia człowieka od organizmów – również przecież kształtowanych na setki sposobów przez ich środowisko życia – to wielopoziomowość naszego ludzkiego „snucia historii" o gatunku *Homo sapiens*. Człowiek bardzo dawno temu, tak naprawdę długo przed tym, kiedy stał się człowiekiem „rozumnym", przestał korzystać z czysto genetycznych sposobów „opowiadania o sobie" kolejnym pokoleniom. Tak robią to wszystkie inne gatunki: w ich (i naszym) DNA zakodowane są miliardy instrukcji, zgrupowanych w tysiące genów, a te z kolei z jednej strony sterują rozwojem organizmu, tym jak radzi on sobie ze środowi-

DAX WARD / CATERS NEWS / FORUM

Prypeć – opuszczone miasto, Ukraina, kwiecień 2019 r.

skiem i jak je zmienia, a z drugiej strony – decydują o tym, jak to całe bogactwo genetycznej wiedzy przekazywane jest dalej.

Ludzie bardzo szybko rozwinęli jednak kolejny poziom „dziedziczenia" – znacznie skuteczniejszy w pewnych sytuacjach, bo bardziej podatny na losowe zmiany (mutacje), a co za tym idzie – potencjalnie lepiej radzący sobie z adaptacją do nowych i bardziej zmiennych warunków. Tym wszechobecnym systemem, bez którego trudno obecnie wyobrazić sobie cywilizację człowieka i trwanie ludzkiego gatunku, jest kultura. Z definicji – niegenetyczna, pozbawiona jest więc ograniczeń genów, ich alfabetu złożonego z raptem czterech liter, mikromechanizmów replikujących DNA.

Kultura jednocześnie kreuje środowisko – obecnie poruszamy się jako gatunek w niemożliwej do rozdzielenia mieszance biologicznego środowiska i kultury właśnie. Podobnie jak każdy inny organizm – swoje własne środowisko potrafimy także kształtować, zmieniać tak, by zmaksymalizować sukces i dostosowanie tworzących gatunek osobników.

Czy formowanie czysto kulturowego środowiska, w którym żyjemy jako gatunek, w którym poruszamy się, w którym tworzymy tak podstawowe konstrukty kulturowe jak prawo, nauka czy sztuka – czy wszystko to podlega jakimkolwiek ograniczeniom środowiska biologicznego? Na ile ludzka kultura, z której jesteśmy przecież tak dumni, poruszać się musi w zakresie ograniczeń narzucanych przez czysto biologiczną i fizyczną rzeczywistość świata, w którym człowiek ewoluował i w którym wciąż żyje?

Opisując miejsce, jakie dowolny gatunek „okupuje" w swoim środowisku, wraz z wszystkimi jego biologicznymi parametrami, ekolog często używa określenia „nisza ekologiczna". Kulturowo również możemy mówić o swego rodzaju niszach, konstrukcjach ulepionych z idei i przekazów kulturowych, które zajmuje człowiek jako gatunek lub jako mniejsze społeczności. Takie nisze kulturowe najeżone mogą być swoistymi „zębami" – i jak zębatki tworzą wraz ze środowiskiem przyrodniczym jeden kompletny, sprawny mechanizm.

Strażnik cmentarzy

O tym, jak silny wpływ na tradycję – czyli jeden z najbardziej fundamentalnych składników przekazu kulturowego – mają czynniki biologiczne, może świadczyć inny botaniczny przykład ściśle związany ze zwyczajami cmentarnymi. Wśród roślin, które trafiły do (uważanego za mocno pechowy) cmentarnego zielnika, znalazł się cis pospolity. Roślina już w średniowieczu uznawana za gatunek królewski, ceniony ze względu na drewno doskonale nadające się do wyrobu wysokiej jakości łuków. Konotacje wojenne były prawdopodobnie wystarczające, by z cisem skojarzyć tematykę cmentarno-makabryczną.

Fanów roślinie nie przysparzała również groźba kary śmierci za ścięcie cisowego drzewa (jako gatunek o kluczowym znaczeniu taktycznym, a jednocześnie rozproszony i bardzo wolno rosnący ↦

↦ cis musiał być w Europie chroniony przez odpowiednie akty prawne już od XIV w.). Jednak sama biologia cisu do najsympatyczniejszych również nie należy.

Cis produkuje jedne z najsilniejszych trucizn w świecie roślin. W dodatku, ze względu na niezwykle zwartą koronę, skutecznie powstrzymuje wszelkie inne życie mogące rozwijać się u jego podnóża, zwyczajnie blokując dostęp promieni słonecznych. Jego ciemnozielone, prawie czarne igły doskonale komponują się z żałobnym klimatem cmentarza. Co więcej, rosnący cis wytwarza wiele sztywnych, oplatających kamienie i nierówności zdrewniałych korzeni. Nic więc dziwnego, że to drzewo śmierci i wojny szybko uznano za idealnego strażnika cmentarzy. Słowianie wierzyli, że zbyt długie przebywanie w cieniu cisa grozi śmiercią, a jego igły rozsypywali na trasie konduktów wiozących zmarłych, by zabezpieczyć się przed powrotem ich duchów do świata żywych. Bretończycy wierzyli, że posadzony na cmentarzu cis wypuszcza po jednym korzeniu dla każdego pochowanego zmarłego, wrastając nim w jego usta.

Owca scytyjska

Nierzadko źródłem takich mitów – zwykle odnoszących się do gatunków współwystępujących z człowiekiem – było zwyczajne niezrozumienie i brak wiedzy biologicznej. Aż do XVIII w. powszechne w Europie było przekonanie o istnieniu tzw. owcy scytyjskiej (lub owcy tatarskiej; ang. *vegetable lamb of Tartary*). Było to stworzenie o charakterze zoofitu, roślina rodząca przyrośnięte do niej pępowiną owce, pasące się dookoła krzewu. Według Herodota z jej „wełny" ludy azjatyckie wyrabiały swoje tkaniny – Europejczykom wydawało się więc oczywiste, że musiał to być rodzaj organizmu spokrewnionego z dającą wełnę owcą. Całkiem możliwe, że taka „animistyczna" reputacja bawełny – bo o niej tu mowa – przyczyniła się do stosunkowo późnej kolonizacji Europy przez ten niezwykle cenny materiał włókienniczy.

Swoją rolę odegrała również wrogość, jaką ten jeden rodzaj włókna pochodzenia roślinnego wzbudził wśród Europejskich producentów wełny w ochronie swoich interesów obrzydzających społeczeństwu nowy produkt. Bawełna oczywiście ostatecznie trafiła do Europy, w dużym stopniu wypierając z rynku włókna pochodzenia zwierzęcego i kończąc tym samym swoją triumfalną ekspansję na świecie. Co ciekawe, tarcia związane z bawełną nie zniknęły całkowicie po jej dotarciu do Europy. Funkcjonujące we Francji w XVIII i XIX w. „wełniane lobby" nie ustawało w antyreklamowej kampanii bawełny. Jednym z ciekawszych pomysłów było przyodziewanie w bawełnę paryskich prostytutek. Mimo że plan ten ostatecznie zarzucono, antybawełniany klimat na długo opanował Francję, która przemysłowo – m.in. dzięki odrzuceniu bawełny – pozostała w tyle za bardziej probawełnianą Wielką Brytanią. Sądzi się wręcz, że bawełniana antypatia Francuzów była jedną z przyczyn klęski imperium Napoleona.

Ekologia globalna

Przytoczone dotąd przykłady dotyczyły jednego konkretnego gatunku, wycinku biologicznego świata. Podobne historie, i podobnie kształtowane przez nie kulturowe „mikronisze", można by mnożyć: np. ogrodnicza gorączka tulipanowa XVI-XVII w. Holandii, która na stulecia unormowała jej pozycję jako światowej stolicy ogrodnictwa, lub wielowymiarowa kulturowa nisza drzewa oliwnego, będącego świętym drzewem starożytności, a obecnie gatunkiem dającym Grekom kilka dni płatnego urlopu w czasie listopadowych zbiorów oliwek. Do pewnego stopnia każda uprawiana i wykorzystywana przemysłowo przez człowieka roślina ma taką kulturową mikroniszę.

Cywilizacja człowieka ma jednak to do siebie, że poza niezliczonymi lokalnymi, bardzo izolowanymi kulturowo wariantami, ma także wiele jednoczących ją globalnych wzorców, które wyróżniają nasz gatunek na tle wszystkich innych zamieszkujących naszą planetę. Zdolność

Architekci środowiska

DOMENA PUBLICZNA

O TYM, ŻE ORGANIZMY nie są po prostu marionetkami w ewolucyjnym teatrze, podległym jedynie wpływom presji selekcyjnych, ale raczej aktorami, którzy mogą zmieniać warunki środowiska i modyfikować presje, świetnie zdawał sobie sprawę już Karol Darwin, który w 1881 r. opublikował książkę poświęconą dżdżownicom – będącą ukoronowaniem jego 40 lat badań na ich temat. Dżdżownice są typowymi „architektami środowiska" – przepuszczając glebę przez swój układ pokarmowy, zmieniają jej skład i kompozycję, wpływając na warunki życia wielu gatunków. Oczywiście, ludzie, dzięki stworzeniu kultury i cywilizacji, jeszcze bardziej przyczyniają się do zmian środowiskowych, a także tworzą rozmaite „mikroświaty" (mikronisze), w których pojawiają się zupełnie nowe presje selekcyjne. Na przykład udomowienie bydła spowodowało u hodowców wykształcenie się presji na posiadanie genu trawienia laktozy przez dorosłych, a ścisła kooperacja, do której nasi wcześni przodkowie zostali zmuszeni trudnymi warunkami życia, mogła zwiększyć presję na pojawienie się genów ułatwiających komunikację – a więc mogła utorować drogę ewolucji języka. W ostatnich dekadach biolodzy zaczęli określać takie procesy ewolucyjne mianem konstrukcji niszy (ang. *niche construction theory*, NCT). W zamyśle teoria ta ma otwierać drogę do badań zupełnie nowych rodzajów zjawisk ewolucyjnych, które umykały wcześniejszym podejściom teoretycznym. Nie wszyscy biolodzy są jednak przekonani, że NCT spełnia szumne oczekiwania. Wprawdzie trudno kwestionować występowanie opisywanych przez nią zjawisk, jednak można się zastanawiać, czy oferuje ona użyteczne nowe przewidywania i czy poprawnie identyfikuje ewolucyjne procesy. ©℗ ŁK

wpływania na czysto biologiczne komponenty naszego dostosowania (płodność i przeżywalność), umiejętność gromadzenia i rozwijania wiedzy, adaptujący się do zmiennych warunków język, zdolny wyrazić bogactwo wszystkich kulturowych wynalazków człowieka, potrzeba posiadania systemu wartości, niejednokrotnie prowadzącego do powstania dobrze wyodrębnionych, specyficznych wierzeń religijnych – wszystko to są przejawy i produkty kultury o zasięgu globalnym, mające fundamentalny wpływ na to, jak postrzegamy nasze codzienne życie. Czy ekologia i środowisko przyrodnicze mają na nie równie widoczny wpływ, jak na mikrotradycje i mikronisze formowane lokalnie, przez regionalnie rozprzestrzeniane kulturowe memy?

Słowa i odcienie

Weźmy np. język, jeden z czynników odpowiedzialnych za sukces i dynamikę ewolucji kulturowej człowieka. To właśnie język jest jednym z najważniejszych nośników informacji kulturowej – bez jego precyzji dziedziczenie kulturowe byłoby znacznie bardziej „rozmyte", nieprecyzyjne – a co za tym idzie wolniejsze i o mniejszym zasięgu czasowym i przestrzennym. Badania traktujące języki w sposób przypominający ewoluujące gatunki, przeprowadzone na grupach blisko spokrewnionych regionalnych języków (np. skupiska języków Afryki Środkowej, łuku Himalajów czy Oceanii), jednoznacznie wskazują, że czynniki ekoklimatyczne, takie jak odległość do najbliższego źródła wody pitnej, wysokość nad poziomem morza czy przewidywalność i zmienność warunków klimatycznych, mają kluczowe znaczenie w sterowaniu zmiennością języków oraz tempem ich ewolucji.

Niektórzy lingwiści poszli o krok dalej, próbując znaleźć najbardziej prawdopodobny mechanizm takiego ekologicznego zróżnicowania języków świata. Wstępne prace wskazują m.in., że języki bogate w samogłoski (dźwięki łatwo poddające się modulacji, i jednocześnie charakteryzujące się mniej gwałtownymi zmianami częstotliwości emitowanego w trakcie artykulacji dźwięku) znacznie częściej ewoluowały w środowiskach otwartych, pozbawionych gęstej wegetacji (która skutecznie tłumi dźwięki o wysokiej i bardzo zmiennej częstotliwości). Osobnej presji środowiskowej podlegała również czysto znaczeniowa warstwa niektórych języków.

> Moralizujące systemy religijne mogą stanowić rodzaj buforu nieprzewidywalnego środowiska, łagodzącego socjalne konflikty, **niebezpieczne w mniej zasobnych środowiskach.**

Spektakularnym przykładem są kulturowo specyficzne, często niezwykle ograniczone regionalnie, nazwy kolorów. Kultury ewoluujące w umiarkowanych i tropikalnych strefach klimatycznych, doświadczające niemalże pełnego spektrum kolorów w przyrodzie, rozwinęły system nazewnictwa kolorów, pozwalający nazwać wszystkie podstawowe barwy widma światła. Z kolei kultury rozwijające się w środowiskach kolorystycznie ograniczonych stworzyły systemy nazewnictwa dla nas egzotyczne. Namibijskie plemię Himba, żyjące w półpustynnym środowisku zdominowanym przez kolory przygaszone, szare, beżowe, wykształciło unikalny system kategoryzowania i nazywania kolorów, który przekłada się na ich zdolności percepcyjne. Przedstawicielom tego plemienia czasem łatwiej dostrzec np. różnice między dwoma podobnymi odcieniami koloru (zgodnie z naszą klasyfikacją) niż pomiędzy dwoma różnymi kolorami.

Byty najwyższe

Również ewolucja religii była do pewnego stopnia sterowana przez środowisko przyrodnicze i warunki ekoklimatyczne. Ewolucyjne korzyści odnoszone przez społeczność, związane z wykształceniem systemu religijnego normującego międzyosobnicze relacje (zwłaszcza pod względem podziału zasobów czy zachowań agresywnych) siłą rzeczy powinny zależeć od warunków środowiska, w jakich żyje grupa. Opublikowana w 2014 r. analiza „ekologii religii" potwierdza takie przewidywania. Okazuje się, że powstanie religii związanych z tzw. moralizującymi bytami boskimi (zakładającymi istoty odpowiedzialne za stworzenie świata, interweniujące w życie ludzi i kształtujące ich system moralny) jest znacznie bardziej prawdopodobne w środowiskach o niższej bioróżnorodności, bardziej zmiennym i mniej przewidywalnym klimacie oraz obniżonej produktywności. Na drugim końcu skali znajdują się produktywne, różnorodne biologicznie biomy – gdzie rozwijają się religie operujące głównie pojęciami duchów, energii i nietworzące jednoznacznych konstrukcji moralno-etycznych.

Wyjaśnienie takich wzorców nie jest trudne – ze społecznego punktu widzenia moralizujące systemy religijne mogą stanowić rodzaj buforu nieprzewidywalnego środowiska, łagodzącego socjalne konflikty, niebezpieczne w mniej zasobnych, bardziej zmiennych środowiskach.

Co ciekawe – religie nie tylko ewoluują kulturowo, ale także realnie wpływają na takie cechy ludzkich społeczności jak ich mobilność i ekspansywność oraz zdolność do kooperacji z innymi kulturami. Innymi słowy – nisza kulturowa tworzona przez zespół wierzeń religijnych, uformowana przez warunki ekoklimatyczne, może z czasem „przemieścić" zajmującą ją społeczność pod wpływem innych warunków środowiskowych – co z kolei wywoła odpowiednią zmianę w kulturowej „trajektorii" społeczności.

Czy powinno nas dziwić ścisłe powiązanie kulturowych nisz i sposobów, w jakie kształtuje je człowiek wraz z uwarunkowaniami biologicznymi i środowiskowymi? Zaryzykować można stwierdzenie, że wręcz przeciwnie – jest to coś, czego powinniśmy oczekiwać! W końcu na najbardziej podstawowym poziomie kultura jest produktem biologicznej ewolucji naszego gatunku – i choć wytworzyła zupełnie nowy, autonomiczny poziom dziedziczenia informacji, nigdy zupełnie nie uda jej się oddzielić od wpływów środowiska biologicznego.

Szczególnie powinniśmy o tym pamiętać teraz, kiedy to samo środowisko, które uformowało naszą cywilizację, brutalnie zmieniamy w bardzo trudnym do przewidzenia kierunku. Być może rozpoczęliśmy konstrukcję kolejnej niszy kulturowo-środowiskowej, niekoniecznie zmierzającej w najbardziej przez człowieka pożądanym kierunku.

© SZYMON DROBNIAK

TOMASZ KOWALCZYK

DOŻYNKI MINISTRA GLIŃSKIEGO

Kiedy obejmował urząd, zapowiedział wiele zmian. Słowa dotrzymał, ale też okazał się jednym z najgorszych ministrów kultury w dziejach III RP. Generował chaos i artystyczne katastrofy.

PIOTR KOSIEWSKI

Ostatnie lata to był niezły czas dla polskiej kultury. Wystarczy wymienić zagraniczne sukcesy. Ich lista jest długa: Oscar oraz Nagroda BAFTA dla „Idy" i Złota Palma w Cannes dla „Zimnej wojny" Pawła Pawlikowskiego, Nobel dla Olgi Tokarczuk czy International Opera Awards dla Mariusza Trelińskiego. Poważne wystawy retrospektywne – Mirosława Bałki w mediolańskim Pirelli HangarBicocca w 2017 r. czy Magdaleny Abakanowicz, przygotowywana przez londyńską Tate Modern w przyszłym roku. Wreszcie sukcesy młodszego pokolenia: kontratenora Jana Jakuba Orlińskiego czy Agnieszki Polskiej, laureatki prestiżowej Preis der Nationalgalerie. Tyle że te osiągnięcia niewiele mają wspólnego z polityką Ministerstwa Kultury pod rządami Piotra Glińskiego.

Nie wiadomo, czy zachowa swoje stanowisko w nowym rządzie, czy wyląduje – takie krążą słuchy – na placówce dyplomatycznej. Jakkolwiek będzie, warto się przyjrzeć jego dorobkowi, bo trudno znaleźć autora równie niezrozumiałej polityki rządowej.

Kultura doceniona

Piotr Gliński obejmując w 2015 r. funkcję ministra kultury został jednocześnie wicepremierem rządu. Pierwszy raz po 1989 r. szefowi tego resortu nadano tak znaczącą politycznie rangę. Nie można było zatem mieć wątpliwości co do roli, jaką kultura i samo ministerstwo miały odegrać w obecnym rządzie, chociaż sam Piotr Gliński nie posiadał i nadal nie posiada własnej podmiotowości politycznej. Mimo to, jak napisał Piotr Zaremba kreśląc na łamach „Plusa-Minusa" portret ministra, Jarosław Kaczyński zawsze go lubił „jako otwartego na prawicę profesora, doceniał jego erudycję i sardoniczny humor".

Samo Ministerstwo Kultury w III RP długo pozostawało na marginesie. Dysponowało ograniczonym budżetem i często było obsadzane przez osoby spoza klucza partyjnego. Jednak w nowym stuleciu kolejnym ministrom – od Waldemara Dąbrowskiego, przez Kazimierza Michała Ujazdowskiego i Bogdana Zdrojewskiego, po Małgorzatę Omilanowską – udało się przywrócić jego rangę oraz znacząco zwiększyć środki przeznaczone na kulturę. Co więcej, zapoczątkowali oni modernizację instytucji kultury, doprowadzając m.in. w wielu z nich do zmiany pokoleniowej. Stworzono bardziej przejrzysty model finansowania, a obok ministerstwa powstał szereg wyspecjalizowanych instytutów, jak Polski Instytut Sztuki Filmowej, który przyczynił się do odnowy polskiego filmu.

Wszystkie te decyzje prowadziły do zmniejszenia roli uznaniowości we wspieraniu kultury, a minister nie udawał już mecenasa, tylko miał odpowiedzialnie wydawać środki publiczne. Dopiero dzisiaj można dostrzec, jak wiele udało się zrobić. Szczególne są tu zasługi Kazimierza Michała Ujazdowskiego oraz Tomasza Merty, który potem współpracował (aż do tragicznej śmierci w katastrofie smoleńskiej) z Bogdanem Zdrojewskim.

Oczywiście, pozostało wiele niezałatwionych kwestii. Przede wszystkim nie udało się zreformować mediów publicznych. Nie uregulowano rynku wydawniczego. Nierozwiązany został problem reprywatyzacji, w tym dóbr kultury. Narosły dysproporcje między nakładami na budynki a tymi na działalność samych instytucji, w tym na wynagrodzenia pracowników. Nie udało się zapewnić poczucia, że ministerstwo dba o różnorodność ideową i estetyczną w kulturze, chociaż można wymienić szereg dofinansowanych inicjatyw czy twórców związanych np. ze środowiskami konserwatywnymi czy prawicowymi.

Czas na zmianę

Piotr Gliński obejmując urząd zapowiedział wiele zmian. Słowa dotrzymał, ale też okazał się jednym z najgorszych ministrów kultury w dziejach III RP. Nie oznacza to, że w ciągu ostatnich czterech lat nie było osiągnięć. Na pewno ważnym dla polskiej kultury był zakup kolekcji

JAN BIELECKI / EAST NEWS

Minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński odsłania instalację artystyczną Jerzego Kaliny „Szlaban. Przejścia graniczne" na dziedzińcu Zamku Królewskiego w Warszawie 17 września 2019 r.

Czartoryskich. Jednak sposób przeprowadzenia tej transakcji oraz przekonywanie opinii publicznej, że bez nabycia przez państwo kolekcji Polsce grozi utrata „Damy z gronostajem" Leonarda da Vinci – są mocno problematyczne. Mówiąc to Piotr Gliński publicznie obwieszczał bowiem, że nie potrafi jako minister zapewnić przestrzegania obowiązującego w naszym kraju prawa. Trudno o bardziej przygnębiający obraz niemożności państwa.

Zakup kolekcji Czartoryskich czy nabycie od spadkobierców zamku w Gołuchowie były ważnymi krokami w kierunku uporządkowania kwestii własnościowych dóbr kultury w Polsce. Jednak za nimi nie poszły działania bardziej systemowe. Ze środków Ministerstwa Kultury udało się nabyć także kilka ważnych obiektów, jak hotel Cracovia w Krakowie czy Dom Hansenów w Szuminie, a także obszerny zbiór rzeźb Augusta Zamoyskiego. To były jednak pojedyncze decyzje, a nie próba stworzenia polityki zakupów muzealnych ze środków publicznych, na którą zostałyby przeznaczone większe, bardziej realne niż dotąd kwoty.

Do osiągnięć należą również zmiany w ustawie o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami, wprowadzające bardziej dotkliwe kary za ich niszczenie, a także stworzenie możliwości – za sprawą wiceminister kultury Magdaleny Gawin – lepszej ochrony architektury z czasów PRL-u. Warto wymienić wreszcie sprawniejsze odzyskiwanie przez Polskę dzieł utraconych podczas II wojny oraz uchwalenie istotnej dla tych działań ustawy o restytucji narodowych dóbr kultury.

Minister Gliński kontynuował też tworzenie kolejnych specjalistycznych instytutów – m.in. Narodowego Instytutu Architektury oraz Narodowego Instytutu Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą „Polonika". Ale też zaczęły powstawać instytucje dublujące te już istniejące. W 2016 r. powołano Ośrodek Badań nad Totalitaryzmami im. Witolda Pileckiego, a po roku Instytut Solidarności i Męstwa, który miał pełnić funkcje bardzo zbliżone do wypełnianych przez Instytut Pamięci Narodowej (ostatecznie z ich połączenia powstał Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego).

W tym roku powołano Instytut Literatury, który powiela funkcje istniejącego od lat Instytutu Książki, oraz Instytut Dziedzictwa Solidarności, mający być konkurencją dla Europejskiego Centrum Solidarności. Co więcej, MKiDN zaczęło przejmować – jako współprowadzący ↦

Tak odpowiadaliśmy ministrowi kultury

„Tygodnik Powszechny” nr 27/2018

W „TP” NR 22/2018 NAPISAŁAM:
„Minister kultury otwarcie przyznaje, że na kulturę szkoda mu czasu: nie śledzi ani polskiej kinematografii, ani telewizji – nawet tej, którą nadzoruje”. Rzeczniczka prasowa Ministerstwa zażądała od redakcji sprostowania: „Nieprawdą jest, że minister kultury Piotr Gliński powiedział, iż szkoda mu czasu na kulturę”. W uzasadnieniu zaś czytamy: „Autorka artykułu nie podała daty, miejsca ani okoliczności, kiedy miałyby paść takie słowa”.

SPROSTOWANIE OPUBLIKOWALIŚMY w poprzednim numerze. Zgodnie z prawem prasowym możemy odnieść się do niego dopiero teraz. Rzeczniczka zdaje się nie zauważać, że nie cytowałam konkretnej wypowiedzi ministra, a jedynie podsumowywałam jego wypowiedzi medialne, dotyczące kinematografii i telewizji. Poniżej lista cytatów, na których się opierałam.

▪ *20 października 2017, „Dziennik Gazeta Prawna”:*
PIOTR ZAREMBA: A pana zdanie o kondycji polskiej kinematografii?
PIOTR GLIŃSKI: Ja niestety nie oglądam regularnie filmów, nie mam czasu, to obowiązek moich współpracowników; kieruję się w wielu wypadkach opisami i recenzjami.
(...)
PIOTR ZAREMBA: Ale większość polskich filmów jest mniej skrajna niż deklaracje ich twórców.
PIOTR GLIŃSKI: Przyjmuję ten argument, bo nie oglądam tylu filmów co pan. Ale ich tematykę znam z lektur.
(...)
PIOTR ZAREMBA: Siądzie pan do stołu z artystami?
PIOTR GLIŃSKI: Pewnie, ale muszę mieć więcej czasu, żeby obejrzeć wszystkie produkcje.
PIOTR ZAREMBA: A na czym pan był ostatnio w teatrze, w kinie?
PIOTR GLIŃSKI: Panie redaktorze, litości, ostatnio zaliczyłem sympatyczne czytanie pierwszego aktu „Wesela” w parku Saskim. Pracuję po kilkanaście godzin dziennie, tak, przyznaję, zupełnie się zapuściłem.

▪ *23 marca 2017, „Gość Wydarzeń”, Polsat:*
BEATA LUBECKA: A co panu się nie podoba w TVP?
PIOTR GLIŃSKI: Wie pani, ja rzadko oglądam, więc trudno mi powiedzieć.

▪ *11 maja 2016, „Kontrwywiad” RMF FM:*
PIOTR GLIŃSKI: Chciałbym powiedzieć, że w pracy nie oglądam telewizji. Wielu polityków ma wstawione [telewizory], ja nie mam na to możliwości i czasu.

NIE JESTEM PIERWSZĄ DZIENNIKARKĄ, od której minister Gliński domaga się sprostowania i przeprosin. Słynna była sprawa z „Rzeczpospolitą” z sierpnia 2016 r. Wicepremier oskarżył Roberta Mazurka o opublikowanie wywiadu bez wprowadzenia całości autoryzacji, a Mazurek przeprosił na łamach za pomyłkę, która „naraziła Pana Wicepremiera na zarzuty, iż jest człowiekiem dowcipnym i ma poczucie dystansu do siebie”. Ten sam dziennikarz w lutym 2018 r. na antenie RMF FM usłyszał od ministra: „to, co pan mówi, jest bezczelne” oraz „pana pytania są aroganckie i nie na temat”.

LISTA DZIENNIKARZY I MEDIÓW, do których pracy wicepremier odnosił się negatywnie, jest długa i różnorodna: od Karoliny Lewickiej po Łukasza Warzechę, od „Faktu” po Discovery Polska. Nie pamiętam innego polskiego ministra, który miałby tak poważny problem z wolnymi mediami. A przecież gdyby wicepremier mniej czasu i energii poświęcał walce z dziennikarzami, miałby go więcej na oglądanie polskich filmów i seriali. Co jest zajęciem bliższym obowiązkom ministra kultury niż karkołomne próby prostowania publicystyki.

©℗ KALINA BŁAŻEJOWSKA

↦ – kolejne instytucje kultury, jak Teatr Polski w Warszawie. Pogłębia to centralizację państwa i osłabia naszą samorządność.

Jednocześnie za sprawą Glińskiego dokonano zmian szefów kluczowych instytucji podległych ministerstwu. Odwołano dyrektora Instytutu Książki Grzegorza Gaudena oraz kierującego Instytutem Adama Mickiewicza Pawła Potoroczyna, który uczynił IAM rozpoznawalną w świecie instytucją. Po połączeniu Filmoteki Narodowej i Narodowego Instytutu Audiowizualnego pracę stracił Michał Merczyński. Usunięto też Magdalenę Srokę, bo jak ogłosił wiceminister kultury Jarosław Sellin: straciliśmy zaufanie do szefowej PISF-u. Zmian tych dokonano, przerywając trwające kadencje dyrektorów. Podobnej czystki nie było od lat.

Radykał u władzy?

Piotr Zaremba tłumaczył, że Gliński ma profesorski styl bycia, choć przecież rzadko jego wypowiedzi bywały dyplomatyczne. Zdaniem Zaremby zasługuje on na „bardziej zniuansowany bilans niż karykatury, których mu nie szczędzą”. I dodawał, że czasem próbował „nadmiernie naginać rzeczywistość, ale częściej wybierał drogę zygzakowatą i różne formy kompromisu z realiami. Nie przeszkadzało to wielu ludziom kultury kreować go na hunwejbina”.

Owszem, na tle niektórych przedstawicieli rządzącego obozu minister kultury może uchodzić za osobę dość umiarkowaną. Zdarzało mu się nawet krytykować działania TVP pod rządami Jacka Kurskiego. Jednak z czasem stał się obrońcą mediów publicznych w obecnym kształcie, za który zresztą ponosi osobistą odpowiedzialność. To w jego resorcie przygotowywano ustawy pozwalające na pełną ich kontrolę przez PiS i do tej pory MKiDN pełni nadzór właścicielski nad Polskim Radiem oraz TVP. Trudno też dziwić się, że krytykowano wiele jego decyzji, w tym kolejne – nie raz chybione – zmiany personalne w instytucjach kultury, oraz wypowiedzi ministra.

Te wypowiedzi niejednokrotnie mogły budzić zdumienie, rozbawienie czy sprzeciw. Nie chodzi jedynie o oburzenie „dotychczasowych beneficjentów systemu” – jak zwykł nazywać adwersarzy, lecz o realny destrukcyjny wpływ słów i decyzji wicepremiera m.in. na relacje pol-

sko-żydowskie. Problem z częścią krytyki jest inny: łatwo można poprzestać na przytoczeniu kolejnych gaf, wypowiedzi niefortunnych (jak w przypadku Olgi Tokarczuk) czy skandalicznych decyzji.

Władca prestiżu

W wywiadzie udzielonym „Naszemu Dziennikowi" na początku swojej kadencji Piotr Gliński zapowiadał „korektę w finansowaniu kultury" i podkreślał, że „nie ma powodu, żeby grupy zmierzające do dekonstrukcji kultury, tradycji, tożsamości polskiej były faworyzowane tak jak dotychczas". Ogłosił zmianę dotychczasowych priorytetów, zwiększenie pluralizmu oraz dowartościowanie tych, którzy byli dotąd – z powodów ideowych czy estetycznych – mniej widoczni. Te zapowiedzi stały się wątkiem stale obecnym w czteroletnich rządach Glińskiego.

Na samym początku pełnienia swej funkcji urządził nawet spotkanie z wybraną grupą ok. 50 twórców. Uznał to za konieczne, bo – jak podkreślał na posiedzeniu sejmowej komisji kultury i środków przekazu – te osoby „miały bardzo ciężkie życie w sensie (...) codziennym, ponieważ były odcięte od finansowania (...) publicznego, mimo że są wybitnymi artystami".

Zrozumiała, ale pożądana bywa zmiana akcentów, zwrócenie uwagi na twórców, ale też odbiorców, którzy byli trochę na marginesie (w przypadku PiS-u np. ważne zwrócenie uwagi na mniejsze ośrodki). Za poprzednich rządów nie zawsze też potrafiono docenić niektórych ciekawych autorów czy inicjatywy związane z wrażliwością konserwatywną i prawicową.

Działania MKiDN pod kierownictwem Glińskiego jednak nie doprowadziły do poszerzenia różnorodności, lecz do jej ograniczenia – w tym do wykluczenia inicjatyw oraz instytucji uznawanych z politycznych czy ideologicznych względów za niepożądane; przykładem chociażby „Krytyka Polityczna". Towarzyszyło temu utwierdzanie środowisk prawicowych w przekonaniu, że do chwili objęcia władzy przez PiS były nieustannie wykluczane. Nie ma to wiele wspólnego z rzeczywistością, bo np. w latach 2012-15 ważne pisma prawicowo-konserwatywne, od „Arcanów" po „Frondę", dotacje otrzymywały.

Opowieści o krzywdach towarzyszy przekonanie, że źródłem sukcesów krajowych i międzynarodowych wielu najważniejszych twórców w III RP było wyłącznie wsparcie finansowe (i nie tylko) ze strony państwa. Ministerstwo Kultury powinno zatem być „dysponentem prestiżu" i wpływać na hierarchie artystyczne. Sprawa okazała się jednak trudniejsza, niż się wydawało. Jak dotąd nie widać żadnych istotnych przewartościowań w obszarze kultury. Nie odkryto nowych czy zapomnianych twórców, a związani z obecnie rządzącymi nie odnoszą spektakularnych sukcesów. Jednocześnie ministerstwo będzie musiało się zderzyć z oczekiwaniami tych, którzy poparli obecną władzę.

JAKUB PORZYCKI / AGENCJA GAZETA

Podczas otwarcia wystawy obrazu „Dama z gronostajem", Muzeum Narodowe w Krakowie, 18 maja 2017 r.

Dobrym przykładem jest Instytut Książki. Jego nowy szef Dariusz Jaworski zapowiedział dokonanie ideologicznej korekty i docenienie twórców bliskich obecnemu rządowi. Jeśli jednak przejrzy się listy publikacji tłumaczeń polskich twórców w ostatnich latach, nie widać przełomu. W tym czasie ukazało się zaledwie kilka tłumaczeń, m.in. „Triumfu człowieka pospolitego" Ryszarda Legutki (na rumuński), a także pojedynczych książek: Grzegorza Górnego, Agnieszki Kołakowskiej oraz Pawła Lisickiego (wszystkie na węgierski). Zaznaczmy, że wcześniej także dotowano przekłady m.in. Ryszarda Legutki, Antoniego Libery czy Bronisława Wildsteina. A na liście ponad 90 pozycji wspartych w tym roku znalazły się jedynie trzy wprost związane z myślą prawicową, w tym „Północ i Południe. Teksty o polskiej kulturze i historii" Marka Cichockiego – jedna z najciekawszych publikacji w ostatnim czasie.

Ministerstwo jednej opcji

„Sukces zbiórki pieniędzy na Europejskie Centrum Solidarności jest sukcesem Polski obywatelskiej, nawet jeśli stoją za nim raczej wielkie emocje dotyczące bieżącej polityki niż realne społeczne zainteresowanie solidarnościową tradycją" – komentował Piotr Zaremba na łamach „Dziennika. Gazety Prawnej". Nie była to pierwsza tego typu akcja w odpowiedzi na decyzje MKiDN, chociaż jej skala była imponująca: ostatecznie zebrano ponad 6 mln zł. Czy może pojawić się pokusa – zastanawiał się Zaremba – „upowszechnienia podobnego zwyczaju w drugą stronę? Czy jeśli rządzić będzie PO, wyborcy związani z prawicą też mają swoimi pieniędzmi wyrywać kawałki Polski z rąk ekipy rządowej?".

Taka postawa byłaby groźna. Lecz działania Piotra Glińskiego poważnie osłabiają legitymizację samego ministerstwa – po raz pierwszy od lat można nawet usłyszeć postulaty jego likwidacji. Działania poprzedników zmierzały – mniej lub bardziej skutecznie – do wyjęcia całych obszarów jego działalności spod wpływu politycznej oceny. To ocena merytoryczna, a nie kryteria ideologiczne miały być podstawą finansowania. Gliński odwrócił całkowicie logikę. Zdaje się być przekonany, że wygranie wyborów daje zwycięzcy nieograniczony mandat. Prowadzi to do uznania, że autonomia instytucji kultury to fikcja, a sam fakt ↦

↦ finansowania ze środków ministerstwa jest równoznaczny z oczekiwaniem pełnego poparcia dla rządzących.

Dobrze tę logikę oddaje oficjalne oświadczenie, wydane przez Ministerstwo Kultury przy okazji Kongresu Kultury Polskiej w 2016 r. Informowano w nim, że osoby zaangażowane w Kongres „otrzymywały lub otrzymują środki z programów ministra lub instytucji podległych MKiDN". Mimo to wszystkie te osoby angażują się w „przedsięwzięciach ruchu deklarującego się jako opozycyjny". Okazało się, że dla ministra kultury finansowanie kultury jest równoznaczne z oczekiwaniem poparcia dla rządzących. Żaden rząd po 1989 r. w ten sposób nie formułował swoich oczekiwań wobec ludzi kultury i nie określał swoich relacji z publicznymi instytucjami kultury. I nie jest ważne, że być może Piotr Gliński uważa, iż relacje ludzi kultury z rządzącymi wcześniej w III RP polegały na finansowym kontrakcie.

Taka optyka sprawia, że po pierwsze minister kultury dzieli instytucje na „nasze" i „wasze", czego dobrym przykładem jest Muzeum Narodowe w Warszawie. Agnieszka Morawińska na prośbę o wsparcie instytucji, którą wówczas kierowała, usłyszała od ministra: „Wie pani, w pierwszej kolejności musimy zadbać o te nasze muzea". Po drugie, dąży do pełnej monopolizacji w obszarach dla PiS-u najbardziej istotnych. Do nich należy na pewno pamięć historyczna. Służyć temu miało nie tylko powoływanie nowych instytucji, jak wspomniany już Ośrodek Badań nad Totalitaryzmami im. Witolda Pileckiego, Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych w Warszawie czy Muzeum Getta Warszawskiego, ale też najgłośniejszy spór za tej kadencji – o Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

Nie chodziło w nim – jak przekonywał Gliński i jego zwolennicy – o walkę z fałszowaniem naszej historii. Twórcy muzeum pokazali, że można zaproponować przekonującą, odmienną od pisowskiej wizję polskiej wspólnoty i jej przeszłości, ale też narzędzia do jej konsolidowania. To naruszało monopol rządzących na politykę pamięci. Ministerstwu udało się przejąć instytucję, ale pod nowym kierownictwem Muzeum II Wojny Światowej zagubiło swój uniwersalny wymiar, a państwo polskie utraciło ważne narzędzie do opowiadania w kontekście międzynarodowym o naszym polskim doświadczeniu. Prowincjonalizacja polskich instytucji, czego przykładem jest gdańska placówka, to też efekt ostatnich czterech lat.

> Gliński zdaje się być przekonany, że wygranie wyborów daje zwycięzcy **nieograniczony mandat.** A sam fakt finansowania przez ministerstwo jest równoznaczny z oczekiwaniem pełnego poparcia dla rządzących.

Najbardziej niebezpieczne jest jednak przeświadczenie, że rządzący muszą się kierować wyłącznie interesem i oczekiwaniami własnych wyborców. Powinni przecież pamiętać, że dysponują środkami podatników, z których nie wszyscy są zwolennikami obecnego rządu. A kazus ECS-u pokazuje, że niektóre instytucje są dla nich na tyle ważne, iż skłonni są przekazać na nie dodatkowe środki. To jednak może prowadzić do coraz większej fragmentaryzacji wspólnoty, czego powinien być świadomy minister, który przez lata badał aktywność społeczną w Polsce.

Zerwanie ciągłości

Konkurs na dyrektora „stanowi najpełniejszą realizację konstytucyjnej zasady korzystania z praw publicznych" – pisał Piotr Gliński w piśmie uzasadniającym odmowę przedłużenia kadencji Moniki Szewczyk, z sukcesem kierującej białostocką Galerią Arsenał. „Jest to bowiem najbardziej transparentna i rekomendowana przez środowiska twórców metoda wyboru dyrektora instytucji kultury".

Rozpisano zatem konkurs na to stanowisko. Ogłoszono także drugi – na dyrektora Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. W obu wygrały osoby kierujące wcześniej tymi placówkami. W przypadku Arsenału prezydent Białegostoku podpisał nominację dla Moniki Szewczyk. Tymczasem Piotr Gliński od miesięcy zwleka z powołaniem Dariusza Stoli na stanowisko dyrektora Muzeum POLIN.

Nominacje na stanowiska to jeden z najpoważniejszych zarzutów stawianych obecnemu ministrowi. Niektóre z nich doprowadziły – jak w przypadku teatrów Polskiego we Wrocławiu i Starego w Krakowie czy Muzeum Narodowego w Warszawie – nie tylko do ostrych konfliktów, ale też do zapaści samych instytucji. Ostatnia z nich może być dobrym przykładem chaosu, który generują rządzący dziś Polską. Nie tylko podjęto błędną decyzję personalną – mianowano osobę nieposiadającą kompetencji niezbędnych do kierowania tak poważną instytucją – ale nie potrafiono z tej decyzji się wycofać, a instytucja coraz gorzej działa.

Problemem ministra Glińskiego nie są jedynie kontrowersyjne wybory personalne, łącznie z najnowszym, czyli zapowiedzią powołania bez konkursu Piotra Bernatowicza na nowego dyrektora Zamku Ujazdowskiego (na co pozwala prawo) – lecz stosunek do procedur, zasad i reguł. Nie są zmieniane, ale używane całkowicie dowolnie i naginane w zależności od sytuacji i politycznych potrzeb.

Przykładem może być odmowa MKiDN wypłacenia przyznanej już organizatorom poznańskiego Festiwalu Malta dotacji w wysokości 300 tys. zł na jego organizację w 2017 r. (sąd nakazał przekazanie tych środków), zwlekanie z powołaniem Dariusza Stoli czy bezprawne zwolnienia ze stanowisk. O Pawle Potoroczynie minister Gliński mówił dla Wirtualnej Polski: „Faktem jest, że wygrał sprawę w sądzie i to jego dotyczy kwestia, że może twierdzić, iż został zwolniony niezgodnie z prawem. Ale myślę, że zgodnie z polskim interesem". Ta wypowiedź dobrze pokazuje podejście wicepremiera rządu do prawa, reguł, zasad i obyczajów – istnieją tylko formalnie.

W 2016 r. Artur Żmijewski w rozmowie z „Krytyką Polityczną" porównał Piotra Glińskiego do powołanego przez PiS nowego szefa stadniny koni w Janowie Podlaskim: „Każdym ruchem narusza równowagę ekosystemu kultury".

Po czterech latach rządów PiS-u widać, że nie grozi nam hegemonia prawicowa w kulturze, lecz chaos, degradacja instytucji publicznych i ich artystyczny upadek. Powstanie miejsc prezentujących twórczość wtórną, epigońską i bez artystycznego znaczenia. Także ośmieszenie państwa i podważenie jego roli, a przecież tylko ono potrafi zagwarantować powszechny i równy dostęp do kultury.

© PIOTR KOSIEWSKI

IMAGE CAPITAL PICTURES / FILM STILLS / FORUM

Wes Studi w serialu „Dom grozy" (Penny Dreadful)

Zagrać starego zrzędę

BARTOSZ HLEBOWICZ

Wes Studi, słynny filmowy Magua, dumny Geronimo i krwiożerczy Paunis z filmu Costnera, otrzymał honorowego Oscara za całokształt twórczości. To pierwszy indiański aktor, którego uhonorowała Akademia.

Ze wszystkich charyzmatycznych hollywoodzkich Indian Wes Studi, Czirokez, jest najbardziej charyzmatyczny. Obojętne, czy gra główną, czy drugoplanową rolę; czy jest „dobrym", czy „złym" Indianinem, to on kradnie show. „Co za twarz! Pełna historii, doświadczenia, charakteru, godności, wszelkich emocji pod słońcem" – mówił o nim Christian Bale podczas wręczenia Oscara. Prócz Studiego, 27 października statuetki od Amerykańskiej Akademii Filmowej odebrali wybitni twórcy: Lina Wertmüller i David Lynch, a także aktorka Geena Davis – w uznaniu jej walki o równość płci w przemyśle filmowym.

Żeby dobrze zrozumieć, czym jest ta nagroda dla indiańskiego aktora, trzeba przypomnieć sobie, jak to z Indianami w amerykańskich filmach było. Ten Oscar jest też uhonorowaniem wszystkich pracujących w przemyśle filmowym Indian, a także wszystkich tubylczych Amerykanów w USA.

Od Indian z wizjera po „czerwone twarze"

Kino amerykańskie zaczęło się od Indian. 24 sierpnia 1894 r. colonel William „Buffalo Bill" Cody, podczas przerwy w występach, z Dzikiego Zachodu na Brooklynie przyjechał do Black Maria, studia filmowego Thomasa Edisona w West Orange, w New Jersey. Towarzyszyło mu kilku Siuksów, którzy na co dzień, w przedstawieniach „pułkownika", dokonywali napadów na białych osadników. W studio główny wynalazca Edisona, Szkot William Dixon, nagrał z Siuksami cztery kilkunastosekundowe filmiki. Na jednym „Buffalo Dance" – trzech Indian porusza się w koło, dwóch innych uderza w bęben. Na innym „Sioux Ghost Dance" – tańczy większa grupa, także dzieci. Te i pozostałe filmy nakręcone w owym czasie w Black Maria trwają około 15 sekund każdy. Widzowie oglądali je w kinetoskopach – w których na ruchome obrazki patrzyło się przez wizjer, a więc były to intymne pokazy dla jednoosobowej widowni.

W kolejnych latach ludzie Edisona sami jeździli po Stanach (głównie po Południowym Zachodzie), by filmować egzotyczne dla nich indiańskie obrzędy. W ich ślady poszli inni, m.in. wytwórnia Seliga z Chicago czy Bison z Nowego Jorku. Potem zaczęto robić dłuższe filmy etnograficzne czy pseudoetnograficzne (Curtis, Flaherty), a także oczywiście fabularne filmy „z kowbojami i Indianami". W epoce kina niemego, czyli do 1930 r., powstało ponad 5 tys. westernów. Indianie byli jednym z najbardziej popularnych tematów w tych filmach, a w filmowym złotym okresie tubylczych Amerykanów, w latach 1907-10, narracje z Indianami stanowiły połowę ↦

amerykańskiej produkcji filmowej. Wtedy jeszcze rdzenni Amerykanie dość często portretowani byli przychylnie, zdarzało się nawet, że to od nich zależał finałowy happy end. Widzowie jednak dość szybko znudzili się „szlachetnymi czerwonoskórymi", których wyparli krwiożerczy dzikusi.

Hollywood masowo uprawiał *redface*, czyli techniki „indianizowania" białych aktorów, każąc im wkładać czarne peruki z długimi warkoczami oraz smarując im twarze czerwoną gliną. William S. Hart, gwiazda niemych westernów z drugiej dekady XX wieku, opisywał w autobiografii swój kostium z filmów, w których grał Indianina (np. w „The Captive God" grał Tongę, „wodza Majów"): „pół pinty Bole Armenia [bolusa – czerwonobrązowej glinki stosowanej także w zaprawach pod obrazy olejne] i dwa pióra".

Dziś trudno uwierzyć, że William Hart, biały rewolwerowiec, twardziel o kamiennej twarzy, mógł zagrać Indianina. Ale tak naprawdę mógł to zrobić każdy: Richard Dix, Douglas Fairbanks, Robert Taylor, Paul Newman, Anthony Quinn, Charles Bronson, Burt Lancaster, Jack Palance, a nawet John Wayne, grający „pół-Indianina" w „Hondo".

Prawdziwi Indianie, z wyjątkiem krótkich przełomów w pierwszej i drugiej dekadzie XX w., w latach 50., 70. i na początku lat 90., nie mieli dobrej passy w Hollywood. Albo przedstawiano ich jako dziką hordę zagrażającą bezpieczeństwu białych bohaterów, albo w ogóle znikali ze scenariusza. Aktorzy Will Sampson i Chief Dan George – w latach 70. – należeli do nielicznych gwiazd indiańskich.

„To wraca cyklicznie. W latach 80. wszyscy zniknęliśmy" – streszcza historię celuloidowych Indian Wes Studi.

Filmy były ucieczką

Studi urodził się w 1947 r. w Nofire Hollow niedaleko miejscowości Tahlequah, w północno-wschodniej Oklahomie, na terytorium Czirokezów, przygnanych tu przez białych w pierwszej połowie XIX w. z Georgii. Jeszcze gdy był dzieckiem, jego rodzina przeniosła się 100 mil na zachód, do Avant w rezerwacie Osedżów.

– Wokół nie było żadnych Czirokezów, nie miałem z kim spędzać czasu, musiałem wynajdować sobie sam rozrywki. Chodziłem do kina – opowiadał Studi – oglądałem galopujące konie... Filmy były ucieczką od codziennego życia.

Zapisał się do indiańskiej szkoły rolniczej z internatem w Chilocco (północna Oklahoma), zaciągnął się do Gwardii Narodowej („by imponować dziewczynom mundurem"), służył w wojsku, walczył w Wietnamie. Na przełomie lat 60. i 70. brał udział w kilku akcjach American Indian Movement, ale to wciąż nie było to, czego szukał. Założył ranczo ze stadem koni, szkolił w ich ujeżdżaniu. Uczył czirokeskiego, napisał w tym języku dwie książki dla dzieci. W latach 80. zaczął grać w indiańskim teatrze w Tulsie. A potem pojechał do Los Angeles, gdzie szczęśliwie trafił na kolejny „proindiański" przełom, jednocześnie stając się jednym z jego głównych protagonistów, obok tak wyśmienitych aktorów jak Gary Farmer (Kajuga), Graham Greene (Oneida), Evan Adams (Salisz), Eric Schweig (Inuita), czy Tantoo Cardinal (Kri).

Od bezlitosnego zabójcy po szlachetnego kosmitę

Zaczęło się od epizodu w „Powwow Highway" z 1989 r. To dziejący się współcześnie, przezabawny film drogi, z dwoma młodymi Indianami, którzy wybierają się rozklekotanym autem z rezerwatu Czejenów w Montanie, by uwolnić z więzienia kuzynkę, niesłusznie zaaresztowaną w Nowym Meksyku. Dla jednego z nich podróż jest misją wojownika, dla drugiego mistyczną wyprawą w głąb samego siebie.

Przełomem w karierze Studiego była rola „najostrzejszego Paunisa" w „Tańczącym z wilkami" Kevina Costnera, nakręconym rok później. „To film, który mnie wkręcił do tego biznesu" – powiedział podczas gali wręczenia Oscara Studi. W kolejnym roku pojawił się na moment w „Doorsach" Olivera Stone'a. Jego pierwsza wielka – i być może największa – rola przyszła w 1992 r. Studi został Maguą w zapierającej dech w piersiach kolejnej ekranizacji klasycznej powieści Coopera „Ostatni Mohikanin", w reżyserii Michaela Manna. Rok później zagrał Geronima w filmie Waltera Hilla, obok Gene'a Hackmana i Roberta Duvalla.

W 1994 r. wystąpił jako podstępny handlarz broni Viktor Sagat w „Ulicznym wojowniku", nawalance z Jeanem-Claude'em Van Damme'em. W następnym roku zagrał po raz drugi u Manna: postać detektywa Casalsa w „Gorączce", u boku Ala Pacino.

– Po „Ostatnim Mohikaninie" to był drugi milowy krok w mojej karierze – opowiadał Studi. – Ten film pozwolił mi wyjść poza dramaty historyczne z piórami i skórami, i zagrać postać o nieokreślonym pochodzeniu etnicznym. Dzięki ci za to, Michael – zwrócił się do siedzącego na sali Manna. – Powinniśmy zrobić razem kolejny film!

– Ci ludzie w pewnym sensie mnie stworzyli – mówił z kolei Studi o Costnerze, Hillu i Mannie, i zaraz dodał żartem – ale muszę przyznać, że sam też włożyłem trochę wysiłku.

Studi wcielił się w postać detektywa Joe Leaphorna w wyprodukowanych przez Roberta Redforda trzech ekranizacjach niezwykle popularnych kryminałów Tony'ego Hillermana („Skinwalkers", „Coyote Waits" i „A Thief of Time", 2002-04). Filmy te, z akcją dziejącą się współcześnie w rezerwacie Nawahów, pozwoliły odsłonić Studiemu komiczne oblicze, jak wcześniej np. rola Sfinksa w absurdalnej komedii „Superbohaterowie" Kinki Ushera (1999). Główną wartością filmów na podstawie powieści Hillermana, poza intrygą, jest przyjacielska, ale pełna ironii relacja między Leaphornem a detektywem Jimem Chee (w tej roli inny popularny aktor indiański, Adam Beach), wspólnie rozwiązujących kolejne zagadki.

Studi grywa też w serialach: „Hell on Wheels: Witaj w piekle" o budowie pierwszej trasy kolejowej przez Amerykę, „Penny Dreadful" („Dom grozy"), horrorze osadzonym w XIX-wiecznym Londynie, czy „The Red Road", obracającym się wokół współczesnych, „nietypowych" (wziąwszy pod uwagę historię westernu) spraw, takich jak polityka i konflikty związane z indiańskimi kasynami na Wschodnim Wybrzeżu USA.

W 2005 r. znowu zagrał postać historycznego wodza indiańskiego, tym razem Opechancanougha, brata Powhatana w pięknym filmie „Podróż do Nowej Ziemi" Terrence'a Malicka. Cztery lata później wystąpił w hitowym „Avatarze" Jamesa Camerona, w roli mędrca Eytukana, wodza Na'vi – klanu żyjącego na księżycu Pandora i broniącego się przed najazdem Ziemian.

Przekleństwo indiańskiej twarzy

Dwa lata temu wystąpił w westernie „Hostiles" („Wrogowie") w reżyserii Scotta Coopera. Zagrał w nim wodza Szejenów

Żółtego Jastrzębia, umierającego więźnia wojennego, eskortowanego przez swego byłego wroga, kpt. Blockera (Christian Bale) na rodzinną ziemię, którą Żółty Jastrząb chce zobaczyć po raz ostatni przed śmiercią.

Studi pracuje w niesamowitym tempie. Na koniec tego roku i na przyszły zapowiedzianych jest aż osiem filmów z jego udziałem – w większości będzie grał Indian. W jednym z niedawnych wywiadów wyznał: „Dla Indian western jest jednym z niewielu obszarów, w których mogą zaistnieć w show biznesie. Po prostu automatycznie tu pasujemy. Indiańskie postaci coraz częściej grane są przez Indian, co wzmaga ich autentyczność. Miejmy nadzieję, że kiedyś dojdzie do tego, że będziemy znani jako aktorzy, a nie jako indiańscy aktorzy".

Jedno nie ulega wątpliwości: w każdej roli, stereotypowej czy nie, Studi jest po prostu świetny. Jest niezwykle przekonującym krwawym dzikusem w obsypanym Oscarami „Tańczącym z wilkami". Chciałoby się powiedzieć: niestety. Otóż ten ujmujący przecież film Kevina Costnera nie ustrzegł się przed stereotypami. Scenariusz, oparty na książce Michaela Blake'a, zamienił powieściowych Komanczów na Siuksów i przeniósł akcję z Równin Południowych na Północne. Filmowi Siuksowie są ludem miłującym pokój, trochę jak Szejenowie we wcześniejszym o dwie dekady „Małym Wielkim Człowieku". Agresywnymi napastnikami są biali i wysługujący się im Paunisi. To bardzo krzywdząca dla Paunisów wersja historii. W istocie agresorami na Równinach Północnych byli Siuksowie, a niewielkie plemię Paunisów należało do ofiar tej agresji. Krwiożerczy bezimienny Paunis w „Tańczącym z wilkami" jest rzeczywiście niesamowity – wcielenie okrucieństwa i zła – oraz... stereotypowy. Trudno uwierzyć Studiemu, który przyjmując Oscara oświadczył, że „sądzi, iż nawet Paunisi docenili tę rolę".

Równie okrutny był jako Magua, ale umiał też zbudować złożoną postać (bez wątpienia jest w tym również zasługa Michaela Manna, który dał mu więcej przestrzeni niż Costner) – jej motywacje nie są wyłącznie nikczemne. Wreszcie, w trzeciej słynnej roli stworzył piękną kreację legendarnego wodza Apaczów Geronima. Ale w tym właśnie sęk – Geronimo Studiego to szlachetny, owiany melancholią dumny bojownik godzący się ze swym losem. Jakże odmienny to obrazek od tego, który przekazują nam historycy (np. Robert Utley): chciwego, mściwego prostaka i okrutnika.

ARCHIVES DU 7E ART / DR / BEW

Wes Studi w filmie „Geronimo: amerykańska legenda", reżyseria Walter Hill, 1993 r.

– Jego twarz mówi tyle historii jednocześnie – powiedział Christian Bale przed wręczeniem aktorowi i koledze statuetki. – Jest wyryta z życia przeżywanego w pełni, bo Wes nie robi niczego na pół gwizdka. Jego postaci są bogate, autentyczne, trójwymiarowe.

Pewnie ta rzeczywiście niezwykła, charakterystyczna indiańska twarz, muskularność i wysoki wzrost Studiego sprawiają, że Hollywood uparcie obsadza go w rolach Indian, choć on sam powiada, śmiejąc się: – Chciałbym zagrać starego zrzędę, w stylu filmów z Morganem Freemanem. Wystąpić w komedii o starym dziwaku.

– Chciałbym po prostu powiedzieć: najwyższy czas – podsumował podczas odbierania nagrody Wes Studi. – To jest jak dotąd dzika i wspaniała jazda, i jestem naprawdę dumny, że jako pierwszy tubylczy Amerykanin odbieram nagrodę Akademii. To prawdziwy zaszczyt otrzymać nagrodę za coś, co uwielbiam robić.

Przemówienie Studi zakończył w języku czirokeskim – rodzinnej mowie, którą zna od dziecka.

© BARTOSZ HLEBOWICZ

Co skrywa maska?

JAKUB MAJMUREK

Superbohaterowie to jednostki głęboko nieszczęśliwe. Zakładają kostium, bo nie potrafią poradzić sobie z własnymi traumami, gniewem i agresją,

Pozornie nowy serial HBO „Strażnicy" wygląda jak kolejna produkcja o superbohaterach, jakich w ostatnich kilku latach pełne są kina i kanały telewizyjne. Ma się jednak do tych produkcji mniej więcej tak, jak antywestern do westernu.

Serial jest luźną adaptacją komiksu o tym samym tytule, napisanego przez jednego z najwybitniejszych twórców wypowiadających się w tym medium, Alana Moore'a. Choć Moore, tradycyjnie niechętny ekranizacjom własnych dzieł, wycofał swoje nazwisko z czołówki, to fani pisarza bez wątpienia rozpoznają jego styl i tematyczne obsesje, ukształtowane głównie przez kontrkulturę lat 60. i 70.

Od zinów do kanonu

Moore wychował się z dala od San Francisco dzieci kwiatów czy punkowego Londynu – w Northampton, prowincjonalnym mieście w środkowej Anglii. Tam przyszedł na świat w rodzinie robotniczej, tam mieszka do dzisiaj. Jak twierdzi, oddalona od wszelkich centrów miejscowość daje mu konieczny do funkcjonowania luksus anonimowości. Ze szkoły średniej przyszły pisarz wylatuje za sprzedawanie uczniom LSD, żadna inna nie chce go przyjąć. Przerywa formalną edukację, zakłada rodzinę, żyje z najprostszych prac i zasiłków. Jednocześnie sam się kształci, czyta wszystko, co wpadnie mu w ręce, próbuje pisać i rysować komiksy.

Zaczyna od oddolnie publikowanych, lokalnych fanzinów, przez całe lata 70. przebija się do dostępnych w normalnej dystrybucji, mniej lub bardziej undergroundowych komiksowych magazynów, marnie bo marnie, ale płacących autorom. Szybko porzuca marzenia o rysowaniu własnych materiałów, idzie mu to zbyt powoli, by mógł to robić profesjonalnie. Jego pozycja jako komiksowego scenarzysty zaczyna jednak rosnąć. Pisze w coraz bardziej znaczących tytułach, zamiast rozwijać stworzone przez innych światy i postaci, dostaje szansę, by przedstawić czytelnikom własne.

Pierwszym poważnym sukcesem Moore'a jest komiks „V jak vendetta" – publikowany w odcinkach na łamach magazynu „Warrior" w latach 1982-85. Akcja rozgrywa się w 1997 r. Wielka Brytania jest faszystowskim, totalitarnym państwem. Posługująca się skrajnie nacjonalistyczną retoryką władza prześladuje swoich przeciwników, mniejszości rasowe i seksualne. Naprzeciw niej staje tajemniczy buntownik V. Nigdy nie widzimy jego twarzy, zawsze występuje w masce przedstawiającej Guya Fawkesa, uczestnika nieudanego „spisku prochowego". Jego organizatorzy próbowali w 1605 r. wysadzić w powietrze brytyjski parlament i zgromadzony w nim polityczny establishment, z monarchą Jakubem I na czele. Spiskowcy rekrutowali się z szeregów średnio zamożnej, prowincjonalnej katolickiej szlachty, rozczarowanej brakiem tolerancji dla katolików pod panowaniem Jakuba I. Liczyli, że zamach wywoła katolickie powstanie, zdolne osadzić na tronie córkę Jakuba, Elżbietę. Moore w historii nieudanego spisku z 1605 r. widzi niespełnioną, emancypacyjną obietnicę społeczeństwa, która wysadza w powietrze panujące nad nim instytucje i może w końcu zacząć rządzić się samo.

„V jak vendetta" zostało zekranizowane w 2005 r. (Moore tradycyjnie wycofał nazwisko z czołówki). Noszona przez tytułowego bohatera maska Guya Fawkesa stanie się w następnej dekadzie znakiem i gadżetem masowych protestów przeciw kryzysowi, nierównościom i bezsilnym wobec realnych problemów politykom. Nosili ją uczestnicy protestów Occupy w Stanach, jako swój symbol przyjęła ją też grupa hakerska Anonymous. Od roku 2012, każdego 5 listopada, w rocznicę aresztowania Fawkesa, organizuje ona coroczny Marsz Miliona Masek – protestujący, ubrani w maski Fawkesa, wychodzą na ulice miast na całym świecie.

Ten i kolejne komiksy Moore'a wybitnie przyczyniły się do uznania gatunku jako wartościowej, poważnej formy kulturowej przez anglosaską krytykę lat 80. Przełomowi pod tym względem okazali się właśnie „Strażnicy" (1987). Komiks, czy jak częściej pisze się o nim „powieść graficzna" (określenie, którego Moore nie znosi), został w 2005 r. uznany przez magazyn „Time" za jedną ze 100 najlepszych powieści w historii, niejednokrotnie pojawia się w podobnych zestawieniach obok arcydzieł literatury z najściślejszego kanonu.

Psychopaci w kostiumach

„Strażnicy" zwracają uwagę oryginalną, skomplikowaną, nielinearną formą narracyjną, splatają wiele różnych wątków jak opasła ambitna powieść. Historię rozgrywającą się na kolejnych komiksowych planszach przerywają prozatorskie fragmenty, na ogół dokumenty ze świata przedstawionego komiksu – np. reportaż prasowy napisany o jednym z bohaterów.

MARK HILL / HBO

Serial HBO „Strażnicy", sezon drugi

Najciekawsze jest jednak to, co Moore robi w komiksie z samą konwencją opowieści o strażnikach prawa w kostiumach. Bohaterowie wyglądają bowiem tak, jakby ktoś postawił sobie zadanie: „Co byłoby, gdybyśmy spróbowali wyobrazić sobie komiksowe postaci jako prawdziwych ludzi, funkcjonujących w świecie, jaki znamy: z jego polityką, społecznymi konfliktami itd.".

Jak łatwo się domyślić, przy przyjęciu takich założeń historia o superbohaterach musi skończyć się katastrofą. Choćby przez typ osobowości, jaki w „Strażnikach" pociąga walka ze złem w kostiumie. W zasadzie wszyscy bohaterowie komiksu to jednostki głęboko nieszczęśliwe, w jakiś sposób skrzywdzone, mniej lub bardziej niezrównoważone. Zakładają maskę i kostium, bo nie potrafią poradzić sobie z własnymi traumami, gniewem i agresją, bo ogarnięte są megalomańskim kompleksem mesjasza, bo kierują nimi kryptofaszystowskie fantazje o prawie i porządku. Przemoc, jaką hojnie stosują w swojej krucjacie ze złem, pokazana jest w całym jej okropieństwie i moralnej dwuznaczności.

W komiksie bohaterowie pojawiają się w Stanach pod koniec lat 30. i zmieniają historię świata. Bynajmniej nie na lepsze. Zwłaszcza jeden z nich – doktor Manhattan. To jedyny superbohater w świecie „Strażników", dysponujący nadprzyrodzonymi mocami. Doktor Manhattan rodzi się, gdy fizyk atomowy Jon Ostermann pada ofiarą wypadku w swoim laboratorium, zyskując zdolność bilokacji, niebieską skórę, umiejętność poruszania się w czasie oraz całkowitą władzę nad materią. Moce doktora Manhattana pozwalają wygrać Stanom wojnę w Wietnamie. Ameryka bez szoku wietnamskiej klęski pogrąża się w szowinistycznym samozadowoleniu, nigdy uczciwie nie rozlicza się z własną przeszłością, np. w kwestii rasowej. W świecie „Strażników" nie wybucha też afera Watergate. W połowie lat 80. – gdy rozgrywa się akcja komiksu – krajem ciągle rządzi wiekowy prezydent Richard Nixon.

Moce doktora Manhattana powodują trwałą nierównowagę między blokiem wschodnim i zachodnim. Akcja komiksu rozgrywa się w momencie, gdy Moskwa i Waszyngton wydają się zmierzać do nuklearnej wojny. Zapobiec jej stara się bajecznie bogaty, uchodzący za najinteligentniejszego człowieka na Ziemi, Adrian Veidt. W młodości walczył ze złem w kostiumie, jako Ozymandiasz. Gdy w latach 70. Kongres zakazał działalności zamaskowanych mścicieli – poza dwoma pracującymi dla rządu – wycofał się, by kierować swoim biznesowym imperium. Veidt, który uważa się za współczesnego Aleksandra Wielkiego, nie ma jednak zamiaru żyć jako prywatny obywatel, chce przeciąć węzeł gordyjski grożącej światu nuklearnej wojny. W tym celu inscenizuje inwazję kosmitów z innego wymiaru na Nowy Jork. Giną trzy miliony ludzi, ale całe wydarzenie tak przeraża wszystkich, że Moskwa i Waszyngton siadają w końcu do negocjacyjnego stołu.

Plany Veidta odkrywa Rorschach – jedyny bohater, który w latach 80. nie złożył kostiumu i ciągle, nie pytając rządu o zdanie, prowadzi swoją krucjatę przeciw bezprawiu. To jednostka wybitnie zaburzona, przemocowa, typ osobowości, jaki w innych okolicznościach dołączyłby pewnie do jakiejś skrajnie prawicowej milicji. Ostatecznie Moore prowadzi nas do momentu, gdy jako czytelnicy zmuszeni jesteśmy do „wyboru" tego, któremu z psychopatów bardziej kibicujemy: Veidtowi, z zimną krwią planującemu ludobójstwo, czy Rorschachowi – jego zwycięstwo nad Veidtem doprowadziłoby najpewniej do wojny jądrowej. Sytuacji nie ratuje doktor Manhattan. Spoglądając we wszelkie możliwe wizje przyszłości, uznaje, iż plan Veidta to najmniejsze zło – po czym na zawsze opuszcza Ziemię, osiedlając się na Marsie. Tak jakby przyznawał, że jego pojawienie się na naszej planecie doprowadziło ludzkość do sytuacji, gdy można tylko wybierać między różnymi katastrofami.

Ameryka Redforda i jej cień

Serial rozgrywa się współcześnie, ponad 30 lat po wydarzeniach z komiksu. Bardziej niż adaptacją „Strażników" Moore'a produkcja HBO jest ich twórczym rozwinięciem, próbą dopisania dalszego ciągu.

Na czele zespołu scenarzystów stanął uznany serialowy twórca Damon Lindelof. To ciekawy wybór, zwłaszcza w kontekście jego poprzedniej produkcji dla HBO, „Pozostawionych" (2014-17). Oba seriale osadzone są w świecie, gdzie nie tylko wydarzyło się niemożliwe, ale zostało na swój sposób oswojone i znormalizowane przez jego mieszkańców. W „Pozostawionych" pewnego dnia dokładnie o tej samej godzinie w niewyjaśniony sposób znika 2 proc. ziemskiej populacji – 140 milionów ludzi. Akcja zaczyna się trzy lata po tym wydarzeniu, którego ciągle nikt tak naprawdę nie jest w stanie wyjaśnić. W „Strażnikach" ludzkość mniej lub bardziej przetrawiła całą serię nieprawdopodobnych zdarzeń: od pojawienia się doktora Manhattana do kosmicznego ataku na Nowy Jork.

W „Pozostawionych" Lindelof przedstawiał bohaterów złamanych przez traumę, niezdolnych wybaczyć sobie tego, że to oni zostali, że nie zniknęli razem ze swoimi bliskimi. Ani nauka, ani religie, ani psychologia nie są im w stanie pomóc zracjonalizować wydarzenia, stawiającego na głowie całą dotychczasową wiedzę. W „Strażnikach" widzimy naród, który nie może poradzić sobie z własną traumą, znacznie starszą niż atak kosmitów na Nowy Jork: rasową. Serial otwiera sugestywny obraz zamieszek rasowych w Tulsie w stanie Oklahoma, gdzie w 1921 r. – naprawdę, nie w świecie komiksu – biali zaatakowali z ostrą ↦

↦ bronią, wspomagani przez ataki z prywatnego samolotu (!), świetnie prosperującą dzielnicę czarnej klasy średniej, najzamożniejszą wówczas czarną społeczność w Stanach. Historycy do dziś szacują liczbę ofiar, szacunki wahają się od 100 do 300 osób, zniszczono całą dzielnicę miasta, kilkuset ludzi trafiło do szpitali z ciężkimi obrażeniami.

Atak Veidta na Nowy Jork wywołał zmiany w Stanach z serialu. Nowy prezydent Robert Redford (w serialu ciągle rządzi w 2019 r.) uruchomił politykę mającą zadośćuczynić czarnym za lata opresji. Potomkowie ofiar masakry z Tulsy zachęcani są do powrotu do Oklahomy, rząd ofiarowuje im hojne rekompensaty. Ameryka Redforda ma jednak swój mroczny cień. Przeciw nowym porządkom buntuje się grupa białych suprematystów. Ich bohaterem jest Rorschach – nie tylko noszą jego maski, ale także kolportują oficjalnie zakazany dziennik herosa w kostiumie, demaskujący atak na Nowy Jork jako zaplanowaną akcję Veidta.

Kilka lat przed wydarzeniami z serialu grupa mężczyzn w maskach Rorschacha dokonuje masakry policjantów w Tulsie jako „zdrajców rasy". W odpowiedzi na to lokalne władze utajniają tożsamość wszystkich funkcjonariuszy – policja patroluje ulice w maskach i kostiumach. Obserwując ich brutalność, rażącą nawet wtedy, gdy walczą o szlachetne idee, mamy poczucie, że Ameryka Redforda nie tyle rozwiązała swoje problemy rasowe i klasowe, co ukryła je pod maską.

„Strażników" Moore'a dało się czytać jako gorzką, przepełnioną pesymizmem diagnozę zmierzchu kontrkulturowych marzeń. Prezydentura Trumpa, napędzana przez gniew białych mężczyzn niezdolnych pogodzić się z utratą przywilejów, nadaje niepokojącą aktualność rasowym diagnozom serialu Lindelofa. Pierwsze odcinki produkcji zapowiadają gęstą, wielowątkową narracyjną strukturę – jeśli Lindelofowi nie tylko na poziomie rozwoju narracji, ale także społecznej diagnozy, uda się zrealizować to, co obiecuje początek serialu, to będziemy mieli telewizyjne wydarzenie. Być może Moore doczeka się w końcu adaptacji dorastającej do artystycznej siły jego komiksów.

© JAKUB MAJMUREK

Hydra w panamie

ANITA PIOTROWSKA

Najnowszy film Soderbergha to ilustrowany podręcznik współczesnego kapitalizmu dla początkujących, oczywiście z krytycznym zacięciem.

Przaśne peerelowskie mieszkania zdobiła ongiś fototapeta z palmą na plaży – utopijne marzenie o egzotycznych wyspach szczęśliwych. Dziś stała się ikoną zamorskich rajów podatkowych, tych wszystkich Seszeli, Bahamów i Kajmanów, gdzie dyskretnie dojrzewają wielkie fortuny, nienękane przez rodzime urzędy skarbowe. Ten obrazek kilkakrotnie pojawia się w „Pralni", najnowszym filmie Stevena Soderbergha. Stanowi ostateczny cel podróży, w którą zabiera nas dwóch dowcipnych dżentelmenów sączących martini, zagranych przez Gary'ego Oldmana i Antonia Banderasa.

A wszystko zaczyna się od wizyty na pustyni, gdzie człowiek pierwotny dopiero co wynalazł prototyp pieniądza. Krążąc pomiędzy prehistorią a współczesnością, między zwykłymi półkami sklepowymi a nocnymi klubami dla różnej maści wilków z Wall Street, dwaj panowie w cekinowych smokingach fundują nam, maluczkim, propedeutykę do współczesnej neoliberalnej ekonomii. Jak na ironię, nazywają się, i w filmie, i w rzeczywistości, Jürgen Mossack i Ramón Fonseca. To właśnie oni jeszcze niedawno próbowali zablokować rozpowszechnianie „Pralni" przez Netfliksa. Lecz choć po aferze z Panama Papers wiadomo z grubsza, jak gigantyczna jest skala prawniczej kreatywności stosowanej przez firmę Mossack Fonseca, to z pewnością jej twórcy zasłużyli sobie na lepszą opowieść.

Soderbergh przestał wreszcie nas kokietować, że na dobre żegna się z kinem, bo w istocie zmienia tylko co jakiś czas technologiczne narzędzie produkcji czy dystrybucji. Najnowszy jego film, który miał premierę na festiwalu w Wenecji, to ni mniej, ni więcej jak ilustrowany podręcznik współczesnego kapitalizmu dla początkujących, oczywiście z krytycznym zacięciem. Prócz rekinów finansjery przewodnikami po różnych obszarach szarej strefy są tu mocno szemrani afroamerykańscy biznesmeni i „białe rękawiczki" prowadzące negocjacje z chińską oligarchią.

Przedstawicielką i rzeczniczką drobnych ciułaczy, najbardziej pokrzywdzonych przez dziurawy system, staje się w filmie niejaka Ellen Martin – emerytka i świeżo upieczona wdowa walcząca o powypadkowe odszkodowanie. Gra ją ze swadą niezniszczalna Meryl Streep, i nie jest to w filmie jej jedyna rola. Kiedy wreszcie jej bohaterka otrzyma świadczenie i będzie mogła kupić za nie wymarzony apartament w Las Vegas, zderza się ze ścianą korupcji, reprezentowanej przez cyniczną agentkę nieruchomości (w tej roli Sharon Stone). Tymczasem główna bohaterka odkrywa po drodze kolejne „prawdziwe tajemnice": schowane gdzieś w Indiach Zachodnich firmy reasekuracyjne, łańcuchy fasadowych spółek, ludzi-słupy, a wszystko to misternie powiązane ze światem przestępczym i brudną polityką. Gdzie ma zatem szukać pomocy zwyczajna obywatelka oszukiwana przez widmowe korporacje? W mediach? W kościele? A może powinna chwycić za spluwę i zrobić z tym wszystkim raz na zawsze porządek? Zazwyczaj kielich goryczy wylewa się wprost do urny wyborczej, ale tego już obraz Soderbergha nie pokazuje.

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Gary Oldman i Antonio Banderas w filmie „Pralnia”

Widać za to jak na dłoni sprawdzone wzorce, które go zainspirowały. W głośnym filmie „The Big Short” (2016) Adama McKaya, opisującym finansowy kryzys sprzed dekady, gwiazdka Selena Gomez tłumaczyła nam, siedząc za stołem w kasynie, jak działa instrument finansowy zwany „syntetycznym CDO”, a Margot Robbie podczas kąpieli z bąbelkami wyjaśniała, czym jest kredyt hipoteczny typu *subprime*. Soderbergh najwyraźniej w tym kierunku celuje, ale brakuje mu wdzięku i myli mu się błyskotliwa, pobudzająca szare komórki ironia z edukacyjną łopatologią.

Czy rzeczywiście trzeba średnio rozgarniętemu widzowi unaoczniać w całej dosłowności, czym jest pranie brudnych pieniędzy, zaraźliwe łapówkarstwo, szantaż ekonomiczny i „kajdany ukryte w prawniczym bełkocie”? Tylko wtedy, kiedy traktuje się swój film służebnie, niczym prosty przewodnik po dzisiejszym świecie wirtualnego pieniądza, a zarazem bombastyczne oskarżenie Ameryki o bycie strażnikiem zdeprawowanego systemu, w którym „ubodzy mają przerąbane”.

Jako że mozaikowy scenariusz „Pralni” jest adaptacją książki nagrodzonego wcześniej Pulitzerem dziennikarza śledczego Jake’a Bernsteina, który został też producentem wykonawczym filmu, trudno tak do końca zarzucać mu publicystyczno-instruktażowy charakter. Soderberghowi udaje się przecież zawrzeć w tej anegdotycznej formule cały dzisiejszy świat zbudowany na rozmytej odpowiedzialności i pozorowanej sprawiedliwości – świat, w którym fetyszem stała się prywatność rozumiana jako ochrona informacji o monstrualnych nadużyciach. Sęk w tym, że reżyser, jak i scenarzysta Scott Z. Burns, powrzucali do tej niskogabarytowej pralki rzeczy w ogóle nieposegregowane, po czym upchnęli je kolanem i włączyli program na wysokie obroty. Efektem jest lekko wypłowiała satyra, która rozpada się na poszczególne, lepsze lub gorsze epizody, a bohaterowie, godni bez mała szekspirowskiej epiki, pozostają zaledwie czarującymi przekręciarzami.

I aż się nie chce wierzyć, że autentyczni Mossack i Fonseca mogli poczuć się tą farsą zniesławieni. Bo w filmie „Pralnia” ci dwaj zabawni panowie w białych – *nomen omen* – panamach, obsługujący 240 tysięcy firm w rajach podatkowych, są przecież tylko dziećmi, nie zaś rodzicami prawnego potwora. A ten, choć zdemaskowany i unieszkodliwiony, co jakiś czas przecież się odradza, niczym mitologiczna hydra. ©

PRALNIA *(The Laundromat) – reż. Steven Soderbergh. Prod. USA 2019. Dostępny na platformie Netflix.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [9 – 15 XI]

1. Ułaskawienie

Dramat, reż. Jan Jakub Kolski, Polska/Czechy/ /Słowacja 2018, Canal+ Film, 5 XI, 13.55

Twórca „Historii kina w Popielawach” raz jeszcze powraca do rodzinnych wspomnień. Jest rok 1946, rodzice młodego akowca zastrzelonego przez UB ruszają w daleką podróż, by zapewnić synowi godny pochówek. W tej wizji powojennej Polski, skomplikowanej niczym grecka tragedia, na szczególną uwagę zasługuje rola Grażyny Błęckiej-Kolskiej.

2. Pod oliwkami

Dramat, reż. Abbas Kiarostami, Iran/ /Francja 1994, Cinemax 2, 10 XI, 20.30, 11 XI, 12.20

Coś dla wielbicieli zmarłego przed trzema laty irańskiego reżysera. Z neorealistycznym nerwem i szczyptą humoru opowiada o kulisach pracy nad swym poprzednim filmem „A życie trwa dalej”. Najbardziej interesuje go para odtwórców głównych ról oraz to, co wydarzyło się między nimi na planie i poza nim.

3. Kobiety Złotego Świtu

Dokumentalny, reż. Håvard Bustnes, Norwegia 2017, vod.pl

W 2012 r. partia skrajnej prawicy dostała się do greckiego parlamentu, a w kolejnych latach urosła w siłę. Skandynawski dokumentalista przygląda się działalności Złotego Świtu z perspektywy trzech kobiet związanych z jego liderami. Wbrew osobistym przekonaniom próbuje zrozumieć fenomen odradzającego się w Europie faszyzmu.

4. Powiedz mi, kim jestem

Dokumentalny, reż. Ed Perkins, Wielka Brytania 2019, Netflix

Mając osiemnaście lat Alex stracił pamięć na skutek wypadku motocyklowego. Marcus, jego brat bliźniak, pomagał mu potem w odtworzeniu szczegółów dotychczasowego życia. Zataił jednak jeden bardzo istotny epizod. Po wielu latach obaj bracia muszą zmierzyć się ze swą mroczną przeszłością, bo jej wyparcie kładzie się cieniem na ich wzajemnej relacji.

FESTIWAL CONRADA

POSTACIE NA WOLNOŚCI

OLGA TOKARCZUK, PISARKA:

Powieść jest nośnikiem obrazów i treści, ale też wskaźnikiem moralnym. Jest w naszym zwariowanym świecie wartością, czymś stałym. Traktuję ją bardzo, bardzo serio.

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI: To będzie spotkanie noblistki z publicznością Festiwalu Conrada. Państwo zadali pytania, ja będę je tylko odczytywał, dogadywał i dopytywał. Dobrze?
OLGA TOKARCZUK: Dobrze, dobrze.

Wiele pytań dotyczyło początków Twojej twórczości. Pan Filip: „Jakie były przełomowe myśli, wydarzenia, które doprowadziły do stwierdzenia »będę pisarką«?".
Mój ojciec pracował w bibliotece i od chwili, kiedy zaczęłam chodzić, towarzyszyłam mu w pracy. Bawiłam się między półkami. I szybko nauczyłam się czytać.

Ile miałaś lat?
Około pięciu. Kiedy poszłam do szkoły, czytałam już dość dobrze. Wtedy też odkryłam, że literatura to osobny, alternatywny, potężny świat. Buduje inne rzeczywistości, w których można się schronić. Fascynacja światami wyobrażonymi nigdy mnie nie opuściła. Tak więc jestem przede wszystkim czytelniczką, a dopiero potem pisarką.

Wyobrażona rzeczywistość zamiast życia?
Czasem traktujemy powieść jako ucieczkę od problemów czy rozczarowań. To jasne, że dobra literatura – kiedy mówię „literatura", zawsze mam na myśli powieść – pełni rolę schronienia.

Poeci się obruszą!
Tak się właśnie odgrywam na poetach za to, co Czesław Miłosz kiedyś powiedział: że więcej waży jedna, mocna, dobra strofa niż tysiące zapisanych stron *(śmiech).*

To mówi autorka „Ksiąg Jakubowych".
Ale też czytelniczka. Są powieści-drogowskazy, które zmieniają świat, zmieniają życia poszczególnych ludzi. I chodzi mi właśnie o narracje, opowieści, historie! Często traktuje się literaturę jako przestrzeń pracy z językiem – takie modernistyczne podejście, bliskie akademikom. Sama jednak zawsze traktowałam język jako narzędzie. Starałam się, żeby był przezroczysty. Zmieniałam go, żeby dopasować do opowieści. U podstaw literatury leży przecież wymiana obrazów należących do psychologii głębokiej. Jesteśmy złożeni z doświadczeń z mroków prehistorii. Są sformułowane w obrazach pochodzących z czasów, kiedy człowiek nie posługiwał się pismem.

Mój pradziadek znalazł się na początku XX wieku na Syberii. W czasie rewolucji bolszewickiej szedł piechotą

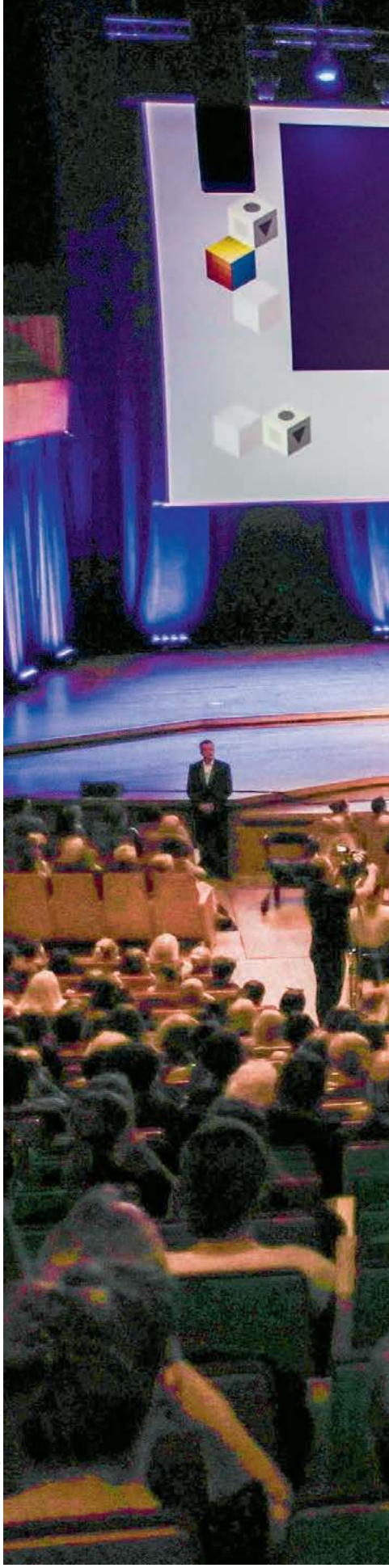

W Centrum Kongresowym ICE Kraków, 26 października 2019 r.

JAKUB PORZYCKI / AGENCJA GAZETA

Kraków
kbf
KRAKÓW
Olga Tokarczuk
LAUREATKA LITERACKIEJ NAGRODY NOBLA

↦ z Władywostoku do Polski. Wrócił z młynkiem do kawy i „Zmartwychwstaniem" Lwa Tołstoja. Pradziadek twierdził, że ta książka uratowała mu życie. Przez porewolucyjną Rosję jechał wychudzony żołnierzyna z powieścią, którą znał na pamięć, po rosyjsku. Bo powieść jest nośnikiem obrazów i treści, ale też wskaźnikiem moralnym. Jest w naszym zwariowanym świecie wartością, czymś stałym. Traktuję ją bardzo, bardzo serio.

Pani Monika pyta: „Wszystko wskazuje na to, że dziedziczymy traumy i skłonności naszych przodków. To nierozerwalna więź. Czy czuje Pani jakąś szczególną więź z którymś z przodków lub przodkiń?".

Bliskie mi jest doświadczenie kobiet, ciągle nieopisane. Literatura to przestrzeń przywracania pamięci o nich. Nie tylko w przeszłości kobiety sprowadzano do ról społecznych, były partnerkami, matkami, córkami, ale nigdy osobami indywidualnymi. Jakby szły przez historię lekkim krokiem i łatwo było je zdmuchnąć, żeby zostali sami mężczyźni, władcy z potężnym ego, o których pisze się biografie.

Trudno jest znaleźć powieść – również współczesną – która by traktowała postać kobiecą jako byt zadający sobie fundamentalne pytania. Owszem, przeżywają problemy związane z miłością, z seksem, z wychowywaniem dzieci, ale nie znam w literaturze mocnej postaci kobiecej, która zadawałaby sobie pytania takie jak Hamlet. Należałoby przywrócić równowagę. Staram się.

Czytelnicy to wiedzą. Stąd wiele pytań w rodzaju: „Czy określiłaby Pani swoją literaturę jako kobiecą albo feministyczną?".

Nie posługuję się tymi określeniami. Moje intymne doświadczenie jest inne: kiedy siadam do pisania, znika moja płeć. Źródło, z którego przychodzi inspiracja, jest neutralne, może być i męskie, i kobiece. Korzystam z niego tworząc postaci męskie albo żeńskie, a często tworzę też postaci ani takie, ani takie. Miejsce, z którego piszemy, jest skryte głęboko pod tym rozróżnieniem, leży tam, gdzie jest istota ludzka – po prostu.

Pani Barbara pyta o źródło Twoich obsesji i lęków.

Pani Barbara jest chyba psychoanalityczką... Nie wiem, czy jestem w stanie odpowiedzieć, to bardzo intymne.

Jesteśmy w tak intymnym miejscu, że możesz sobie pozwolić na tę odrobinę szczerości (*śmiech*).

(głęboki wdech, po czym następują brawa publiczności) Dobrze... To źródło jest pewnie wspólne i dla pani Barbary, i dla państwa tutaj... Urodzeni w XX wieku, zetknęliśmy się z potworną erupcją zła, które nie mija. Na jakiś czas się gdzieś chowa, a potem wypływa w innym miejscu, w innej formie. Nie chodzi tylko o naszą bezradność wobec zjawiska zła, bo czasami znajdujemy jego źródła w sobie, w swoim myśleniu.

Każdy wspaniały wynalazek ludzkiego umysłu musi w końcu sprzeniewierzyć się dobru, któremu miał służyć. Internet miał sprawić, że będziemy mogli komunikować się z każdą istotą ludzką na Ziemi, a przyniósł mnóstwo przemocy, płynącej ze źródła, którego nie umiemy jeszcze zdefiniować. Nie potrafimy też rozpoznać jej skutków.

Często mam wrażenie – to już naprawdę intymne zwierzenie – że żyję w sztucznym świecie, jak w dekoracji teatralnej. Czyli mogłabym odpowiedzieć pani Barbarze, że źródłem moich lęków i niepokojów jest poczucie nierzeczywistości. W „Prawieku" dzieci dochodzą do granicy tego świata i wystawiają ręce poza jego obręb, gdzieś na drugą stronę. I ich ręce znikają...

Pani Małgorzata pyta: „Jak sobie Pani radzi z hejtem?".

Wiesz, co to jest syndrom Pollyanny? Chodzi o skłonność do odwracania wszystkiego ku dobru. Uważam, że cokolwiek mi się przydarzy, ma jakiś sens, jest potrzebnym doświadczeniem. Tak też miałam z hejtem, który mnie rzeczywiście zalał. Zresztą dostałam wtedy mnóstwo wsparcia – dużo więcej dostałam dobra od ludzi, których kompletnie nie znałam, niż tego zła.

Ale był moment, kiedy musiałam pójść po pomoc do znajomej psychoterapeutki. Powiedziała mi, że ludzkie ciało odbiera agresję słowną bardzo podobnie jak fizyczną. Mobilizuje się adrenaliną, mechanizmami samoobrony, więc i skutki są zupełnie fizyczne.

Bałam się wyjść z domu. Prysznic był często w użyciu, bo to reakcja jak po gwałcie. Dziwny czas, ale dosyć szybko się podniosłam. Dzisiaj po prostu nie czytam tego wszystkiego.

Zmieńmy rejestr rozmowy. Jedenastoletni Karol pyta: „Która Pani książka powinna być szkolną lekturą?".

Żadna – odpowiadam spontanicznie, bo dobrze pamiętam, co szkoła robi lekturom. Nie chciałabym stracić czytelników *(śmiech)*.

Pan Daniel: „Ta nagroda przyznana za 2018 r. jest trochę jak wątek z Pani powieści. Miała Pani widmowego Nobla już przez cały zeszły rok, jeździła Pani po świecie jako zapisana w gwiazdach laureatka, z czego zdawały sobie sprawę może jedynie widma, media i zwierzęta". Co Ty na to?

Całkiem niedawno sobie uświadomiłam, że ten Nobel dla mnie gdzieś leżał, a ja sobie nieświadomie i niefrasobliwie żyłam. Że też nikt się nie zlitował i nie powiedział mi wcześniej. Przecież nie puściłabym pary z ust! *(śmiech)*

Pani Patrycja pyta: „Czy istnieje coś, o czym nie odważyłaby się Pani napisać, albo jest niegodne literatury? Czy przeciwnie: czemu literatura nie umiałaby sprostać?".

Jestem pewna, że nie da się opisać całości doświadczenia człowieka, ani zwierzęcia, ani rośliny. Ogrom świata nieopisanego nas przerasta.

A jeśli chodzi o tabu, to nie uważam, żeby istniały kwestie, których nie należałoby dotykać. Wydaje mi się, że człowiek wymyślił literaturę właśnie po to, żeby dotykać spraw, z którymi ma kłopot. Żeby nieustannie poszerzać przestrzeń, której jest świadomy.

Mówiłaś, że jedną z tych przestrzeni jest doświadczenie kobiet. Czy poza tym widzisz jeszcze jakieś wyrwy w komunikacji między ludźmi?

Powinniśmy przyglądać się historii, wydarzeniom ważnym dla naszej wspólnoty. Szczególnie tym, które nie zakorzeniły się w świadomości, bo nie pozostawiły dokumentów albo nie znalazły języka, którym mogłyby zostać opisane. Ale chodzi też o rewizję hierarchii bytów, o doświadczenie zwierząt, doświadczenie żywej przyrody. Jako gatunek stra-

PIOTR GUZIK / FORUM

Olga Tokarczuk i dyrektor artystyczny Festiwalu Conrada Michał Paweł Markowski

ciliśmy na długo zdolność doświadczania świata jako czegoś żywego. To się skończyło w XVII, XVIII wieku, kiedy zaczęliśmy postrzegać świat jako mechanizm, zbiór martwych elementów.

Kiedy nie mogę usnąć, wracam do baśni, bo dobrze jest przeczytać sobie bajkę na dobranoc. Ostatnio sięgnęłam do Andersena. U niego zachowała się wizja świata jako organizmu, którego człowiek jest częścią i z którym może komunikować się nieustannie. Gdyby dzisiaj udało się tworzyć taką literaturę, łatwiej byłoby nam rozwiązać problemy z kryzysem klimatycznym. Bo poszerzyłoby się spektrum naszej wrażliwości.

Czy są doświadczenia, które nie dadzą się wyrazić w innym języku niż ten, w którym piszesz? Czy też wszystko można przełożyć?

Czasem tłumacz musi zrobić przypis, na przykład żeby wytłumaczyć, co to jest sękacz, albo kim jest ta kobieta w welonie, która w „Prawieku" mówi do nas w kościele – studenci w Chinach pytali mnie o nią, bo pochodzili z regionu, gdzie katolicyzm jest nieobecny, więc Matka Boska to postać nierozpoznawalna.

Dobry tłumacz potrafi jednak przełożyć obraz na obraz. Bo nie chodzi tu tylko o kwestię języka, ale też o głębokie rozumienie i intuicję. Jeśli podczas spotkań za granicą pytania o książkę są podobne do tych w Polsce, to wiadomo, że trzeba przybić piątkę z tłumaczem.

Moi tłumacze są zresztą jacyś szczególni. Właśnie się dowiedziałam, że robią desant na Sztokholm. Wynajęli salę z telewizorem, żeby świętować wręczenie Nobla. To jest przecież i dla nich nagroda, należy im się głęboki pokłon i podziękowanie.

Jesteś najbardziej znaną polską pisarką za granicą. Spotykasz się tam z innymi pisarzami. Jaki to jest rodzaj relacji?

To bywa i ciekawe, i rozczarowujące. Świetna pisarka może się okazać niesympatyczna, ale może być też odwrotnie – od razu się w kimś zakochuję, a później mam problem z jego lub jej literaturą.

Ale mam też znajomości spójne pod tym względem. Ostatnio byłam bardzo dumna, bo nagrodę Angelusa we Wrocławiu dostał Georgi Gospodinow, pisarz bułgarski, którego znam od dwudziestu lat. Zaczynaliśmy jako dwie bidne sieroty z Europy Środkowej, spotykaliśmy się na kongresach i festiwalach, źle mówiliśmy po angielsku. Staraliśmy się wspierać. Natychmiast rozpoznawaliśmy się w gustach literackich, czytaliśmy tych samych autorów. Widziałam u niego podobne rozpoznania i rozwiązania pisarskie. Kiedy czytałam „Fizykę smutku", miałam poczucie entuzjastycznej radości, że ktoś podobnie zobaczył i spróbował opisać świat.

Dlatego, że pochodzicie z tej samej ojczyzny wyobrażonej?

Niekoniecznie – przecież całą noc gadałam z Deborah Levy. Ona pisze zupełnie inaczej, w brytyjski, porządny sposób – a miałyśmy sobie tyle do powiedzenia i takie same rozpoznania. Fascynującą postacią jest Australijczyk Richard Flanagan.

Gdybym teraz miała napisać pracę magisterską, zajęłabym się konstrukcjami narratora w jego prozie, bo jest w tym genialny! Zaczepiłam go kiedyś przy hotelowym śniadaniu. Obsługa restauracji wyrzuciła nas w okolicach obiadu, bo nie mogliśmy się rozstać.

W pytaniach od czytelników często pojawia się pytanie: kto tak naprawdę mówi w Twoich utworach? Czy to jest Olga Tokarczuk?

Naprawdę, jest takie pytanie?

Tak.

↦

↦ Mam kilka hipotez, ale muszę poczekać jeszcze ze sformułowaniem odpowiedzi, również samej sobie.

Najłatwiej się pisze – mnóstwo debiutów tak wygląda – kiedy postanowimy, że będziemy „pisać z ja" i uznamy, że głos, który mówi, ma większe lub mniejsze związki z nami samymi. Potem wszystko leci już bardzo łatwo. Ten rodzaj literatury potrafi być cudowny, dygresyjny, głęboki. Ale narrator trzecioosobowy jest już wymagający niezwykle. To znaczy sam zaczyna wymagać czegoś od osoby piszącej. Chce wiedzieć różne rzeczy. Autor musi mu przygotować *research*, musi go jakoś wesprzeć i obsłużyć.

Zdarza się, że pisarz nie kontroluje tego wszystkiego: kto mówi, z kim i o czym. Pierwszy taki przypadek miałam, kiedy pisałam „Dom dzienny, dom nocny": urwała mi się Marta. Pewnego dnia zaczęłam pisać dialogi i nagle zdałam sobie sprawę, że postać mówi coś, czego wcale nie planowałam! Pojęłam, że oto jestem w „ciągu pisarskim". Dzieje się coś niesamowitego, z czym powinnam się pogodzić i tylko zapisywać. A potem jakoś sobie poradzę z tymi dialogami. I okazało się, że to dobre rozwiązanie, bo książkowa Marta jakoś się wybiła. Do wsi, w której mieszkam, wciąż przyjeżdżają ludzie i pytają mieszkańców, gdzie jest dom Marty.

Przy „Księgach Jakubowych" taką osobną, energetyczną częścią, która ciągnęła tę książkę i uratowała jej strukturę, była czwartoosobowa narratorka Jenta.

Która jest, ale jej nie ma.

Przede wszystkim ma ogromne kompetencje, ponieważ porusza się w czasie, widzi z różnych punktów widzenia. Wchodzi do głowy człowieka, postaci, rozumie więcej. A na końcu okazuje się, że ogląda autora, który tworzy tekst. Kiedy się już złapie takiego narratora, ma się książkę napisaną.

Powiedziałaś kiedyś, że pisanie to jest czynność niebywale samotna. Ale jesteś przecież wśród postaci, o których piszesz. Czy więc pisanie pogłębia samotność, czy raczej ją zażegnuje?

Samotność, o której wtedy mówiłam, dotyczyła procesu pisania. On jest niewyrażalny. Inny człowiek nie ma przecież do powstającego świata dostępu. Im dłużej ten proces trwa, tym częstsze są psychotyczne wręcz momenty poczucia, że choć uczestniczysz w jakimś świecie, to nie ma sposobu, żeby się nim podzielić.

Dobry tłumacz potrafi przełożyć obraz na obraz. Nie chodzi tylko o kwestię języka, ale też o głębokie rozumienie i intuicję. Jeśli podczas spotkań za granicą pytania o książkę są podobne do tych w Polsce, to trzeba przybić piątkę z tłumaczem.

Potem przychodzi moment, kiedy książka się ukazuje i cały ten skrajnie introwertyczny, wręcz autystyczny proces staje się procesem ekstrawertycznym, celebrowaniem. Przejście z jednego momentu w drugi jest dla mnie ekstremalnie trudne. Trzeba wyjść z piżamy, ubrać się, umalować i zacząć opowiadać o tym, co robiłam przez ostatnie kilka lat. Wydawnictwo powinno wtedy zapewnić jakieś wsparcie psychologiczne *(śmiech)*.

Ta sama czytelniczka, która pytała o Twoje obsesje i lęki, chciałaby wiedzieć, „czy wejście w sferę mitów narodowych i odmitologizowanie naszych wyobrażeń wiele Panią kosztowało".

Chodzi pewnie o „Księgi Jakubowe". Byłam szczęśliwa, kiedy znalazłam coś tak żywego, że będzie się cudownie pisać tę opowieść, podążać za tematem. Brało się to stąd, że stając się dojrzałą kobietą zetknęłam się z filozofią feminizmu, że nieobce były mi debaty o postkolonializmie, że nocami kłóciłam się o to, jak powinna wyglądać literatura, czym był polski romantyzm, że czytałam książki Marii Janion, że kłóciłam się o politykę. To wszystko zrosło się w bulwę, z której wyrosły liście tej mojej powieści.

Nauczono nas, by traktować fakty historyczne...

...jakby były gotowe, pozamykane.

Ale przecież mamy nieustannie dostęp do nowych kluczy, nowych punktów widzenia. Tak rozumiana współczesna powieść historyczna otwiera ocean tematów. Musimy je sobie na nowo opowiedzieć już bez obowiązkowego romantycznego paradygmatu. Opowiedzieć raz jeszcze to, czym zajmowali się Kraszewski albo Sienkiewicz. Każda zbiorowość powinna wciąż na nowo definiować swoje korzenie i swoją historię.

Powieść historyczna powinna być w Polsce gatunkiem uprzywilejowanym?

Mój radar podpowiada, że raczej zajmiemy się teraz *science fiction*. Ludzie na świecie przestają się interesować tożsamością, która była ważna w momencie przejścia, kryzysu. Powrót do tożsamości był reakcją lękową w płynnym świecie. Tematy, które zdefiniują najbliższe stulecie, będą związane z rzeczywistością wirtualną, z pytaniem o to, co jest rzeczywiste, a co nie, z katastrofą klimatyczną i z postapokaliptycznymi wizjami przyszłości.

Czym w ogóle powinna być literatura?

Literatura – zawsze to powtarzam – jest bardzo wyrafinowanym, głębokim sposobem komunikacji międzyludzkiej. Ci, którzy czytają, poszerzają swoją świadomość, ale zmniejszają swoje ego. Ci, którzy nie czytają, przeciwnie: zmniejsza im się świadomość, ale ego im puchnie *(śmiech)*.

Na koniec zostawiłem pytanie pana Stanisława: „Pani Olgo, co dalej z Polską?".

O matko! *(śmiech)* Tylko jedno przebija to pytanie. Kiedyś na spotkaniu autorskim ktoś z ostatniego rzędu podniósł rękę i zapytał: „Pani Olgo, czy Bóg istnieje?".

Dla niektórych to jest to samo pytanie.

Co będzie z Polską, zależy od nas. Tworzymy jej rzeczywistość w każdym momencie naszego życia, nie tylko głosując, ale dokonując drobnych wyborów, zamawiając jedzenie w restauracji albo wyrażając sympatię do innych.

Jak w bajce, kiedy główny bohater musi na rozstajach wybrać między trzema drogami. Głupi Jaś wybierał zwykle drogę w lewo, która okazywała się skrajnie trudna, ale jednak prowadziła do nagrody *(śmiech)*.

© Rozmawiał MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI

▪ Tekst jest zredagowanym zapisem spotkania z Olgą Tokarczuk podczas Międzynarodowego Festiwalu im. Josepha Conrada.

Chimamanda Ngozi Adichie z Grzegorzem Jankowiczem

Ćwiczenia Conradowskie

GRZEGORZ JANKOWICZ

Literatura jest dla nas narzędziem, za pomocą którego można prowadzić egzystencjalny trening. Wszyscy, którzy przyjeżdżają co roku na Festiwal, doskonale wiedzą, że nie zajmujemy się doktrynami, lecz praktykami.

Dobra fabuła to taka, która opowiada o przemianie bohaterki lub bohatera. W wyniku określonych zdarzeń, które skłaniają daną postać do działania, dochodzi do wewnętrznej metamorfozy. Ktoś wykonuje określoną pracę (emocjonalną, intelektualną, egzystencjalną), by osiągnąć pewien cel: zmienić sposób myślenia, funkcjonowania, słowem – życia.

Marta Eloy Cichocka i Almudena Grandes

Większość festiwalowych wydarzeń (które odbywały się od 21 do 27 października) dotyczyła właśnie takich doświadczeń. Tegoroczni goście mówili o rzeczywistościach, w których poruszamy się na co dzień, o tym, jak wpływają na nas warunki społeczne oraz o tym, jak my – mniej lub bardziej skutecznie – próbujemy oddziaływać na świat.

Olga Drenda i Marcin Napiórkowski opowiadali o mitologiach domowych, czyli narracjach, za pomocą których porządkujemy doświadczenia indywidualne i społeczne. Mit jest czymś w rodzaju instrukcji obsługi, która pozwala nam odnaleźć się w danej wspólnocie. Podpowiada, w jaki sposób powinniśmy się zachowywać, wysławiać, w co wierzyć, co traktować jako istotne, kogo uznać za sprzymierzeńca, a kogo za wroga. Za te ułatwienia płacimy wysoką cenę: mit wyłącza bowiem zdolność krytycznego myślenia. By ją odzyskać, potrzebny jest dystans, w wypracowaniu którego pomaga literatura.

Bill Gaston podzielił się z publicznością historiami, których bohaterowie pragną zapomnieć o przeszłości, uwolnić się od jej przytłaczającego wpływu. Chcą wyzerować liczniki egzystencji i zacząć wszystko od nowa. Jeśli ponoszą porażkę, to dlatego, że za bardzo koncentrują się na zewnętrznych okolicznościach egzystencji, pomijając przy tym wewnętrzne uwarunkowania, których neutralizacja jest możliwa wyłącznie wtedy, gdy podejmujemy wysiłek samopoznania.

Tematem spotkania z Benjaminem Balintem był konflikt między jednostką a narodem, między pojedynczym człowiekiem, który wszedł w posiadanie „skarbu" (manuskrypty Franza Kafki), a grupą, która ów „skarb" traktuje jako część własnego dziedzictwa kulturowego. Walka o zachowanie tożsamości narodowej i zabezpieczenie tradycji prowadzona jest wszelkimi dostępnymi środkami. Co ciekawe, działając na rzecz Kafki, zakładając, że tego wymaga racja stanu, państwo wykorzystuje narzędzia poddawane przez pisarza krytyce.

Veronika Janatková i Andrew Smith dyskutowali o dwóch grupach ludzi: tych, którzy pragnęli polecieć na Księżyc, ale nigdy im się to nie udało, a także tych, którzy odwiedzili srebrny ↦

Olga Hund, laureatka Nagrody Conrada, wśród nominowanych i jurorów
Poniżej: spotkanie z Mariuszem Szczygłem, prowadzi Zofia Król, na język migowy tłumaczy Magdalena Sipowicz

↦ glob, ale nie zaspokoiło to ich potrzeb. W jaki sposób żyć z poczuciem niespełnienia i rozczarowania? Jak uporać się z duchowym niepokojem, którego nic nie może uciszyć? Jak powiedziała Janatková: marzenie może być impulsem, który wywołuje zmiany w naszym życiu, ale może być także pułapką, trzymającą nas w miejscu.

Charlotte Gordon zaprezentowała biografie dwóch kobiet – Mary Wollstonecraft i jej córki Mary Shelley – które za wszelką cenę próbowały uwolnić się spod wpływu obowiązujących w ich świecie konwencji. Poruszając się na obrzeżach społeczeństwa, które nie było gotowe na ich rewolucyjny sposób istnienia, nieustępliwie dążyły do obalenia fundamentów, na których wspierała się patriarchalna kultura wiktoriańskiej Anglii.

Didier Eribon opowiadał o powrocie do źródeł wykluczenia, czyli do rodzinnego domu oraz francuskiej miejscowości, której mieszkańcy nie potrafili zaakceptować innej niż tradycyjna formy życia. W reakcji na to opresyjne ograniczenie francuski filozof i socjolog wyrzekł się swych korzeni, odrzucił wspólnotę, w której przez jakiś czas się wychowywał, by uobecnić to, co postrzegał jako najbardziej własne – jednostkową tożsamość. Po latach zrozumiał, że prawdziwą wolność zyska dopiero wtedy, gdy przestanie się wstydzić rodziny i lokalnej społeczności.

Rozmowa z Chimamandą Ngozi Adichie dotyczyła potrzeby wyjścia poza granice jednej opowieści, która determinuje naszą świadomość i wyobraźnię. Jako młoda czytelniczka, żyjąca w Nigerii, ale zachwycająca się brytyjską prozą, Adichie układała fabuły o białych ludziach, którzy spacerują po trawnikach, popołudnia spędzają na rozmowach przy herbacie, a wieczorami raczą się imbirowym piwem. Dopiero później zrozumiała, że bohaterowie jej opowieści żyją obok niej – to ludzie, którym kolonizatorzy odebrali głos, skazani na egzystencję w ukryciu, z dala od głównego nurtu wydarzeń. Była to droga do wyzwolenia nie tylko artystycznego, lecz także politycznego.

Po raz piąty (a po raz pierwszy jako noblistka) odwiedziła festiwal Olga Tokarczuk. Zapis spotkania, na które przybyła do ICE Kraków dwutysięczna publiczność, znajdą Państwo na poprzednich stronach.

Jacek Dukaj

Marta Dzido

Agnieszka Holland

Didier Eribon. Poniżej: Charlotte Gordon

Także po raz piąty wręczyliśmy Nagrodę Conrada za najciekawszy debiut literacki minionego roku. Jej laureatką została Olga Hund, autorka książki „Psy ras drobnych" (wyd. Korporacja Ha!art).

Na siedem festiwalowych dni złożyło się (wliczając program towarzyszący) ponad 180 wydarzeń, które najkrócej i najadekwatniej należy określić mianem ćwiczeń conradowskich. Literatura jest dla nas bowiem narzędziem, za pomocą którego można prowadzić egzystencjalny trening. Wszyscy, którzy do nas co rok przyjeżdżają, doskonale wiedzą, że nie zajmujemy się doktrynami, lecz praktykami. Opowieści, które czytamy i o których rozmawiamy, mogą być zaczynem przemiany, częściowej lub całościowej metamorfozy. Nasze spotkania są również próbą wspólnoty, która od jedenastu lat na różne sposoby ze sobą współdziała, tworząc najważniejszy i największy polski festiwal literacki. Należą do niej: pisarki i pisarze, moderatorki i moderatorzy, tłumaczki i tłumacze, wydawcy, publiczność (która w tym roku stawiła się u nas w liczbie sięgającej 20 tys. osób), liczne instytucje (m.in. tradycyjna już arena głównych festiwalowych wydarzeń – Pałac Czeczotka, gospodarz Pasma Filmowego – Kino Pod Baranami, współtworzące z nami Pasmo Berlińskie: Dom Norymberski, Instytut Goethego i Muzeum Inżynierii Miejskiej, biblioteki, muzea, księgarnie i kawiarnie, a także nowy „Dom Conrada", w którym zamieszkali nasi goście – Belle Epoque Residence Kraków), wolontariuszki i wolontariusze, indywidualni i instytucjonalni darczyńcy, partnerzy i sponsorzy, a wreszcie ekipy organizatorów: Fundacji Tygodnika Powszechnego i Krakowskiego Biura Festiwalowego.

Wszystkim dziękujemy i zapraszamy na wspólne ćwiczenia za rok!

©℗ GRZEGORZ JANKOWICZ

AUTOR *jest dyrektorem programowym Festiwalu Conrada*

ZDJĘCIA: *Edyta Dufaj i Robert Słuszniak dla Krakowskiego Biura Festiwalowego*

Lektor:
Między światami

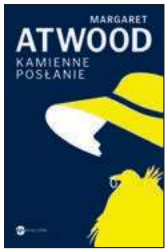

▪ *Margaret Atwood*
KAMIENNE POSŁANIE
Przeł. Paweł Lipszyc,
Wielka Litera,
Warszawa 2019,
ss. 286.

„Na początku Verna nie zamierzała nikogo zabijać. Zależało jej wyłącznie na prostych, nieskomplikowanych wakacjach". Oto jak od pierwszego zdania przykuć uwagę czytelnika!
Nim ukażą się u nas „Testamenty" – nagrodzona Bookerem kontynuacja „Opowieści podręcznej" – dostajemy dziewięć opowiadań sławnej Kanadyjki, która obchodzić będzie wkrótce osiemdziesiąte urodziny. Tom otwierają trzy opowieści, w których ta sama historia oświetlona zostaje z różnych stron. Constance, stara owdowiała pisarka, zmaga się z atakiem zimy, wspierana lakonicznymi radami zmarłego męża Ewana. W nocy w erotycznym śnie przychodzi do niej jednak nie Ewan, lecz jego poprzednik Gavin, wybitny poeta. I to Gavin – niedołężniejący, wykorzystywany przez młodszą o kilka dekad żonę – staje się główną postacią drugiego ogniwa cyklu. W trzecim zaś pozycję obserwatora zajmuje brat bliźniak kobiety, z którą kiedyś Gavin zdradził Constance; zdradził podwójnie, bo także zmienił adresatkę swoich wierszy miłosnych. Tyle plan realistyczno-psychologiczny, jest jednak i inny. Constance odniosła sukces dzięki serii książek o fantastycznej krainie zwanej Alphinlandią. Dziś uznawana jest za patronkę „dwudziestowiecznego fantasy światotwórczego", a Gavin, który jej pisanie uważał za grafomanię, przeżywa wstrząs, kiedy odwiedzająca go młoda badaczka okazuje się interesować nie jego wierszami, ale dziełem Constance. Alphinlandia dla jej twórczyni stała się tymczasem czymś więcej niż konceptem literackim i sposobem na życie...
Pięknie się w tej prozie łączy mikrorealizm z wyobraźnią, a wrażliwość psychologiczna z czarnym humorem. „Martwa dłoń cię kocha" to znów gra z literaturą gatunków; tytułowy popularny horror przynosi autorowi sławę, a równocześnie wplątuje go w toksyczny związek z trojgiem kolegów. W innym opowiadaniu bohater, kupując na aukcji zawartość schowka magazynowego, znajdzie w nim suknię ślubną i zestaw akcesoriów weselnych, od tortu przez biały serwis po skrzynki z szampanem. Także, niestety, pana młodego – w postaci liofilizowanej. Wkrótce też pozna jego morderczynię. A wspomniana na początku Verna, specjalistka w dyskretnym skracaniu życia kolejnych mężów, wśród uczestników wycieczkowego rejsu przez arktyczne Morze Beauforta rozpozna mężczyznę, który wiele lat temu wykorzystał ją i porzucił – i wreszcie pozna smak zemsty. Niewielu potrafi tak opowiadać jak Margaret Atwood! ©℗

REKLAMA

Kraków. Dzieje i sztuka

– nowy polski i angielski przewodnik poświęcony historii i kulturze miasta

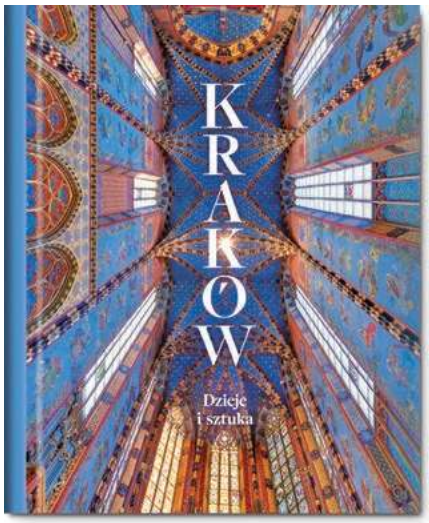

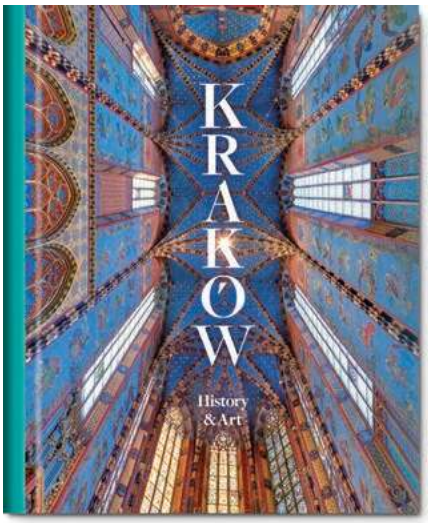

Zapraszamy do naszej księgarni internetowej www.mck.krakow.pl/ksiegarnia

Międzynarodowe Centrum Kultury

PAWEŁ

Bravo:
Rodaku, upiecz ciasto

Siedemdziesiąt procent. Taki odsetek w grupie brytyjskich telewidzów, którzy z zasady omijają wiadomości, twierdzi, iż czyni tak z niechęci do połykania piany informacyjnej toczonej z racji brexitu. Zaiste, trafiła się im kapitalnie trudna łamigłówka z granicą w poprzek Irlandii. A do tego parada aparatczyków nieznających innej odpowiedzialności niż ta przed własną karierą oraz spryciarzy, których przeciętna inteligencja pozwala w tym galimatiasie odgrywać demiurgów na miarę Churchilla. Dlatego Sky News wprowadził nowy kanał newsowy całkiem pozbawiony wiadomości okołobrexitowych.

Przypuszczam, że słyszeliście już o tym, ale mogliście nie docenić epokowej wagi zdarzenia. Oto „poważny" w XX-wiecznym sensie dostawca wiadomości mówi otwartym tekstem, że będzie filtrował za nas przekaz nie ze względu na rangę spraw, tylko ulegając naszemu emocjonalnemu kaprysowi. Mówi otwarcie, nawet z dumą: będziemy jak twój fejsbuczek, żebyś się tylko nie zdenerwował.

Marudzę, że to koniec pewnego świata, ale ileż razy sam marzę przy śniadaniu o polskim kanale radiowym pełnym newsów, ale bez tych z ul. Wiejskiej. W tych dniach nie dzieje się tam nic godnego uwagi – a ściślej, rzeczy istotne dzieją się, ale poniżej czegoś, co zwę roboczo progiem publikowalności: to znaczy rozgrywają się skrycie i w tak zawiły sposób, że żaden rzetelny dziennikarz nie stworzy z tego newsa. Już prędzej, żeby zapchać ramówkę, będzie powtarzał okrągłe zdania. To, co zostaje na dnie świadomości pod koniec dnia, to tylko złe emocje. Promieniują tym bardziej teraz, bo nikt nie wydaje się zadowolony z rysujących się układów.

Jako elektorat się nie sprawdziliśmy, upiekliśmy naszym posłom Sejm z zakalcem, podobnie jak ci na Wyspach, nie bardzo świadomi, czego chcą, ale przecież dla siebie każdy umie lepiej, prawda? Pięć do siedmiu milionów ludzi – to na pewno więcej niż ci, dla których ważne jest rozumieć coś z polityki – czekało na koniec października nie z powodu brexitu, tylko ze względu na finał dziewiątej edycji programu „The Great British Bake Off". Pośród tuzina innych kuchennych *reality shows*, które zmieniły na skalę masową podejście do gotowania, ten miał niesamowitą siłę oddziaływania – po dwóch latach od startu w 2010 r. „ciasto" zastąpiło „kurczaka" jako najczęściej wyszukiwane słowo na jednej z ważniejszych witryn kulinarnych BBC Good Food. Sieci sklepów z artykułami gospodarstwa domowego notowały gigantyczne skoki sprzedaży utensyliów takich jak rękawy cukiernicze czy trzepaczki. A to wszystko, jak twierdzą zawodowi obserwatorzy rozrywki telewizyjnej, głównie dlatego, że program emanował słodką, pachnącą cynamonem łagodnością. Uczestnicy byli starsi i zwyczajniejsi niż w innych formatach, zadania obliczone tak, by dało się je wykonać bez łez i upokorzenia, prowadzący raczej wspierali, zamiast szydzić i dręczyć. Z tego, co czytam, właśnie nastąpił kres tej epoki i „Bake Off" doszlusował do reszty formatów, grając tym, za co ich serdecznie nie cierpię – jeśli jest w tych sztucznych dekoracjach jakaś „reality", to tylko taka, że ciemna część naszej osoby pragnie widzieć, jak zły los dotyka bliźnich co najmniej tak samo brzydkich i głupich jak my. Należałoby to zwać Telewizją Cienia.

A przecież trudno o coś bardziej adresowanego do naszej jasnej strony duszy jak pieczenie ciast i ciastek. Słodycz, ciepło z pieca, rozczulające zapachy, piękno i świąteczna „zbędność" deserów. Nawet fizyczny trud wyrabiania ciasta wydaje się w przypadku drożdżowych bułeczek jakiś mniej obarczony klątwą nałożoną na naszych prarodziców. Dlatego w coraz szerzej stosowanej kuchennej odnodze terapii zajęciowej najważniejsze są zajęcia piekarnicze i cukiernicze. Przekształcić fizycznie, z medytacyjną cierpliwością coś, co potem ulega niezależnym od nas przemianom, by na koniec przyjąć inną postać, ale niosącą piętno swego twórcy – jest w tym jakaś dobra moc.

Nie mówiąc już o tym, że wypiekiem najłatwiej się dzielić. Od samego tworzenia i częstowania innych jakby nas przybywało, grubną nasze kontury, to działa jak solidna dawka antydepresantu. Kiedyś przyglądałem się, jak pierwszaki na szkolnym kółku kucharskim czekały niecierpliwie, aż ciastka wyjdą z pieca – znacie chyba ten błysk czekania na łakocie w oczach. Po czym zamiast je spałaszować w całości, brały na talerz i pędziły do starszych o parę lat kolegów, przeczuwając słusznie, że to jest najprostszy sposób, by mogły w ich oczach zaistnieć.

Bądźmy jak te dzieci. Nie czekajmy, aż politycy zmądrzeją czy staną się lepsi. Pieczmy dla siebie, dla innych. Codziennie. Niech każdy kilowat, który tej zimy będziemy zużywać, ogrzewa nasze serca, a nie tylko domy. ©℗

ADOBE STOCK

Krążąc ostatnio po płaskich jak Mazowsze, jednak nieco urodziwszych polach włoskiej Emilii, dokąd udałem się po dostawę dobrego parmezanu dla swojej redakcji, jadałem w wiejskich barach tamtejszy comfort food zwany torta di riso. Jest to bowiem wypiek z rosnącego po sąsiedzku ryżu odmiany vialone nano, ale my możemy użyć także każdego innego dobrego do risotta (arborio, carnaroli). Doprowadzamy prawie do wrzenia litr mleka ze skórką połowy cytryny i 50 g cukru. Wsypujemy 250 g ryżu, gotujemy na bardzo wolnym ogniu, często mieszając, pół godziny albo i dłużej, aż ryż wypije płyn i utworzy się gęsta papka. Studzimy. Miksujemy 3 jajka z 100 g cukru i odrobiną ekstraktu waniliowego. Łączymy z wystudzonym ryżem. Możemy dodać garść siekanych migdałów albo innych bakalii. Wylewamy do wysmarowanej masłem i oprószonej bułką tartą formy (na wysokość ok. 3 cm). Pieczemy w 180 stopniach ok. 50 minut, aż się ładnie ozłoci z wierzchu. Ciasto powinno być mokre w środku, ale zwarte.

DOMENA PUBLICZNA

Antonio de Pereda, „Sen rycerza", ok. 1655 r.

SEN ZAŁOŻYCIELSKI

Dla Kartezjusza sen nie jest odlotowym wybrykiem, gdyż śni go ten sam wciąż umysł. A ciało czuwające i ciało śniące pozostają jednym i tym samym ciałem.

MAREK BIEŃCZYK

Wszyscy podkreślają, że miał tamtej nocy ciepło. Jakby mu zazdrościli. Jakby pisali swoje komentarze w zimnych pokojach, w przeciągu czy bez gorącej herbaty. Ale też jakby było im przyjemnie, że bidak nie marzł; jest w ich tekstach coś troskliwego.

Kartezjusz śni równo od czterystu lat; to chyba jedyny sen, który się mniej lub bardziej uroczyście obchodzi i któremu liczy się rocznice. Od czterystu lat jest mu ciepło. Wynajął pokój z piecem późną jesienią 1619 r. – sam porę roku określał jako „zimę" – na pustawych obrzeżach bawarskiego miasteczka. Liczył dwadzieścia trzy wiosny, trwała już wojna trzydziestoletnia. Wcześniej zaciągnął się do armii Maksymiliana I Bawarskiego. Przy pierwszym rozejmie poszedł na swoje; do wojska już nie wrócił.

Francuzi piszą wprost, że „wynajął piec". Tak określało się pokoik przylegający do pomieszczenia, w którym grzano z zewnątrz, najczęściej od kuchni. W „Rozprawie o metodzie" (1637) jeszcze ten piec z lubością wspomina. Na zewnątrz ziąb, a on tu, na paru metrach kwadratowych w samym środku, w ciepłej matrycy, u Pana Boga za piecem. Czy jednak rzeczywiście u Pana Boga? Opinie od czterystu lat są różne. Faktem jest, że po przebudzeniu przyrzekł sobie pielgrzymować do Notre Dame de Lorette. Poszedł cztery lata później.

Nie wiemy, czy dobrze mu się spało przez całą jesień i zimę; tamta noc, z 10 na 11 listopada, była burzliwa. Zasypiał, budził się, z jednego snu przenosił w kolejny, i tak aż do rana.

Mówimy w skrócie – i celebrujemy – „sen Kartezjusza". Sen niezwykły, mający stanowić podstawę czy objawienie dla modelu wiedzy, który później zbuduje; jego fenomenalną intuicję, przepowiednię czy streszczenie. W istocie były to trzy sny, trzy śnienia. Dwa pierwsze, raczej koszmary, i ten trzeci, dobry, po jeszcze jednych chwilowych przebudzinach. Kartezjusz opisał je wkrótce sobie samemu po łacinie. Do nas dotarło francuskie streszczenie zamieszczone w pierwszej bio-

grafii filozofa, „La vie de Monsieur Descartes" („Żywot imć Kartezjusza"). Opublikował ją w roku 1692 Adrien Baillet; opis trzech snów zajmuje nie więcej niż trzy strony. Rękopis, nazwany przez Kartezjusza „Olympica" (w znaczeniu: „Droga na Olimp"), przepadł w XIX wieku; kilka większych fragmentów znalazło się w notatkach Leibniza.

Jajko i melon

Z książki Bailleta korzystał młody Samuel Beckett, gdy w roku 1930 pośpiesznie pisał stuwersowy poemat na konkurs poetycki. Zdążył, zatytułował go „Whoroscope" i konkurs wygrał; później opatrzył swe dziełko – bardzo niejasny monolog Kartezjusza – wyjaśniającymi (tyle o ile) komentarzami. Poemat zaczyna się od słów:

„*What's that? / An egg? / By the brothers Boot it stinks fresh. / Give it to Gillot*".

Kartezjusz – wyczytał Beckett – miał bowiem bzika na punkcie świeżych jajek. Lecz w drugą stronę: nie zjadł omletu, jeśli nie były co najmniej tygodniowe.

W pierwszym śnie przede wszystkim wieje. Okropny wicher, przed którym trzeba się gdzieś schronić. Idącym ulicą Kartezjuszem obraca dookoła, tym bardziej że dokucza mu bardzo lewy bok. Wchodzi do budynku szkolnego, by znaleźć ciszę i lekarstwo. Chce się pomodlić w kaplicy, lecz spostrzega, że zna skądś mężczyznę, który właśnie go minął. Poszedłby za nim, by się mu grzecznie ukłonić, lecz wpada na inną osobę; ta wyjaśnia mu, że jeśli ma zamiar mężczyznę odnaleźć, musi wręczyć ten oto melon z dalekich krain.

W trakcie trzeciego snu i zaraz po przebudzeniu Kartezjusz sam zaczyna interpretować wyśnione właśnie sny. O melonie mówi, że „oznaczał wdzięki samotności, lecz przedstawione pod postacią czysto ludzkich pokus". Badacze snów i symboli wysuwają, że – na przykład – ujawnia się w tej scenie pragnienie, by niczym Archimedes chwycić świat w dłoń i utrzymać go siłą woli. Bo też kulę ziemską przedstawiano ponoć niekiedy pod postacią melona (na co dowodem miał być pewien przypis u Erwina Panofskiego). Ktoś inny twierdzi wprost, że „chodzi o Galileusza i system heliocentryczny". Albo że wyraża inaczej jabłko, owoc dobra i zła; albo że czytał o nim u świętego Augustyna. I tak dalej. Zygmunt Freud, który nocy Kartezjusza nie poświęcił uwagi, na życzenie znajomej skomentował w paru linijkach tylko sen pierwszy, mówiąc, że filozof w swej intepretacji „oczywiście się myli": owoc kojarzyć należy – jakżeby inaczej – z przedstawieniem seksualnym. Nie wiem, czy Kartezjusz aż tak się mylił; jest przecież mowa o pokusach.

Nigdzie natomiast nie natknąłem się na zestawienie z jajkiem, wydobytym przez Becketta. A przecież aż uderza owalne podobieństwo, owalna obsesja. Może niekoniecznie seksualna. Może genetyczna, zaczynamy wszystko *ab ovo* i wreszcie na świeżo, już bez lęku, przed nami przyszłość. I tak dalej. Lubię sen Kartezjusza, ale trochę sobie dworuję, bo interpretacjom snów nie ma końca; nikt zresztą ich tak nie naciągał jak Freud.

Entuzjazm

Literaci lubią strącać filozofów z ich własnych systemów, przesuwać w stronę bardziej poetycką. Dla najwybitniejszego surrealisty, Raymonda Queneau, racjonalista Kartezjusz był prawdziwym marzycielem. Na przykład marzycielem miasta. Lubił zwłaszcza Amsterdam; w korespondencji roztaczał jego uroki: kanały, które wprawiają w stan zamarzenia, puste przestrzenie dla samotnych przechadzek, starania amsterdamskiego ludu, by upiększyć miasto i uprzyjemnić w ten sposób spacery. Przyjacielowi, którego zapraszał do Amsterdamu, obiecywał, że będzie go witał „naręczem snów na jawie". Nie znosił Rzymu: „Jeśli aż tak bardzo lękasz się północnych zim, powiedzże mi, jakiż to cień, jakiż to wachlarz, jakaż to fontanna uchroniłyby Cię równie dobrze przed rzymskim skwarem, co przed zimnem chronią tutaj piec i palenisko". Znowu to ciepło w środku ziąbu. Jak domek pośrodku zimnego świata. Jak gorąca myśl wśród zimnych otchłani.

W trzecim śnie Kartezjuszowi ukazują się dwa dzieła. Jeden to filozoficzny Dykcjonarz, drugi, po chwili, to zbiór różnych poezji, „Corpus Poetarum"; dla Queneau z pewnością dobry omen. Śniący nie wie, kto te poezje na stole położył, choć wydaje mu się, że dobrze zna ich treść. I wnioskuje po chwili, że u poetów można znaleźć sentencje, jeśli nawet niektóre z nich na pozór niezborne, to o wiele poważniejsze i głębsze niż w pismach filozofów. I że prawdziwa mądrość pojawia się w błyskach wyobraźni, a nie w rozumie filozofów.

We fragmencie tym i w paru innych miejscach Kartezjusz opisujący swe sny miał użyć słowa „entuzjazm". Słowo miało wówczas nieco inne znaczenie: oznaczało, owszem, stan pewnej ekscytacji, lecz uwzględniało jej natchnione – przez Boga czy przez inną siłę ponadczłowieczą – pochodzenie. Biograf, wspomniany Adrien Baillet, czuje się zmuszony interweniować. Tak, może nasunąć się podejrzenie, że Kartezjusz nadużył tamtej nocy trunku, tym bardziej że na świętego Marcina miasto chodziło pijane, lecz, zapewnia, entuzjazm wyrósł z innego źródła, gdyż Kartezjusz nie tknął był wina od trzech miesięcy.

Już przecież przed zaśnięciem przyszły filozof tkwił w jakiejś gorączce, w niezwykłym poruszeniu, niejako w oczekiwaniu na bliskie odkrycie „wiedzy cudownej"; czegoś szukał w swych myślach. „Wśród nich jedną z najdonioślejszych był pomysł – wspomina Kartezjusz po latach tamten dzień – aby rozważyć fakt, że często dzieła poskładane z wielu osobno powstałych części i wykonane ręką rozmaitych mistrzów mniej są doskonałe niż te, nad którymi pracował tylko jeden człowiek" („Rozprawa o metodzie"). Tym człowiekiem będzie on.

Surrealiści chętnie by widzieli, żeby fundamenty wiedzy absolutnej, które postawi Kartezjusz, wyrastały od sennej strony. Lecz przecież nie tylko oni. Pewnie w większości i my życzylibyśmy sobie, aby nasz absolut, nasze bezwzględne rozpoznanie życia, na którym fundujemy nasze poczynania, miały jeszcze jakieś inne pochodzenie niż nasz własny rozum (nie mówiąc o używkach); by obwarowywała je dodatkowa gwarancja, której źródła do końca nie znamy. Może dlatego głośniej się obchodzi rocznicę snu Kartezjusza niż publikacji „Rozprawy o metodzie". Jedno i drugie miałyby mówić o tym samym, lecz bardziej wiarygodne – skoro tajemnicze – byłoby to pierwsze.

Zły wiatr

Była już mowa o tym, że w pierwszym śnie wiało. Zimny, nieprzyjemny wiatr – Beckett w swym poemacie wspomina ↦

↦ o *evil wind*. Ten wiatr rzuca nim tylko, Kartezjuszem; inni ludzie wokół stoją twardo, a i maszerują bez trudu; śniący nazwie ów wrogi wicher wprost „złym duchem".

Oba pierwsze sny są w całości nieprzyjemne. W pierwszym pokazują się widma, ukazują przeszkody, budzące w śniącym strach. Kartezjusz, zdjęty lękiem, przewraca się z lewego, obolałego boku na prawy; będzie naciskał nim na wątrobę – powiadają niektórzy komentatorzy – czyli, według Platona, źródło widzeń; dla jungistów zmiana pozycji oznaczała odwrócenie się od przeszłości i zwrócenie się ku przyszłości. Przerażony tym, co we śnie ujrzał, zaczyna w chwili, gdy się ocknął, modlić do Boga, by uchronił go przed takimi obrazami i wybaczył mu grzechy (choć, śpieszy dodać biograf, prowadził życie całkowicie bezgrzeszne). Po czym ponownie zasypia. Przerwa na niewiele się zdała, jest ciągle niedobrze, drugi, krótki sen, duszący i groźny, wypełnia się potwornym hałasem, wynikającym jakby z uderzenia pioruna; Kartezjusz budzi się i widzi, że pokój zapełnił się świetlistymi iskrami.

Kartezjusz przerażony interesuje Becketta, gdyż tenże, autor prozy o tytule „Nienazywalny", pseudotraktacie w jakiejś mierze pastiszującym Francuza, czyta go o wiele bardziej dramatycznie, niż czynią to zazwyczaj komentatorzy, i wychodzi w ten sposób poza tradycję recepcji. Znajduje u niego, jak pisze Agata Bielik-Robson, elementy gnozy, „gnozy kartezjańskiej". Beckett, mówi filozofka, sięgająca po mało znane notatki Adorna poświęcone „Nienazywalnemu", interesuje się tym, co u Kartezjusza jest negatywne, zamykające, duszące; obaj – filozof i pisarz – patrzą negatywności prosto w oczy.

Beckett posuwa się co prawda dalej w nicościującym spojrzeniu, lecz i tak kartezjańskie *cogito* byłoby wedle niego nie tryumfalnym osiągnięciem podmiotu, zwycięskim jego samoustanowieniem jako fundamentu niepodważalnej wiedzy, lecz piskiem i „śmieciem" (Adorno) w pustce świata. Ale zarazem jedynym, możliwym wyjściem z samoudręczenia, ostatnim, rozpaczliwym punktem oparcia w chaosie rządzonym przez złego demiurga, Boga zwodziciela, niezainteresowanego własną kreacją, obojętnego na los człowieka. I ten śmieć, ten odpadek, to prawie nic – znalezione w środku nocy – okazałyby się pierwszym punktem oporu wobec bezwzględnej boskiej mocy i przemocy.

Jest i nie jest

Trzy sny Kartezjusza przez niego opisane to ledwie początek początków dzieła, którego zwieńczeniem będą „Medytacje" (1641) i „Rozprawa o metodzie". Jednak ten zalążek już zdaje się wiele mówić; wedle niektórych mówić wręcz wszystko. W zależności od przyjętej perspektywy większy nacisk możemy położyć (w duchu Becketta) na dwa pierwsze, negatywne sny, dostrzegać w nich paroksyzm udręki i zwątpienia. Albo też tradycyjnie obstawiać sen trzeci, pozytywny, przynoszący wręcz szczęśliwą iluminację, kreślący drogi, którymi pójdzie filozofia Kartezjusza, jaką znamy z podręczników.

Wedle Adriena Bailleta sen trzeci składał się z dwóch części. Pierwszej, w której śniącemu pojawiały się kolejne obrazy, od razu w śnie przez Kartezjusza komentowane, i drugiej, w której przystąpił on do ogólnej interpretacji wszystkich powstałych tej nocy (z)widzeń.

We wspomnianej księdze poetyckiej śniący wpada na sentencję „*Quod vitae sectabor iter*" (Jakąż drogą życia pójdę?). W tejże chwili dostrzega nieznajomego, który przedstawia mu znakomity ponoć wiersz zaczynający się od słów „*Est et non*". Śniący zna tę pitagorejską sentencję od poety Auzoniusza (cytat jest autentyczny) i pragnie ją odnaleźć teraz w rzeczonym zbiorze, lecz bezskutecznie. Ale zna, informuje nieznajomego, wiersz jeszcze piękniejszy, zaczynający się od słów „*Quod vitae sectabor iter*". Nieznajomy prosi o pokazanie mu tego wiersza, lecz śniący i jego nie umie odnaleźć, natomiast przerzucając strony, odkrywa różne wygrawerowane portrety (nie zostaną one przez Kartezjusza objaśnione). Księga wydaje mu się tym piękniejsza, wszelako różna od tej jej postaci, którą znał wcześniej. Tymczasem druga księga, czyli Dykcjonarz, gdzieś przepadła, by po chwili powrócić na stół, lecz w postaci – zauważa śniący – już niepełnej. Po chwili nieznajomy i oba tomy znikają, sen trwa.

Zaczyna się wówczas czysta interpretacja, bez żadnych więcej obrazów. Dykcjonarz filozoficzny miał oznaczać wszelką zebraną, lecz, jak się okazuje, niekompletną przecież wiedzę, księga poetycka zaś łączyła filozofię z mądrością, a otwierające ją pytanie o drogę życia było czyimś moralnym podszeptem. Tu Kartezjusz się budzi i na jawie ciągnie swą eksplikację. „*Est et non*" mówi o prawdzie i fałszu w ludzkiej wiedzy i świeckich naukach. Całość oznacza, że duch prawdy zechciał do niego w śnie przemówić, wskazując, jak ułoży się jego przyszłość.

Dwa pierwsze sny były ostrzeżeniami; jego życie mogło nie być tak niewinne i czyste wobec Boga, jak sądził, i choć to sam Bóg w śnie pierwszym skierował jego kroki do kaplicy, to złych duch ubiegł dobrego i zagrodził mu wstęp. Pioruny snu następnego dają się w interpretacji odratować; choć tak groźne, zwiastowały zarazem chwilę bliskiej odmiany, wybuch światła, który śniący po otwarciu oczu za chwilę w postaci iskier dostrzeże; teraz Kartezjusz wiedział już, co należy począć. „Ten ostatni sen – streszcza Baillet – oznaczał przyszłość; dotyczył on wyłącznie tego, co miało go spotkać przez resztę życia".

Filozofia wieku dojrzałego

Georges Poulet w pięknym, natchnionym eseju „Sen Kartezjusza" (polski przekład Donaty Eski w: Georges Poulet „Metamorfozy czasu") pisze wprost, że wszystkie podstawowe zasady kartezjanizmu, wszystkie „elementy filozofii wieku dojrzałego" Kartezjusz wykształcił „pod bezpośrednim wpływem swych doświadczeń sennych". Wymienia trzy takie zasady: 1. Deterministyczny mechanizm natury wyrażający się w nieustannym ruchu. 2. Transcendentalność rzeczywistości duchowej zapewniona jej przez światło naturalne i wolną wolę. 3. Absolut rzeczywistości boskiej pojętej jako czyste i natychmiastowe działanie.

Poulet, wybitny badacz wyobraźni literackiej, idzie daleko: posiłkując się innymi pismami Kartezjusza, przekłada każdy fragmencik snu na jakąś filozoficzną intencję czy wręcz filozoficzny już – niekiedy niemal dokładnie sformułowany – odpowiednik. Zależności są tak bliskie, że jeśli odsunąć podejrzenie o *wishful thinking* ze strony Pouleta, sen filozofa okazuje się kongenialnym proroctwem. Proroctwem czy też ustanowieniem rzeczy raz na zawsze: wystarczy logicznie rozwinąć wyśnione obrazy. Filozofowie, którzy będą Kartezjusza wykładali, na ogół będą się bez jego snu doskonale ob-

chodzili lub traktowali go czysto anegdotycznie; znajdą wszystko, co trzeba w jego pismach, które potraktują jako czysty wytwór intelektu, a sen to tylko ciekawy do nich przyczynek, deser na koniec wykładu. Raczej nie na jego temat stawia się pytania na egzaminie lub tworzy rozdział w historii nowożytnej filozofii czy w podręczniku.

Nie ma co ukrywać, ta czterystuletnia rocznica snu wywołuje szereg wątpliwości. Bo co w istocie obchodzimy? Sam sen, tekst o nim napisany, a zachowany tylko we fragmentach, świadectwo Bailleta, czyli tekst mówiący o tekście, który sam jest oddalony od snu przez opis Kartezjusza? Słowem, tłumaczenie tłumaczenia? Tłumaczenie u Bailleta uczciwe, streszczające słowa samego śniącego, czy też cokolwiek podrasowane, skoro Baillet był kapłanem i mógł mieć skłonność do przeanielania komentarzy filozofa? I skoro musiał dawać potoczne francuskie odpowiedniki łacińskich wyrażeń mających w niektórych przypadkach długą filozoficzną, znaną Kartezjuszowi tradycję?

Samych sennych obrazów nie ma aż tak dużo; niemal tyle samo mówi Baillet o snach, co o całodziennym oczekiwaniu na to, że coś się zdarzy, i o poczuciu Kartezjusza, że jest bliski odkrycia ważnych rzeczy. Również interpretacja samego filozofa nie jest rozbudowana; można wyczuć w niej liczne niedomówienia; niektórzy interpretatorzy dosłuchują się w nich mistycznego tonu różokrzyżowców, z którymi młody Kartezjusz miał się zadawać.

Chciał ułożenia świata na nowo w całej okazałości, wzniesienia konsekwentnej budowli od początku do końca. I dokonał radykalnej zmiany, uruchomił nowożytne dzieje.

Sen, życie

Sam Kartezjusz nie wydaje się całkowicie pewny charakteru swego śnienia. Mówi o śnie albo o widzeniu, chwilami nie jest przekonany, czy śni prawdziwie, czy też na granicy snu i jawy – a może właśnie się ocknął?

Jego przygoda wpisuje się w długą od starożytnych tradycję snów proroczych czy widzeń – którą w naszej literaturze umocował Mickiewicz. Nie tylko w „Dziadach", w których temat snu wciąż powraca, lecz również w słynnym wierszu „Śniła się zima". Mickiewicz objaśnił go tym dopiskiem: „Miałem sen w Dreźnie 1832 r., marca 23, który ciemny dla mnie i niezrozumiany. Wstawszy zapisałem go wierszem". A „wiersze te były pisane, jak przychodziły, bez namysłu i poprawek".

Kartezjuszowi widzenie zdarza się w czasach, gdy następuje wzmożenie dyskursu o śnie. W barokowej poetyce będzie wkrótce o nim opowiadał w teatrze Calderon („Życie jest snem"); w Anglii wciąż sięga po niego teatr szekspirowski; Kartezjusz, wznoszący teoretyczne podstawy francuskiego racjonalizmu i klasycyzmu, od snu, czyli od teatralizacji swego doświadczenia, zaczyna.

Szekspirowski podmiot polityczny, calderonowski podmiot egzystencjalny i kartezjański podmiot filozoficzny w taki czy inny sposób łączą się zatem z tematyką senną. Filtr racjonalizmu, przez jaki czytamy Kartezjusza, nie pozwala dostrzec, że ustanawiające filozofię kartezjańską wątpienie wiąże się o wiele bardziej z empiryczną przygodą, niż by się wydawało, i że poczucie kruchości świata i mamideł rzeczywistości – o którym opowiada, najczęściej w teatrze, duch baroku – wyrasta z autentycznego przeżycia. Nawet sam sposób pisania, meandryczny, kołujący, krążący, a nie posuwający się prosto wzdłuż jednej linii przewodniej, z tego barokowego ducha chyba pochodzi.

Widać to dobrze w „Medytacjach", w których od czasu do czasu Kartezjusz rozważa ogólną naturę snu i jawy. Nie przyznaje bynajmniej tej drugiej wyższości nad pierwszą. Interesuje go raczej rozpoznanie reguł nimi rządzących. Otóż – stwierdza – nie ma między nimi istotnej różnicy w tym sensie, że jedno i drugie podlega tym samym zasadom i uwarunkowaniom czasoprzestrzennym. Nawet jeśli nasze zmysły są zwodnicze, to zwodzić będą i na jawie, i we śnie; natomiast logiczne, matematyczne podstawy przedstawiania sobie tego, co widzimy i we śnie, i na jawie, są identyczne, jako że rozciągnięte w przestrzeni i w czasie. Sen nie byłby więc z założenia jakimś odlotowym wybrykiem, niepojętym delirum, gdyż śni go ten sam wciąż umysł. A ciało czuwające i ciało śniące pozostają jednym i tym samym ciałem.

Dzisiaj, gdy pojęcie „kartezjański" oznacza potocznie „racjonalny, rozsądny, chłodny, wyrachowany", łatwo zapomnieć o skomplikowanym, wielowymiarowym duchowym przedsięwzięciu, jakim była filozofia Kartezjusza. Jeśli nawet nie sama jej treść, to całość doświadczenia życiowego, *cogito* wierności wobec własnych przeżyć ułatwia nasze spotkanie z filozofem. Jego próba ułożenia świata na nowo w całej okazałości, wzniesienia konsekwentnej budowli od początku do końca, osadzenia jej na własnej założycielskiej intuicji nie może nie imponować. W ten sposób dokonał przecież radykalnej zmiany, uruchomił nowożytne dzieje, był jednym z tych, którzy świat przeobrazili. Lecz na milion razy mniejszą skalę wystarczy może zapamiętać, że każdy z nas ma – lub miał – swój mały świat do zbudowania; sen Kartezjusza jest mocnym *memento*.

Lubię więc ten sen i sytuacje mu towarzyszące. „Byłem wówczas w Niemczech, dokąd powołały mnie okoliczności stworzone przez wojny, które trwają jeszcze (...) początek zimy zastał mnie na kwaterze, gdzie (...)". Resztę znamy. Kiedy Kartezjusz po blisko dwudziestu latach wraca w „Rozprawie o metodzie" do tamtych chwil i zanurza się na powrót w cieple bijącym z pieca, podczas gdy wokół sroży się chłód, trudno oprzeć się poczuciu tkliwości, zrozumieniu dla jego zmarzniętego ciała, które za chwilę, już rozgrzane, pozwoli mu widzieć „jasno, w uniesieniu". Nawet jeśli tkwi w tym jakaś doza autokreacji czy konstrukcji mitu założycielskiego, to nie ma cienia pretensjonalności; wspomnienie wynikać się zdaje z potrzeby ujrzenia własnego istnienia jako spoistej całości, potrzeby niemal dziecinnej, niewinnej, pieszczotliwej niczym gest naciągnięcia koca, gdy nad pryczą z czarnego nieba spływa obca, zimna noc.

© MAREK BIEŃCZYK

Cytaty z „Rozprawy o metodzie" podajemy w przekładzie Tadeusza Boya-Żeleńskiego

STANISŁAW

Mancewicz: *Przegląd*

Daliśmy się – przyznajemy – ponieść fantazji i wciągnąć przez prezydenta kraju w silnie już żółknące zakrzaczenia. No więc, zachowując jego styl i klimat, powiadamy: Jeśli komuś zimno, niechże zje sobie rosół z jakiegoś rektora, a jeśli komuś ciepło, niechaj posłucha. Oto skończył się sezon na pomidory i rozpoczął – na opinie dotyczące klimatu. Zaraz, za chwilę spadnie niejadalny śnieg, który pokryje kwaśną warstwą nasze ulice i wasze kamienice, tzn. Banasia. Dowiemy się wtedy, że to jest zima prawdziwa. Jak nad Berezyną za Napoleona. Trzeba będzie to wziąć na wiarę, bo na rozum jest dziś niemodnie. Rozum – w sensie ogólnym – przestał być organem niezbędnym, wystarczą rzęsy. Są oczywiście – tak mniemamy – organizmy, u których jeśli idzie o orientację w czasie i przestrzeni, rzęsy są kluczowe, nie ma jednak żadnego stworzenia, prócz człowieka, dla którego byłyby to rzęsy sztuczne.

Wczoraj przez szybę przyglądaliśmy się wielkiemu salonowi pielęgnacji bród. Przed południem dwudziestu mężczyzn dwudziestu mężczyznom modelowało brody. Broda jest w Polsce zjawiskiem szerszym niż – dajmy na to – w świecie islamu, ale jest to zjawisko tu niebadane. Czy broda to tylko czyste piękno czy może deklaracja ideowa? Niewątpliwie podróż tramwajem wypełnionym mężczyznami z brodami i kobietami ze sztucznymi rzęsami jest dziś ciekawsza niż podróż na Księżyc, który, jak wiemy z podręczników, ma zaledwie jedną stronę jasną i jedną ciemną, na obu zaś leżą takie same kamyki. Chodzi nam więc tu o to, że żyjemy w świecie generalnie jednak niezbadanym, a to, co zbadane, podlega nieustającej weryfikacji. Doprawdy nie jesteśmy przeciwni weryfikacjom wiedzy zastanej i chętnie wsłuchujemy się w opinie nowe.

Weźmy taką oto, że niejedzenie mięsa jest aktem wrogim wobec Stwórcy, o czym poinformował nas niedawno jeden z najwybitniejszych myślicieli tutejszej prawicy. Nie przypominamy sobie żadnej analizy Pisma mówiącej, że odmowa spożycia kebabu może być wejściem na drogę konfliktu z Wiekuistym. Budowanie wieży – jak pamiętamy – owszem, miało bardzo przykre konsekwencje, bo nieruchomość owa nie była ujęta w boskim planie zagospodarowania przestrzennego, ale zastąpienie kebabu owsianką też ma być powodem do odmowy w dziele zbawienia? Odczytywanie świętych ksiąg na tutejszym poziomie, pośród szpalerów odgłowionych wierzb, dawało zawsze wyniki co najmniej nietypowe. Zejście z poziomu analizy słowa, choćby dawno wydrukowanego, na poziom codziennych zachowań jest takoż frapujące.

Popatrzmy. Bicie żon i dzieci przedstawiane jest dziś jako odruch z jednej strony zdrowia psychicznego mężczyzny, a z drugiej – jako próba utrzymania świata w tradycyjnym porządku, co nie dziwi tu już w zasadzie nikogo, ale – weźmy – wycie na pogrzebach i demolowanie grobów w społeczeństwie, dla którego kult zmarłych należy do kanonu obchodzenia się z metafizyką, bywa już dla badacza dezorientujące. Jest to jednak zadanie dla uczonych nielicznych, delikatnych, a tym samym niszowych.

Idźmyż dalej, oto widzenie kultury, której horyzontem jest zawsze bitwa, mundur bądź zbroja, jest takoż ciekawe, o ile może być ciekawe siedzenie w twierdzy. Od czterech z hakiem lat urzędy nie wyprodukowały niczego prócz twierdz, w których każdy za państwowe pieniądze może sobie pomieszkać, pośpiewać, a potem się wysadzić ku chwale ojczyzny.

Weźmy teraz przyrodę. Dużo w tej sprawie słychać, bo dużo się o przyrodzie mówi. Przyroda jak nigdy stała się elementem politycznej agendy. Postawienie dziś tabliczki z napisem „Nie deptać trawników" jest aktem politycznym czy, by rzec słowami klasyka, bezpardonowym atakiem totalnej opozycji na wartości, ale zważmy, że zjedzenie rektora nie jest już aktem barbarzyńskim. Jest, zdaje się, elementem kampanii wyborczej. Czy to jest śmieszne? Śmieszne, podobnie jak z żelazną konsekwencją stosowana zasada, mówiąca, że niewłaściwi ludzie muszą koniecznie być na niewłaściwych miejscach. Najlepiej wszędzie. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

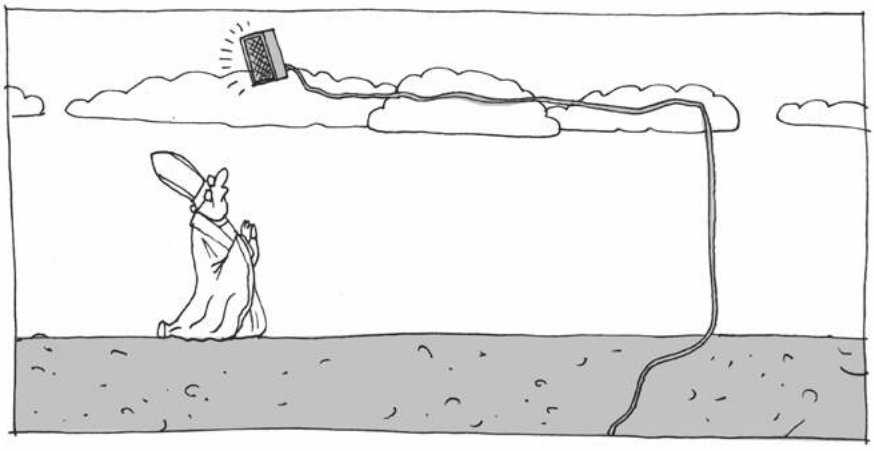

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@tygodnik.com.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 dowolnych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.

W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP": „Do Betlejem", „Wszystko, co wiemy", „Moc czytania", „Polska Żydowska", „Smak wolności", „Zwierzenia zwierząt", „Halo, tu Ziemia".

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP", ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia**	300 zł	
Karta Dużej Rodziny***	300 zł	

+ PREZENT!

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE" NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

+ PREZENT!

* CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ – ważny do 30.11.2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

W marcu 2020 r. świętujemy 75-lecie „Tygodnika Powszechnego”

Zaprenumeruj „Tygodnik Powszechny” i otrzymaj jubileuszowy prezent

„Jerzy Turowicz. Książka do pisania. 75 lat *Tygodnika Powszechnego*” – ilustrowany notes z archiwalnymi fotografiami i fragmentami tekstów pierwszego redaktora naczelnego pisma.

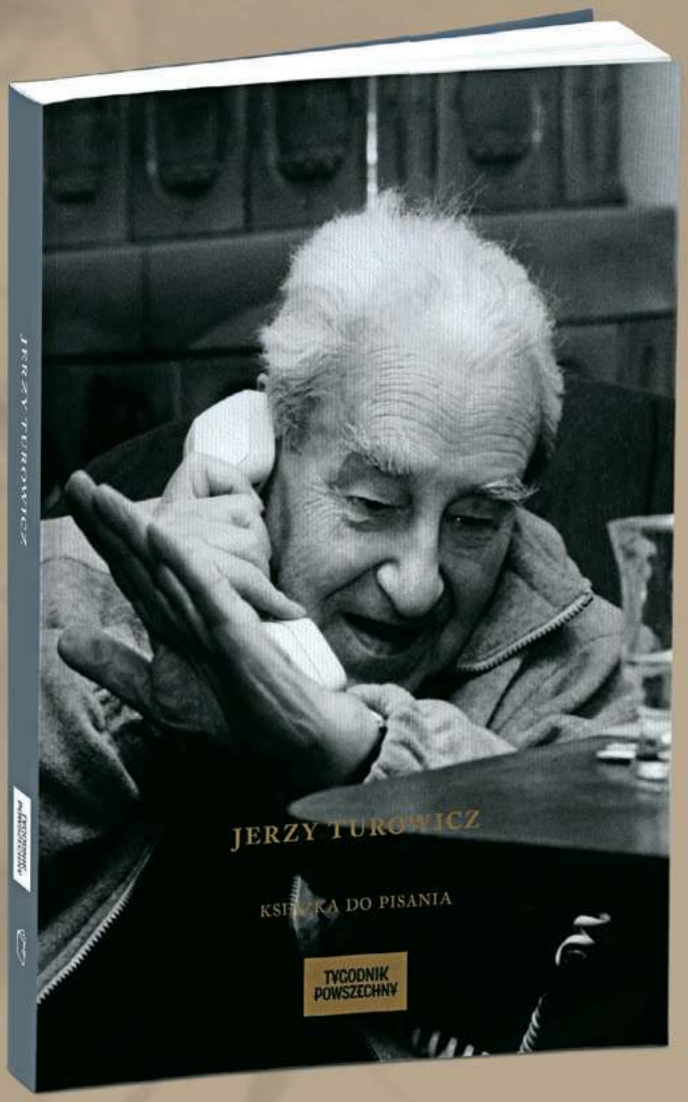

1. **JUŻ TERAZ** zamów lub przedłuż dowolną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego” – roczną, półroczną lub kwartalną.
2. Możesz to zrobić przez stronę **powszech.net/prenumeruj** lub poprzez wpłatę na konto czy opłacenie w Dziale Prenumeraty „TP” – cennik i zasady szczegółowe opisane są na poprzedniej stronie.
3. Na przełomie stycznia i lutego 2020 r. otrzymasz „Książkę do pisania” – bez dodatkowych kosztów przesyłki.

Książka jest dostępna wyłącznie w dystrybucji „Tygodnika Powszechnego” – jest to limitowana oferta tylko dla obecnych i nowych Prenumeratorek i Prenumeratorów.

WYDAWCA:

TYGODNIK POWSZECHNY

AUSTERIA

PARTNERZY WYDANIA:

FUNDACJA JERZEGO TUROWICZA

Pasaż

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOTOGRAFIA W TLE KRZYSZTOF MALKIEWICZ / ARCHIWUM JERZEGO TUROWICZA